Kronika miasta Łodzi

kwartalnik 2 (50) 2010

Łódź samorządowa

15,00

WiMBP im. J. P. w Łodzi
ci 121608/2010

iw/dk/267/2010

PR

Kronika miasta Łodzi

kwartalnik ● 2(50)/2010

Łódź 2010

WiMBP
im.
J. P.
w Łodzi

Redakcja:
Gustaw Romanowski – redaktor naczelny
Marek Strąkowski – sekretarz redakcji

Współpraca:
Małgorzata Golicka-Jabłońska, Barbara Gortat

Projekt typografii i okładki – Andrzej Chętko

Skład i druk: Drukarnia WIST
95–100 Zgierz, ul. Barona 8 B

Wydawca:
Urząd Miasta Łodzi
Biuro Informacji i Komunikacji Społecznej

Redakcja:
Kronika Miasta Łodzi 90–004 Łódź, ul. Piotrkowska 113
tel. (42) 638–44–39
e-mail: kronika@uml.lodz.pl

ISSN 1231-5354

Spis treści

Tomasz Sadzyński, Samorząd mojego miasta 5

pierwsze kolumny 7
Iwona Śledzińska-Katarasińska, Jedyna taka kadencja 9
Teresa Dębowska-Romanowska, Niezakończona gra o samorząd 13
Gustaw Romanowski, Pierwsze wybory 19
Barbara Gortat, Tworzymy perspektywy 23
Marcin Kieruzel, W Łodzi fascynują mnie ludzie... 32
Mateusz Sidor, Siłą Łodzi jest kultura 41
Marek Strąkowski, Młody potencjał 47
Piotr Zawłocki, Aktywność jest cudownym uczuciem 54
Marcin Kieruzel, Traktuję mandat jak powinność... 62
Mateusz Sidor, Po pierwsze budżet 69

czas „Kroniki" 75
Stefan Bratkowski, Zamiast peanu 77
Gustaw Romanowski, Periodyk skutecznie lokalny 79
Wojciech Michalski, Mniejsza Łódź 87

kultura 95
Gustaw Romanowski, Symbol w malarstwie 97
Marek Strąkowski, Ideologia miłości 103
Małgorzata Wróblewska-Markiewicz, Święto sztuki włókna 1115

historia 125
M. Magdalena Starzycka, Nieskończona biografia 127
Halina Gawlik, Teatr w Parku Staszica 148
Józef Henryk Wiśniewski, Spotkanie po 42 latach 156

czarne dziury, białe plamy 163
Janusz Wróbel, Plany i złudzenia 165
Adam Antczak, Jarosław Warzecha, Sprawa Heleny Brożyńskiej 184

łodzianie 195
Małgorzata Golicka-Jabłońska, Bibliotekoznawca, bibliograf 197
Elżbieta Pawlicka, Nasz bibliografista 203

osiedla, domy, ulice 207
Dariusz Kędzierski, Ulica Przejazd 209
Krystyna Krygier, Retkinia – wizja miasta w mieście 229

recenzje 241
Dariusz Kędzierski, Na obrzeżach Łodzi 243

listy, polemiki, kontrowersje 247
Sprostowanie 247

Z łódzkiego raptularza 249

Samorząd mojego miasta

20 lat temu odrodził się polski samorząd.

Za symboliczną tego faktu datę uważa się dzień 27 maja 1990 roku. Tego dnia odbyły się, pierwsze w powojennej historii Polski, całkowicie wolne wybory do władz samorządowych. Po pół wieku nieistnienia demokratycznych mechanizmów wyłaniania reprezentacji lokalnej wspólnoty mieszkańców, wróciło prawo przywracające poczucie współdecydowania ludzi za swoje miasto, osiedle, wieś.

I świadomość realnej, a nie utopijnej współodpowiedzialności za swoją „małą ojczyznę". 20 lat temu także łodzianie mieli szansę wziąć udział w prawdziwych wyborach samorządowych. Dzięki nim w Radzie Miejskiej znaleźli się przedstawiciele różnych zawodów i światopoglądów, ludzie o odmiennych doświadczeniach życiowych i politycznych orientacjach.

Dwie dekady doświadczeń ugruntowały pozycję łódzkiego samorządu. Mimo ograniczeń budżetowych Łódź potrafiła i potrafi do dziś (także dzięki pieniądzom z Unii Europejskiej) zdobywać przestrzeń publiczną dla nowych inicjatyw potrzebnych miastu.

W ciągu 20 minionych lat zmianom prawa lokalnego towarzyszyły także zmiany w świadomości przedstawicieli samorządu. Dotyczy to choćby idei dzielenia się władzą. Koalicyjna koncepcja zarządzania miastem stała się praktyką naturalną, a początkowa niechęć do tworzenia pomocniczych jednostek samorządowych jest już tylko faktem historycznym. Dzisiaj osiedlowe samorządy tworzą demokratyczną strukturę organów współzarządzania miastem, stając się prawdziwym partnerem dla władz Łodzi w planowaniu i realizacji różnych projektów komunalnych.

20 lat odrodzonego samorządu to także konkretni ludzie. Dotąd sprawowaniem społecznego mandatu radnego może się poszczycić 256 łodzian. Historię miasta po 1990 roku tworzyły kadencje już sześciu Prezydentów Miasta Łodzi: Grzegorza Palki, Marka Czekalskiego, Tadeusza Matusiaka, Krzysztofa Panasa, Krzysztofa Jagiełły, Jerzego Kropiwnickiego. Mnie przypadł zaszczyt pełnienia obowiązków Prezydenta naszego miasta w momencie, gdy łodzianie świętować mogą 20 lat swojego samorządu.

Wśród doświadczeń samorządu warto zauważyć także pożyteczną rolę jego inicjatyw wydawniczych. Kwartalnik „Kronika Miasta Łodzi", którego jubileuszowy – 50. numer – zbiega się z rocznicą dwudziestolecia pierwszych wyborów, to najdłużej i nieprzerwanie ukazujący się na łódzkim rynku prasowym periodyk społeczno-kulturalny.

Tomasz Sadzyński

Pełniący obowiązki Prezydenta Miasta Łodzi

pierwsze kolumny

Jedyna taka kadencja
Narodziny łódzkiego samorządu
Iwona Śledzińska-Katarasińska
str. 9

Niezakończona gra o samorząd
Refleksje na dwudziestolecie odrodzonej demokracji lokalnej
Teresa Dębowska-Romanowska
str. 13

Pierwsze wybory
Tak się zaczęło
Gustaw Romanowski
str. 19

Tworzymy perspektywy
Rozmowa z Tomaszem Kacprzakiem, przewodniczącym Rady Miejskiej
Barbara Gortat
str. 23

W Łodzi fascynują mnie ludzie
Rozmowa z Krzysztofem Piątkowskim, wiceprzewodniczącym Rady Miejskiej
Marcin Kieruzel
str. 32

Siłą Łodzi jest kultura
Rozmowa z Grzegorzem Matuszakiem, wiceprzewodniczącym Rady Miejskiej
Mateusz Sidor
str. 41

Młody potencjał
Rozmowa z Karoliną Kępką, najmłodszą radną Rady Miejskiej
Marek Strąkowski
str. 47

Aktywność jest cudownym uczuciem
Rozmowa z Witoldem Rossetem, radnym Rady Miejskiej
Piotr Zawłocki
str. 54

Traktuję mandat jak powinność…
Rozmowa z Marianem Papisem radnym-seniorem Rady Miejskiej
Marcin Kieruzel
str. 62

Po pierwsze budżet
Rozmowa z Innocentym Święcickim, radnym Rady Miejskiej w latach 1990–98
Mateusz Sidor
str. 69

Jedyna taka kadencja

Narodziny łódzkiego samorządu

Końcówka lat 80. przyniosła Polakom nadzieję na zakończenie wojny polsko-polskiej i pewność, że teraz to już wszystko będzie dobrze. Zafunkcjonuje demokracja, wolny rynek zapełni półki sklepowe, „Solidarność" przejmie władzę, obali się stare pomniki i generalnie będzie „lekko, łatwo i przyjemnie". Zapowiedź odrodzenia samorządu, podobnie jak likwidacja cenzury, wydawały się idealnymi i bez mała wystarczającymi instrumentami do wprowadzania tego stanu szczęśliwości. Reformy gospodarcze? Ależ tak. Przecież chodzi o to, by głos decydujący w zakładach pracy mieli ludzie, a nie sekretarze PZPR, a produkcja nie wędrowała do Związku Radzieckiego, tylko służyła Polsce.

Jeśli nawet ta diagnoza wygląda dziś nieco karykaturalnie, to wówczas naprawdę w takim uproszczeniu myślały tysiące spragnionych wolności i odmiany obywateli. Tak wyglądały rozmowy podczas kampanii wyborczej do Sejmu i Senatu, takie listy przychodziły do startującej w lutym 1990 roku łódzkiej edycji „Gazety Wyborczej". Oczywiście, te marzenia można było traktować jak najbardziej serio. Mało, one rzeczywiście miały swój głęboki sens i do dziś tego sensu nie straciły. Wolność słowa, wolność działalności gospodarczej i właśnie samorząd lokalny, były i są fundamentami polskiej demokracji. Tyle że, jak zwykle, po drodze nic nie było i nie jest lekko, łatwo i przyjemnie. Samorządu nie wyłączając.

Z głową w chmurach

Wojewódzki Komitet Obywatelski „S" w Łodzi przystępował do wyborów samorządowych wiosną 1990 roku wzmocniony poczuciem zwycięstwa z czerwca 1989 roku i w przekonaniu, że reprezentuje nowy demokratyczny porządek, któremu towarzyszyły głębokie reformy wprowadzane przez Sejm, jak go nazywano, kontraktowy. Odrodzenie idei autentycznej samorządności, rozpoczęcie procesu decentralizacji państwa i wreszcie pierwsze prawdziwie wolne – już bez jakichkolwiek ograniczeń – wybory, były znakomitym argumentem na rzecz owego poczucia siły. Czuliśmy się niejako głównymi sprawcami przemian, więc i oczekiwaliśmy, że otrzymamy szansę na ich kontynuację. Nie brakowało nam zapału, chęci do pracy, pomysłów na Łódź. Niestety, zabrakło poczucia realizmu.

Obok następowały błyskawiczne przetasowania na scenie politycznej. W „Solidarności" do władzy wrócił dawny Zarząd Regionu, kierownictwo Telewizji

Łódzkiej objął Marek Markiewicz, który z WKO nie miał nic wspólnego, uaktywniła się KPN, rodziło się ZChN, a prawdziwą konkurencją dla WKO stało się powołane, głównie w oparciu o te dwie partie, Łódzkie Porozumienie Obywatelskie. Z perspektywy lat widać wyraźnie jak środowiska WKO nie doceniły żywiołowego procesu „upartyjniania" życia publicznego. My walczyliśmy wtedy o obywatelskość, nie przejmowaliśmy się widocznymi gołym okiem układankami i odgrzewaniem sporów sprzed czerwca 1989. Wchodziliśmy w tę kampanię „z głową w chmurach". Nam śnił się raczej mit „ziemi obiecanej" (forszpan filmu wykorzystaliśmy w materiale reklamowym), naszym konkurentom śniła się realna władza. I trzeba przyznać, że sięgnęli po nią bardzo umiejętnie.

W 80-osobowej Radzie ŁPO zdobyło 50 mandatów, WKO – 24, a SdRP – sześć. Idealizm, a może polityczna naiwność sprawiły, że nawet wówczas byliśmy przekonani, że ŁPO wraz z WKO ramię w ramię przystąpią do budowy nowej Łodzi. Wszak jedno i drugie środowisko wywodziło się z „Solidarności", jedno i drugie miało opozycyjny rodowód, a przeciwnik wówczas był jeden – SdRP. Notabene, ze swoich sześciu mandatów lewica rok po roku, kadencja po kadencji, robiła coraz lepszy użytek, by już pod koniec lat 90. przejąć władzę w mieście.

W roku 1990 władzę zdobyło ŁPO, prezydentem został Grzegorz Palka i on oznajmił zszokowanym radnym WKO – *bierzemy całą władzę i całą odpowiedzialność*. Dziś nikogo pewno by taka deklaracja nie zdziwiła. Wówczas była zaskoczeniem. Pora było z chmur zejść na ziemię.

Parada gwiazd

Opozycja, od posiedzeń komisji poczynając, na posiedzeniach plenarnych kończąc, niewiele miała do powiedzenia w tamtej kadencji. Co najwyżej mogliśmy ćwiczyć swoje umiejętności oratorskie. Głosu nie odbierano, choć zawsze znalazł się równie „cięty" obrońca racji prezydenta Palki. Może dlatego ta pierwsza kadencja utkwiła mi w pamięci głównie poprzez co barwniejsze postaci zasiadające w ławach Rady. Część z nich do dziś funkcjonuje w życiu publicznym, części nie ma już wśród nas, o niektórych zapomnieli ludzie i historia. Mówiąc szczerze – bardzo „niektórych". To jednak była kuźnia kadr.

Prezydent z ZChN, więc przewodniczący Rady musiał być z KPN. Tamtego wyboru na to stanowisko Andrzeja Ostoi-Owsianego do dziś nikt chyba nie jest w stanie zakwestionować. Dziś zresztą, zarówno na niego, jak i na Grzegorza Palkę, patrzymy z o wiele większą sympatią i szacunkiem niż wówczas. Wtedy od zasług i życiorysów ważniejszy stał się efekt ewidentnego podziału łupów.

Bezsprzecznie największą karierę, zachwianą dopiero po 20 latach w roku bieżącym, zrobił ówczesny sekretarz miasta Włodzimierz Tomaszewski. Wtedy, co tu ukrywać, wiedzieliśmy o nim tylko, że w przeszłości tańczył w zespołach pieśni i tańca. Ot, nauczka – nie lekceważyć oponenta.

Do historii łódzkiego samorządu przeszedł radny Lucjan Muszyński, obrońca tradycji niepodległościowej, gorliwy „dekomunizator", zasypujący Radę uchwałami zmieniającymi nazwy ulic. Co prawda, to prawda. Obrońców Stalingradu, Mariana Buczka i tego typu patronów mieliśmy dość, ale o 8 Marca rozgorzała wojna aż miło. Wyszukaną erudycją zadziwiał wszystkich prof. Zbigniew Klajnert, mundurem strażackim „prawa ręka" Andrzeja Ostoi-Owsianego, radny Andrzej Terlecki. Nie brakowało przebojowych kobiet. Dwie z nich są dziś posłankami, jedna – wicemarszałkiem województwa.

Nie brakowało oryginałów, którzy potrafili rozgrzać salę do czerwoności. Ale najważniejsze, że w Radzie zasiadali znani prawnicy, ekonomiści, lekarze, artyści. Nie wystarczyło mieć legitymacji bądź życiorysu opozycjonisty w kieszeni, czy też dobrego życiorysu lewicowego. Coś trzeba było wiedzieć i umieć. Tyle że z tej wiedzy nie tak znów wiele wyniknęło.

Nie jesteśmy tacy sami

Zmonopolizowanie władzy przez ŁPO w łódzkim samorządzie miało jeden pozytywny efekt. Bardzo szybko ujawniły się różnice programowe głównych ugrupowań. Radni SdRP, choć bardzo aktywni choćby w głośnych filipikach Grzegorza Matuszaka, mieli, jak się wydaje, cel nieco odmienny od ambicji WKO i ŁPO. Oni po prostu chcieli udowodnić, że ciągle są w grze i tak naprawdę nie jest potrzebna „Solidarność", bo to oni potrafią zadbać o wyniszczoną Łódź. W ŁPO walczyły z sobą dwa nurty – historyczno-rozliczeniowa polityka symboli, której – co tu ukrywać – poświęcono najwięcej czasu i – trzeba to przyznać – w jakimś sensie wizjonerska polityka samego Grzegorza Palki, który postawił na ulicę Piotrkowską, lotnisko, Grupową Oczyszczalnię Ścieków. Aż się prosiło, by ten drugi nurt stał się wspólna sprawą ŁPO i WKO. Nie stał się, no bo *mamy cała władzę i całą odpowiedzialność*. Myślę, że zepchnięcie WKO do roli twardej opozycji było największym błędem pierwszych lat łódzkiej transformacji. W konsekwencji na Piotrkowskiej 104 trwał nieustanny spór. O statut miasta, o wybór inwestorów, o politykę kadrową, o politykę wobec mediów. Opanowawszy telewizję, bardzo podobny manewr wykonano z „Dziennikiem Łódzkim", a powstający dodatek „Gazety Wyborczej" (ogólnopolską „Gazetę" zresztą też) potraktowano jako trybunę wrogich prawdziwej prawicy sił.

Ta atmosfera polityczna, w zderzeniu z pogłębiającym się w Łodzi kryzysem spowodowanym upadkiem włókienniczych molochów, osłabiała działalność Rady Miejskiej i kładła się cieniem na jej skromne sukcesy. Stawiała także pod znakiem zapytania sens snucia dalekosiężnych, ale nieukładających się w jasną strategię rozwoju planów. Nawet projekty rewitalizacji Piotrkowskiej przegrywały z biedą, brudem i zaniedbaniem łódzkich kamienic i podwórek. Łódź, której zabrakło także wsparcia władz centralnych, powoli tonęła. Patentu na przebudowę XIX-wiecznego zagłębia tkalni i przędzalni w nowoczesną metropolię nie było. Gdzieś na marginesie głównego nurtu

funkcjonowały wyższe uczelnie, środowiska twórcze, młodzież. Jedynie przedsiębiorcy i kupcy po pierwszym szoku zdołali się pozbierać i całkiem nieźle dawać sobie radę w nowej rzeczywistości. Szkoda, że trochę w szarej strefie. I jeśli coś naprawdę udało się pierwszemu składowi łódzkiego samorządu, to właśnie danie szansy tym środowiskom. Nie obyło się, rzecz jasna, bez gigantycznych pomyłek, błędów i katastrof. Ale to jednak przedsiębiorcy i kupcy ratowali w latach 90. Łódź.

Po 20 latach wypada postawić sobie pytanie – czy warto było? Warto. Kto nic nie robi, niczego się nie nauczy. Ciągle pozostaje nadzieja, że łódzki samorząd czegoś się jednak uczy.

A że nie jesteśmy tacy sami, warto wiedzieć kogo i po co się wybiera. Tego też uczą się Polacy od 21 lat.

Iwona Śledzińska-Katarasińska
– radna pierwszej kadencji RM,
od 1991 roku posłanka do Sejmu RP,
przewodnicząca Komisji Kultury i Środków Przekazu

Niezakończona gra o samorząd

Refleksje na dwudziestolecie odrodzonej demokracji lokalnej

Przyjmując z wdzięcznością zaproszenie Rady Miejskiej, abym podzieliła się na dzisiejszej uroczystości moimi wieloletnimi doświadczeniami, które wiążę z materializowaniem się idei samorządu lokalnego w polskiej demokracji, wypada na wstępie zadać sobie najprostsze pytanie. Czym tak naprawdę jest dzisiaj samorząd miasta metropolitarnego?

Muszę tu wrócić do pierwszych lat tworzenia się samorządu, z innej już jednak perspektywy. Pierwsza rzecz, to stojące nadal przed nami wyzwanie. Bo musimy dziś sobie odpowiedzieć – i to najlepiej jak potrafimy – czym w o g ó l e w systemie naszej demokracji jest samorząd terytorialny, jakie ma spełniać funkcje, jakie przysługują mu zadania i jaka jest jego rola wobec władz centralnych.

Odpowiedź na to pytanie nie jest wcale łatwa. Przeciwnie – należy wciąż do najtrudniejszych zagadnień polskiej demokracji. Warto więc w tym miejscu sięgnąć do nieodległej historii. W czasie pierwszej „Solidarności" w latach 1980-81 restytucja samorządu lokalnego wydawała się nam sprawą prostą. Samorząd terytorialny miał być oczywistym przejawem szerokiego programu tak zwanej „Polski Samorządnej". Miał być też jednym z jego zasadniczych filarów, obok samorządu pracowniczego i samorządów zawodowych. Już jednak w trakcie obrad Okrągłego Stołu zdano sobie sprawę, że za istotą samorządu terytorialnego, jako wspólnoty polityczno-terytorialnej, stoi fundamentalne przekształcenie ustroju całego państwa. Zatem już w zapisach „okrągłostołowych" pojawiła się konieczność stworzenia koncepcji subwencji ogólnej dla samorządu terytorialnego, jako formy finansowania jego działalności.

Muszę jednak sięgnąć wstecz do innej, bo wynikającej z moich własnych doświadczeń, perspektywy. Perspektywy kogoś, kto brał udział w tworzeniu, a zarazem restytuowaniu tego samorządu w skali całej Polski. Powinnam też zaznaczyć w tym miejscu, że mam tu pewien dług wobec mojego miasta. Bo złożyło się tak, że praca eksperta i legislatora odcięła mnie od służenia miastu, które uważam za swoje. Była to moja praca najpierw jako eksperta w „nielegalnych" strukturach „Solidarno-

ści" a potem już profesjonalnego legislatora wykonującego zadania dla Sejmu i Senatu Rzeczypospolitej. Pełniąc takie zadania, siłą rzeczy nie mogłam patrzeć na zagadnienie samorządu tylko z punktu widzenia partykularnych interesów poszczególnych gmin i miast.

W tym także interesów miasta, w którym wyrosłam i mieszkam. Miasta, które na dodatek przeszło tyle najtrudniejszych doświadczeń podczas transformacji. Teraz więc chcę spłacić mój dług wobec Łodzi i choćby w części wytłumaczyć się najpierw z tego o jaką ważną grę ustrojową chodziło w tym pierwszym okresie. A więc jeszcze przed transformacją ustrojową i tuż po niej.

Fundamenty finansowej samodzielności

Otóż, chodziło o taką grę, aby nie tylko stworzyć samorząd, ale też dać mu rzeczywiste fundamenty trwałej samodzielności finansowej na przyszłe lata. I to w sytuacji chaosu i kryzysu strukturalnego, który dotknął szczególnie boleśnie Łódź. Ten priorytet był więc także sprawą mojego miasta, choć – jak się okazało – nie zawsze tu ono wygrywało.

A więc, jak wspomniałam, do tej pracy w wolnej Polsce przygotowywałam się wcześniej, tworząc – na razie tylko teoretycznie – wspomnianą wyżej koncepcję subwencji ogólnej dla samorządów, jako publicznego prawa podmiotowego. Chodziło w tym o to, aby konieczna i płynąca z budżetu państwa uzupełniająca część środków finansowych, nie miała charakteru uznaniowego, lecz była oparta o jednolite kryteria – czyli jasne przesłanki finansowania – wspólne dla wszystkich gmin i miast. Nie chodziło tu jednak o prostą możliwość przewidywania i zaplanowania należnej kwoty z budżetu państwa.

Była to więc gra o rzecz znacznie poważniejszą i niejako „rewolucyjną" ustrojowo. Chodziło o zagwarantowanie każdej gminie możliwości dochodzenia przed sądami Rzeczypospolitej tej opartej o przesłanki ustawowe należnej kwoty. To zaś oznaczało realną ochronę praw podmiotowych do finansów samorządu – zarówno w zakresie subwencji jak i częściowo dotacji – na drodze sądowej. Było już wiadomo, że z wielu względów nie ma powrotu do systemu finansów okresu międzywojennego. Dlatego w warunkach kryzysu ubogiego polskiego społeczeństwa oraz braku reprywatyzacji majątku upaństwowionego – należało oprzeć koncepcję finansów samorządu terytorialnego na stałym uzupełnianiu dochodów własnych, dochodami pochodzącymi z budżetu państwa. Ale jednak pod pewnymi warunkami. Z jednej więc strony trzeba było mieć na uwadze, aby wprowadzając taki system finansowania gmin, nie doprowadzić przy okazji do klientyzmu i dyspozycyjności samorządów lokalnych względem władz centralnych. Z drugiej zaś strony należało uczynić polski nowy samorząd terytorialny podmiotem współodpowiedzialnym za losy państwa. A więc uczestniczącym w okresach pomyślności finansowej państwa, na równi z okresami gorszymi. Chodzi tu o tak zwany parytet, czyli normatywne określenie udziału wydat-

ków na subwencje w dochodach państwa. Choć początkowo udało się to wprowadzić do systemu prawnego, to jednak wkrótce się wycofano.

To była jasna idea. Chodziło w niej o to, żeby losy samorządu przy zachowaniu jego pewnej samodzielności ustrojowej, sprzęgały się z losami państwa jako całości. Ale nie na zasadzie podporządkowania administracyjnego – czy też jakichkolwiek powrotów wymyślonego w PRL do tak zwanego centralizmu demokratycznego – lecz na zasadach współpartnerstwa i współodpowiedzialności.

Takie przedsięwzięcie nie należy do łatwych, bo samorząd ze swej natury jest zawsze słabszym partnerem i musi być wzmocniony i chroniony przez system praw podmiotowych, gwarantujących dostęp do dochodów zasilających. Wiadomo, że dochody własne samorządu okazują się często dalece niewystarczające.

I pojawił się podczas tych dyskusji i rozważań pewien dylemat. Niewyrażony może wprost, ale zdecydowanie czytelny. Czy mamy wrócić do koncepcji samorządu międzywojennego, któremu Konstytucja z 1921 roku gwarantowała rozdzielność dochodów od państwa? Czy też powinniśmy budować nowy system źródeł dochodów, co oznaczało zasadniczą zmianę, czyli stworzenie zupełnie nowej formuły samorządu terytorialnego.

Wybraliśmy to drugie rozwiązanie. I to w sposób trwały i – jak się wydaje – już nieodwracalny. Ale inny dylemat, który wtedy tlił się w naszych dyskusjach, dalej trwa. Chodzi wciąż o odpowiedź, czym jest samorząd i jaka jest jego istota w systemie naszej demokracji, w dorobku ustrojowym naszego państwa.

Emanacja społeczności lokalnej

Czy więc samorząd sprowadza się do decentralizacji administracji państwowej i jej formalnej tylko „prawniczej" niezależności? Czy też jest częścią państwa – a więc strukturą polityczną społeczności lokalnej, a jego organy stanowiące i wykonawcze są bardziej reprezentacją i emanacją tej społeczności? A skoro tak, to także wyrazicielem jej potrzeb, jej organizacji społecznych, ale także jej historii, zwyczaju i kultury. I tak naprawdę ta sprawa nie została przesądzona do dzisiaj.

Tym bardziej zresztą, że polska Konstytucja z 1997 roku jest w tej właśnie sprawie niekonsekwentna. Z jednej bowiem strony już w jej Preambule zawarta jest zasada subsydiarności organizacji państwa. Oznacza ona to, że jeśli każda z potrzeb zbiorowych może być zaspokojona na szczeblu najniższym, najbliżej obywatela, to powinna już konsekwentnie pozostać na tym poziomie kompetencji. I to nie zawsze i niekoniecznie przez organy władzy publicznej, jeśli sami obywatele, organizując się, mogliby to zrobić lepiej. Z tej zasady wynika obowiązek współdziałania samorządu z lokalnymi organizacjami społecznymi i udzielania im pomocy oraz zapewniania w swych statutach właściwego miejsca dla pomocniczych jednostek samorządowych. Ale tylko wtedy, jeśli tradycja, zwyczaj czy sposób życia mieszkańców taką wspólnotę rzeczywiście tworzą. Można wskazać, że takimi społecznymi wspólnotami w Łodzi

są na przykład Stare Rokicie, Osiedle Montwiłła-Mireckiego lub też wsie, które zostały terytorialnie włączone w granice naszego miasta.

Naczelną więc wskazówkę dla miejsca samorządu możemy więc zauważyć we wspomnianej Preambule Konstytucji. Z drugiej jednak strony art. 167 ust. 1 Konstytucji stanowi, iż samorząd ma prawo do udziału w dochodach publicznych, *odpowiednio do przypadających mu zadań*. A to oznacza, że istnieje jakaś „lista zamknięta" tych zadań, z których jedne samorządowi przypadają, a inne już nie.

Przy takiej koncepcji nie ma już miejsca dla kreatywnej roli samorządu, który sam w granicach prawa określa sobie zadania i ich hierarchię. O takich zadaniach trudno mówić, że *przypadają* one samorządowi, skoro je sobie sam wymyśla i ustala nie wkraczając w kompetencję władz centralnych.

Wskażmy tu pewien przykład z „łódzkiego podwórka". To problem renowacji fasad kamienic należących do prywatnych właścicieli lub będących współwłasnością gminy. Potrzeby miasta, do których należy dbałość o estetykę i zachowanie tradycji urbanistycznej wymagały i wymagają, szczególnie właśnie dzisiaj, realizacji takiego zadania własnego i jego sfinansowania. Regionalna Izba Obrachunkowa w Łodzi i wiele sądów administracyjnych uważa jednak, że zadaniem własnym gminy może być tylko takie, które wynika z „wyliczanki" ustawowej. Takie zaś zadanie jak owa renowacja, nie wynika wprost z takiego formalnego ustawowego wyliczenia.

Mamy więc tu do czynienia z wyraźnym kryzysem pojęcia zadania własnego gminy. Jeśli nie będzie w nim rzeczywistego czynnika samookreślenia i kreatywności, to istotnie samorząd sprowadzony zostałby niestety tylko do roli zdecentralizowanej administracji państwa. Tak jak chciała tego większość prawniczej doktryny międzywojennej, której to tradycję kontynuuje część doktryny współczesnej.

Warto więc zapytać wprost, czy na takie zadania jak renowacja śródmiejskich kamienic państwo ma obowiązek dostarczania uzupełniających środków z budżetu państwa?

Postawmy to pytanie jeszcze inaczej. Czy po to tylko, aby samorząd mógł wydawać decyzje w indywidualnych sprawach administracyjnych bez podporządkowania władzom centralnym, warto przeprowadzać wybory Rady Miejskiej i prezydenta i tworzyć delegatury urzędu? I czy warto nadawać w Konstytucji prawo do decydowania o wysokości podatków i opłat lokalnych na podstawie prawa lokalnego?

To jasne, że decyzje w całym kraju winny być oparte na prawie i w miarę jednolite. Ma więc sens powierzenie takich zadań samorządom tylko wtedy, gdy decyzje te będą w jakiejś mierze oparte o warunki i realia lokalne. Przykładowo: pozwolenia na budowę i warunki zabudowy muszą być w miarę jednolicie uregulowane w całym kraju. Ale czy nie powinny one zależeć też od woli władz lokalnych, gdy chodzi o zapewnienie pewnej jednolitości estetycznej, tworzącej „klimat" konkretnego krajobrazu. Takie elementy jak rodzaj ogrodzenia posesji, odległość budynków od ulicy, czy stylistyczne zharmonizowanie fasad i gabarytów obiektów nowych w otoczeniu

starszej historycznej zabudowy (na przykład budowlane „plomby" w śródmieściu Łodzi), powinny wynikać z autonomicznej woli władz lokalnych kształtujących swymi decyzjami krajobraz miasta czy wsi.

Tak więc zadanie własne musi mieć pewne cechy odrębności lokalnej – oczywiście w granicach jednolitego państwa. Inaczej przecież określenie „własne" nie miałoby większego sensu. Na takie właśnie zadania niezbędna jest, obok dochodów własnych, subwencja o przeznaczeniu ogólnym. Państwo musi bowiem zapewnić środki na kreatywność samorządu, bo bez niej nie ma rozwoju państwa, poprzez rozwijanie takich elementów jak różnorodność i lokalność.

Głód demokracji bezpośredniej

Występuje dzisiaj wyraźny głód demokracji bezpośredniej. Ludzie chcą znaczyć w społeczności lokalnej nie przez to – a na pewno nie tylko przez to – że są zamożni i wpływowi, ale dlatego, że to oni najbardziej troszczą się o swoje miasto, zmuszając radę i prezydenta do posłuchu. To oni dbają o każdą zabytkową bramę i ogrodzenie, pamiętają o historii regionu. Chcą mieć realne, a nie tylko statystyczne prawo wyboru czego potrzeba w mieście: nowego centrum kultury czy lepszej komunikacji publicznej.

Takie obywatelskie współdecydowanie jest oczywiście ryzykowne dla każdej władzy, ale niezbędne w świecie ludzi dobrze wykształconych i komunikujących się bezpośrednio z całym światem. Bez trudu dzisiaj ludzie podobnie myślący mogą szybko tworzyć wspólnotę interesu publicznego bez pośrednictwa innych.

Tak więc przed samorządem mojego miasta stoją nowe wyzwania. Ma on wspomagać rodzące się pomysły i śmiałe idee w mieście pracy i awangardy artystycznej, nauki i międzynarodowych kontaktów, a także w mieście społeczności wypracowanych emerytów. Jeśli chcą razem współdecydować, tym lepiej dla miasta. Samorząd ma być też „akuszerem" pomysłów i idei, a nie tylko władzą. W Warszawie to wciąż trudne, w Łodzi – mimo niełatwej wciąż przeszłości – już tak.

Naprzeciw takiemu pojmowaniu samorządu stoją jednak silne przeciwne prądy. To przede wszystkim globalizacja wyznaczająca jednolite standardy zarządzania i administracji ze względów technologicznych, informatycznych i komunikacyjnych. Również możliwość zasilania zasobów finansowych samorządu ze środków Unii Europejskiej, obok oczywistych korzyści, rodzi niebezpieczeństwo przeniesienia decyzji o kierunkach rozwoju na podmioty zewnętrzne względem Rady i Prezydenta.

Wracam na koniec do postawionego na wstępie pytania, czym jest samorząd miasta metropolitarnego. To bardzo ważne zagadnienie, ponieważ konieczne jest uwzględnianie szczególnych interesów dużych miast. Ustawa o metropoliach polskich powinna być jak najszybciej uchwalona, a subwencja ogólna musi być tu tak zbudowana, jak w pierwszych latach po jej wprowadzeniu. Wtedy, jak pamiętamy, kryteria przydzielania subwencji zależały przede wszystkim od liczby mieszkańców. Uwzględniały miastotwórcze i kulturotwórcze znaczenie metropolii.

Tylko nowoczesny samorząd jest w stanie podołać takim i podobnym wyzwaniom cywilizacyjnym. W nim też należy upatrywać szansy rozwojowej Łodzi. Bo nowoczesny samorząd to taki, który uwzględnia więzi łączące gminy wiejskie z miastem – czyli ich rzeczywistą bliskość w sensie komunikacji samochodowej. Duże miasto z kolei – to znaczne miejsca zakupów i rozrywki, w tym rozrywki kulturalnej.

Niewątpliwie ważną sprawą jest zmiana zasad reprezentacji samorządów dużych miast w Komisji Wspólnej do spraw Samorządu Terytorialnego. Duże miasta powinny mieć w niej o wiele znaczniejszy głos niż dotychczas.

Następna sprawa wiąże się z koniecznością zniesienia „janosikowego", czyli prawnie legitymizowanej praktyki zabierania wypracowanych dochodów gminom zamożniejszym – jeśli chodzi o ich potencjał fiskalny – i zasilania w ten sposób gmin uboższych. Ten system nie tylko niszczy znaczenie dochodów własnych, ale także podważa solidaryzm międzygminny.

I na koniec jeszcze o jednej ważnej sprawie. Trzeba wyraźniej zachęcać Regionalne Izby Obrachunkowe – instytucje, które powstały na podstawie mojego projektu i z których chciałam być dumna – do lepszego strzeżenia samodzielności finansowej gmin. Inaczej stracą nie tylko gminy i miasta, lecz także same te organy zaprzepaszczą swoją niepowtarzalną w polskim systemie prawnym pozycję. Jeśli więc zaczną coraz częściej sprzyjać ograniczaniu roli samorządu do pozycji administracyjnego tylko wykonawcy zadań budżetowych, to i one także przestaną być odbierane jako organy zasługujące na umieszczenie ich w Konstytucji. Zwykły nadzorca i kontroler nie potrzebuje zapewne miejsca w ustawie zasadniczej.

Oto garść rocznicowych refleksji i zapewne skromnych postulatów. Pewnie nie nadszedł jeszcze czas wielkich zmian.

Teresa Dębowska-Romanowska
– prof. dr hab. nauk prawnych. Kieruje Katedrą Prawa Finansowego UŁ. Sędzia Trybunału Konstytucyjnego w latach 1997-2006

Tekst jest skróconą wersją wystąpienia wygłoszonego na uroczystej sesji Rady Miejskiej 27 maja 2010 roku. Tytuły i śródtytuły pochodzą od redakcji.

Pierwsze wybory

Tak się zaczęło

Wybory do samorządu terytorialnego, które odbyły się w całym kraju 27 maja 1990 roku, przyniosły silne emocje związane z zarysowującymi się podziałami politycznymi w szerokim obozie „Solidarności" oraz zdecydowaną marginalizacją formacji postkomunistycznej. Po wyborach parlamentarnych 4 czerwca 1989 roku, w których Komitet Obywatelski przy Lechu Wałęsie tworzył jeszcze jednolitą listę, symbolizującą reprezentację wolnego społeczeństwa, wybory samorządowe stały się już prawdziwym kalejdoskopem świeżo wyzwolonego pluralizmu. Także w Łodzi do pierwszych wyborów samorządowych stanęło jednocześnie pięć dużych komitetów, mających jednolite bądź sfederowane struktury oraz ponad 20 mniejszych lub zupełnie niewielkich komitetów wyborczych, zarówno osiedlowych, jak i środowiskowych.

Trzeba przypomnieć, że już 5 marca 1989 roku powstało Łódzkie Porozumienie Obywatelskie, założone przez przedstawicieli takich między innymi ugrupowań, jak Klub Inteligencji Katolickiej, Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność" Uniwersytetu Łódzkiego, Konfederacja Polski Niepodległej, Łódzkie Towarzystwo Gospodarcze, Niezależny Związek Studentów, Ruch Młodej Polski, Ruch Wolnych Demokratów, Społeczny Komitet Pamięci im. Józefa Piłsudskiego. W wyborach czerwcowych 1989 roku przedstawiciele wytypowani przez ŁPO: adwokat Andrzej Kern i dr Stefan Niesiołowski weszli do Sejmu, a prof. Jerzy Dietl do Senatu, z listy Wojewódzkiego Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie.

W 1990 roku taki jednolitofrontowy mariaż po stronie „Solidarnościowej" był już niemożliwy. Do wyborów przystąpiły z własnymi listami tak duże komitety, jak: Łódzkie Porozumienie Obywatelskie (ŁPO), Łódzki Komitet Wyborczy przy Wojewódzkim Komitecie Obywatelskim (WKO), Ludowo-Narodowy Komitet Wyborczy, Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polskiej i Stronnictwo Demokratyczne oraz dużo mniejsze, jak: Komitet Środowisk Kobiecych, Ruch Wolnych Demokratów, Unia Polityki Realnej, Polska Partia Socjalistyczna, Centrum Demokratyczne '90. Wystartowało też osiem komitetów osiedlowych, trzy środowiskowe, a pięciu łodzian postanowiło walczyć o mandaty jako kandydaci niezależni.

Jak się okazało walka o mandaty miała rozegrać się głównie pomiędzy komitetami „Solidarnościowymi". Obydwa komitety (ŁPO i WKO) posługiwały się w kampanii wyborczej podobnymi symbolami i zbliżoną argumentacją programową. Na spotkaniach wyborczych kandydaci obydwu ugrupowań mówili o konieczności prywatyzacji mienia komunalnego, inwestycjach i modernizacji zabudowy śródmieścia, przywróceniu dawnych, przedpeerelowskich nazw ulicom Łodzi, poprawy komunikacji miejskiej. W programie ŁPO było więcej nawiązania do wartości chrześcijańskich, w programie WKO – przeważały treści pragmatyczne, ukierunkowane na przykład na wskazywanie podczas spotkań z wyborcami sposobów poprawy trudnej sytuacji miasta.

Zgodnie z ordynacją wyborczą, samorząd łódzki miał do obsadzenia 80 mandatów. Zdecydowane zwycięstwo odniosło ŁPO, zdobywając 50 mandatów. WKO zdobyło ich o wiele mniej, bo tylko 24. Pewnym zaskoczeniem było sześć mandatów, które przypadły SdRP. Podczas kiedy w innych okręgach partia ta, mająca świeży rodowód postkomunistyczny, przystępowała do wyborów pod szyldami różnych komitetów wyborczych, jej łódzcy działacze zdecydowali się na start w wyborach pod własną nazwą, zamieszczając nawet na plakacie hasło: *Nie bój się, głosuj na SdRP!* Prognozy sceptyków uważających, że partia ta nie ma szans w wyborach, nie sprawdziły się. Niska jednak okazała się frekwencja uczestnictwa w tych pierwszych łódzkich, samorządowych wyborach.

Efektowne zwycięstwo Łódzkiego Porozumienia Obywatelskiego było także zwycięstwem partii politycznych przystępujących do wyborów w ramach tego koalicyjnego komitetu. Najwięcej mandatów, bo aż 14, zdobyli członkowie Zjednoczenia Chrześcijańsko- Narodowego oraz Konfederacji Polski Niepodległej, którym przypadło 12 miejsc w Radzie Miejskiej. Stronnictwo Pracy zdobyło trzy mandaty, a Polska Partia Zielonych – dwa. Pozostałych 19 mandatów podzielili między siebie przedstawiciele różnych klubów i środowisk zawodowych, które przystąpiły do ŁPO. Byli to na przykład kandydaci zgłoszeni przez Izbę Lekarską czy też hobbyści z tak zwanej Archikonfraterni Literackiej. I chociaż przynajmniej jedna trzecia radnych zwycięskiego ugrupowania nie uważała się za polityków i nie miała takich ambicji także w przyszłości, to w rezultacie wyborczego zwycięstwa ŁPO znaleźli się w ściśle zdefiniowanej politycznej przestrzeni. *Zwycięstwo wyborcze Łódzkiego Porozumienia Obywatelskiego jest trudnym do przecenienia sukcesem centroprawicy* – pisał 31 maja 1990 roku w komentarzu tygodnika „Solidarność Ziemi Łódzkiej" redaktor naczelny czasopisma Stefan Niesiołowski, ówczesny poseł OKP i współzałożyciel Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego. – *(...) skład Rady Miejskiej gwarantuje stabilizację i możność realizowania programu ŁPO będącego szansą dla mia-*

WiMBP im. J. P. w Łodzi

sta. W wymiarze politycznym zwycięstwo to jest ważnym, kolejnym sygnałem, świadczącym o przesuwaniu się nastrojów na prawo, o odsuwaniu się wpływów lewicy na życie kraju.(...) Gratuluję wszystkim radnym i życzę szybkich efektów w pracy dla wspólnego dobra. Mieszkańcom mojego miasta bardzo dziękuję. Jak było do przewidzenia, liderzy ŁPO uznali zwycięstwo wyborcze ugrupowania za sygnał do przejęcia całkowitej władzy w mieście. Podczas pierwszej sesji nowo wybranej Rady Miejskiej potwierdziły się słowa Grzegorza Palki, przewodniczącego ZChN w Łodzi, że zwycięskie ugrupowanie postanowiło wziąć *całą władzę i całą odpowiedzialność w swoje ręce*. Przewodniczącym Rady Miejskiej został Andrzej Ostoja-Owsiany, działacz opozycji przedsierpniowej i lider Konfederacji Polski Niepodległej w Łodzi. Prezydentem został wybrany Grzegorz Palka, jeden z twórców łódzkiej „Solidarności" w 1980 roku i więzień polityczny stanu wojennego. Wiceprezydentami zostali zaś Euzebiusz Zawadzki, Elżbieta Hibner i Janusz Michaluk. Do Zarządu Miasta weszli wyłącznie kandydaci ŁPO: Andrzej Potapczyk, Jarosław Roliński i Mirosław Wieczorek. Podobnie też funkcje wiceprzewodniczących Rady Miejskiej objęli Zbigniew Klajnert, Michał Tosiek i Mieczysław Malczyk – wszyscy z ŁPO.

10671-A

Ta jednoznaczna powyborcza strategia ŁPO była zaskoczeniem dla radnych WKO, spodziewających się koalicyjnego podziału władzy wśród ugrupowań „solidarnościowych" i współpracy przy rozwiązywaniu trudnych problemów bardzo zaniedbanego miasta. W wydanym oświadczeniu wyrazili oni oburzenie, że koalicja ZChN i KPN zawłaszcza władzę w mieście, mimo iż jedna trzecia wyborców oddała swoje głosy na kandydatów WKO. Protest ten niczego nie zmienił, a strategia przyjęta przez ŁPO przyśpieszyła jedynie proces stopniowego upartyjniania ławy samorządowej. Oznaczało to w rezultacie stopniowe rozbijanie ugrupowań *stricte* samorządowych na kluby partyjne. Po powstaniu Unii Demokratycznej część radnych WKO utworzyła klub tej partii w Radzie Miejskiej. Z chwilą zaś powstania Kongresu Liberalno-Demokratycznego także ŁPO opuściła grupa zwolenników tej partii, którzy utworzyli Klub Radnych Liberałów. Stopniowe porzucanie idei pracy dla samorządu w oderwaniu od politycznej sceny i przechodzenie na pozycje partyjne, było procesem stałym i zapewne nieuchronnym tej pierwszej kadencji łódzkiego samorządu.

Pod koniec pierwszej kadencji ŁPO miało jeszcze 37 radnych, ale WKO już tylko sześciu radnych, którzy pozostali bezpartyjni. Wszystkie te czynniki wpływały na upolitycznienie Rady Miejskiej, wyznaczając także na przyszłość nie tylko strategię, ale i metodę sprawowania władzy w mieście. Oznaczało to w istocie realne odejście od pierwotnej idei Samorządnej Rzeczypospolitej, stanowiącej część programu I Zjazdu Solidarności z 1981 roku. Przypomnijmy, że teza 21 tego progra-

mu mówiła, *że samodzielne prawnie, organizacyjnie i majątkowo samorządy terytorialne muszą być r z e c z y w i s t ą r e p r e z e n t a c j ą s p o ł e c z n o ś c i l o k a l n e j.* Partie zaś jako organizacje ogólnokrajowe reprezentują przede wszystkim szerszy interes swoich wyborców, a już niekoniecznie partykularny interes społeczności lokalnej.

Ta pierwsza kadencja łódzkiego samorządu była ciekawą lekcją budowania autonomicznej reprezentacji lokalnego społeczeństwa. Była też początkiem nowego doświadczenia w realizowaniu prawa do demokracji, które przydało się zapewne radnym następnych kadencji.

Gustaw Romanowski

Wykorzystane teksty:

1. *Jak powstało Łódzkie Porozumienie Obywatelskie,* „Dziennik Łódzki" z 20 lutego 1990, nr 42/13029.
2. Stefan Niesiołowski, *Rada Miejska Łodzi,* „Solidarność Ziemi Łódzkiej" z 31 maja 1990, nr 8/69.
3. Małgorzata Niewiadomska-Cudak, *20 lat łódzkiego samorządu. Pięć elekcji – pięć kadencji 1990-2010,* Urząd Miasta Łodzi 2010.
4. Iwona Śledzińska-Katarasińska, Maria Sondej [red.], *Nasze 53 dni i dwa tygodnie 4 czerwca'89,* Łódź 2009.

Tworzymy perspektywy

Rozmowa z Tomaszem Kacprzakiem, przewodniczącym Rady Miejskiej

– Minęło 20 lat od pierwszych w pełni demokratycznych wyborów. Dorastał pan już w wolnej Polsce. Jaki był pana powód zaangażowania się w działalność samorządową?

– Skłoniła mnie chęć reagowania na rzeczywistość, z którą się nie zgadzałem, chęć wprowadzania zmian. Stykałem się z ludźmi krytykującymi pewne sprawy, wskazujących konkretne rozwiązania. Niestety, zwykłe chęci pozostawały wyłącznie w sferze teoretycznych rozważań. Postanowiłem zmieniać to, co mi się nie podobało.

Nie bez znaczenia było, że mój ojciec był radnym II kadencji Rady Miejskiej w Łodzi w latach 1994-98. Codziennością były więc dla mnie spotkania z osobami związanymi z samorządem, atmosfera działalności społecznej. To w dużym stopniu zdeterminowało moją przyszłą działalność społeczną. Pierwsze doświadczenia nabywałem w młodzieżówce Unii Demokratycznej. Kolejnym krokiem na tej drodze było członkostwo w Radzie Osiedla – najniższej stopniem jednostce samorządu. To ciało społeczne uważam za pierwszy stopień wtajemniczenia dla każdego samorządowca.

– W wyborach samorządowych w 2006 roku uzyskał pan najlepszy indywidualny wynik. Poparło pana blisko cztery tysiące łodzian. Co wpłynęło na tak dobry wynik? Czy było to pierwsze miejsce na liście wyborczej, czy może już wtedy miał pan dobry pomysł na Łódź?

Fot. archiwum Biura Rady Miejskiej

– Ten wynik to dla mnie ogromna satysfakcja, ale jednocześnie poczucie wielkiej odpowiedzialności. O przyczyny tak dużego poparcia należałoby zapytać tych, którzy na mnie głosowali. Starałem się pokazywać ludziom, że poza poszukiwaniem i definiowaniem problemów, można je także skutecznie rozwiązywać. Oczywiście jestem bardzo ciekawy oceny mojej pracy przez wyborców. Myślę że każdy polityk, każdy samorządowiec, powinien się poddawać takiej weryfikacji.

Cztery lata temu postawiłem na kampanię bezpośrednią i rozmowy z ludźmi. W czasie ubiegania się o mandat radnego odwiedziłem ponad dwa tysiące mieszkań, rozmawiałem z mieszkańcami na przystankach i na ulicach. Być może to przyczyniło się do tak dobrego wyniku.

– Co inspiruje pana do działalności społecznej?

– Inspiruje mnie miasto. Miasto o wyjątkowej przeszłości, o której w latach PRL-u tak niewiele mówiono. W Łodzi nie ma ulic fabrykantów, od Łodzi fabrykanckiej się uciekało, a Ziemia obiecana Władysława Reymonta była uważana za krytykę XIX wieku. Dzisiaj powieść jest inaczej odbierana, co po części zawdzięczamy ekranizacji Andrzeja Wajdy. To miasto, które ma złożoną, zagubioną duszę, i dla którego chciałbym kilka rzeczy zrobić.

– Jako jeden z ulubionych filmów wymienia pan „Ziemię Obiecaną". Jan Klata, adaptując dzieło Reymonta pozbawił je związku z miejscem, miastem, Łodzią. Czym dla pana jest „ziemia obiecana" – ta filmowa, powieściowa, czy współczesna, osobista?

„Ziemia obiecana" to miejsce, które pozwala nam realizować swoje pasje, gdzie można osiągnąć sukces. Istotą podejścia jednostki, jest rozłożenie akcentów pomiędzy sukcesem indywidualnym a jednoczesnym współtworzeniem sukcesu miasta czy całej społeczności. Pracując dla siebie można również pracować dla innych i odwrotnie. W okresie rozwoju Łodzi zdecydowanie przeważała chęć osiągnięcia osobistego dobrobytu. Mimo tego, na takim – wydawać by się mogło słabym – fundamencie powstało coś, czym dzisiaj się chwalimy. Mówimy o Łodzi czterokulturowej, Łodzi wspaniałych artystów i przedsiębiorców. To ogromna spuścizna, która dziś tworzy wizerunek i tożsamość miasta. Przedsiębiorcy, którzy – co naturalne w biznesie – zakładając swe fabryki i manufaktury chcieli zapewne przede wszystkim zarobić, zbudowali dzisiejszą Łódź. Jednocześnie należy pamiętać, że w Łodzi powstał pierwszy szpital pediatryczny, tu powstawały domy opieki nad starszymi i chorymi, budowano szpitale zarówno dla dzieci jak i robotników, wznoszono domy robotnicze o wysokim jak na ówczesne czasy standardzie. Dzisiaj są to wspaniałe zabytki – kompleksy Karola Scheiblera, Izraela Poznańskiego czy Ludwika Geyera tętnią dziś życiem, choć w zupełnie nowej formie.

– Jakie wyzwania stoją przed przewodniczącym Rady Miejskiej? Czy poza organizowaniem pracy i prowadzeniu obrad Rady Miejskiej, funkcja ta wiąże się ze szczególnymi obowiązkami, czy daje może lepszą perspektywę do oceny tego, co się w samorządzie dzieje?

– Ustawowy zakres obowiązków jest rozszerzony kompetencyjnie na mocy statutu. Dla przewodniczącego, który reprezentuje Radę Miejską, są to kompetencje czysto reprezentacyjne. Wiążą się z licznymi spotkaniami z łodzianami, co jest dla mnie najcenniejsze. Moja praca w 80 procentach opiera się na spotkaniach z ludźmi. Są to kontakty z mieszkańcami w ramach dyżuru radnego, z przedstawicielami organizacji pozarządowych, udział w uroczystościach szkolnych, państwowych czy samorządowych. Dzięki temu mam dostęp do informacji z pierwszej ręki, co pozwala mi na bieżąco weryfikować oczekiwania łodzian. Stąd wiele inicjatyw wdrażanych za pośrednictwem Rady, to właśnie realizacje sugestii łodzian.

– W wyborach samorządowych w 2006 roku, za sprawą nowej ordynacji wyborczej, wzmocniły swoją pozycję duże partie. Eksperci uważają, że to zjawisko sprzyja upolitycznieniu samorządu. Jakie według pana jest rzeczywiste przełożenie między polityką a pracą samorządową?

– Nie zgadzam się ze stwierdzeniem, że ordynacja wyborcza promowała wyłącznie duże ugrupowania. Byłem i jestem przeciwnikiem blokowania list wyborczych. Uważam to za niedobre rozwiązanie, ponieważ nie zakłada ono równości wszystkich kandydatów. Blokowanie list wyborczych ułatwia działanie „zblokowanym"; przy większej liczbie kandydatów, suma głosów faktycznie może deformować wyniki wyborów. Uważam że obecna ordynacja wyborcza – listy wyborcze, proporcjonalne wybory do samorządu – jest dobrym rozwiązaniem. Pozwala na reprezentację różnych grup łodzian w Radzie Miejskiej.

Rada jest upolityczniona w takim samym stopniu, jak każde inne gremium zarządzające. Infrastruktura wodociągowo-kanalizacyjna czy komunikacja miejska nie mają barw politycznych, i w takich dziedzinach nie ma miejsca na ideologię. Partia polityczna, stowarzyszenie czy fundacja, która głosi określony program związany z zarządzaniem miastem, uprawia politykę. Również grupa mieszkańców posiadająca swój program działania, już tworzy politykę.

– Czego brakuje w samorządzie najbardziej?

Myślę że każdemu – w tym i naszemu – samorządowi zazwyczaj brakuje pieniędzy. Sygnalizowanych nam potrzeb jest mnóstwo, jednak ze względu na

ograniczony, określony budżet nie jesteśmy w stanie na nie wszystkie odpowiedzieć. Należy także pamiętać, że pożyczki są rozwiązaniem tylko w pewnym zakresie, a zadłużenie miasta musi być utrzymane na odpowiedzialnym, bezpiecznym poziomie.

– Czy nie odczuwa pan niedosytu władzy uchwałodawczej Rady Miejskiej?

– Zakres kompetencji władzy uchwałodawczej jest dobrze określony. Bardzo duże znaczenie mają w tym przypadku relacje pomiędzy władzą uchwałodawczą a wykonawczą, nie zależą więc jedynie od kompetencji. Relacje to kwestia osobowości ludzi – jeżeli pracujemy z wolą zgody i współpracy, to współdziałanie władz uchwałodawczych i wykonawczych w samorządzie jest sprawne i efektywne. Przy braku dobrej woli, żadne kompetencje nie są w stanie zagwarantować skutecznego sprawowania władzy.

– W ramach pracy współdziała pan z Komisją Finansów, Budżetu i Polityki Finansowej oraz Komisją Ładu Społeczno-Prawnego. Jakie dostrzega pan obecnie największe wyzwania dla tych komisji?

– Wiele planowanych wcześniej zadań musi ulec korekcie. Wprowadzono bardzo duże zmiany w Wieloletnich Planach Inwestycyjnych. Zrezygnowaliśmy z inwestycji, które nie wyszły jeszcze poza ramy koncepcji. Poprzedni prezydent – Jerzy Kropiwnicki, był człowiekiem wielkich wizji. Szereg zadań w projektach budżetu miasta ujmowano, jednak niestety często ich nie realizowano na skutek braków finansowych. Nie można mieć więc pretensji do byłego prezydenta, że ich nie realizował. Można mieć jednak pretensje, że obiecywał to, wiedząc, że miasta nie stać na realizację tych pomysłów.

Priorytetowym zadaniem Komisji Ładu Społeczno-Prawnego jest kwestia pozbycia się z naszego miasta tak zwanych „dopalaczy". Ponadto komisja pracuje nad poprawą bezpieczeństwa, którego Łódź potrzebuje, aby mogła się dobrze rozwijać. To ważne zarówno dla rozwoju turystyki, przedsiębiorczości, jak i codziennego, rodzinnego życia. Bezpieczeństwo to przy wyborze miejsca zamieszkania priorytet. Bez gwarancji swobodnego, spokojnego życia i pracy w Łodzi, miasto nie będzie się rozwijało.

– Jakie działania są podejmowane w tym zakresie?

– Z inicjatywy radnych miasto kupiło ostatnio dla policji budynek z przeznaczeniem na I Komisariat Policji Łódź-Śródmieście. Warunki panujące na komisariacie w obecnej lokalizacji są zdecydowanie złe. Chcemy pomóc zapewnić odpowied-

nie warunki pracy, które w przeciwieństwie do obecnych będą do pracy motywowały. Obecnie jest niechlubną wizytówką miasta. Trwają prace nad programem monitoringu w centrum Łodzi. Przekazaliśmy także znaczne środki finansowe na uruchomienie dodatkowych patroli policji. Dzięki temu, przy wsparciu ze strony samorządu, w mieście będzie bezpieczniej. Ten proces łodzianie już odczuwają, a jest to dopiero początek działań.

– Czy łódzka Straż Miejska także zostanie zaangażowana w te działania?

– Pilnie należy uporządkować zjawisko nielegalnego, pudełkowego handlu. Chciałbym także, aby SM miała charakter miejskiej policji, wspierającej ochronę bezpieczeństwa mieszkańców. Same patrole prewencyjne – regularnie pojawiające się na osiedlach – potrafią w dużym stopniu zredukować działania chuligańskie.

– W trakcie pana kadencji rozwinął się w Łodzi ruch inicjatyw obywatelskich. Jak ocenia pan tą działalność oraz współpracę na poziomie samorząd – ruch obywatelski?

Cieszy, że łodzianie chcą decydować o swoim mieście. Do Rady Miejskiej wpływa wiele petycji z konkretnymi pomysłami. Przedstawiciele organizacji trzeciego sektora spotykają się z radnymi na dyżurach, uczestniczą w pracach komisji. Doradzają między innymi w kwestiach związanych z zagospodarowaniem przestrzennym czy ochroną łódzkich zabytków. Stanowi to ogromną pomoc dla radnych, którzy nie są omnibusami, a przychodzą do nas niejednokrotnie prawdziwi specjaliści. Ta fachowa wiedza jest dla nas bardzo cenna i często z niej korzystamy. Cieszy rozwój społeczeństwa obywatelskiego, wzrost liczby osób, które interesuje nie tylko to co dzieje się dzieje u nich w domu, ale i obok niego, na ulicy, w bliższym i dalszym otoczeniu. Dzięki temu zaczynamy bardziej dbać o miasto i traktować przestrzeń publiczną jak wspólną, a nie niczyją. Postawa roszczeniowa jest wypierana przez otwarte działanie. Budujący jest także fakt, że łodzianie chcą głosować. Nie pozostawiamy najważniejszych decyzji o tym jak ma wyglądać nasze miasto innym osobom.

Są to bardzo pozytywne zmiany i spodziewam się, że w przyszłości inicjatywy obywatelskie będą jeszcze bardziej intensywne.

– Średnia wieku radnych obecnej kadencji jest wyjątkowo niska – to 40 lat. W ciągu ostatnich trzech lat dyskutowano o takich projektach jak Atlas Arena czy Specjalna Strefa Sztuki. Czy te odważne i wizjonerskie projekty to efekt młodej, nowej siły w ławach Rady? Które z projektów uważa pan za szczególnie istotne?

– Najważniejszym przedsięwzięciem, który spowoduje rozwój Łodzi i będzie oddziaływało przez kolejnych kilkadziesiąt lat, jest budowa przebiegającej przez Łódź kolei dużych prędkości. Rozpoczęcie inwestycji planowane jest na lata 2018-20. Zanim to jednak nastąpi, musi powstać podziemny dworzec Łódź Fabryczna. Jest to najważniejsza dzisiaj inwestycja – bez podziemnego dworca, bez tunelu łączącego dworce Kaliski i Fabryczny, Łódź straci szansę rozwoju. Przyszłością miasta są również skrzyżowania autostrad A1 i A2 oraz dróg szybkiego ruchu S8 i S14. Te ogromne przedsięwzięcia spowodują, że Łódź stanie się atrakcyjnym miejscem inwestycji. Nowoczesny obiekt, jakim jest Atlas Arena, już pozwala w Łodzi organizować imprezy sportowe i kulturalne dużego formatu. Planowane są kolejne inwestycje hotelowe. Budujemy Nowe Centrum Łodzi, którego jądro stanowić będzie podziemny dworzec. Dzięki Centrum wokół dworca zwolni się kilkadziesiąt hektarów bardzo atrakcyjnej przestrzeni. Wybudujemy Specjalną Strefę Sztuki, architektonicznie ogromną i ciekawą bryłę, która stanie się kolejnym symbolem Łodzi. Powstaną rynki Kobro i Strzemińskiego, będziemy spacerować ulicami Polską, Żydowską, Niemiecką i Rosyjską w okolicy zrewitalizowanej elektrociepłowni EC1. To doskonały pomysł na fuzję sztuki i biznesu. Mam nadzieję, że już w 2016 roku będziemy Europejską Stolicą Kultury. Są to wielkie wyzwania, a ich realizacja sprowadzi do Łodzi inwestycje, kapitał i pozwolą się nam rozwijać przez kolejne dziesięciolecia.

– Był pan zaangażowany w dyskusje o przyszłości festiwalu Camerimage oraz plany powstania Camerimage Łódź Center. Co było istotą sporu?

– Festiwal Plus Camerimage jest imprezą kulturalną światowej rangi, stworzoną przez pana Marka Żydowicza. Imprezą, którą wszyscy radni – bez względu na barwy polityczne – wspierali i chcieli wspierać. Zgodnie z umową pomiędzy miastem a panem Żydowiczem i Fundacją Tumult, przeznaczyliśmy w tym roku półtora miliona złotych na organizację festiwalu. Miasto wywiązało się więc ze swoich zobowiązań. Niestety, pan Marek Żydowicz zupełnie niepotrzebnie zaczął łączyć festiwal Plus Camerimage z budową Camerimage Łódź Center. Inwestycją, która z festiwalem Camerimage ma wspólną tylko część nazwy. CŁC – centrum kongresowe, którego koncepcję opracował Franka Gehry, to inwestycja zdecydowanie wizjonerska. Jednocześnie bardzo źle przygotowana. Do realizacji CŁC powołano spółkę, której prezesem został Marek Żydowicz. Miasto przeznaczyło spółce pięć milionów złotych na koncepcję architektoniczną, którą zakupiono i która została oficjalnie przedstawiona. Poza finansowym wkładem miasta, spółka nie tylko nie dysponowała żadnymi innymi pieniędzmi, ale nie miała także pomysłu na to skąd środki pozyskać. Radnym nie przedstawiono biznesplanu inwestycji. Mówiono jedynie o szacunkowych kosztach, które nie były niczym udokumentowane. To ponad 40 milionów złotych na projekt budowla-

ny, przy czym realizacja inwestycji to ponad 450 milionów złotych. Łódź na Nowe Centrum wyda ponad sześćset milionów złotych z budżetu miasta i nie ma kolejnych pięciuset, aby wybudować centrum kongresowe.

Mam żal do pana Marka Żydowicza i do poprzednich władz miasta, że nie przedstawiono nam żadnego biznesplanu, żadnego kosztorysu tej inwestycji, który uwzględniałby nie tylko koszty budowy, ale także utrzymania tego budynku. Dzisiaj wiemy, jak ogromne są koszty utrzymania Atlas Areny, jednak przed podjęciem decyzji o budowie hali posiadaliśmy wiedzę na ten temat. Bieżąca eksploatacja i administracja potrafi generować bardzo wysokie koszty, na których pokrycie także trzeba mieć pomysł. Nie przedstawiono nam biznesplanu, który mówiłby o tym ile i jakiego formatu imprez trzeba byłoby zorganizować, aby budynek Centrum Festiwalowego nie tyle się zwrócił, ale ile by generował dodatkowych wydatków dla miasta. Pomysł organizowania w CŁC festiwalu był świetny, jednak festiwal trwa tydzień, a mamy jeszcze ponad 50 tygodni w roku, kiedy budynek powinien pracować.

– Co oznaczać będzie dla Łodzi zdobycie tytułu ESK 2016?

– To wielka zaleta promocyjna, ale także szansa dla mieszkańców by uwierzyć w Łódź. Wydaje mi się, że my sami nie wierzymy, że miasto może być piękne i być liderem w konkretnych dziedzinach. Zawsze ktoś nas wyprzedzał – byliśmy drugim, teraz jesteśmy trzecim co do wielkości miastem. Mamy pewien kompleks – będąc dużą metropolią, nie ma dla nas miejsca w pierwszej lidze. Mam nadzieję, że uzyskując ten tytuł łodzianie uwierzą, że Łódź naprawdę jest w czołówce polskich miast.

– Co uważa pan za największy sukces i największą porażkę obecnej kadencji Rady Miejskiej?

– Łodzianie sami ocenią kadencję tego samorządu i do nich należałoby skierować to pytanie. Sukcesem jest realizowany program budowy i modernizacji systemu wodociągowo-kanalizacjnego, a także skuteczność w pozyskiwaniu środków unijnych. Dużym sukcesem jest zainteresowanie łodzian pracami samorządu. Za porażkę muszę uznać fakt, że władzom miasta – zarówno Radzie Miejskiej jak i prezydentowi Kropiwnickiemu – nie udało się znaleźć porozumienia w działaniu na rzecz Łodzi. Brak współpracy został przez łodzian osądzony odwołaniem prezydenta za złe zarządzanie miastem. Uważam to doświadczenie za niepowodzenie całego samorządu.

– Na ile sama Rada kreuje działania podejmowane w mieście? Czy nie jest zbyt pasywna wobec działań urzędników?

– Radni wielokrotnie podejmowali realizowane później przez prezydenta inicjatywy. Taki jest podział roli – Rada podejmuje uchwały, a prezydent je wykonuje. To radni zaproponowali przejęcie od słoweńskiej spółki udziałów w Aquaparku Fala. Pomysłem radnych było wydłużenie czasu ważności biletów MPK w czasie prac drogowych. Radni zaproponowali projekt dotyczący zwolnień od podatku od nieruchomości inwestorów budujących w Łodzi parkingi wielopoziomowe. Wdrażanie tych pomysłów to już zadanie prezydenta miasta. Wola współpracy pomiędzy prezydentem i radnymi jest tu niezbędna. Doświadczaliśmy w tej kadencji wielokrotnie niechęci prezydenta miasta w stosunku do realizacji uchwał Rady. Dystans władzy wobec jej działań, brak stałego dialogu z mieszkańcami, mogą grozić odwołaniem. Przykład prezydenta Kropiwnickiego przypomniał samorządowcom, że władza to służba, a nie przywilej.

– Jaka powinna być właściwa relacja pomiędzy opozycją a koalicją rządzącą?

W Radzie Miejskiej trudno mówić o opozycji i frakcji rządzącej ponieważ kompetencje prezydenta miasta są bardzo duże, i właściwie nie zależą od większości w Radzie. W zakresie podejmowania uchwał i pracy radnych, mimo sporów politycznych, ideologicznych czy sporów dotyczących konkretnych rozwiązań w mieście, relacje między radnymi są dobre. Mamy w tej chwili trzy kluby radnych: Platformy Obywatelskiej, Prawa i Sprawiedliwości i Lewicy, które mimo różniących je poglądów, potrafią ze sobą rozmawiać. Wszystkie kluby są reprezentowane w prezydium oraz komisjach Rady, nie ma tutaj miejsca na zawiść polityczną ani personalne ataki. Możemy się różnić, ważne aby i opozycja i rządzący wzajemnie się szanowali – ostatecznie jedni i drudzy zostali wybrani przez łodzian.

– Co pana najbardziej fascynuje, a co irytuje w Łodzi?

– Łódź ma fascynującą historię i architekturę. Architekturę, która powoli wraca do dawnego blasku. Najbardziej jednak fascynują mnie ludzie. Łódź na drodze swoich dziejów stworzyła mieszkańców, którzy są ludźmi bardzo otwartymi, potrafiącymi realizować swoje pasje, ludźmi odważnymi. Łodzianie mieszkający w innych miastach naprawdę się wyróżniają: bezpośredniością, zapałem i dużą pracowitością.

Natomiast najbardziej irytujący jest fakt, że przez lata urzędnicy i radni nie potrafili powstrzymać wyburzania łódzkich zabytków. Zaczęło się to od fabryki „Norbelany" na Żeromskiego, która mogła stanowić bazę dla nowoczesnych loftów. Później znikały kolejne zakłady, fabryki, pałace czy strażnica straży pożarnej przy ulicy Sienkiewicza. Jeżeli pozwolimy na zagładę fabrycznej tkanki miasta, jednocześnie pozbawimy się naszej atrakcyjnej specyfiki, staniemy się miastem jak każde inne.

– Czy radni mają wspólną wizję przyszłości Łodzi?

– Chcemy, żeby Łódź była miastem nowoczesnych technologii, by odchodzić od charakteru przemysłowego na rzecz miasta akademickiego, kulturowego, nowoczesnego. W Łodzi studiuje ponad 120 tysięcy osób, a obecne władze miasta to dostrzegają i zaczynają wykorzystywać. Także jako radni, niezależnie od przynależności klubowej, wspieramy wszelkie działania dla promowania Łodzi jako miasta akademickiego. Zachęcamy młodych nie tylko do studiowania w Łodzi, ale przede wszystkim do wiązania z nią swojej przyszłości. Tworzymy perspektywy dla młodych. Stajemy się miastem, w którym warto mieszkać.

rozmawiała Barbara Gortat

Tomasz Kacprzak – radny Rady Miejskiej od 2006 roku i Przewodniczący Rady Miejskiej w Łodzi od 2007 roku, Członek Klubu Radnych Platformy Obywatelskiej. Współpracuje z komisjami: Finansów, Budżetu i Polityki Podatkowej, Ładu Społeczno-Prawnego oraz Rewizyjną.
W latach 1993–94 należał do Forum Młodych Unii Demokratycznej. W latach 1994–2008 był członkiem Stowarzyszenia „Młodzi Demokraci". W 1998 roku tworzył Stowarzyszenie „Unia Studentów" (przekształcone później w Stowarzyszenie „Forum Studentów").
W latach 1996-2001 należał do Unii Wolności, następnie do Platformy Obywatelskiej. Od 2005 roku wiceprzewodniczący PO w Łodzi, od 2006 roku zasiada w radzie krajowej partii.
Urodził się w 1978 roku Ukończył studia prawnicze na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Łódzkiego. Od 2007 roku jest doktorantem w Zakładzie Prawa Konstytucyjnego Porównawczego UŁ.
W latach 2000-2002 był członkiem Rady Osiedla Karolew-Retkinia Wschód, w której w 2001 pełnił funkcję wiceprzewodniczącego zarządu osiedla. Jako kandydat PO w wyborach samorządowych w 2006 roku zdobył najwięcej głosów spośród wszystkich kandydatów i został wybrany radnym Rady Miejskiej w Łodzi. Pełnił funkcję wiceprzewodniczącego tej rady, a 5 grudnia 2007 roku, w związku z wyborem do senatu Macieja Grubskiego, wybrany jej przewodniczącym.
Od 2007 roku jest sekretarzem Wojewódzkiej Rady Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego.

W Łodzi fascynują mnie ludzie...

Rozmowa z Krzysztofem Piątkowskim, wiceprzewodniczącym Rady Miejskiej

– Mija właśnie 20 lat od czasu pierwszych w pełni demokratycznych wyborów samorządowych po upadku komunizmu w Polsce. Jako młody człowiek wkraczał pan wtedy w dorosłość. Co pan zapamiętał z okresu przełomu ustrojowego i czy wpłynęło to w jakiś sposób na zainteresowanie się działalnością publiczną?

– Studiowałem wtedy historię, interesując się okresem międzywojennym. Kiedy zbiera się informacje na temat najważniejszych ówczesnych stronnictw politycznych – bo pisałem pracę magisterską porównując Stronnictwo Narodowe z Obozem Zjednoczenia Narodowego, a to bezsprzecznie dwie najpoważniejsze ówczesne siły polityczne – to nie sposób jest nie zetknąć się z polityką. Chociaż minęło kilkadziesiąt lat, zmieniła się cała epoka, nastąpił nowy wiek, to tak naprawdę ludzie są tacy sami, politycy postępują podobnie. Przy okazji też naprawdę wiele dowiedziałem się o politycznych i samorządowych doświadczeniach związanych z Łodzią. Były to jednak obserwacje człowieka, który chciał być historykiem. Początek lat 90. i pierwsze demokratyczne doświadczenia. Pamiętałem jeszcze, co się działo przed rokiem 89., pamiętałem stan wojenny, strajki, wszystkie złe rzeczy związane z PRL-em. Jednocześnie zaczął się nowy okres w naszej historii, zaczęły się pierwsze doświadczenia z demokracją, Okrągły Stół, potem pierwsze wybory, pierwsze doświadczenia z reformą samorządową itd. W związku z tym w naturalny sposób zainteresowania polityczne już wtedy się pojawiły, ale tak naprawdę po studiach przez liczne lata zajmo-

wałem się przede wszystkim pracą zawodową i nie przyszło mi do głowy, że polityka, czy działalność samorządowa, to jest rzeczywiście to, co powinienem robić. W pewnym momencie osiągnąwszy stabilizację, pewne doświadczenie, a można nawet powiedzieć sukces w pracy zawodowej, pomyślałem, że można byłoby zrobić coś nowego i może sprawdzić się jakiejś innej dziedzinie. I w naturalny sposób zdecydowałem się kandydować do Rady Miejskiej. To było już ponad trzy lata temu, ale nie miałem żadnych innych motywacji. Myślałem, że to jest jakieś nowe wyzwanie, jakaś szansa na innego typu rozwój, że może uda mi się wykorzystać moje doświadczenia w pracy zawodowej. Że może poznam nowych ludzi, może zrobię coś nadzwyczajnie pożytecznego dla większej społeczności.

– Startował pan jednak z listy partii politycznej Prawa i Sprawiedliwości.

– Tak, dlatego że mam określone poglądy, zainteresowania, pewne rzeczy są dla mnie ważne, a Prawo i Sprawiedliwość jest formacją najbliższą moim odczuciom. Od samego początku moich doświadczeń samorządowych uważałem, że chcę być przede wszystkim samorządowcem, a mniej politykiem. Dzisiaj już tak się nie odżegnuję od tych politycznych związków. Wiele osób wciąż uważa jednak, że jestem bardziej społecznikiem niż politykiem, to miło – świadczy o tym, że ludzie dostrzegają te moje priorytety. Należy jednak pamiętać, że ze względu na ordynację wyborczą i kulturę podejmowania decyzji przez wyborców oraz fakt, że od pewnego czasu tak naprawdę w Łodzi nie sposób jest zostać radnym spoza formacji politycznej, kandydaci na radnych startujący z list partyjnych mają największą szansę na wybór.

– Zdobył pan w swoim okręgu wyborczym blisko trzy tysiące głosów – co stanowiło ponad 10 procent wszystkich głosów oddanych w wyborach do Rady Miasta. To doskonały wynik.

– To był w ogóle najlepszy wynik wszystkich kandydatów startujących z listy Prawa i Sprawiedliwości. Do dziś nie wiem, dlaczego tak się stało. Tym bardziej, że okręg wyborczy Teofilów i Radogoszcz nie był okręgiem, który specjaliści w tej dziedzinie kojarzyli jako teren, gdzie kandydaci Prawa i Sprawiedliwości zdobywali jakieś szczególne poparcie. To raczej okręg z większością elektoratu lewicowego. A więc to było zadziwiające. Starałem się prowadzić trzy lata temu bardzo aktywną kampanię wyborczą. Może dlatego, że ja całe życie, również w pracy zawodowej, do wszystkich zadań podchodziłem bardzo ambitnie i starałem się dać z siebie wszystko.

– Wybory z 12 listopada 2006 roku cieszyły się niewielkim zainteresowaniem mieszkańców naszego miasta. Frekwencja w pierw-

szej turze wyniosła 36,7 procent, w drugiej była jeszcze niższa. Czy łodzianie nie interesują się sprawami samorządowymi?

– Frekwencja jest oczywiście jedną z tych informacji, na podstawie których moglibyśmy wyciągać wnioski na temat zainteresowania mieszkańców Łodzi sprawami samorządowymi, ale nie wyłącznie. Ważne jest też to czym się kierują mieszkańcy, podejmując decyzje wyborcze. Czy znają swoich kandydatów, czy dla nich ma jakieś znaczenie, co ta osoba robiła przez ostatnie cztery lata? Czy być może próbują w ten sposób jakoś swoich radnych rozliczać, czy mają kontakt z tymi radnymi przez cztery lata przed wyborami, czy interesują się i obserwują to, co się dzieje w mieście? I wreszcie, czy w ogóle kiedykolwiek angażowali się w sprawy dotyczące miasta? W tej sferze trochę Łódź się jednak zmienia, bo coraz więcej mieszkańców włącza się w ten proces, włącza się we współodpowiedzialność za miasto. Jest przecież coraz więcej organizacji pozarządowych, które aktywnie kontaktują się z radnymi Rady Miejskiej, coraz więcej ludzi przychodzi i angażuje się w różne inicjatywy. To jest nadal kropla w morzu, ale jednak jakieś zmiany przez te cztery ostatnie lata wyraźnie dostrzegam. Dobrze byłoby oczywiście, żeby frekwencja była bardzo duża, ale czasami wolałbym, żeby ci którzy rzeczywiście idą, wiedzą po co tam idą, nie tylko z poczucia obowiązku, ale z pełną świadomością kogo wybierają. Moim zdaniem byłoby to najlepsze dla naszego miasta.

– Łódź jest miastem na prawach powiatu – tak zwanym powiatem grodzkim. Oznacza to, że Rada Miejska w Łodzi ma specjalne kompetencje. Które z nich uważa Pan za szczególnie ważne dla łodzian?

– W takim mieście jak Łódź – z owymi podwojonymi kompetencjami gminy i powiatu – samorząd wydaje się być największą i najważniejszą władzą. Powinniśmy pamiętać, że w ogóle samorządy dostarczają chyba ponad 95 procent wszystkich publicznych usług swoim mieszkańcom. Czasami nawet zadziwia mnie dlaczego inne wybory, do Sejmu, czy wybory prezydenta RP, mieszkańcom miast i gmin wydają się ważniejsze, bo powinno być akurat odwrotnie. Większość spraw publicznych, która dotyczy mieszkańców miast i gmin leży w kompetencjach radnych oraz prezydentów, wójtów i burmistrzów, których wybierają co cztery lata. Bardzo ważną rzeczą, która dotyczy chyba wszystkich mieszkańców, jest edukacja. Tutaj w części tylko zależy od gmin, dlatego że szkoły w większości utrzymywane są z subwencji przyznawanych samorządom, ale jednak organem prowadzącym większości łódzkich szkół jest Urząd Miasta w Łodzi. Ale chyba nie mniej ważną rzeczą jest stan dróg, infrastruktura, a więc to czy mamy czym dojechać do pracy, w jakich warunkach, po jakich drogach jeździmy, po jakich chodnikach chodzimy. Czy mamy wodę, jaką mamy wodę, czy mamy kanalizację. To wszystko jest oczywiście bardzo ważne i to wszystko zależy od miasta.

– Układ sił politycznych w ostatniej, powoli dobiegającej końca kadencji, był dosyć skomplikowany. Kilkakrotnie zmieniały się koalicje. Jak pan ocenia tę kadencję Rady Miejskiej?

– Podobno jest to niezwykła i nietypowa Rada, dlatego że ponad trzy lata temu radnymi – w przeważającej części – zostały osoby, które wcześniej radnymi nie były. Chciałem przypomnieć, że spośród samorządowców związanych z PO i PiS w Radzie Miejskiej poprzedniej kadencji była tyko jedna osoba – Bożenna Krasnodębska startująca z listy PiS. Okoliczności były dość nietypowe – w żadnym innym mieście podobna sytuacja się nie zdarzyła. Zatem te dwa najważniejsze kluby – na początku kadencji było to 16 radnych PO i 14 radnych PiS – składały się z osób w ogóle niedoświadczonych, z trzema wyjątkami (w PO radny Witold Skrzydlewski i przewodniczący – dzisiaj senator – Maciej Grubski, w naszym klubie Anna Lucińska). Z wyjątkiem tych osób pozostałe nigdy nie były radnymi. W Radzie Miejskiej panowała pewna świeżość, duży zapał do pracy. Stała się nadzwyczajnie aktywna, polemiczna, chociaż radni – inaczej niż pewnie w poprzedniej kadencji – nie mieli doświadczeń w kontaktach z bardzo ambitnym i stanowczym prezydentem Jerzym Kropiwnickim, czasami nieznoszącym sprzeciwu. Ta Rada jest zapewnie najlepiej wykształcona z dotychczasowych, bo niewiele w niej osób z innym niż wyższe wykształcenie. Prezydent Kropiwnicki był prezydentem już kolejną kadencję, mógł liczyć przede wszystkim na poparcie radnych ŁPO, których było tylko dwóch. Ponieważ w 2006 roku kandydował z listy PiS – w związku z tym w naturalny sposób miał także wśród tych radnych pewne zaplecze – ale członkowie PiS porozumieli się, że będą współpracować z PO w Radzie Miejskiej. Nie przeciw prezydentowi, tylko po prostu po to, żeby móc skutecznie podejmować decyzje. Porozumienie było czymś naturalnym, bo nasze kluby były bardzo do siebie podobne, złożone z zupełnie nowych radnych. Polityki jednak w tej kadencji było bardzo wiele, często zdarzało się, że spieraliśmy się o takie sprawy, o które wydawało się nie powinniśmy się spierać. Nie popieraliśmy projektów, które tak naprawdę nie powinny być polityczne, krytykowaliśmy się po to, żeby się różnić, po to żeby ze sobą polemizować. Często powtarzałem, że ulice, drogi i chodniki nie są ani czerwone, ani czarne, tylko są po prostu samorządowe, miejskie, łódzkie i należy się nimi zajmować. Proponowałem różne rozwiązania ponad podziałami, a pod projektami, które przygotowywałem, podpisywali się radni wszystkich opcji politycznych. Sam też popierałem dobre pomysły innych radnych. Nie mam pewności czy wcześniej było dużo lepiej, ale zdecydowanie w ciągu tych ostatnich lat w naszym samorządzie takich inicjatyw dla miasta, ponadpartyjnych, było zdecydowanie za mało, i na tym miasto na pewno cierpiało. Niełatwo było się też porozumieć z prezydentem Jerzym Kropiwnickim, który miał trudny charakter, nie zawsze liczył się z opinią radnych, wywołując pewne emocje, niepotrzebne spory i kontrowersje. Zle się stało, bo to niezwykły człowiek z dużymi możliwościami i ogrom-

nym doświadczeniem – człowiek, który mógł służyć naszemu miastu jeszcze przez wiele kolejnych lat. Ale stało się tak, jak się stało. Mieszkańcom ten styl uprawiania polityki przez prezydenta sprawującego urząd się nie spodobał. W efekcie mieliśmy styczniowe referendum. I mamy okres przejściowy. Funkcję Prezydenta Miasta pełni Tomasz Sadzyński. I mam wrażenie, że już się nic nie wydarzy, aż do wyborów na jesieni 2010 roku.

– Jako wiceprzewodniczący Rady Miejskiej współdziałał pan z komisjami: Gospodarki Mieszkaniowej i Komunalnej, Komisją Ochrony Środowiska, Komisją Edukacji oraz Komisją Statutową? Proszę przede wszystkim wytłumaczyć, co oznacza forma „współdziałania z komisją"?

– Dotykamy sprawy, która w moim rozumieniu nie działa prawidłowo w naszym łódzkim samorządzie. Przewodniczący – członkowie tak zwanego Prezydium Rady Miejskiej – czyli przewodniczący i wiceprzewodniczący, nie są członkami komisji, zatem nie mogą głosować na jej posiedzeniach, i to jest moim zdaniem źle i należy to poprawić w przyszłości. Pomyślano tak dlatego, że członkowie tak zwanego Prezydium Rady Miejskiej mają bardzo wiele innych obowiązków niezwiązanych bezpośrednio z udziałem w pracach komisji. Uczestniczą w nich, ale jednocześnie reprezentują Radę Miejska na zewnątrz. Mają nieporównywalnie więcej obowiązków od innych radnych i po to, żeby nie byli zmuszeni do udziału w pracy komisji ustalono, że nie są członkami komisji. Statut przewiduje, że tylko członek komisji może brać udział w głosowaniu. I to nie jest dobrze, bo ja się czuję w niektórych sytuacjach radnym drugiej kategorii – bywam na posiedzeniu komisji, mam swój pogląd, swoje zdanie, mógłbym je wyrazić, głosując za lub przeciw – nie mogę jednak, ponieważ jestem wiceprzewodniczącym Rady Miejskiej. To jest błąd, który należałoby z całą pewnością naprawić w następnej kadencji. Kiedy zostałem wiceprzewodniczącym Rady Miejskiej to mówiono o tym, że „współpracuję z komisją", „nadzoruję komisję". To nie jest do końca prawda, bo radni są suwerenni, nie można im niczego narzucać, ani wydawać jakiekolwiek dyspozycje.

– Pana akcja „nie bierz folii w sklepie" wywołała niemal ogólnopolską dyskusję na temat ochrony środowiska. Czy propagowanie ekologii to efekt pana zainteresowań związanych ze współdziałaniem z Komisją Ochrony Środowiska RM w Łodzi?

– Ochrona środowiska to bardzo ważna dziedzina zarządzania miastem. Ekologia to jest pojęcie dużo szersze, oznacza pewien styl życia, w czasie tej głośnej w całej Polsce akcji trochę jednak edukowaliśmy społeczeństwo, a edukacja przy pomocy tego projektu znacznie przekroczyła granicę zainteresowań Komisji Ochro-

ny Środowiska. Na co dzień komisja ochrony środowiska zajmuje się tak naprawdę opiniowaniem wielu spraw związanych z rzeczywistą ochroną tego, co dzieje się w naszym mieście; łódzkich lasów, rzek, łąk, powietrza itd. Tam są bardzo ważne sprawy na styku inwestycji, zagrożeń dla łódzkiego środowiska i ochrony przyrody, bo jesteśmy nietypowym miastem, w granicach którego znajduje się chyba największy obszar leśny w Polsce, myślę o Lesie Łagiewnickim.

– Łódź ma ogromny problem z postępującą degeneracją tkanki mieszkaniowej, szczególnie w centrum miasta. Co fatalnie wpływa na estetykę tego rejonu. To zapewne ważny problem w pracach Komisji Gospodarki Mieszkaniowej i Komunalnej?

– To jest rzeczywiście bardzo, naprawdę bardzo ważna komisja. Odkąd zostałem radnym, szeroko się tymi sprawami interesowałem, przecież jednym z moich pierwszych projektów zaproponowanych Radzie Miejskiej było zwiększenie bonifikat na wykup mieszkań komunalnych, żeby mieszkańcy naszego miasta mogli łatwiej stawać się właścicielami swoich mieszkań. Ale także po to, żeby brali odpowiedzialność i czuli się zobowiązani do większego inwestowania w jakość budynków, których stawali się właścicielami. Miałem nadzieję, że coraz więcej wspólnot będzie się składała wyłącznie z właścicieli indywidualnych. Chcieliśmy wreszcie skończyć z tym szkodliwym chyba zjawiskiem „największego kamienicznika w Łodzi". Niestety rzeczywiście jesteśmy największym kamienicznikiem, ale zdaje się również najmniej skutecznym w ochronie i zabezpieczaniu tych obiektów! To była tylko jedna z wielu inicjatyw, bardzo dobrze odebrana przez mieszkańców i bardzo cieszę się, że wiele osób, które pewnie nie wykupiłoby swoich mieszkań na własność dzięki tej propozycji mogło to zrobić. Dzisiaj radni dyskutują na temat Studium Uwarunkowań i Kierunków Zagospodarowania Przestrzennego – chyba najważniejszego dokumentu, jaki powstaje w Łodzi. On w sposób ostateczny przesądzi w jakim kierunku i w jaki sposób miasto Łódź będzie się rozwijało w przyszłości. To jest też dokument, który będzie pewien rozwój stymulował.

– Współdziała pan również z Komisją Edukacji.

– Interesuję się edukacją przede wszystkim dlatego, że sam byłem nauczycielem. Ta tematyka jest mi bliska. Wydawało mi się, że miasto powinno traktować ją jako priorytet, bo w jakiś sposób bezpośredni, czy pośredni, dotyczy to nas wszystkich, bo albo sami jeszcze się uczymy, albo uczą się lub będą uczyć nasze dzieci albo dzieci naszych najbliższych. Od tego w jaki sposób uczeni są mieszkańcy Łodzi zależeć będzie przyszłość, zatem sprawa edukacji dotyczy tak naprawdę nas wszystkich. Wiadomo o tym, co jest złego w edukacji, wiadomo o tym, że niewiele rzeczy w tej sferze zależy do miasta, bo więcej od Ministerstwa Edukacji.

Odkąd jestem radnym zabiegałem – na szczęście skutecznie – o wzrost wynagrodzeń nauczycieli, byłem autorem zmian w budżecie miasta, dzięki którym wychowawcy otrzymali wyższe dodatki. Ostatnio również zabiegam o to, żeby wzrosły dodatki motywacyjne dla nauczycieli, bo tylko w tej sferze mamy jakąkolwiek możliwość, gdyż za podstawowe wynagrodzenia odpowiedzialny jest rząd.

Jest wiele budynków szkolnych, które są w sposób nieefektywny wykorzystywane, bo zmieściłoby się w tej szkole na przykład 40 oddziałów, a jest ich tylko kilka. Może warto byłoby się zastanowić czy w jednym budynku nie zmieściłoby się dwa czy trzy rodzaje szkół? Te wszystkie rozwiązania powinny znaleźć się w strategii rozwoju edukacji. Bardzo dużo jest w tej sferze do zrobienia.

– Ma pan opinię radnego otwartego na kontakt z mieszkańcami miasta, często zabiera głos w dyskusjach w mediach i nie tylko. Jest to szczególnie widoczne w sytuacji, kiedy środowisko organizacji pozarządowych coraz bardziej interesuje się sprawami miasta, jego wyglądu, jego estetyki oraz jego dziedzictwa kulturowego. Czy pana inicjatywa stworzenia nowego regulaminu konsultacji społecznych była również ukłonem w stronę na przykład środowisk Szacunku dla Łodzi czy Grupy Pewnych Osób?

– Nie byłem jedynym pomysłodawcą samego regulaminu konsultacji społecznych, bo ten pomysł narodził się w głowach wielu społeczników. Właśnie przedstawiciele tych organizacji, które pan wymienił – ci młodzi ludzie – mówili o tym głośno, że brakowało im takich rozwiązań. Sam regulamin dotyczący konsultacji społecznych w Łodzi, choć istniał od 10 lat, był najwyraźniej wadliwy, skoro w oparciu o ten dokument odbyło się bardzo niewiele takich konsultacji. Należało więc ten regulamin napisać od nowa i zdecydowałem się to zrobić – zapraszając do rozmów licznych przedstawicieli organizacji pozarządowych, które bardzo się w ten projekt zaangażowały. Stworzyliśmy nowy regulamin wspólnie i mam nadzieję, że również dzięki temu będziemy czuli się wspólnie za ten projekt odpowiedzialni.

– Wspomniał pan, że ostatnia Rada Miejska była w pewnym stopniu buntownicza. Wydaje się, że była również w dużej mierze wizjonerska. Podczas dobiegającej końca kadencji trwały dyskusje o bardzo ważnych i szeroko zakrojonych projektach i inwestycjach dla miasta. Mam na myśli choćby Specjalną Strefę Sztuki, Camerimage Łódź Center według projektu Franka Gehry'ego czy projekt nowego Studium Kierunków i Uwarunkowań Zagospodarowania Przestrzennego.

– Tych projektów oczywiście było o wiele więcej, bo należy pamiętać, że zdecydowaliśmy się wybudować największą i najnowocześniejszą w Polsce halę wielofunkcyjną. Sama Specjalna Strefa Sztuki ma powstać w szczególnym miejscu, w którym ma ulokować się nowa dzielnica Łodzi, trochę analogicznie jak w XIX wieku, w czasach tego wspaniałego rozwoju Łodzi. To koncepcja Roba Kriera. Zrewitalizowana zostanie nasza zabytkowa elektrociepłownia obok dworca Łódź Fabryczna, ma tam powstać między innymi studio Davida Lyncha – mam nadzieję, że powstanie... Nowa dzielnica Łodzi ze wspaniałymi rozwiązaniami urbanistycznymi, towarzyszącymi nowemu dworcowi Łódź Fabryczna – pozwoli skomunikować miasto szybką koleją z Warszawą, Wrocławiem i Poznaniem. Wreszcie głośna decyzja budowy nowego centrum festiwalowego-kongresowego według projektu Franka Gehry'ego. Tutaj trzeba by oddać pewną sprawiedliwość osobom, które sprawowały i sprawują władzę wykonawczą w mieście, bo to nie Rada Miejska była pełna takich wizji. Wiele tych pomysłów wypływało od przedstawicieli poprzednich władz wykonawczych. Niektóre z tych wizji dalej traktują jako bardzo ważne dla miasta, obecne władze. To fakt, że radni w te projekty się angażowali, bardzo mocno popierając je. Szczególnie wokół idei wymyślonej przez Krzysztofa Candrowicza, żeby Łódź stała się Europejską Stolicą Kultury w roku 2016. Po prostu uwierzyliśmy, że to jest możliwe, a zaraz po tym uwierzyli w to również mieszkańcy Łodzi, co nas wszystkich niezwykle połączyło w tych działaniach. To są wspaniałe wizje, bez których takie wielkie miasto jak Łódź oczywiście nie ma szans na wielki i poważny rozwój. Ale to nie jest kwestia tego czy innego polityka – dotyczy to wielu, naprawdę ogromnej ilości osób, również osób, które już nie sprawują władzy w mieście, bo odeszli w wyniku referendum w styczniu 2010 roku.

– Co pana całkiem prywatnie najbardziej fascynuje w Łodzi?

– W Łodzi fascynują mnie ludzie. I to jest taka rzecz, która powoduje, że my nie powinniśmy mieć żadnych kompleksów. Często porównujemy się do innych miast, wściekamy się, że oni to wszystko robią lepiej... Myślę, że Łódź jest szczególnym miastem. Wiem to właśnie dzięki temu, że zostałem radnym, i że mam szansę współpracować z ogromną ilością ludzi, a wcześniej tego nie mogłem robić. Łodzianom nie brakuje energii i wiary w to, że wszystko można zmienić, jeśli tylko się chce. Łodzianie są wspaniali. Mamy też nadzwyczajne miasto, oczywiście pełne kontrastów, nie zawsze takich, które chcielibyśmy widzieć. Ciągle jeszcze brudne, ciągle jeszcze zaniedbane, ale jednak piękne z taką XIX-wieczną tkanką postindustrialną, której zazdroszczą nam wszyscy. Myślę, że my sami nie zdajemy sobie w pełni sprawy z tego, jak wielki mamy skarb w mieście, o który powinniśmy dbać. Powinniśmy dołożyć wszelkich starań, żeby tę resztkę tego wspaniałego dziedzictwa ochronić przed degradacją i zniszczeniem. Mamy z czego być dumni, jesteśmy innym miastem niż Wrocław, Kraków czy Gdańsk. Ale nie gorszym.

rozmawiał Marcin Kieruzel

Krzysztof Piątkowski – urodził się w 1969 roku. Radny Klubu Prawa i Sprawiedliwości od 1996 roku. Wiceprzewodniczący Rady Miejskiej w Łodzi. Współpracuje z komisjami: Edukacji, Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej, Ochrony Środowiska oraz Statutowej. Członek Prawa i Sprawiedliwości.

Absolwent historii Uniwersytetu Łódzkiego. W 2006 roku ukończył marketing na Uniwersytecie Łódzkim, a w 2007 roku Master of Business Administration Finance and Insurance na Politechnice Łódzkiej oraz Illinois State University. Obecnie menedżer w międzynarodowej firmie.

Między innymi projektodawca uchwał: zwiększającej bonifikaty na wykup mieszkań komunalnych, w sprawie dróg rowerowych w Łodzi czy zwolnień od podatku dla właścicieli nieruchomości remontujących elewacje. Pomysłodawca głośnej w kraju akcji „Nie bierz folii w sklepie".

Siłą Łodzi jest kultura

Rozmowa z Grzegorzem Matuszakiem, wiceprzewodniczącym Rady Miejskiej

– Jest pan radnym, politykiem Sojuszu Lewicy Demokratycznej, ale także wykładowcą uniwersyteckim naukowo zajmującym się właśnie polityką. Czy to nie przeszkadza w pracy samorządowej?

– Myślę, że to wzajemnie się wzmacnia. Prowadzę zajęcia o funkcjonowaniu samorządu dla studentów socjologii. To, że znam jego mechanizmy z autopsji, pozwala mi na przykład przynosić na zajęcia projekty uchwał, budżet czy sprawozdania z jego wykonania. Zapraszam studentów na sesje samorządu, żeby z balkonu posłuchali obrad. Bycie radnym wzbogaca mój warsztat socjologa, a z drugiej strony moja wiedza teoretyczna przydaje się także w pracy samorządowej. To, że jestem praktycznie obecny w polityce, nie przeszkadza mi w byciu wykładowcą. To nie kolizja, a raczej komplementarność.

– Jest pan autorem artykułu Aspekty etyczne społecznej roli radnego[1]. *Czy taki tekst mógłby powstać gdyby nie był pan radnym?*

– Myślę, że tak. Ale być może niektóre moje komentarze czy interpretacje wynikają z doświadczeń samorządowych.

– Pisał pan: Wydaje się, że dla etycznej klarowności roli radnego przydatny może być katalog cech pozytywnych i cech niepożądanych, jakie winny charakteryzować członka samorządu. *Czy próbował pan zainteresować tym pomysłem łódzkich radnych?*

Fot. archiwum Biura Rady Miejskiej

– Szczerze powiem, że jako radny i w pewnym okresie przewodniczący Rady, nie widziałem możliwości zaproponowania, między innymi moim kolegom, katalogu zasad etycznych. Powiedzieliby: *dlaczego masz nas pouczać?* Na ten temat odbyła się w III kadencji dyskusja, ale podziały polityczne spowodowały, że moi oponenci byli podejrzliwi. To moja, jako czynnego radnego i wtedy przewodniczącego Rady, porażka.

– Wiceprzewodniczący Rady Miejskiej ma większe przywileje, ale czy też większe możliwości niż szeregowy radny?

– Większych możliwości nie ma. Z przywilejów wiceprzewodniczącemu przysługuje gabinet i służbowy telefon komórkowy. Obecna ustawa o samorządzie gminy bardzo wyraźnie ogranicza prerogatywy przewodniczącego i wiceprzewodniczących Rady. Są to teraz wyłącznie organizatorzy i spikerzy obrad. Natomiast kiedyś przewodniczący reprezentował Radę, teraz tę funkcję pełni prezydent.

Pewnym przywilejem jest możliwość prowadzenia sesji. Radny może „wyłączyć" się podczas sesji, prowadzący musi mieć napiętą uwagę, by panować nad salą. Prowadzący obrady mogą budować ich atmosferę. Staram się być sympatyczny, czasem żartem rozładować sytuację, aby dyskusja nie była bardzo sformalizowana. Myślę, że radni to dobrze przyjmują.

Wiceprzewodniczący nie może być członkiem żadnej komisji, ale ma obowiązek z kilkoma współpracować. W przypadku konwentu, czyli spotkania przewodniczących klubów zasiadających w Radzie, jej przewodniczącego i wiceprzewodniczących, muszę być zorientowany jak wyglądają prace w komisjach. Współpracuję z komisjami: Jednostek Pomocniczych Miasta, Kultury, Sportu oraz Nagród i Odznaczeń. Nie mam tam wprawdzie czynnego prawa głosu, ale mogę zabierać głos podczas dyskusji.

– W grudniu 2009 roku złożył pan interpelację do władz miasta w sprawie prawosławnej katedry pod wezwaniem św. Aleksandra Newskiego. Ingerencja w gospodarkę wód gruntowych w trakcie prac nad przebudową dworca Łódź Fabryczna może zagrozić świątyni. Czy ta zabytkowa cerkiew jest bezpieczna?

– Nie wiem. Teren Parku im. Moniuszki, gdzie stoi katedra, jest podmokły, a jej fundamenty spoczywają na wbitych w grunt palach. Wiadomo już, że zieleń parku będzie wymagała sztucznego nawadniania, bo poziom wód gruntowych obniży się na skutek wykopania 16-metrowego wykopu pod nowy dworzec. Pale pod katedrą mogą spróchnieć, jeśli nie będą utwardzone wodą, a konstrukcja może ulec zachwianiu. Oprócz złożenia interpelacji, poinformowałem o sprawie gospodarza tej świątyni arcybiskupa Szymona Romańczuka.

– Czy usatysfakcjonowała pana odpowiedź wiceprezydenta Włodzimierza Tomaszewskiego na interpelację?

– Częściowo mnie usatysfakcjonowała. Przyjąłem, że sprawa ta będzie obserwowana, natomiast jaki będzie efekt, okaże się w trakcie budowy. Będę uważnie śledził sprawę, jeśli będę radnym, a jeśli nie, również jako obywatel.

– Jakie inicjatywy dla miasta podejmował pan jako radny w trakcie 16 lat sprawowania mandatu w Radzie Miejskiej?

– W każdym ciele zespołowym, takim jak Rada, żeby coś przeforsować, trzeba mieć większość. Zabiegałem o wprowadzenie do planów inwestycyjnych budowy małej sali dla Teatru Powszechnego, dofinansowanie Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych, który od lat organizuje bardzo interesująco dyrektor tego teatru Ewa Pilawska.

Podejmowałem takie sprawy jak sadzenie drzew. Na komisji ochrony środowiska zgłaszałem postulaty, że należy sadzić nowe drzewa w miejsce tych, które w naturalny sposób umierają czy są wycinane. Być może powinny to być takie gatunki, które lepiej znoszą warunki miejskie. Częściowo mi się udało, bo ostatnio wzdłuż alei Palki naliczyłem kilkanaście nowych drzew.

W ramach budowania Parku Ocalałych zabiegałem o oczyszczenie koryta rzeki Łódki, zwłaszcza wzdłuż terenu Akademii Sztuk Pięknych. Cóż z tego, że mamy elegancki park, kiedy brudna woda gromadzi się w oczku wodnym pod pomnikiem. Moje starania nie przyniosły większego skutku, bowiem projekty wymagają dużych nakładów finansowych. Jest też propozycja, żeby stworzyć na tym obszarze Park Sztuki i kolejne oczko wodne na cieku Łódki.

Z zespołem, którym kieruję, przygotowujemy statut i strukturę Centrum Dialogu, ustalamy ilość etatów i koszty. Na wiosnę przyszłego roku Centrum ma stanąć w Parku Ocalałych. Ta nowa instytucja kultury powinna być nastawiona nie tylko na upamiętnianie Żydów w Łodzi, ale też zbliżaniu innych nacji, religii i kultur. Na jednej z najbliższych sesji będzie podjęta uchwała o jego powołaniu.

– Czy na taki program działalności Centrum zgodzi się jego strategiczny inwestor, izraelski biznesmen, Mordechai Zisser?

– Myślę, że się zgodzi. Pan Zisser jest zainteresowany, żeby była tam stała ekspozycja poświęcona pamięci Żydów łódzkich. Aby odbywały się tam kilkakrotnie w ciągu roku spotkania tematyczne, gdy przyjeżdżają na przykład wojskowi z armii izraelskiej czy grupy szkolne. Jednak Centrum powinno mieć charakter ponadpolityczny i wielokulturowy. Teraz trzeba się zastanowić co tam się będzie działo.

– Jakie są największe problemy łódzkiej kultury?

– Dość instrumentalnie wykorzystywany jest Teatr Nowy. Pod koniec lat 90. prowadziłem rozmowy z Mikołajem Grabowskim, którego przekonałem, żeby podjął się dyrektorowania. Potem dyrektorzy byli mianowani arbitralnie z sympatii politycznych, co powodowało, że Teatr obniżał loty, tracąc swoją wysoką markę. W momencie, kiedy pacyfikowano strajkujących aktorów, byłem senatorem, przewodniczącym senackiej Komisji Kultury i Środków Przekazu. Zorganizowałem wyjazdowe posiedzenie komisji. Było to związane z konfliktami z zespole, kiedy dyrektorem naczelnym został właśnie Jerzy Zelnik, a artystycznym był jeszcze Grzegorz Królikiewicz. Zrobiłem to po to, aby pokazać, że traktujemy Teatr Nowy jak normalną placówkę, nie na cenzurowanym.

– Jakie widzi pan najlepsze rozwiązanie dla Teatru Nowego?

– Powinien odbyć się konkurs na dyrektora naczelnego. Nie oceniam czy były dyrektor Zbigniew Brzoza jest złym organizatorem, bo to mu ludzie zarzucają – oraz jakim jest artystą. Należy jednak bez emocji politycznych ogłosić konkurs. Pan Brzoza, jeżeli jest przekonany, że ma coś do powiedzenia w tym Teatrze, powinien się do konkursu zgłosić, choć zadeklarował, że byłoby to poniżej jego godności, czego nie rozumiem. Sądzę, że to by pomogło Teatrowi, gdyż wszelkie arbitralne rozwiązania w kulturze są ryzykowne.

W sprawie Festiwalu Dialogu Czterech Kultur są poważne zastrzeżenia co do gospodarki finansowej. Jeśli nastąpiła rozrzutność w gospodarowaniu miejskimi pieniędzmi, to konsekwencją jest odwołanie osób, które za to odpowiadały. Współpracowałem z Witoldem Knychalskim przy organizacji pierwszego festiwalu. U ówczesnego ministra spraw zagranicznych Władysława Bartoszewskiego zabiegaliśmy o patronat i wsparcie dla tej imprezy. Wtedy Festiwal był częściowo finansowany przez TVP. Wydarzeniem był koncert *Carmina Burana* przed Teatrem Wielkim, ale potem zostały straszne długi. Kolejne edycje musiały ograniczyć ambicje, aby spłacić zaciągnięte zobowiązania. Festiwal stał się nieco niszowy, stracił rozmach, zaczęły się utarczki wewnętrzne między dyrektorem Ryszardem Okuńskim a paniami Knychalskimi.

Dobrze natomiast funkcjonuje na przykład Miejska Galeria Sztuki. Remont siedziby w Parku im. H. Sienkiewicza stworzył przestrzeń wystawienniczą międzynarodowej rangi. Dyrektor Elżbieta Fuchs organizuje ciekawe ekspozycje, na czele z Triennale Małych Form Grafiki. Dobrze oceniam funkcjonowanie Centralnego Muzeum Włókiennictwa oraz Muzeum Kinematografii.

– Jak potoczą się losy festiwalu Camerimage?

– Camerimage powinien odbyć się w Łodzi. Marek Żydowicz nie dostanie nigdzie większych pieniędzy niż w naszym mieście. Niepotrzebny był ten czarny PR, który zafundował Łodzi. Jako radny nie zgodziłem się, żeby wydać setki milionów na imponujący obiekt, choć wokół są slamsy, które trzeba będzie odgrodzić płotem. Poza kosztami wybudowania należy się też liczyć z kosztami utrzymania i zaplanować, co tam się będzie działo. Niefrasobliwą propozycją był pomysł wynajęcia pięciuset metrów kwadratowych na butik Hugo Bossa – kto tam będzie kupował? *Krawiec kraje jak mu materiału staje*, nie da się wydać jednej trzeciej budżetu miasta na jeden obiekt, kiedy na przykład w MPK brakuje 20 milionów złotych. Rolą radnego jest być dociekliwym. Pytać o koszty, biznesplan, program. Camerimage trwa tydzień, a co się będzie działo później? Jestem przeciwko zasadzie *postaw się, a zastaw się*. Mieliśmy niby świetne perspektywy finansowe, ale jak ostatnio poinformował skarbnik, banki odmawiają Łodzi kredytów. Trzeba było dokonać ograniczeń w wydatkach inwestycyjnych, aby odzyskać wiarygodność.

– Co zrobić, aby Łódź liczyła się w wyścigu po tytuł Europejskiej Stolicy Kultury?

– O ile wygramy konkurencję z innymi miastami, ale sądzę, że tego wyścigu nie można fetyszyzować. Należy tworzyć projekty przedsięwzięć kulturalnych adresowane do mieszkańców, wciągające do kultury obywateli miasta, aby nie pozostali statystami na obrzeżu imprez z udziałem zagranicznych czy krajowych artystów. Myślę, że to powinno być miasto, gdzie odbywają się znaczące imprezy. Takie jak we Wrocławiu przygotowuje Ewa Michnik, ściągając tysiące ludzi na spektakle operowe odbywające się w hali czy na stadionie. W Łodzi też należałoby zaryzykować. Ubolewam, że widownie przeznaczone na siedemset miejsc, ograniczane są do stu, zamykając dostęp szerszej publiczności.

– Jakie działania podejmuje Rada w staraniu o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury?

– Na jednej z ostatnich sesji wysłuchaliśmy obszernej informacji na temat stanu przygotowań. Jednak nie jedynie działań w kierunku zdobycia tytułu, ale rozwoju Łodzi jako miasta kultury w ogóle. To jest najważniejsze. Wydarzeniem może być otrzymanie tytułu, ale jeśli nam go nie przyznają, to czy powinniśmy załamywać ręce? Łódź nie stanie się Doliną Krzemową, ale ma i mieć będzie nadal znaczący potencjał w rozwoju kultury.

rozmawiał Mateusz Sidor

Grzegorz Matuszak – Członek Rady Miejskiej w Łodzi w latach 1990--2001 i jej przewodniczący od 1996 do 2001 roku. Od 2006 ponownie w składzie Rady i jej wiceprzewodniczący, członek Klubu Radnych Lewica. Współpracuje z komisjami: Jednostek Pomocniczych Miasta, Kultury, Sportu oraz Nagród i Odznaczeń.

Przez 25 lat do 1990 roku członek PZPR. Współtwórca Socjaldemokracji RP, której przewodniczył w województwie, a następnie w mieście. Były szef Sojuszu Lewicy Demokratycznej w Łodzi. W latach 2001-05 Senator RP, kierował Komisją Kultury i Środków Przekazu. Kandydat do parlamentu w 2005 i 2007 roku oraz do Parlamentu Europejskiego w 2009 roku. Obecnie kieruje Kołem SLD Bałuty-Doły-Centrum, jest członkiem Rady Miejskiej i Rady Krajowej SLD.

Urodził się w 1941 roku w Łodzi. Absolwent filologii polskiej Uniwersytetu Łódzkiego. W 1977 roku obronił doktorat z socjologii w Wyższej Szkole Nauk Społecznych w Warszawie i podjął pracę na Uniwersytecie Łódzkim. W 1990 roku habilitował się, a od 1993 roku jest profesorem nadzwyczajnym w Katedrze Socjologii Polityki i Moralności. Wykłada socjologię stosunków politycznych, zajmuje się między innymi rozwojem klasy średniej w Polsce. Bibliofil i kolekcjoner grafiki, między innymi ekslibrisów. Autor książek *Byłem częstym klientem księgarń i antykwariatów... Rekonstrukcja autoportretu bibliofila Janusza Dunina, Mozaika bibliofilska, Zapiski senackie* czy *Polityka i politycy w okresie wyborów.*

[1] G. Matuszak, *Aspekty etyczne roli radnego*, [w:] Etyczne dylematy medycyny w Chinach i Polsce, red. D. Walczak-Duraj, Tian Min Xu, Łódź 1998.

Młody potencjał

Rozmowa z Karoliną Kępką, najmłodszą radną Rady Miejskiej

– Jest pani najmłodszą radną w tej kadencji Rady Miejskiej. Jaki imperatyw spowodował podjęcie takiej decyzji przez przedstawicielkę pokolenia, które – jak zwykło się uważać – do służby społecznej raczej się nie garnie?

– Po pierwsze: myślę, że teza, która zarzuca mojemu pokoleniu bierność i zbytnią nonszalancję w sprawach politycznych i społecznych nie jest prawdziwa. Wystarczy sprawdzić ilu młodych ludzi znajduje się w obecnej Radzie. I jest to bez wątpienia zjawisko pozytywne, bo – jak uczy nas historia polityczna – inicjatorami wszelkich zmian społecznych są głównie ludzie młodzi, pragnący realizować swoje ideały. I choć bywa, że ideały zamieniają się w *idee fixe*, to przecież nie zmienia to faktu, że aktywizacja środowisk młodzieżowych w jakichkolwiek strukturach władzy jest jedynym sposobem, aby temu systemowi dostarczać energii do działania. A po drugie: kierowały mną właśnie młodzieńcze ideały. To one zaprowadziły mnie – jeszcze podczas nauki w liceum – do Rady Osiedla „Koziny", na którym mieszkam. Tam po raz pierwszy znalazłam się w jednostce samorządowej, powołanej do sprawowania władzy na niewielkim obszarze działania. Jak się później okazało, kompetencje rady osiedla były zbyt małe, aby dać odpowiedni wyraz mojej potrzebie aktywności społecznej. Większe możliwości wpływania na życie Łodzi w wymiarze praktycznym zapewniał miejski samorząd. Rada Miejska była tym szczeblem władzy, na którym mogłam poczuć, że działam dla miasta. Ta decyzja wynikała bezpośrednio z rezonansu działalności „osiedlowej". Oczywiście, że nie miałam żadnego doświadczenia w pracy samorządowej. Nie może go mieć dwudziestoletnia osoba. Pomimo to wystartowałam w wyborach samorządowych w roku 2006 i zostałam wy-

Fot. zbiory prywatne Karoliny Kępki

brana do Rady Miejskiej. Mogę powiedzieć, że moja wiedza teoretyczna, wynikająca z mandatu radnej, rosła skalarnie po każdym posiedzeniu, a doświadczenie bardziej linearnie; głównie z powodu braku doświadczenia samorządowego u większości radnych z klubu Platformy Obywatelskiej. Nowicjuszowskie środowisko radnych mojego klubu zapałem do pracy na rzecz miasta i wizją jego ulepszenia, rekompensowało niedostatki przygotowania merytorycznego. Chęć do działania sukcesywnie uzupełnialiśmy o przydatną wiedzę i niezbędne obycie. Kiedy decydowałam się zostać radną wydawało mi się, że jedynym sposobem, żeby efektywnie pracować dla społeczności lokalnej, jest poznanie mechanizmów władzy i kulisów jej funkcjonowania. Dzisiaj wiem, że bez tej znajomości każda idea pozostanie tylko marzeniem.

– Czy rozpoznanie zasad regulujących funkcjonowanie polityki miejskiej pozwoliło Pani na skuteczną realizację swoich celów?

– W strukturze władzy miejskiej należy rozdzielić dwie płaszczyzny władzy: uchwałodawczą i wykonawczą. Prerogatywy radnego są ściśle związane z zadaniami wynikającymi z możliwości stanowienia określonych rozwiązań formalno-prawnych. Kompetencje radnych dotyczą przede wszystkim przygotowywania uchwał, które przedłożone zostają czynnikom wykonawczym do realizacji. Możemy również apelować i podejmować stanowiska w danej sprawie, co nie rodzi żadnych skutków prawnych, a realizacja zgłaszanych postulatów zależy wyłącznie od dobrej woli urzędników. I to jest właściwa dziedzina naszej działalności. Twierdzenie, że zakres możliwości decyzyjnych radnego jest mocno ograniczony jest błędne, bo jest on dokładnie taki, jaki gwarantuje nam ustawa o samorządzie gminnym. I umiejętnie posługując się tymi narzędziami, jakie wynikają z ustawy, pozwala nam w sposób rzeczywisty i aktywny wpływać na kształt polityki miasta. Problemem jest zawsze chęć współpracy władzy wykonawczej z uchwałodawczą i od tej relacji, i sposobu komunikowania się pomiędzy obiema „władzami", zależy cały proces konstruktywnego współrządzenia. Złe relacje Rady z władzą wykonawczą powodują najczęściej, że nasze kompetencje nie są należycie wykorzystywane, a nasze postulaty nie są realizowane przez prezydenta. W przełożeniu na rzeczywistość władza wykonawcza może zdecydowanie więcej od władzy ustawodawczej. A przecież zgodnie z ustawowym celem podziału władzy i zakresu kompetencji, to nie tak miało być. W praktyce okazało się, że prawie cała władza przeszła w ręce prezydentów miast, pozostawiając organom przedstawicielskim wąski zakres odpowiedzialności za charakter polityki lokalnej. Zostały zachwiane relacje między organem wykonawczym a Radą, co spowodowało, że często prezydent nie musi się liczyć ze zdaniem Rady w podejmowanych przez siebie decyzjach. Bywa, że radni stawiani są przed faktem dokonanym, na warunkach czysto informacyjnych. Nierzadko zdarza się, że uchwalone przez Radę projekty w ogóle nie są realizowane przez instytucje wykonawcze, a Rada pozbawiona odpowiednich narzędzi przymusu i kontroli nie

ma żadnych możliwości interwencji. Idealnie byłoby, gdyby głos Rady współbrzmiał z głosem prezydenta. Łatwiej do tej harmonii można byłoby doprowadzić w warunkach, w których prezydent miasta jest wybierany przez Radę. Spowodowałoby to większy nadzór samorządu nad działalnością swojego przedstawiciela, udział w jego decyzjach i skuteczność współrządzenia. Dzisiejsza praktyka funkcjonowania obu podmiotów pokazuje często, że są przyczyny, dla których dochodzi do dysonansu pomiędzy tymi dwoma głosami, a wtedy decyduje głos prezydenta.

– Wybierany w powszechnych wyborach prezydent miasta jest w jakimś stopniu przedstawicielem społeczeństwa. A czy Rada Miejska jest rzeczywistym reprezentantem społeczności lokalnej?

– Jeśli wziąć pod uwagę aspekt formalny, to ordynacja wyborcza jest realizowana i ma zastosowanie prawne. W tym wymiarze występuje – w zgodzie z zasadami demokracji – pewien stopień reprezentatywności. Jeśli jednak wziąć pod uwagę aspekt ludzki, to radni wtedy reprezentowaliby swoich wyborców, kiedy łodzianie identyfikowaliby się z przedstawicielami swoich okręgów wyborczych. A ludzie na ogół słabo kojarzą radnych, a już naprawdę niewielu wie, czym dokładnie zajmują się poszczególni członkowie Rady. Wynika to chyba ze zbyt dużego przywiązania do centralizmu, który w historii Polski był przez lata jedynym możliwym odniesieniem warunkującym przebieg życia politycznego. Medialnie bardziej atrakcyjna jest polityka centralna, która zajmuje uwagę rozmiarem wydarzeń i ich wpływem na codzienność. Wciąż powszechnie uważa się, że działalność lokalna w mniejszy sposób oddziałuje na zaspokajanie egzystencjalnych potrzeb obywateli niż ogólnokrajowa. Publicystyka w łódzkich mediach jest dosyć uboga i nie pozwala w pełni zorientować się w pracach samorządu. Gazety zdominowała tania sensacja i o samorządzie można przeczytać jedynie wówczas, gdy jego przedstawiciel popełni jakieś przestępstwo, bądź ma miejsce wydarzenie rangi kryminalnej. A przecież radni odbywają tak zwane dyżury, w czasie których spotykają się z mieszkańcami miasta – niekoniecznie swoimi wyborcami. Z własnego doświadczenia wiem, że największą liczbę interesantów stanowią osoby zagubione w gąszczu przepisów prawnych, niepotrafiący poradzić sobie z ich interpretacją. Przychodzą też petenci, dla których urząd pozostaje niezgłębioną tajemnicą działania i oczekują od radnych skierowania do odpowiedniego wydziału. Sprawy lokalowe i związane z Miejskim Ośrodkiem Pomocy Społecznej, składają się na lwią część wszystkich wizyt. Czasami udaję się osobiście do dyrektora wydziału z interwencją, ale nie zawsze odnosi to pozytywny skutek z uwagi na niemożność czysto formalną. To nie działa tak – jak zapewne życzyłoby sobie wielu mieszkańców Łodzi – że radny przychodzi do dyrektora i sprawa jest rozwiązana. Często potrzeba rozwiązań systemowych, które należy przygotować i uzgodnić w odpowiednich komisjach.

– W skład komisji wchodzą radni wszystkich klubów, a więc członkowie różnych opcji politycznych. Czy w pracach Rady ujawniają się centralne podziały polityczne i czy jest to dla jej działań korzystne?

– Myślę, że pluralizm zawsze jest potrzebny, nawet ten odwzorowany dokładnie z układu parlamentarnego. Przecież w funkcjonowaniu organów kolegialnych – bez względu na to czy jest to parlament, czy Rada Miejska – reprezentanci różnych opcji działają razem w komisjach. Efekty tych prac mają służyć społeczeństwu, a nie partiom politycznym czy wyborcom określonych formacji. Na szczęście, w przypadku komisji samorządowych, rzadko zdarzają się sprawy aż tak kontrowersyjne światopoglądowo, że musi być stosowany przy ich omawianiu podział polityczny. Najbardziej politycznym zagadnieniem na forum Rady w ostatnim czasie okazała się być kultura i promocja miasta. Nie jest chyba paradoksem, że postrzeganie działań kulturalnych w Łodzi odbywa się przez pryzmat przynależności politycznej. Chociaż nie zawsze jest to jedyny czynnik kwalifikujący. Dochodzą sympatie towarzyskie i personalne, a przygotowanie do fachowej oceny wartości estetycznej ustępuje miejsce emocjom. Tak było w przypadku próby powołania poza konkursem Zbigniewa Brzozy na stanowisko dyrektora Teatru Nowego. Padały przeróżne argumenty, zarówno zwolenników, jak i przeciwników Zbigniewa Brzozy, dotyczące jego przerwanej dyrekcji i obecnego poziomu artystycznego placówki. Wydaje się, że zabrakło rzetelnej oceny produktów teatralnych, czyli przedstawień, przez osoby do tego powołane, bo radni niekoniecznie muszą się przecież znać na sztuce teatralnej. W akt założycielski Teatru Nowego bezsprzecznie wpisana jest polityka. Byłoby jednak lepiej dla samego teatru, gdyby realizowała się ona na jego scenach, a nie w jego kuluarach. Często błąd tkwi w przyjętej metodzie dojścia do wspólnego celu, a często okazuje się, że cel wcale spójny nie jest. Tak działa mechanizm demokracji i dopóki nakręcamy go razem – myślę o wszystkich radnych – dopóty nie ma zagrożenia jego zatrzymania.

– Czy samorząd to miejsce dla społeczników czy polityków?

– W powszechnym przekonaniu obowiązuje wiara w oddanych miastu, doświadczonych samorządowców. Trzeba jednak pamiętać, że radni nie biorą się z politycznej próżni. Już na etapie powstawania formacji zgłaszających się do udziału w wyborach – bez względu na ich polityczne czy społeczne pochodzenie – uruchamia się mechanizm walki o władzę. A tam, gdzie istnieje chęć organizowania życia zbiorowego w ramach demokratycznych mandatów regulujących tę sferę życia publicznego, tam mamy do czynienia z polityką. Hipokryzją byłoby stwierdzenie, że można sprawować jakąś władzę i być poza politycznym systemem jej legislacji. Upolitycznienie działań społecznych wynika w prosty sposób z zasad demokracji; dając władzę obywatelom, każe o nią walczyć ich reprezentantom. Wszechobecność polityki w codziennym życiu również wynika

z rozwiązań demokratycznych. W systemach totalitarnych brak praw wyborczych bądź ich mocne ograniczenie powodują, że słowo „polityka" staje się synonimem zniewolenia. A władza kojarzona jest głównie z aparatem represji. W demokracji polityka jest systemem kontroli państwowej sprawowanej w imieniu społeczeństwa. Dobrze jest, kiedy pracujący na rzecz miasta samorządowiec okazuje się odpowiedzialnym politykiem. Ale i odwrócony stosunek tej zależności nie jest zagrożeniem dla demokracji lokalnej.

– Jak – z perspektywy członkini Komisji Kultury – postrzega pani łódzkie życie kulturalne?

– Komisja Kultury od początku kadencji stara się aktywnie wpływać na kształt miejskich inicjatyw artystycznych. Nasza aktywność występuje rzecz jasna w obrębie przyznanych nam kompetencji i uprawnień. Odwiedzamy, sprawdzając jak działają i co oferują, podporządkowane nam instytucje kultury. Nie mamy jednak realnego wpływu na kierowanie pracą tych placówek. Nie na tym wszak polega nasza rola. Nasze zadanie najczęściej sprowadza się do doraźnego rozwiązywania konfliktów w podległych samorządowi ośrodkach działań kulturalnych. Tak było między innymi w przypadku Festiwalu Dialogu Czterech Kultur i Festiwalu Camerimage. Nasza funkcja ograniczyła się do doradztwa i opiniowania; bez żadnych konsekwencji decyzyjnych. Tak więc wpływ radnych na końcowe postanowienia, w konkretnych sprawach dotyczących obszaru kultury, jest wyłącznie taki, na jaki pozwala nam ustawodawstwo. Komisja Kultury chce mieć większy wpływ i prawo do kształtowania polityki kulturalnej miasta, bo czasem może się wydawać, że całość tej polityki jest ustalana w jednym gabinecie przez dyrektora wydziału i jego najbliższych współpracowników. A przecież komisja również mogłaby być ciałem doradczym i weryfikującym decyzje i postanowienia Wydziału Kultury Urzędu Miasta, zwłaszcza że chodzi o pieniądze podatnika, również tego, którego to zagadnienie w ogóle nie interesuje. Dlatego często na posiedzenia Komisji Kultury zapraszani są twórcy festiwali i przedsięwzięć artystycznych, głównie w celu zaprezentowania swoich planów i dorobku artystycznego.

Generalnie wydaje się, że inicjatyw artystycznych w Łodzi nie brakuje. Inną sprawą jest ich ranga i znaczenie. Większość tych imprez ma niestety wydźwięk lokalny, sprowadzający się w najlepszym razie do województwa. Byłoby świetnie, gdyby repertuar łódzkich teatrów porywał nie tylko łódzką publiczność, ale i widzów z innych miast Polski, którzy licznie przyjeżdżaliby na spektakle grane w naszych teatrach. Inna rzecz, że repertuar ten raczej nie należy do specjalnie porywających, w każdym razie bądź nie rzadziej niż przedstawienia z afiszy teatrów warszawskich, krakowskich czy choćby wrocławskich.

Ale również na dobór repertuaru teatralnego Rada Miejska wpływu nie ma. Należy to do podstawowych zadań dyrektorów tych teatrów, których powołuje prezydent, niekoniecznie uznając wartość swojej decyzji za przejaw artystycznego

smaku. Po decyzji Marka Żydowicza o przeniesieniu Camerimage z Łodzi do Bydgoszczy straciliśmy jedyny festiwal o międzynarodowym charakterze promocyjnym. Pozostały wprawdzie inne festiwale z przymiotnikiem „międzynarodowy" przed nazwą, ale ich charakter i specyfika nie mają takiej mocy identyfikującej ich przedmiot z Łodzią. Międzynarodowe Triennale Tkaniny czy Międzynarodowy Festiwal Komiksu, nie budują marki Łodzi w taki sposób i z takim oddźwiękiem, jak robił to festiwal operatorów. Wydaje mi się, że konsekwencją decyzji Marka Żydowicza będzie nie tylko zubożenie łódzkiej bazy festiwalowej, ale utrata przez sam festiwal znaczenia imprezy prestiżowej, jaką nadała mu Łódź. Jedynie to miasto – z filmową historią i zapleczem w postaci chociażby Szkoły Filmowej – było naprawdę predestynowane do roli współorganizatora i siedziby tego festiwalu. Camerimage i Łódź doskonale koegzystowały, tworząc system wspólnej identyfikacji o zasięgu światowym. Utrata tego wydarzenia może mieć wpływ na łódzkie aspiracje do tytułu Europejskiej Stolicy Kultury.

– Czy Łódź ma szansę na to zaszczytne miano?

– Miasto zadanie zdobycia tytułu Europejskiej Stolicy Kultury powierzyło Łódź Art Center, więc śpi spokojnie. Żadne demony nie zakłócają tego niewinnego snu, chociaż one wydają się tylko czekać, aby wedrzeć się w ten sen na jawie łódzkich włodarzy. Demony czają się za chaotycznym i pozorowanym jak na razie programem na rzecz zdobycia tytułu ESK. Cała działalność miasta sprowadziła się do produkcji promocyjnych gadżetów. Tylko co one promują? Moim zdaniem ten marketing naszego potencjału kulturalnego jest kolejną próbą mitologizowania przeszłości Łodzi w kontekście jej artystycznego statusu. Chcemy sprzedać mit, a nie rzeczywistość. Mit miasta, które odgrywało dużą rolę w życiu kulturalnym Polski, a kilka wydarzeń – jak choćby „Konstrukcja w Procesie" – miało międzynarodową rangę. Program miasta osadził się między mitem a iluzją, ze szczególnym uwzględnieniem iluzji naszego potencjału kulturalnego, o którym wszyscy wiemy, że jest – tylko nie widzimy efektów jego posiadania. A niewykorzystany potencjał bywa gorszy od jego braku, bo rodzi większą frustrację. Podstawowym problemem – tak myślę – jest słaba aktywność łodzian na polu kultury i obojętność łódzkich artystów wobec tego projektu, wynikająca z niedoinformowania i specyficznej strategii. Do tej idei trzeba przekonać przede wszystkim samych łodzian i doinformować, jakie wymierne korzyści daje przyznanie tego tytułu. Także korzyści mentalnych, wynikających z samego faktu przewartościowania obrazu miasta i zwrócenia uwagi na inne jego aspekty, umykające w codziennym życiu. Potencjał kulturalny Łodzi ujawniłby swoją prawdziwą siłę w momencie, kiedy lokalne inicjatywy kulturalne w sposób odpowiedzialny kształtowałyby świadomość i wrażliwość estetyczną mieszkańców miasta. Bo spuścizna artystyczna Łodzi jest doskonałą bazą do współczesnej nadbudowy, a wydaje się stawać wyłącznie mitem, wywoływanym na użytek propagandy nadziei.

– Ma pani własny pomysł na promocję Łodzi?

– W powszechnej opinii, jaką słyszy się niemal w całej Polsce, Łódź wciąż uchodzi za stolicę raczej brudu i niechlujstwa, niż stolicę kultury. *Nota bene* wystarczy przejść ulicą Piotrkowską, aby to zdanie potwierdzić. Trudno uznać za kulturalne miasto, które ma problemy z wyegzekwowaniem od właścicieli lokali gastronomicznych posprzątania terenu wokół swojego obiektu. Tolerancja dla lekceważenia zarówno swoich praw, jak i obowiązków, jest w Łodzi duża. Klientom barów i restauracji nie przeszkadza spożywanie w otoczeniu bałaganu i ogólnej brzydoty, więc restauratorzy nie mają motywacji do zachowania czystości, ale mają taki obowiązek, którego dopełnianie powinna wymuszać straż miejska. Władze miasta są do tego, aby decydować o tym, czy partykularne interesy jakiejś grupy, na przykład właścicieli ogródków gastronomicznych, żądających odwołania menedżera Piotrkowskiej Włodzimierza Adamiaka, działają na korzyść Łodzi i jej mieszkańców, czy wręcz przeciwnie. Wszystkie decyzje dotyczące wspólnej przestrzeni powinny posiadać jako nadrzędne kryterium *pro publico bono*. Czy dla dobra mieszkańców Łodzi ważniejsze jest, aby Piotrkowska była schludną i elegancką ulicą w europejskim stylu, czy upstrzoną letnimi ogródkami enklawą gastronomii? Czy można pogodzić tak sprzeczne pozornie interesy? Według mnie usiłuje to zrobić Włodzimierz Adamiak, sugerując ograniczenie ilości ogródków i zmianę ich konstrukcji. Wystawianą Łodzi ocenę miasta zaniedbanego uważamy za wysoce niesprawiedliwą i często oburzamy się, słysząc tak niskie notowania. Wystarczy jednak zastosować prostą metodę porównawczą, by przekonać się, że te opinie nie są zupełnie bez racji. Chciałabym, aby zmiana wizerunku Łodzi zaczęła się zwyczajnie od posprzątania jej. Nie wystarczy powiesić donice z kwiatami na Piotrkowskiej, aby wyglądała schludniej i nie wystarczy posadzić kwiatów na rondach, aby wyeliminować dziury w jezdni. Nie tędy droga. To są działania zastępcze, nienaprawiające estetyki miasta, a mające odwrócić uwagę od realnych problemów. Łódź wymaga kompleksowych działań w edukacji społecznej. Ta inwestycja może dać asumpt do prawdziwej zmiany oblicza miasta, którego potencjał wciąż jest wartością samą w sobie.

rozmawiał Marek Strąkowski

Karolina Kępka – urodzona 26 marca 1986 roku w Łodzi. Studentka na Wydziale Prawa i Administracji UŁ. Radna V kadencji Rady Miejskiej w Łodzi; przewodnicząca Komisji Jednostek Pomocniczych Miasta Łodzi, członkini Komisji Kultury i Komisji Nagród i Odznaczeń; członkini Platformy Obywatelskiej i Stowarzyszenia Młodzi Demokraci.

Aktywność jest cudownym uczuciem

Rozmowa z Witoldem Rossetem, radnym Rady Miejskiej

– Jak to się stało, że znalazł się pan w polityce? W 1990 roku był pan jeszcze zbyt młody, aby brać udział w wyborach, ale w następnych zdobył mandat radnego. Jak wygląda pana biografia polityczna?

– Byłem młodym chłopakiem, studentem i polityka mnie kompletnie nie interesowała. To były jeszcze inne czasy, przed 1989 rokiem. Ale już zaczął zbliżać się wielkimi krokami przełom roku 1989. Miałem wtedy 20 lat i mój wielki mistrz i przyjaciel, pan dr Marek Edelman, zawstydził mnie, że niespecjalnie angażuję się w życie społeczne. Świetnie podziałało. Studiowałem na Akademii Medycznej i wspólnie z przyjaciółmi ze studiów założyliśmy na uczelni NZS. Ten nowy NZS odradzał się na wszystkich uczelniach w Polsce, wolna organizacja studencka, jeszcze na początku nielegalna. Taka kontynuacja NZS-u z czasów pierwszej „Solidarności". Walczyliśmy więc o zalegalizowanie tej organizacji. Później zorganizowaliśmy strajk studencki, razem z innymi uczelniami. Strajk zakończyliśmy tuż przed wyborami czerwcowymi w 1989 roku. W 1990 zaczął działać Ruch Obywatelski Akcja Demokratyczna, który wkrótce przekształcił się w komitet wyborczy Tadeusza Mazowieckiego. Premier Mazowiecki kandydował na prezydenta, i ja się w ten komitet zaangażowałem. Pamiętam ogromne rozczarowanie, kiedy Tadeusz Mazowiecki przegrał w pierwszej turze wyborów. Ale on apelował do wszystkich swoich zwolenników, żebyśmy nie odchodzili, ale założyli wokół niego ruch polityczny. Tak powstała Unia Demokratyczna,

Fot. archiwum Biura Rady Miejskiej

później Unia Wolności. I w konsekwencji kilka lat później wystartowałem w wyborach samorządowych – to był rok 1994. Nie miałem jeszcze wtedy doświadczenia samorządowego. Nasz komitet wyborczy zdobył 17 mandatów, a mnie przypadł jeden z nich.

– Jeśli możemy wrócić do ważnej postaci Marka Edelmana. Jak to się stało, że to właśnie on wprowadził pana w świat polityki?

– Przyczyniła się do tego „geopolityka" mojego mieszkania, bo dr Edelman był po prostu moim sąsiadem, mieszkaliśmy przez ścianę. Była to niezwykle interesująca i wspaniała postać, w Łodzi nie było drugiej takiej i pewnie nie będzie.

– Duże szczęście miał pan, mając takiego sąsiada.

– No tak i to całkiem spore, pewnie gdyby nie Marek Edelman znalazłbym sobie inne zajęcie. Chyba byłbym lekarzem, to też piękny zawód.

– Czy to miało bezpośredni wpływ na wybór opcji politycznej?

– To było naturalne. Takie osoby jak Marek Edelman, Jacek Kuroń, Bronisław Geremek czy Tadeusz Mazowiecki były w moim domu ogromnymi autorytetami.

– Spośród pięciu kadencji samorządowych brał pan czynny udział w czterech. Na pewno obserwował pan jak zmieniała się Rada w ciągu tych kilkunastu lat oraz pańskie spojrzenie na pracę samorządu. Jak ewoluował ogląd problemów miasta?

– Niewątpliwie dla mnie najciekawszą kadencją, którą najmilej wspominam, zarówno jeśli chodzi o doświadczenia własne, ale także jeśli chodzi o impuls rozwojowy Łodzi, były lata 1994-98. Tak naprawdę to radnym byłem bardzo krótko w tej kadencji, ponieważ wkrótce po wyborach otrzymałem od ówczesnego prezydenta Marka Czekalskiego propozycję objęcia funkcji jego rzecznika prasowego. Mieliśmy takie zasady, chociaż wtedy nie było to jeszcze obowiązującym prawem, że radny nie powinien łączyć mandatu z pracą w Urzędzie Miasta. Złożyłem więc mandat radnego, ale przecież nie rozstałem się z samorządem, pracując bardzo blisko z prezydentem ponad cztery lata, do 1998 roku.

– Jak mógłby pan porównać minione lata. Czy widać znaczące różnice w kadencjach?

– To jest tak, że wszystkie kadencje mają dużo ze sobą wspólnego, ale też mocno się od siebie różnią. Przede wszystkim dlatego, że zmieniła się nieco pozycja samorządu, który obecnie ma znacznie więcej zadań i możliwości, niż miał w tych pionierskich początkach lat 90. Poza tym kiedyś prezydent, wybierany przez Radę, musiał mieć w tej Radzie poparcie. Dzisiaj pozycja ustrojowa prezydenta jest dużo większa. Jest wybierany bezpośrednio i jest praktycznie nieodwoływalny, chociaż akurat przykład tegorocznego referendum pokazał coś innego. Prezydent dzisiaj jest bardziej odpowiedzialny przed wyborcami, niż przed Radą Miejską. Rada bardziej dzisiaj pełni funkcje strategiczne. Tak silna pozycja prezydenta ma swoje dobre i złe strony, ale przynajmniej nie grozi nam sytuacja z kadencji 1998-2002, kiedy na skutek różnych kłótni wewnątrz SLD, które wówczas miało większość, trzykrotnie zmieniał się prezydent Łodzi. To fatalne, bo nie pozwala na stabilizację i kontynuację działań.

– A jeśli mielibyśmy pomyśleć o jakichś społecznych zadaniach dla Rady Miejskiej, która wyznacza sobie priorytety, czy zmieniły się one bardzo od początku lat 90.; mieliśmy większe ubóstwo mieszkańców i były inne cele wtedy niż teraz?

– Oczywiście, trochę się zmieniło. Łódź jest innym miastem niż 15 lat temu. Ale wbrew pozorom te najważniejsze sprawy w dalszym ciągu pozostają w głównym centrum uwagi. Łódź jest nadal dość ubogim miastem i zarówno wtedy, jak i dzisiaj, najważniejszym zadaniem władz miejskich jest tworzenie warunków do powstawania w mieście dobrych miejsc pracy, tak by łodzianie, którzy tu mieszkają, mieli godziwą pracę i godziwą płacę, a młodzi ludzie nie musieli szukać dla siebie lepszego życia w Warszawie czy w Londynie, jak to się niestety ostatnio bardzo często działo. Przełom lat 90. był okresem, kiedy udało się tu sprowadzić wielu inwestorów, ale wciąż ta potrzeba jest widoczna.

– Skoro już rozmawiamy o takich problemach społecznych, o biedzie, to proszę powiedzieć, co można skutecznego zrobić? Pan, działając w Komisji Ochrony Zdrowia i Opieki Społecznej, na pewno często spotykał się z problemem zaniedbania Śródmieścia, gdzie jak pokazują badania, jest najwięcej enklaw biedy. Jaki jest pomysł na zniwelowanie tego problemu?

– Dla mnie zawsze podstawową komisją, w której pracowałem, była Komisja Finansów i Budżetu. Tak naprawdę, żeby poradzić sobie z którymkolwiek problemem socjalnym, najpierw trzeba mieć do tego instrument w postaci pieniędzy. Oczywiście są różne formy pomocy społecznej w takim mieście jak Łódź i są różne instrumenty, to jest przecież zadanie miasta. Ale biedy nie pokonamy wyłącznie roz-

dawnictwem i zasiłkami. Sposobem na jej pokonanie jest dynamiczny rozwój miasta i stwarzanie ludziom warunków do tego, aby mogli zarabiać, aby mieli taką pracę, która będzie dawała im możliwości satysfakcjonującego życia. To jest podstawa. Stąd przyciąganie inwestorów, tworzenie warunków do tego, żeby ci przedsiębiorcy chcieli w Łodzi funkcjonować. Potrzebna jest oferta miasta ale też dobre drogi, dobra komunikacja, dobre połączenia z resztą kraju. Będą miejsca pracy, będą inwestorzy, którzy będą chcieli zatrudniać pracowników, to wtedy mieszkańcom będzie się żyło lepiej. Jeśli mieszkańcy będą zamożni, wtedy i miasto będzie zamożne. To oczywiście nie oznacza, że miasto nie ma ogromnego pola do działania w obszarze zmniejszania biedy, ubóstwa czy też pomocy tym ludziom, którzy w życiu czasami nie ze swojej winy, radzą sobie gorzej.

– Działa pan również w Komisji Odznaczeń.

– To jest akurat najprzyjemniejsza komisja. Żadnych problemów, wyłącznie docenianie sukcesów.

– Kolejną komisją, w której pan pracuje, jest Komisja Kultury. Łódź stara się o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury, a ostatnie działania magistratu, i może Rady Miasta, niektórzy odczytują jako brak zainteresowania tematem. Jest też casus Teatru Nowego, który stał się miejscem walki o stanowiska, a nie jakość artystyczną.

– Teatr Nowy za kadencji tej, o której mówię „moja", czyli za kadencji prezydenta Czekalskiego, stał się jedną z najlepszych scen w Polsce. Praktycznie został od nowa zbudowany. Wykonaliśmy gigantyczny remont i chcieliśmy przywrócić świetność z czasów dawnego Dejmka. To się udawało. Był taki okres, kiedy udało nam się zaprosić do kierowania tym teatrem Mikołaja Grabowskiego – wybitną postać polskiego teatru, i pozycja Teatru Nowego była bardzo wysoka, potem zresztą wrócił do Nowego sam Dejmek. Niestety później z różnych przyczyn, konfliktów i upolitycznienia teatru, doszło do upadku tej sceny. Odbudowa reputacji będzie długa. Nie winiłbym za to bynajmniej radnych, bo akurat w sprawie Teatru Nowego byli w ogromnym sporze z prezydentem miasta. I to się o dziwo nie zmieniło, mimo że prezydent już jest inny.

Jeśli chodzi o kulturę, Rada raczej nie ma instrumentów do bieżącego zarządzania. Takie możliwości przede wszystkim ma prezydent, choć czasami też ma związane ręce. Obecny prezydent przejął Teatr Nowy z ogromnym konfliktem i z dyrektorem artystycznym powołanym na pięć lat. Więc wcale nie zazdroszczę mu tego, co zastał, bo nie ma możliwości, aby wszystko jednym ruchem zmienić. Myślę, że mało który z wybitnych artystów w tej sytuacji chciałby do teatru przyjść. Kultura jest

dla Łodzi ogromną szansą, ponieważ przez wiele lat mieliśmy przyprawianą gębę miasta nieciekawego, zadymionego, przemysłowego, do którego niekoniecznie warto zaglądać. To nie jest prawda i zmiana tego stereotypu jest ogromnym wyzwaniem dla władz miasta. Wszystkie kolejne władze starały się to zrobić, ale to nie jest to takie proste. Dlatego zaangażowanie się w projekt Europejskiej Stolicy Kultury jest właśnie taką szansa na zmianę stereotypowego wizerunku miasta. Dzisiaj nowoczesne miasto ma swoje szanse rozwoju nie tylko wtedy, kiedy ma inwestorów produkcyjnych, ale także wtedy, kiedy swoją bogatą ofertą potrafi zachęcić do przyjazdu turystów z kraju i świata.

– W tym roku straciliśmy dwa największe festiwale, które były wizytówkami miasta i które chyba dawały nam najwięcej punktów w walce o Europejską Stolicę Kultury. Czy jest pomysł na wyjście z tego impasu, bo Festiwal Dialogu Czterech Kultur wydaje się być jeszcze do uratowania, natomiast Camerimage na pewno odbędzie się poza Łodzią.

– Tak, to są dla miasta ogromne straty, przy czym powody są dość złożone i na pewno nie można znaleźć jednego winnego. Miasto powinno starać się tę lukę uzupełnić. Łódź ma ogromny potencjał filmowy i myślę, że jesteśmy w stanie znaleźć jakąś alternatywę dla Camerimage.

– Czy w perspektywie sześciu lat, kosztem ogromnych nakładów finansowych, zdołamy wybudować potężną markę?

– To jest możliwe. Pamiętajmy też, że przyznanie tytułu ESK nie jest formą nagrody za to, że w danym miejscu jest wiele wydarzeń kulturalnych, chociaż to również jest ważne, ale jest przede wszystkim pewną formą dania jakiejś społeczności lokalnej nowego oddechu. Jest szansą na rozwój miasta. Proszę zauważyć, że takie tytuły często nie są przyznawane najsilniejszym, najprężniejszym ośrodkom w danym kraju. Oczywiście trzeba włożyć coś od siebie i pokazać, że chce się z takiej szansy skorzystać. Nie jest też tak, że jeśli festiwal przeniesie się dzisiaj do innego miasta, to tracimy szansę na ten tytuł. Powiem więcej, nawet gdyby się tak stało, że w tej rywalizacji przegramy z którymś z innych ośrodków, to już samo zaangażowanie w ten projekt, samo przestawienie myślenia, skierowanie dodatkowych funduszy przez wszystkie te lata w kulturę, przyniesie pozytywny efekt. On oczywiście będzie podwojony czy potrojony, jeżeli ten tytuł uda nam się uzyskać, natomiast jeżeliby się to nie udało, to nie znaczy, że zapominamy o tej sprawie. Łódź musi stwarzać warunki do tego, żeby ludzie do nas chcieli przyjechać. Żadne nowoczesne miasto nie może sobie pozwolić na to, żeby było miejscem, gdzie się tylko pracuje i śpi. Wielkie miasto musi tętnić życiem.

– Jak rozumiem będą ze strony miasta prowadzone prężne działania na rzecz festiwali i wydarzeń kulturalnych?

– Z całą pewnością. Potrzebna jest barwna paleta imprez. Po pierwsze takich, które angażują społeczność lokalną w aktywne uczestnictwo w różnych przedsięwzięciach, a z drugiej strony naprawdę warto, aby Łódź zabiegała o flagowe wydarzenia, takie jednorazowe, które są okazją do promocji miasta i przyciągnięcia gości. Dzięki temu, że mamy dzisiaj w Łodzi halę widowiskowo-sportową, mamy miejsce gdzie wreszcie istnieje możliwość organizacji koncertów, czy różnych innych wydarzeń, które mogą zainteresować ludzi i to nie tylko z kraju.

– Wydaje się, że Atlas Arena spełniła pokładane w niej oczekiwania.

– Tam imprez jest ciągle za mało. Organizacja wielkiej imprezy oczywiście kosztuje, a im bardziej renomowany wykonawca, tym cena jest wyższa. Warto w to jednak zainwestować, bo takie nakłady zwracają się w promocji marki miasta w mediach ogólnopolskich. Jeszcze kilka czy kilkanaście lat temu Łódź była pomijana na trasach koncertowych, nie tylko dlatego, że poziom zamożności mieszkańców był niższy i możliwość sprzedaży biletów była mniejsza niż w innych polskich aglomeracjach, ale także dlatego, że nie było warunków chociażby akustycznych do tego, żeby taki dobry koncert w Łodzi zrobić. Dzisiaj sytuacja wygląda inaczej. Trzeba tę szansę wykorzystać.

– Wstąpił pan do klubu radnych PO, chociaż nie zmienił pan barw partyjnych. Co sprawiło, że zdecydował się pan wesprzeć swoim głosem klub PO?

– Od zawsze byłem związany ze środowiskiem Unii Demokratycznej, a później Unii Wolności. Niestety, najlepsze lata tego ugrupowania odeszły już w przeszłość. Ja jestem jedynym radnym Partii Demokratycznej, a samorządy, zwłaszcza w tych wielkich miastach, są coraz bardziej upolitycznione. W łódzkiej Radzie Miejskiej mamy praktycznie tylko trzy duże frakcje. Pojedynczy radny ma bardzo ograniczone możliwości skutecznego działania. W związku z czym radni zrzeszają się w klubach. Niewątpliwie z tych trzech klubów, klub Platformy jest najbliższy moim przekonaniom. Zresztą wielu polityków Platformy to osoby, z którymi kiedyś wspólnie tworzyliśmy Unię Wolności. Zresztą w samorządzie te różnice polityczne nie mają aż tak wielkiego znaczenia. Aby podjąć decyzję, która dziura w drodze ma być pierwsza załatana albo czy powinna zostać zainstalowana sygnalizacja świetlna, nie jest najważniejsze to, czy się jest zwolennikiem Lecha Kaczyńskiego czy Bronisława Komorowskiego. Mądrych znajdzie pan w każdej partii, głupich niestety też.

– Pracował pan jako urzędnik, zatem może pan ocenić relację pomiędzy radnymi a urzędnikami.

– Nie ma czegoś takiego jak jedna relacja, są ludzie. Wszystko zależy od osobowości i od jakości danej osoby. Są radni, są urzędnicy, którzy mają takie poczucie misji i znakomicie współpracują pomiędzy sobą. Ale bywają osoby, z którymi ze względu na różnice charakterów i sposób działania trudno znaleźć wspólny język. Niewątpliwie z innej perspektywy patrzy radny, a z innej urzędnik, ale to dobrze, bo w starciu takich spojrzeń może się utrzeć korzystne rozwiązanie. Miasto podejmuje naprawdę wiele decyzji, które zawsze będą budzić kontrowersje. Często zdarzają się decyzje ważne dla mieszkańców, ale niekoniecznie tych mieszkających w sąsiedztwie. Trzeba ważyć interes miasta, ale także prawa jednostki. I nie podejmować decyzji pod presją mediów albo dla zaistnienia w nich.

– Z której strony łatwiej się pracuje i łatwiej osiągnąć jakiś dobry kompromis?

– Myślę, że praca radnego jest łatwiejsza, ponieważ radny tak naprawdę odpowiada tylko przed swoimi wyborcami i ma większą swobodę w działaniu. Urzędnik ma nad sobą gąszcz przepisów, w ramach których musi się bezwzględnie poruszać. Często jest odbierany jako ktoś z innego świata, ktoś obcy. Z drugiej strony praca urzędnika jest jakimś zawodem, praca radnego jest dodatkowym zajęciem. Jest wiele osób w samorządzie, które pracowały po obu stronach i to dobrze, bo to też daje im trochę szersze spojrzenie. Szkoda, kiedy osoby zasłużone dla samorządu znikają z Rady, bo przegrały wybory. Warto korzystać z doświadczenia tych samorządowców, mają przecież wiedzę i mogą ją dla dobra Łodzi spożytkować niekoniecznie z pozycji radnego.

– Tyle lat działa już pan w samorządzie miasta i nadal pan chce to robić. Co takiego w tym jest?

– To jest oczywiście jakiś magnes. Do tej działalności często trafiają ludzie, którzy mają potrzebę samorealizacji właśnie w ten sposób, czy to w formie aktywności politycznej, czy społecznej. Niewątpliwie jest to praca, która przynosi dużą satysfakcję. Jeśli uda się coś zrobić, to daje ogromny zastrzyk radości. Dzisiaj rozmawiamy w Aquaparku, na Fali. Kiedy tutaj przychodzę i widzę codziennie kilka tysięcy bawiących się osób, dostarcza mi to ogromnej radości. Bo wysiłkiem wielu osób udało się zbudować obiekt, który był tak wyczekiwany przez mieszkańców. Każdy radny ma coś takiego, co może sobie wpisać w życiorys jako po części chociażby swoje osiągnięcie. Ale proszę mi wierzyć zwykła zebra, przejście dla pieszych, też potrafi ucie-

szyć. Kiedy przychodzi koniec kadencji i kolejne wybory, to zawsze wieczór wyborczy, na którym można zobaczyć wyniki głosowania, jest ogromnym przeżyciem. Może być bardzo bolesnym i traumatycznym, jeśli głosów w urnie jest mało, ale jeśli jest ich gruby plik, to jest to naprawdę cudowne uczucie. Nie dlatego, że się wygrywa mandat radnego, ale dlatego, że ma się poczucie bycia komuś potrzebnym.

– Będzie kolorowo, będzie lepiej w naszym mieście?

– W Łodzi coraz lepiej się żyje, nie jest już tylko szara. Coraz więcej osób chce zostać w tym w mieście, nie jest tak, że młodzi ludzie marzą o wyjeździe do Anglii. Jeśli stworzymy im odpowiednie warunki, to na pewno chętnie zostaną.

rozmawiał Piotr Zawłocki

Witold Rosset – Radny Klubu Platformy Obywatelskiej. Trzy razy, od roku 1994, zdobywał mandat radnego. Należy do Partii Demokratycznej – demokraci.pl. W latach 1994–98 rzecznik Prezydenta Łodzi Marka Czekalskiego. Kandydat na prezydenta Łodzi w 2002 roku.

Uczestniczy w pracach kilku komisji: Finansów, Budżetu i Polityki Podatkowej (wiceprzewodniczący), Kultury, Nagród i Odznaczeń oraz Ochrony Zdrowia i Opieki Społecznej (wiceprzewodniczący).

Z wykształcenia lekarz, absolwent Uniwersytetu Medycznego w Łodzi. Obecnie pracuje w Aquaparku Fala na stanowisku dyrektora ds. rozwoju. Wcześniej pracował również w Wydziale Gospodarowania Majątkiem Urzędu Miasta Łodzi, gdzie był współodpowiedzialny m.in. za budowę Aquaparku.

Traktuję mandat jak powinność...

Rozmowa Marianem Papisem, radnym-seniorem Rady Miejskiej

– Obchodziliśmy niedawno 20. rocznicę pierwszych w pełni demokratycznych wyborów do Rady Miejskiej w Łodzi, po transformacji systemowej. Miał pan okazję obserwować wnikliwie to dwudziestolecie od samego początku transformacji...

– Wspominając te 20 lat – którym przyglądałem się najpierw z pozycji dziennikarza „Głosu Porannego", bywającego od czasu do czasu na sesjach, interesującego się całym kontekstem polityczno-społecznym przemian po Okrągłym Stole, potem z pozycji radnego – mam wrażenie, że Łódź była jednym z miast, które najlepiej przygotowały się do transformacji systemowej. Po Okrągłym Stole było wiadomo, że komuniści zostaną stopniowo pozbawieni władzy i że trzeba się na tę sytuację przygotować. Działacze „Solidarności", mający ambicje wziąć odpowiedzialność za miasto, z Grzegorzem Palką na czele, powołali 5 marca 1989 roku na spotkaniu przedstawicieli 17 organizacji solidarnościowych w Klubie Inteligencji Katolickiej Łódzkie Porozumienie Obywatelskie. Z czasem do ŁPO przystąpiły kolejne organizacje. Razem 44 podmioty. ŁPO już na samym początku przemian odniosło kilka sukcesów. Wprowadziło więc do Sejmu Kontraktowego dwóch swoich posłów: Andrzeja Kerna i Stefana Niesiołowskiego, którzy zresztą pełnili w nim dość ważne role: Kern został wicemarszałkiem, a Niesiołowski, dzięki swojej energii, okazał się jednym z lepiej rozpoznawalnych wtedy parlamentarzystów. ŁPO zaproponowało też Marka Markiewicza na szefa lokalnej telewizji i wreszcie zgłosiło do wyborów na wojewodę-prezydenta Łodzi Waldema-

Fot. archiwum Biura Rady Miejskiej

ra Bohdanowicza. W trzeciej turze wygrał on te wybory z Jerzym Drygalskim, przedstawicielem WKO – również organizacji solidarnościowej kojarzonej z Lechem Wałęsą. Bohdanowicz powołał na wiceprezydenta Grzegorza Palkę. 27 maja 1990 roku ŁPO w wyborach do Rady Miasta wprowadziło 50 radnych, podczas gdy zaprzyjaźnione WKO 24, a sześć mandatów pozostało dla przedstawicieli SdRP. Wtedy jeszcze prezydenta miasta wybierała Rada; zarówno ŁPO, jak i WKO, głosowały za Grzegorzem Palką. Muszę powiedzieć, że Grzegorz był rzeczywiście liderem i osobą najlepiej przygotowaną do tego urzędu. Jeszcze w latach 1980-81 odbyły się w Łodzi dwie konferencje ekonomiczne. Zorganizowano je z inicjatywy dr. Jerzego Kropiwnickiego – członka „Solidarności" na wydziale ekonomiczno-socjologicznym UŁ – z udziałem wybitnych ekspertów wspierających wtedy nowe tendencje i środowisko opozycji, między innymi Stefana Bratkowskiego, prof. Włodzimierza Trzeciakowskiego, prof. Cezarego Józefiaka czy dr Anny Fornalczyk. Podczas drugiej konferencji przygotowano program społeczno-ekonomiczny dla „Solidarności". Palka był pilnym obserwatorem konferencji, napisał również aneks do programu, w którym przedstawił swój punkt widzenia. Program zaprezentowany później, jesienią 1981 roku, na pierwszym zjeździe „Solidarności" w Oliwie, był tak przekonywujący, że związek desygnował Palkę na szefa grupy eksperckiej ds. rozmów z ówczesną władzą na temat reformy społeczno-gospodarczej w Polsce. Losy się tak jednak potoczyły, że Kropiwnicki i Palka wylądowali potem w więzieniu – dostali ciężkie oskarżenia o przygotowanie do obalenia przemocą ustroju PRL, za które groziła nawet kara śmierci. Po wyjściu na wolność Palka myślał o reformatorskich przemianach, tworzył plany dla Łodzi.

Chciałem dzisiaj wspomnieć o pewnym kłopocie związanym z upartyjnieniem samorządu. Otóż choć Łódzkie Porozumienie Obywatelskie formowały także partie polityczne, jak powstałe w październiku 1989 roku ZCHN, KPN, Stronnictwo Chrześcijańsko-Narodowe, to jednak postanowiono w ramach ŁPO – a było to bardzo ważne dla Palki, o czym często wtedy wspominałem w mojej ówczesnej publicystyce – że należy samorząd odpartyjnić. Polityka powinna się rozgrywać w Sejmie, a my radni powinniśmy się zajmować Łodzią. Oczywiście również wtedy miały miejsce spory między przedstawicielami ugrupowań politycznych, ale starano się nie powoływać na przynależność partyjną. Wtedy takim silnym adwersarzem Grzegorza Palki był Andrzej Terlecki z KPN – wtedy marszałek Sejmiku Wojewódzkiego – był to jednak zawsze spór merytoryczny.

– Którą z kadencji łódzkiego samorządu uważa pan za najważniejszą?

– I kadencja była ogromnie ważna. Ówcześni samorządowcy decydowali bowiem o kształcie transformacji i musieli się zmierzyć z problemami, jakie napotkały miasto w nowej rzeczywistości. Miasto nie było atrakcyjne dla inwestorów

zagranicznych, naszego kapitału również nie było. Wiedzieliśmy, że jesteśmy biedni, że na inwestycje nas nie stać. W kręgu ŁPO postanowiono, że musimy starać się o kapitał zagraniczny. Ważnym elementem stała się również modernizacja ulicy Piotrkowskiej, podjęta dla jej uatrakcyjnienia. Oponowali radni, głównie z SdRP, argumentując, że w sytuacji postępującej biedy w mieście inwestycje w Piotrkowską są nieuzasadnione. Kolejnym ważnym pomysłem było lotnisko; rozbudowywane z małego lądowiska aeroklubu... Dzisiaj jest to dobrze funkcjonujący port, ale warto wspomnieć w kontekście wznoszenia trzeciego terminalu, że to właśnie Grzegorz Palka dostrzegł potrzebę stworzenia takiego portu lotniczego w Łodzi.

Łódź przeżywała po 1989 roku jeden z największych kryzysów ze względu na padający przemysł włókienniczy. Kiedy padł handel ze wschodem, zaczęły padać fabryki. W takiej sytuacji trzeba było szukać nowych rozwiązań ekonomicznych. Jednym z takich pierwszych wyzwań była Grupowa Oczyszczalnia Ścieków, którą zainteresował się inwestor z Francji. Trzeba powiedzieć również, że Łódź była wtedy ogromnie zadłużona – to było około 180 milionów złotych jeszcze przed krachem inflacyjnym, a więc była to znacząca suma. W roku 1992 udało się nam miasto oddłużyć, i tak Grzegorz Palka zostawił Łódź swojemu następcy Markowi Czekalskiemu już z pewnym dochodem.

– Często dzisiaj porównujemy Łódź do innych dużych miast w Polsce; Krakowa, Wrocławia, Gdańska i nie zawsze w tych porównaniach wypadamy najlepiej. Czy nie ma pan jednak wrażenia, że często zapominamy o tym, iż Łódź startowała z dużo gorszej pozycji na początku transformacji i miała trudniejszą drogę od innych dużych miast?

– Rzeczywiście byliśmy w najtrudniejszej sytuacji społeczno-gospodarczej pośród wspomnianych miast, z powodu upadku monokultury włókienniczej, skutkiem tego było strukturalne bezrobocie na początku lat 90. wynoszące blisko 30 procent. Jeszcze w 2002 roku, na początku prezydentury Jerzego Kropiwnickiego, było to około 21 procent. Wspomniał pan o Wrocławiu – bardzo często powtarzam moim kolegom radnym: odpartyjnijmy Łódź, weźmy przykład z Wrocławia. Tam prezydent Rafał Dutkiewicz nie startuje z żadnej partii, ale popierają go przedstawiciele dużych partii, ponieważ nie mają lepszych kandydatów. Nie ma więc w Radzie Miasta Wrocławia polityki, podobnie zresztą jak w Katowicach, gdzie rządzi prezydent Uszok ze swoją grupą samorządowców.

– Jest pan przykładem człowieka, który pracą samorządowca zajął się w wieku dojrzałym, już po zakończeniu swojej kariery zawodowej. Proszę powiedzieć jak to się stało, że został pan radnym?

– Nie był to przypadek. W 1993 roku przeszedłem na emeryturę – dziennikarze mają prawo do emerytury osiągnąwszy 60. rok życia. Będąc wcześniej związany z opozycją jako dziennikarz, szukałem dla siebie miejsca w tej nowej rzeczywistości. Krótko po przejściu na emeryturę zadzwonił do mnie prof. Stanisław Mikołajczak z Poznania. Będąc już wtedy w kontakcie z moimi kolegami z Łodzi, Elżbietą Hibner, Markiem Pyką, zaproponował mi przystąpienie do tworzącej się wtedy PCHD – Partii Chrześcijańskich Demokratów. Znałem rzeczywiście wielu ludzi z tego środowiska, programowo się z nimi zgadzałem, więc zostałem członkiem tego ugrupowania. Zgłoszono mnie do wyborów w 1994 roku i udało mi się wejść do Rady Miejskiej. Muszę powiedzieć, że początkowo było też trochę nieufności w stosunku do mnie. Przez wiele lat związany byłem z organizacją PAX jako dziennikarz „Słowa Powszechnego", więc niektórzy bardzo radykalni opozycjoniści nie mieli do mnie zaufania. Startowałem wtedy z szóstego miejsca na liście wyborczej i te wybory wygrałem, uzyskując najwięcej głosów na mojej liście. Przy czym nie miałem żadnych ulotek – bo sam nie wierzyłem, że z szóstego miejsca uda mi się wygrać wybory. Miałem przyzwoity biogram, a moi znajomi rozdali go łodzianom w tych parafiach, z którymi byłem związany. W okresie stanu wojennego byłem internowany. Po wyjściu na wolność urlopowano mnie jako dziennikarza. Przez jakiś czas pracowałem więc jako katecheta, dlatego w środowisku katolickim miałem sympatyczne kontakty. No i wygrałem te wybory, a nieufność radykałów się skończyła i odtąd odnoszono się już do mnie z szacunkiem. Natomiast potrzebę pracy społecznej miałem, będąc dziennikarzem w „Słowie Powszechnym". Organizowałem wtedy konferencje, na przykład cykl spotkań „Sacrum w kulturze", a na fali karnawału „Solidarności" w 1981 roku spotkania dyskusyjne pod hasłem *Wszystko co Polskę stanowi.* Lubiłem pracę społeczną i przez wiele lat kierowałem Towarzystwem Przyjaźni Polsko-Włoskiej w Łodzi – takim miłym stowarzyszeniem opartym w działaniu tylko na wolontariacie.

– Jak panu, jednemu z bardziej doświadczonych radnych, współpracuje się z kolegami, często reprezentującymi młodsze lub nawet dużo młodsze pokolenie radnych. W obecnej Radzie przeważają młodzi samorządowcy i tacy, dla których obecna kadencja jest pierwsza w ich samorządowej karierze?

– Czasem czuję się w tym nieco osamotniony, bo traktuję mandat jako powinność wobec wyborców. A mam wrażenie, że wielu radnych, szczególnie tego młodego pokolenia, zabiega przede wszystkim o popularność. Stanąć przed kamerami, zgłosić możliwie najwięcej interpelacji, często mało istotnych... Indywidualnie zaś, rozmawiając, widzę, że to są bardzo ciekawi, zaangażowani ludzie, ale kiedy występują jako zespół, to pożal się Boże. Według mnie jest to najsłabsza Rada Miejska i to nie dlatego, że jest młoda. Problemem jest to, że większość radnych widzi przede

wszystkim siebie i za główny cel stawia promocję swojej osoby. Taka próżność czasem góruje... ma się wrażenie, że często chodzi o to, żeby zgłosić jakiś projekcik, nawet przypadkowy, nieprzemyślany, żeby tylko ktoś to odnotował.

– Chciałem pana również zapytać – jako dziennikarza i samorządowca – jak sami łodzianie widzą i oceniają działalność samorządu? Również w kontekście niskiej, bo wynoszącej niewiele ponad 30 procent frekwencji w ostatnich wyborach samorządowych.

– Według mnie łodzianie są trochę zmęczeni polityką w Radzie Miejskiej. Radnym lewicy skutecznie udało się przeprowadzić referendum i wspólnie z PO odwołać prezydenta Kropiwnickiego. Mogę panu powiedzieć, że osobiście chodziłem do prezydenta Kropiwnickiego, prosiłem, żeby podjął polemikę z Dariuszem Jońskim, apelowałem, żeby nie odwoływał dyrektora Zbigniewa Brzozy z Teatru Nowego. Prezydent mi na to odpowiedział, że inni powinni go bronić, bo on nie zamierza w swojej sprawie interweniować, a co do tej drugiej kwestii, to rzeczywiście w Teatrze Nowym był konflikt, skoro wszystkie związki zawodowe występowały przeciwko dyrektorowi. Obserwuję również, że coraz mniej łodzian przychodzi na dyżury do radnych – właściwie tylko radny Godson ma zawsze wielu interesantów.

– Krytycznie opowiadał się pan o obecnej kadencji Rady Miejskiej, ale musimy również przyznać, że to za jej trwania uchwalono, bądź dyskutowano wiele, rewolucyjnych niemal dla Łodzi, projektów. Takich jak choćby Nowe Studium Kierunków i Uwarunkowań Zagospodarowania Przestrzennego Łodzi, kwestię Nowego Centrum Łodzi, Camerimage Łódź Center czy hali Atlas Arena, nie wspominając o przygotowaniach do projektu Europejskiej Stolicy Kultury 2016. Oczywiście w dużej mierze są one zasługą organu wykonawczego. Decyzyjność prezydenta Kropiwnickiego była duża, ale i radni wykazywali się w tych sprawach inicjatywą. Które z tych projektów uważa pan za szczególnie ważne?

– Obok szczególnych zasług prezydenta Jerzego Kropiwnickiego nie można przejść obojętnie. Kropiwnicki przejdzie do historii jako ten, który otworzył Łódź na świat przez projekt upamiętnienia Litzmannstadt Ghetto – to jest nie tylko dla mnie bardzo konkretny przykład. Obchody 60. i 65. rocznicy zagłady społeczności żydowskiej w Łodzi były rzeczywiście bardzo dobrze przygotowane i zainteresowały świat Łodzią. Prezydent potrafił je wykorzystać nie tylko wizerunkowo, ale również ekonomicznie; udało mu się zainteresować Łodzią kapitał z Izraela. Mam na myśli chociażby Mordechaja Zissera, mającego łódzkie korzenie, który zaangażował się finanso-

wo w powstanie pomnika Polaków Ratujących Żydów w czasie II wojny światowej i zgodził się współfinansować Centrum Dialogu w Parku Ocalałych. Prezydent Lech Kaczyński wspominał w sierpniu ubiegłego roku, iż w Ameryce często pytano go o Łódź właśnie w kontekście rocznicy likwidacji Litzmannstadt Ghetto.

Kolejna kwestia – pamiętam, że będąc członkiem zarządu ŁKS interweniowałem, by klub zgodził się oddać dzierżawione od miasta działki na halę wielofunkcyjną. Projekt ten zresztą był kilkakrotnie skreślany w planach inwestycyjnych w latach 1993-97. Tymczasem to Kropiwnicki, kiedy był ministrem w rządzie AWS, tak zwanym kontraktem wojewódzkim wprowadził łódzką Filharmonię i halę wielofunkcyjną do planów inwestycyjnych. Kiedy dziś, jako radny, pytam właścicieli łódzkich lokali gastronomicznych jakie korzyści czerpią z hali, to okazuje się, że te korzyści są ogromne. Obroty handlu i hoteli w czasie mistrzostw Europy siatkarek, a wcześniej koszykarzy, wzrosły kilkakrotnie. Podobnie było podczas Camerimage. Nie mogę wybaczyć, że tak obojętnie podchodzi się do kwestii Camerimage. Miasto traci przez to pewne dobra. Marek Żydowicz ma trudny charakter, ale to przecież on ten festiwal wymyślił, wypromował, stworzył i nadał mu renomę.

Warto wspomnieć o loftach na Tymienieckiego w dawnej fabryce Scheiblera, o którą to inwestycję zabiegał były prezydent Kropiwnicki. Mogę też zwrócić uwagę na ważną inwestycję. To zrewitalizowany drugi gmach dla Centralnego Muzeum Włókiennictwa ze skansenem obok, o co zabiegałem – wspierany także przez radnego Macieja Rakowskiego. To wszystko się dokonało w kadencji Kropiwnickiego.

– Spędził pan w Łodzi większość swojego życia zawodowego, choć pochodzi pan z innego regionu. Co pana osobiście w Łodzi najbardziej fascynuje i co zdecydowało o tym, że przez tyle lat jest pan wierny naszemu miastu?

– Nie jestem z Łodzi. Pochodzę z okolic Opoczna. Ukończyłem bardzo dobre gimnazjum prywatne w Mariówce Opoczyńskiej im. Królowej Jadwigi, a na studia pojechałem do Lublina. Po ukończeniu historii na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, pojechałem na Warmię i Mazury. Tam nauczyłem się patriotyzmu. W Olsztynie trafiłem na wspaniałe środowisko Warmiaków, Mazurów, którzy walczyli o polskość Warmii i Mazur, takich jak Maria Zientara-Malecka, Alojzy Śliwa, Jan Lubomirski. Byli oni redaktorami „Słowa na Warmii i Mazurach", dodatku do „Słowa Powszechnego". Pismo to liczyło cztery strony i było formatu takiej ogromnej płachty jak swego czasu na przykład „Tygodnik Powszechny" czy dawna „Rzeczpospolita". Wysłano mnie na półtora roku do Olsztyna, za co jestem bardzo wdzięczny. Potem przeniesiono mnie do Łodzi. Nieopodal w Wieluniu była mutacja „Słowa Powszechnego", podobna jak ta w Olsztynie. Krótko wcześniej powstała koncepcja przeniesienia „Tygodnika Rzeszowskiego" do Łodzi, w którym podjąłem pracę. Miałem tam nawet stałą rubrykę pod

tytułem *Nurt młodych*, do której zapraszałem do współpracy młodych absolwentów, między innymi Ryszarda Czubaczyńskiego, obecnego dyrektora Muzeum Miasta Łodzi. Później, kiedy Władysław Gomułka wściekł się na PAX, że Piasecki zaczął robić własną politykę, zamknięto ten tygodnik. Wróciłem do „Słowa Powszechnego" i byłem kierownikiem lokalnego oddziału pisma. Ze względu na rodzinę nie chciałem już zmieniać miejsca zamieszkania. Jedna rzecz mnie tutaj trzymała. To byli ludzie. Kiedy się już z kimś zrobi coś ciekawego, kiedy wejdzie się w pewne przyjaźnie, to ciężko potem z nich rezygnować. W trudnych latach, 60. i 70., kiedy działała cenzura, a historia Armii Krajowej nie miała praw obywatelskich, zacząłem we „Wrocławskim Tygodniku Katolickim" pisać o wysiłku Polski podziemnej, zaczynając niewinnie od harcerek. Rzeczywiście, mnóstwo ukazało się tych moich artykułów, tak że z czasem stałem się rozpoznawalny i miałem wiele kontaktów ze strony naukowców, rodzin byłych akowców. Poza tym miałem w Łodzi kontakty z ludźmi kultury, między innymi za sprawą cyklu konferencji „Sacrum w kulturze", które organizowałem, a potem relacjonowałem obszernie dla „WTK".

– Zbliżają się wybory samorządowe – zaplanowane na jesień bieżącego roku. Czy będzie pan kandydował na swoją piątą kadencję?

– Wybory mają być według wstępnych ustaleń 14 listopada. Powiem szczerze: postawiłem kwestię sensowności mojego kandydowania na zarządzie ŁPO ze względu na mój wiek. Moi koledzy jednak nie przyjęli tej wątpliwości, zresztą powiedzieli mi: *skądże, duchem jesteś młodszy od nas*. Jeszcze nie zdecydowałem, decyzja oczywiście należy też do lidera naszego ugrupowania Włodzimierza Tomaszewskiego. Chciałbym jeszcze popracować dla Łodzi, a na pewno w taki czy inny sposób, na prośbę moich kolegów, będę się angażował w kampanię wyborczą.

rozmawiał Marcin Kieruzel

Marian Papis – urodzony w 1933 roku w Nieznamierowicach w powiecie opoczyńskim. Radny II, III, IV i V kadencji Rady Miejskiej w Łodzi. Były prezes Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego. Ukończył historię na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Pracował jako dziennikarz w „Słowie Powszechnym" (do 1957 roku w Olsztynie, potem do 1981 w Łodzi). Publikował w prasie drugiego obiegu: „Obecności", „Głosie", „Przeświecie". Członek-założyciel dziennikarskiej „Solidarności". Internowany w stanie wojennym. Po 1989 roku zastępca redaktora naczelnego „Głosu Porannego". Odznaczony Krzyżem Kawalerskim OOP w 2007 roku.

Po pierwsze budżet

Wywiad z Innocentym Święcickim, radnym Rady Miejskiej w Łodzi w latach 1990–98

– Jak wyglądała pana droga do aktywnej pracy samorządowej?

– Zdałem maturę w 1939 roku w liceum nr 3 im. Stefana Żeromskiego w Łodzi. Szkoła kładła nacisk na przedmioty humanistyczne. Dzięki solidnemu, klasycznemu wykształceniu do dziś czytam poezję po łacinie. Liceum stało się lekcją patriotyzmu, a maksyma *vir bonus* – człowiek uczciwy – przyświeca mi przez całe życie. Prawda stała się dla mnie umiłowaną, a katolicyzm dał siłę, żeby nie popierać ustroju komunistycznego.

Czułem się powołany do pracy społecznej. Dzięki wykształceniu i pracy zawodowej zdobyłem wiedzę o funkcjonowaniu przedsiębiorstw i finansach państwa. Obserwowałem, że w moim otoczeniu ludzie nie znają tych zagadnień. Stwierdziłem, że muszę być jednostką użyteczną, bo to mój, jako katolika, obowiązek.

Do kandydowania do Rady Miejskiej w 1990 roku namawiał mnie Jan Mędrzak, przewodniczący Klubu Inteligencji Katolickiej w Łodzi, któremu ufałem, bo znaliśmy się jeszcze z czasów szkoły średniej. Jednak byłem nastawiony sceptycznie do tej propozycji. Miałem już 69 lat i wydawało mi się, że jestem reliktem przeszłości, a ludzie stawiają na młodych, prężnych i otwartych na świat. Nie potrzebowałem zaszczytów i stanowisk, co wydaje mi się dostrzegali też radni opozycji.

– Wspomniany Jan Mędrzak współtworzył z panem reaktywowany w 1988 roku Klub Inteligencji Katolickiej w Łodzi. Klub miał stać

Fot. zbiory prywatne Innocentego Święcickiego

się bazą dla działań społecznych i siłą rzeczy politycznych, a pan reprezentantem KIK-u w Radzie?

– Powstanie KIK-u nie miało żadnych podtekstów politycznych, ale faktycznie uznano mnie za przedstawiciela Klubu w Radzie. Powstawanie samorządu terytorialnego w Łodzi opierało się o grupy społeczne i polityczne, przede wszystkim reprezentujące dwa rozbieżne kierunki w NSZZ „Solidarność". Animozje w „Solidarności" starał się łagodzić KIK. Zostałem delegowany do Łódzkiego Porozumienia Obywatelskiego, z którego listy startowałem.

W ŁPO, gdzie czołową rolę odgrywali członkowie Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, dostrzegłem ludzi, którzy mieli wizję rozwoju Łodzi. Był tam między innymi Grzegorz Palka, który mimo wykształcenia inżynierskiego, rozmawiał o ekonomii z takim znawstwem, że musiałem obalić niektóre swoje sądy i przewidywania. Uważałem, że temu zdolnemu, młodemu człowiekowi należy znaleźć ludzi i zapewnić środki współpracy.

– W jakiej kondycji demokratycznie wybrane władze Łodzi przejęły finanse miasta?

– Okres przed 1990 rokiem był latami zaniedbań w sferze gospodarki miejskiej. Przejmowanie odpowiedzialności za miasto dotyczyły między innymi niezinwentaryzowanego mienia komunalnego, niewystarczającej infrastruktury wodociągowej i kanalizacyjnej, zły stan techniczny i braki w taborze tramwajowym i autobusowym. Stan ulic i dróg, zwłaszcza poza śródmieściem był żenujący. Największym problemem była wystarczalność środków i ich uzyskiwanie od państwa. Miasto było poważnie zadłużone. Sytuacja była o tyle bardziej trudna, że inflacja powstała przed 1990 rokiem nadal się rozwijała, a realizacja planu Balcerowicza komplikowała życie gospodarcze i finansowe miasta opartego na przemyśle. Upadek fabryk zwiększał bezrobocie, ograniczał łódzki eksport, powodował spadek dochodów miasta z tytułu udziału we wpływach z podatków państwowych. W takich warunkach upadał prestiż Łodzi jako dużego miasta, którego dynamizm rozwoju byłby atrakcyjny dla rozwijania działalności inwestycyjnej.

Zaczęliśmy wyprzedaż mieszkań komunalnych. Łódź posiadała procentowo najwięcej takich lokali w obszarze, który można odnieść do granic przedwojennej Polski. Być może trzeba było stawiać nowe komunalne domy, ale musieliśmy również zadbać o remont starych.

Zadania samorządu były rozdzielane przez rząd, ale środki na ich realizacje dostawaliśmy za małe albo nie dostawaliśmy w ogóle. Zasadą było *wygospodarujcie sobie sami.* A myśmy osiągali w mieście wszystko co się dało. Samorząd miał określone udziały procentowe lub kwotowe w budżecie państwa. Wyznaczaliśmy górne granice opodatkowania. Przede wszystkim jednak istniały ograniczenia w dzia-

łaniu wobec mieszkańców. Łódź była i jest nadal miastem biednym, więc nie można było wprowadzać podwyżek cen usług komunalnych. W I kadencji wycofaliśmy się z urealnienia cen biletów MPK i wody.

– Do dziś Łódź nosi więc etykietę „biednego miasta"?

– Łódź była miastem pracy najemnej. Zarobki w dominujących tu przemysłach włókienniczym, spożywczym czy skórzanym były niskie w porównaniu na przykład z hutnictwem czy górnictwem. Łódź i województwo tradycyjnie w skali kraju zawsze było mocno poniżej średniej w zestawieniu zarobków. Dziś mieszkania w Łodzi są najtańsze z dużych miast, bo to miernik bogactwa mieszkańców.

Zastój gospodarczy powodowały wśród mieszkańców marazm, brak wiary w przyszłość i ograniczenie inicjatywności. Dlatego też zdolni absolwenci łódzkich uczelni opuszczali Łódź, otrzymując propozycje pracy w Warszawie. Kiedy zajmowałem się planowaniem przestrzennym przed 1989 rokiem, wśród urbanistów popularna była koncepcja połączenia Łodzi z Warszawą. Wzdłuż torów kolejowych miałaby powstać miejska zabudowa. Łódź miała tracić swoje znaczenie.

– Jakie działania podejmował Zarząd Miasta pod przewodnictwem prezydenta Grzegorza Palki?

– Dzięki wiedzy zdobytej przy planowaniu Bełchatowskiego Okręgu Przemysłowego wiedziałem, że na terenie województwa łódzkiego istnieje jedyne lotnisko, które może służyć jako pasażerskie – to lotnisko wojskowe pod Łaskiem. Ale ono było niedostępne. Rozbudowa Lublinka stała się więc koniecznością, bo inaczej cały ruch lotniczy przejęłaby Warszawa. Okazało się jednak, że trzeba niektórych do tego przekonywać. Do dzisiaj w Radzie zasiadają osoby, które spotykały się z mieszkańcami Rudy Pabianickiej i Retkini, strasząc ich lotniskiem oraz wzmożonym ruchem i hałasem. Ale sami nie proponowali rozwiązania problemu. Palka rozpoczął rozbudowę pasów Lublinka oraz przedstawił koncepcje budynku odpraw. Starał się o przezwyciężenie oporów społecznych, zabiegał o środki, o doprowadzenie dróg.

Prezydent był krytykowany za koncepcje dotyczące budowy i organizacji grupowej oczyszczalni ścieków. Chciał rozwiązań sprawdzonych i nowoczesnych, zależało mu też na czasie. Natomiast przeciwnicy popierali polskie biura projektowe, które dopiero zdobywały na ten temat wiedzę. Oczyszczalnia rzeki Ner miała spełniać europejskie normy, a w projekcie miały partycypować Pabianice i Konstantynów. Zasługą Grzegorza Palki jest też ochrona Lasu Łagiewnickiego, na którego terenie wydawano coraz więcej pozwoleń na budowę.

Inwentaryzacja mienia komunalnego doprowadziła do zmian organizacji przedsiębiorstw i zakładów komunalnych, w tym też do ich prywatyzacji i de-

monopolizacji. W 1993 roku opracowano plan zagospodarowania przestrzennego, zdynamizowano imprezy targowe. Zawarto umowę o partnerstwie z Lyonem i przeszkolenia tam grupy łódzkich bankowców i samorządowców.

Palka wziął na siebie całą odpowiedzialność za władzę, co zresztą wyraźnie powiedział, i za co był ostro krytykowany. Był wtedy jedynym człowiekiem, który miał spójną wizję Łodzi i z odwagą o nią walczył. Rozumiał, że przede wszystkim musi załatwiać sprawy. Umiał też słuchać i rozmawiać z ludźmi. Wiedział, że samorząd nie może w pełni powstrzymać upadku przedsiębiorstw państwowych i w jego wyniku nasilającego się bezrobocia. Uznał więc za koniecznie podniesienie atrakcyjności miasta dla inwestorów. Wtedy to zaczęła się walka o nową ulicę Piotrkowską. Prezydentowi wytykano, że nie walczy z dużym bezrobociem, ale przecież budżet miasta nie mógł być przeznaczony na pomoc dla mieszkańców. To były zadania państwa.

– Dziś mówi się, że Rada w latach 90. była silnie upolityczniona. Czy podziały partyjne przeszkadzały w działaniu na rzecz miasta?

– Od początku funkcjonowania Rady zaznaczała się rola ŁPO, któremu przeciwstawiał się Wyborczy Komitet Obywatelski, Kongres Liberalno-Demokratyczny, a także Sojusz Lewicy Demokratycznej. Upolitycznienie przejawiało się najpierw w sprawach organizacyjnych. Na przewodniczących komisji oraz przewodniczących Rady wybierano przede wszystkim członków ŁPO. Upolitycznio no nawet kwestię zmian nazw ulic. Grzegorzowi Palce zależało na ich „odkomunizowaniu". Proponowaliśmy powrót do ich poprzedniego nazewnictwa sprzed wojny. Ale że projekt pochodził od ŁPO, to opozycja torpedowała go wszystkimi możliwymi środkami. Mniejszościowe ugrupowania prawie zawsze starały się przeciwstawić projektom uchwał przygotowywanych przez Zarząd Miasta. Nawet najmniejsze zastrzeżenia skutkowały głosami na „nie".

Na jednym z posiedzeń Komisji Finansów rozpatrywaliśmy na przykład wniosek, za którym głosował również radny z opozycji. Ale na sesji Rady był już przeciw. Pytam, dlaczego zmienił zdanie, a on odpowiada: *jak klub, tak jak; mówiłem im co myślę, ale powiedzieli, że to nie leży w naszym interesie.* A my z ŁPO mieliśmy przecież na względzie interes miasta, a nie któregoś z klubów. Zaczęła też ujawniać się pewna słabość towarzysząca niestety często aktywności społecznej. Jest to zamiłowanie do pozorów. Na posiedzeniu innej komisji jeden z radnych zaczął gwałtownie sprzeciwiać się mojemu stanowisku, kwieciście perorując. Mówię mu potem, że niepotrzebnie tak długo przemawiał, wiedząc, że nie ma racji. *Panie przewodniczący, jestem prawnikiem. Muszę coś powiedzieć, żeby zaistnieć* – odpowiedział.

W czasie drugiej kadencji Rady ŁPO z klubem Nowa Łódź (dawne WKO) zawarło porozumienie programowo-organizacyjne. W związku z jego dość swobodną interpretacją przez prezydenta Marka Czekalskiego, Nowa Łódź wprowadziła na funkcję wiceprezydenta członka SLD. Sprzeciwy ŁPO nie odniosły skutku. Doprowa-

dziło to do rozpadu koalicji i nieobsadzenia jednego stołka wiceprzewodniczącego Rady Miejskiej przez ŁPO, mimo propozycji ze strony SLD.

Powstał też wtedy pewien niedobry zwyczaj. Jeśli jeden z klubów nie chciał przegłosowania w Radzie jakiejś uchwały, jego członkowie po prostu wychodzili z sali obrad, żeby nie było kworum. Zdarzało się to dość często i trzeba było zmienić regulamin.

– Jakie były sukcesy pierwszej kadencji Rady Miejskiej?

– Najważniejszy był sukces dydaktyczny. Radni nauczyli się porządku obrad, funkcjonowania komisji, porozumiewania się. Nauczyli się utrzymywać kontakty z mieszkańcami, na przykład poprzez rady osiedlowe. Zrozumieli też, że budżet miasta to centrum poczynań Rady Miejskiej. Z natury rzeczy Rada jest władzą uchwałodawczą, a Zarząd Miasta władzą administracyjną. W związku z tym wykonanie uchwał zlecane jest odpowiednim jednostkom organizacji urzędu miejskiego. Rada przez swoje komisje, a zwłaszcza Komisję Rewizyjną, kontroluje zakres, terminowość, sposoby i ekonomikę działania miejskiej administracji. W tym zakresie Rada Miejska I kadencji spełniła swoje zadania. Przede wszystkim wdrożyła swoją organizację, uwzględniła prawo obowiązujące w państwie, ustalała prawo miejscowe, dbała o ekonomikę miasta. Osiągnęła umiejętność porozumiewania się z wydziałami i delegaturami Urzędu Miasta. Nie zalegała z rozpatrywaniem projektów uchwał. Wszystko to było o tyle trudne, że w skład Rady wchodzili niemal wyłącznie radni niemający doświadczeń w pracach takich organów.

W I kadencji Łódź zlikwidowała długi z czasów PRL-u, a jej miejska kasa zamknęła się dużą nadwyżką. Nastąpił trzykrotny wzrost środków na inwestycje, między innymi na kanalizację i wodociągi.

– Sądzi pan, że I i II kadencja spełniły oczekiwania?

– Można było zrobić więcej, nie osiągnęliśmy wielkich sukcesów. Wiele zainicjowanych wtedy projektów dziś realizowanych jest już pod inną „firmą" polityczną. Pierwsza kadencja przypadła na czas przełomowych zmian ustrojowych. Podejmowanie decyzji w tych warunkach było bardzo ryzykowne, wymagało odwagi i roztropności. Samorząd łódzki I kadencji zorganizował się zupełnie sprawnie i działał rozważnie. Całość wypadła pozytywnie i znalazła wyraz w wybraniu ówczesnego prezydenta miasta na Przewodniczącego Unii Metropolii Polskich.

W II kadencji w latach 1994-98 pojawiły się pierwsze oznaki stabilizacji państwa. Miasto było kierowane przez tak zwany zarząd menadżerski. Nastąpił powrót zadłużenia miasta, spadek nakładów na inwestycje, zahamowania budowy oczyszczalni ścieków. Pewnemu ożywieniu uległa budowa nowych mieszkań z fundu-

szy komunalnych. Dokładano starań o organizacyjną zmianę zarządzania komunalnymi zasobami mieszkalnymi. Na ogół prowadzono politykę propagandy sukcesu, wymierzoną przeciw osiągnięciom poprzedników, część osiągnięć przypisując sobie.

– Jak pan ocenia to, co się dzieje w Łodzi obecnie?

– Należy znać możliwości finansowe. Rezygnować na przykład z planów budowy wiaduktu na skrzyżowaniu alej Marszałków, bo nie ma ku temu możliwości. Ale należy rozbudowywać stopniowo infrastrukturę miejską. Moim zdaniem powstaje w Łodzi za dużo budynków biurowych. Obawiam się, że biznes poszukujący biur nie widzi w Łodzi za wiele swoich interesów, bo miasto jest za blisko Warszawy. Uważam, że przede wszystkim konieczne są szybkie połączenia kolejowe z innymi dużymi miastami i w kierunku Kutna.

Nadmiernie też używa się pojęcia obiekt zabytkowy. Zniszczona i ohydna fabryka, która sąsiadowała z moim domem, była traktowana jak zabytek nie do ruszenia. Odrestaurowanie paru secesyjnych kamienic po to, by się nimi chwalić, nie ma wielkich perspektyw na przyszłość. Trudno je przecież porównywać z zabytkami we Włoszech czy Francji. Nie byłem entuzjastą budowy Centrum Festiwalowo-Konferencyjnego w budynku byłej elektrowni EC-1. Uważam jednak, że poza Atlas Areną Łódź powinna mieć obiekt, którym mogłaby się szczycić.

Ważny jest kierunek, który zaproponowaliśmy w I kadencji Rady, a którą przejęli nasi następcy. Miasto szuka szansy, aby stać się ważnym ośrodkiem kultury i nauki. Co z tego, że będziemy mieli dobrze prosperujące fabryki, jeśli nie będzie na przykład porządnego, ambitnego teatru.

rozmawiał Mateusz Sidor

Innocenty Święcicki – radny dwóch pierwszych kadencji Rady Miejskiej w Łodzi w latach 1990-98. Pracował w komisjach Finansów, Budżetu i Polityki Podatkowej; Rozwoju Działalności Gospodarczej; Urbanistyki i Budownictwa; Rewizyjnej oraz Nagród i Odznaczeń.
Urodził się w 1921 rok w Łodzi. Absolwent prawa i ekonomii Uniwersytetu Łódzkiego oraz Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Katowicach. Pracował na stanowiskach kierowniczych w Banku Inwestycyjnym w Łodzi. Generalny projektant Bełchatowskiego Okręgu Przemysłowego w Wojewódzkiej Pracowni Planów Regionalnych. Nauczyciel w szkołach technicznych. W 1980 roku współzałożyciel „Solidarności" nauczycielskiej. W 1988 roku był współzałożycielem Klubu Inteligencji Katolickiej w Łodzi. W 1995 roku otrzymał „Odznakę za zasługi dla miasta Łodzi", a w 2005 roku „Nagrodę miasta Łodzi".

czas „Kroniki”

Zamiast peanu
Stefan Bratkowski
str. 77

Periodyk skutecznie lokalny
Pięćdziesiąt zeszytów „Kroniki Miasta Łodzi”
Gustaw Romanowski
str. 79

Mniejsza Łódź
Kilka jubileuszowych refleksji
Wojciech Michalski
str. 87

Zamiast peanu

Łódzkie czasopismo samorządowe dobiło do 50. numeru. Dla kwartalnika to już pokaźna miara. Opowiem Wam jednak coś innego – co nie będzie peanem ku czci „Kroniki Miasta Łodzi”, którą czytam i wysoko cenię. To będzie o Łodzi i jej zastojach przemysłowych. Łódź nie po raz pierwszy dotknął krach przemysłu włókienniczego. Nie po raz pierwszy – bezrobocie i poczucie klęski. W latach Wielkiego Kryzysu, w latach 30. XX wieku, zbankrutowały nawet zakłady największe – Scheiblera-Grohmana, co było symbolem totalnego upadku. Ale Eugeniusz Kwiatkowski, geniusz myśli gospodarczej, obdarzony zmysłem gospodarności, nie mógł zrozumieć, dlaczego to przynajmniej Polacy nie mieliby kupować produkcji Łodzi... Zmontował ekipę znakomitych menedżerów, załatwił kredyt w Banku Gospodarstwa Krajowego (który prowadził obsługę kasową budżetu) i kilku panów zabrało się za odrodzenie zakładów. Nie zaczęli od ich reorganizacji. Nie była potrzebna. Nie w organizacji pracy czy też gospodarce magazynowej należało szukać przyczyn katastrofy.

Opowiedział mi nieżyjący już pan Jan Skotnicki, zastępca szefa programu, Lipińskiego (chyba), jak to było. Zajęli się – dystrybucją. Pracowali – pół roku. Zidentyfikowali szczegółowo – rynki. Każdą okolicę Polski. Co kupowała, co kupuje, co może kupować, czego potrzebuje z możliwych produktów Łodzi. Kim są mieszkańcy, jakimi motywami zakupów się kierują, jak byli i jak są zamożni. Zidentyfikowano wszystkich potencjalnych pośredników – krawców, głównie tych najtańszych, żydowskich, zidentyfikowano sklepy i wszystkich, no, prawie wszystkich obrotnych, a niezawodnych „pachciarzy”, o których wspomnień jako reporter wysłuchiwałem jeszcze w początkach lat 60. – można było zamówić garnitur bez zaliczki, z mocnego sukna, taki do nicowania po latach, by mógł garnitur nosić syn, komiwojażer zdejmował miarę, po jakimś czasie przywoził garnitur, a jeśli coś nie pasowało, zabierał go i przywoził poprawiony, co więcej, płaciło mu się nawet na raty, nawet wysoką cenę (produkt był tak trwały), a krawcy żydowscy, zorganizowani w swoje spółdzielnie zaopatrzeniowe (nasi rzemieślnicy nigdy się na to nie umieli zdobyć), kupowali materiały po cenach hurtowych. Tak więc nowi menedżerowie Scheiblera-Grohmana nawiązali wszelkie kontakty z punktami sprzedaży i dopiero z gotowym systemem dystrybucji wznowili produkcję. Po pół roku zakłady osiągnęły w warunkach kończącego się kryzysu poziom sprzedaży, jakiego nigdy przedtem nie zaznały.

Dlaczego o tym piszę?

Otóż dlatego, że współczesnemu przemysłowi włókienniczemu

Łodzi zabrakło, obawiam się, takich menedżerów. Być może udałoby się coś poprawić w organizacji produkcji, organizacji pracy, gospodarce magazynowej, zaoszczędzić na magazynowaniu dzięki zasadom *just-in-time*, dostawy tylko tyle, ile trzeba, kiedy trzeba, więc bez kosztów magazynowania właśnie, ale w rzeczywistości padła – sprzedaż.

To nieprawda, że musimy przegrywać z Chinami.

Z Hong-Kongu wożono samolotami do zachodniej Europy garnitury i kiecki szyte na miarę przez tanich chińskich krawców. Łódź nigdy nie pracowała za wynagrodzenia tak głodowe jak ci Chińczycy, ale dostawy z Łodzi nie wymagałyby drogich przelotów, byłyby konkurencyjne. To dziś nadal biznes. Co więcej, i dzisiaj Łódź mogłaby oferować taki rodzaj produkcji, obracając każdy wiew mody w gotowość uszycia czegoś dokładnie na figurę klienta. Taka produkcja, taka usługa, byłaby oczywiście droższa od seryjnej, masowej, taśmowej produkcji, ale dla polskiej zamożniejszej klienteli, dla 40 procent społeczeństwa, byłaby atrakcyjną ofertą. Z gwarancją użycia przyzwoitych materiałów, a nie półpapierowych tkanin, rozlatujących się po paru tygodniach.

Warunkiem takiej przyszłości byłoby jednak zorganizowanie spółek pracowniczych, zalecanych przez Ronalda Reagana, a wcześniej przez papieża Piusa XI (potem i przez Jana Pawła II). To nie prosta techniczno-ewidencyjna operacja, to program zmiany stosunku do swego miejsca zatrudnienia i do swojej roli jako współwłaściciela. Ale możliwy i celowy.

Chyba, że chce się mieć tylko prawo pretensji do innych.

Wybaczcie mi, jeśli Was zanudziłem. Ale trudno spokojnie obserwować jęki bezrobocia, kiedy trzeba zacząć od porządnego rozpoznania rynków.

Stefan Bratkowski
– dziennikarz, pisarz, publicysta.
Honorowy Prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich

Periodyk skutecznie lokalny

Pięćdziesiąt zeszytów „Kroniki Miasta Łodzi"

50. zeszyt czasopisma łódzkiego samorządu, które ukazuje się nieprzerwanie od 1992 roku – choć nie zawsze z tą samą częstotliwością – to może jeszcze za mało na prawdziwie świąteczny jubileusz, ale z pewnością dobry to już pretekst, aby najkrócej i na roboczo podsumować historię naszego tytułu „Kroniki Miasta Łodzi". Jest bowiem „Kronika Miasta Łodzi" niewątpliwie najdłużej ukazującym się w Łodzi periodykiem wydawanym przez samorząd miasta.

Różne czasy, różne „Kroniki"

O naszym kwartalniku mówi się w skrócie „Kronika". W ten sposób o czasopismo pytają czytelnicy, tak określają je też choćby uczniowie łódzkich liceów, kiedy przygotowują referaty z wiedzy o regionie. Dzisiaj więc taki skrót nikogo już nie zmyli. Ale starzy łodzianie pamiętają może jeszcze dwutygodnik „Kronika", który ukazywał się w Łodzi w latach 1955-57. Wydawał go Zarząd Łódzki Związku Literatów Polskich, a w składzie redakcji znaleźli się pisarze: Jan Koprowski (redaktor naczelny) oraz Jerzy Binder, Stanisław Brucz, Jan Huszcza, Wiesław Jażdżyński, Tadeusz Papier, Marian Piechal, Stanisław Piętak, Edward Szuster. Tamten tytuł „Kronika" kojarzy się dobrze historykom mediów jako liczący się wkład Łodzi w ówczesną „odwilż" w życiu publicznym kraju, która wiązała się z wydarzeniami Października 1956. Na łamach tamtej „Kroniki" ukazało się wówczas wiele uczciwych reportaży opisujących bez zakłamania i przemilczeń różne przejawy życia w PRL-u. A było to pismo jak na owe czasy otwarte także i dlatego, że redakcja, planując materiały do druku, nie ograniczała się – jak to zwykle bywa – do małego grona piszących, ponieważ rocznie na łamach dwutygodnika publikowało ponad 80 autorów, nie tylko zresztą z Łodzi. Po latach takiej zasadzie staraliśmy się poddać także w naszej redakcji, szukając autorów – mogących poszerzyć twórczo obszar tematyczny czasopisma – wśród przedstawicieli bardzo wielu zawodów i specjalności.

Godzi się jednak przypomnieć dla historycznej ścisłości, że pełny tytuł „Kronika Miasta Łodzi" przypisany dzisiaj do naszego periodyku, nie pojawił się po raz pierwszy w 1992 roku, ale 10 lat wcześniej. Tamten, zawierający 292 strony druk o identycznym formacie i zbliżonym do naszego czasopisma tytule, wyproduko-

wało w 1982 roku Wydawnictwo Łódzkie – oficyna wydawnicza nieistniejąca już od kilkunastu lat. Założona w 1957 roku miewała jednak swoje niekwestionowane sukcesy, związane między innymi z ogłoszonym przez nie konkursem na powieść współczesną, czy z inicjatywą wartościowej serii wydawniczej, przybliżającej polskiemu czytelnikowi literaturę narodów dawnej Jugosławii. Miało też Wydawnictwo Łódzkie aspiracje do wydawania periodyku o tematyce kulturalnej. W latach 60. i 70. ubiegłego wieku ukazywała się redagowana przez nie „Osnowa" – almanach o profilu literackim. Początkowo zamierzano, aby ukazywał się on w odstępach kwartalnych, zamiast numeracji oznaczany porami roku (zima, wiosna, lato, jesień), ale po kilku latach z tych planów niewiele wyszło i „Osnowa" stała się „nieregularnikiem".

Jednorazowym akcentem wydawniczym stało się też owo – jak się okazało prezentowane jedynie sygnalnie – czasopismo zatytułowane: „1976. Kronika Miasta Łodzi". Wbrew dacie na okładce opublikowano je z kilkuletnim opóźnieniem, bo dopiero w 1982 roku. Choć nazwie tytułu towarzyszyła informacja, iż umiejscowienie czasowe treści czasopisma dotyczy roku 1976, to wydawca „wzbogacił" całość lapidarną kroniką wydarzeń również z roku 1977. W chwili ukazania się wydawnictwo to było więc już w znacznej mierze zdezaktualizowane, niemniej jednak w słowie wstępnym redaktorzy zapowiadali, że ich celem będzie kontynuacja tytułu. *Ambicją „Kroniki"* – informowali czytelnika – *jest bowiem wszechstronne ujmowanie życia miasta w jego różnorakich przejawach, przekrojach i zbliżeniach. Pragniemy zatem i liczymy na pomoc i radę Czytelników w tym względzie – obok systematycznego odnotowywania wydarzeń współczesnych, prowadzić refleksję nad tym, co w przeszłości było cenne i wartościowe, a co wiąże się ściśle z dniem dzisiejszym – aby nie dopuścić do zerwania złożonych więzi z historią, ocalić pamięć dawnej Łodzi, uczynić wspólną własnością to, co godne szacunku i pamięci w dziejach naszego miasta.(...) Ma więc szansę „Kronika" stać się – i to jest nasza cicha nadzieja – miejscem spotkania i wymiany poglądów środowisk twórczych, artystycznych i intelektualnych miasta, platformą wzajemnego poznania i zbliżenia.* Na zawartość

tej jednodniówki złożyło się kilka artykułów przygotowanych przez pracowników dydaktycznych Uniwersytetu Łódzkiego, Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych i Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej. Zdecydowana jednak większość tekstów to tytuły informacyjne o bardzo różnej materii i wartości poznawczej. Od *Architektury renesansowej w Pabianicach* po *Izbę Pamięci Narodowej w Zespole Szkół Zawodowych im. Juliana Marchlewskiego*. Tamtą „Kronikę Miasta Łodzi" zredagowało kolegium, któremu przewodniczył Antoni Szram, a pozostały skład stanowili Jerzy Gos, Mieczysław Kucner, Mariusz Kulesza, Bogusław Rakowski i Janusz Wiktorowski. Nakład wyniósł 650 egzemplarzy. Zważywszy jednak na pięcioletni dystans czasowy dzielący okres zgromadzenia materiałów do ukazania się tamtej „Kroniki" drukiem, prawdopodobnie większość nakładu poszła na makulaturę, a sam zamysł wydawania takiego periodyku, choć był niewątpliwie inicjatywą potrzebną, okazał się efemerydą.

Nowy pomysł

W 1990 roku odbyły się w Łodzi pierwsze wybory do odrodzonego samorządu. W początkach 1991 roku łódzki radny Wojciech Michalski, ówcześnie pracownik naukowy Uniwersytetu Łódzkiego, wpadł na pomysł wydawania przez samorząd pogłębionego tematycznie periodyku poświęconego problematyce łódzkiej. Z racji zainteresowań naukowych i wykształcenia (geograf i urbanista), czasopismo miało mieć charakter paranaukowy o profilu socjologiczno-geograficzno-historycznym. Pomysł Michalskiego zaakceptował prezydent Grzegorz Palka, który – jak przypomina dzisiaj pierwszy redaktor czasopisma – sam także nosił się wówczas z podobną ideą.

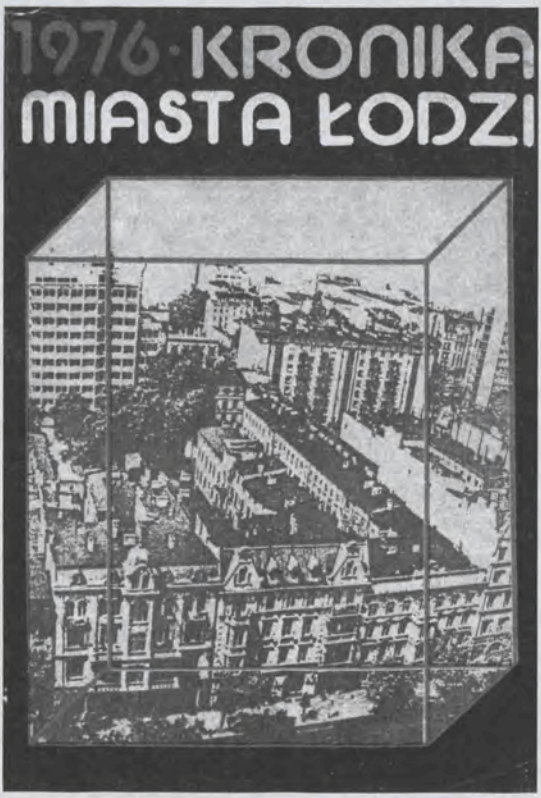

Wkrótce ukazał się akt prawa lokalnego, powołujący do życia nowe samorządowe czasopismo. Była to uchwała nr 15/36/91 Zarządu Miasta Łodzi z 29 stycznia

str. 3 Okładka „KMŁ" wydanej przez Wydawnictwo Łódzkie

1991 roku *w sprawie wydawania przez Zarząd Miasta Łodzi „Kroniki Miasta Łodzi"*. Uchwała, oprócz decyzji o rozpoczęciu wydawania czasopisma, powoływała także na jego redaktora naczelnego Wojciecha Michalskiego, *radnego Rady Miejskiej w Łodzi, któremu powierza się skompletowanie składu osobowego Rady Redakcyjnej „Kroniki Miasta"*.

Pierwszy, niewielki objętościowo numer „Kroniki Miasta Łodzi" zredagowany przez Wojciecha Michalskiego, został wydany w 1992 roku. Jako wydawca umieszczony został Zarząd Miasta Łodzi, czyli samorządowy organ wykonawczy miasta. W skład Rady Redakcyjnej weszli Kazimierz Badziak, Bolesław Bolanowski, Ryszard Golański, Elżbieta Hibner, Marek Koter, Tadeusz Markowski i Wojciech Michalski – a więc obecni lub byli pracownicy naukowi kilku łódzkich uczelni. Okładkę czasopisma zaprojektowała Anna Wasiak. Zamierzenie redakcji „Kroniki" przewidywało, że będzie to czasopismo ukazujące się co pół roku. Jednak kłopoty z pozyskaniem odpowiedniej ilości materiałów redakcyjnych spowodowały, że w roku 1991 i 1998 wydano po jednym numerze, zaś w roku 1997 i 1999 ukazały się tylko pojedyncze zeszyty, ale z podwójną numeracją. W roku 1993 ukazał się monograficzny zeszyt „Kroniki" w języku angielskim: „Planning and Environment in The Łódź Center" w nakładzie siedmiuset egzemplarzy.

Na wydanie pierwszego numeru władze Łodzi przeznaczyły w 1991 roku 17 milionów ówczesnych złotych. Okazało się to w 1992 roku kwotą niewystarczającą, dlatego redakcja otrzymała dodatkowo 27,5 miliona złotych pochodzących z tak zwanego Funduszu Dobrowolnych Świadczeń.

Druga redakcja

5 stycznia 1995 roku, czyli już po drugich wyborach samorządowych, nowy Zarząd Miasta (prezydentem był już Marek Czekalski) zreformował formułę organizacyjną czasopisma. Zamiast dotychczasowej Rady Redakcyjnej powołana została Rada Programowa (Kazimierz Badziak, Zbigniew Bokszański, Bolesław Bolanowski, Ryszard Golański, Elżbieta Hibner, Grzegorz Matuszak, Wojciech Michalski, Witold Rosset). Powołany też został zespół redakcyjny. Redaktorem naczelnym został Andrzej Rostocki, socjolog kultury, pracownik naukowy UŁ, a w składzie redakcji znaleźli się także publicystka Zofia Gromiec jako sekretarz redakcji, pisarz Andrzej Babaryko oraz Wojciech Michalski. Uchwałą nowego Zarządu Miasta wprowadzony został Regulamin Zespołu redakcyjnego „KMŁ". Oprócz definiowania pozycji redaktora naczelnego jako osoby odpowiedzialnej za treść przygotowywanych materiałów i ustalanie terminów realizacyjnych periodyku, regulował zasady finansowania redakcji i określał związane z tym kompetencje Rzecznika Prasowego Prezydenta. Nowy projekt graficzny okładki opracował Bogumił Łukaszewski.

Zrezygnowano z dotychczasowej stosowanej w periodykach naukowych formuły programowej czasopisma, przekształcając „KMŁ" w almanach po-

pularyzujący bardzo różne aspekty łódzkiej problematyki. Na łamach pojawiły się felietony, wspomnienia, wywiady.

Od 1995 roku „KMŁ" miała ukazywać się co pół roku. Mimo licznej Rady Programowej i profesjonalnej redakcji, nie zawsze się to jednak udawało wykonać w regularnych odstępach czasu. Dlatego zapewne w 1998 i 1999 roku ukazały się tylko pojedyncze zeszyty czasopisma.

Trzecia redakcja

Jesienią 1998 roku odbyły się kolejne wybory samorządowe. Tym razem przewagę w Radzie Miejskiej uzyskali radni SLD, a prezydentem został Tadeusz Matusiak. W związku z tym w 1999 roku zmienił się skład Rady Programowej. Znaleźli się w niej zarówno ludzie kultury, jak i naukowcy: Mirosław Borusiewicz, Ryszard Czubaczyński, Henryk Kluba, Stanisław Liszewski i Paweł Samuś. Przewodnictwo tego gremium objął zaś Grzegorz Matuszak, profesor socjologii i łódzki radny. Powołana została także zupełnie nowa redakcja. Redaktorem został Bogusław Sikorki, w przeszłości dziennikarz Polskiej Agencji Prasowej, sekretarzem redakcji Edward Müller. W składzie redakcji znaleźli się też Marcin Kępiński i Jerzy Wilmański. W 2000 roku odwołano ze składu redakcji Kępińskiego i Wilmańskiego. Zastąpili ich na około rok Dagmara Barua-Śmigielska i Konrad Frejdlich. W 2002 roku do redakcji wrócił Jerzy Wilmański i znaleźli się w niej na krótko Zenon Spuś, a także Błażej Kronic i Paweł Wroniszewski. Ze stopki redakcyjnej zniknęli zaś Śmigielska i Frejdlich. Nową okładkę zaprojektował Zbigniew Janeczek.

Powiększenie składu redakcji nie wpłynęło na zmianę formuły programowej czasopisma. Na łamach „KMŁ" pojawiło się więcej biografii i zaczęto też publikować wiersze. Utrzymany został styl almanachowy poszczególnych numerów. W 2002 roku Rada Miejska postanowiła, że „KMŁ" będzie kwartalnikiem. Aby zrealizować ten plan, redakcja całościowo zleciła firmie zewnętrznej wszystkie prace wydawnicze. Firma ta narzuciła własną koncepcję redakcyjną, w związku z czym trzy numery czasopisma wydane w 2002 roku mają format standardowej książki.

Czwarta redakcja

Jesienią 2002 roku, w wyniku wyborów do samorządu według zmienionej ordynacji wyborczej, prezydentem Łodzi został Jerzy Kropiwnicki. Dotychczasowa redakcja „KMŁ" rozwiązała się samoistnie, dlatego wiosną 2003 roku nie ukazał się kolejny numer „KMŁ", już jako kwartalnika. W tej sytuacji prezydent rozwiązał Radę Programową,

str. 5 Czerwiec 2009 roku. Wiceprezydent W. Tomaszewski prezentuje kolejny nr „KMŁ" prezydentowi RP Lechowi Kaczyńskiemu

dziękując jej członkom za ich wkład w tworzenie dotychczasowej linii programowej. W wyniku tych zmian powstała kilkumiesięczna przerwa w procesie wydawniczym. Dopiero 24 czerwca 2003 roku zarządzeniem nr 658/IV/03 Prezydenta Miasta Łodzi została powołana nowa redakcja w składzie: Gustaw Romanowski – redaktor naczelny, Małgorzata Golicka- Jabłońska – sekretarz redakcji, Mieczysław Gumola i Marek Strąkowski – członkowie zespołu. Od lutego 2004 roku sekretarzem redakcji został Marek Strąkowski.

Odtąd więc redakcja czasopisma miała działać samodzielnie, opierając się na własnym wieloletnim doświadczeniu dziennikarskim i znajomości realiów miasta, biorąc przede wszystkim pod uwagę wynikający z prawa lokalnego priorytet uznający „Kronikę Miasta Łodzi" *jako istotny element promocji Łodzi w kraju i za granicą, zawierający informacje o najważniejszych wydarzeniach z życia Miasta oraz o przedsięwzięciach władz miejskich.*

Podejmując się redagowania czasopisma samorządowego, ukazującego się cztery razy w roku w kwartalnych cyklach wydawniczych, uznaliśmy jako redakcja, że kontynuowanie dotychczasowej formuły almanachowej – na zasadzie: różne przypadkowe tematy w jednym numerze – zubaża ofertę promocyjną i popularyzatorską wydawnictwa. Zdecydowaliśmy więc, że każdy kolejny numer „KMŁ" będzie miał inny temat wiodący, przybliżający czytelnikom szerzej jakąś dziedzinę życia miasta. Postanowiliśmy przy tym, że oferta promocyjna łódzkich tematów powinna być w miarę komplementarna, a zatem uwzględniająca zarówno teraźniejszość zjawiska, jak i jego perspektywę historyczną.

Jednocześnie uporządkowaliśmy układ redakcyjny „KMŁ", nadając czasopismu zracjonalizowaną wewnętrzną architekturę, tworząc stałe działy, pomagające czytelnikowi odszukać bardziej interesującą go problematykę wśród obszernej zawartości każdego kolejnego numeru. Uporządkowaliśmy także układ graficzny i typograficzny czasopisma, zlecając ten temat Andrzejowi Chętko, uznanemu specjaliście w tej dziedzinie.

Nowa formuła

W ramach przyjętej formuły wydaliśmy dotychczas 26 tomów czasopisma, poruszając w nich komplementarnie takie tematy, jak na przykład tożsamość miasta, życie konsularne, sądownictwo, życie teatralne oraz oddzielnie teatr offowy i nieprofesjonalny, ekologia i rewitalizacja, stowarzyszenia i organizacje pozarządowe, festiwale. Wydaliśmy obszerne zeszyty poświęcone społecznościom wielokulturowej Łodzi: Żydom, Niemcom, Rosjanom.

Poświęciliśmy też oddzielne numery „KMŁ" ważnym dla tożsamości miasta rocznicom: 90. bitwy łódzkiej, 70. wybuchu II wojny światowej czy 60. i 65. rocznicy zagłady Litzmannstadt Ghetto. Odrębne numery poświęcone zostały krajo-

brazowi miasta oraz planom przekształceń przestrzennym i zamierzeniom budowlanym. Jednocześnie każdy kolejny numer zawiera istotne tematy dotyczące kultury Łodzi, jej spuścizny i teraźniejszości. Jest to związane z promocją miasta w jego aspiracji do miana Europejskiej Stolicy Kultury w 2016 roku.

Ta przekształcona formuła redakcyjna sprawdziła się nie tylko dlatego, że zyskała przychylne oceny specjalistów z Biblioteki Narodowej oraz Miejskiej i Wojewódzkiej Biblioteki im. Marszałka J. Piłsudskiego. Istotą trafności tego wyboru są reakcje czytelników, ich częste listy, mejle i telefony. Nakład kwartalnika ustalony w 2004 roku na 1250 egzemplarzy rozchodzi się głównie wśród bibliotek i placówek kultury, przede wszystkim w Łodzi, ale także w kraju. „Kronika" trafia też do kilkunastu wybranych bibliotek i instytucji za granicą. Bardzo często o „Kronikę" proszą łodzianie rozsiani po świecie, czasem z tak dalekich krajów jak Republika Południowej Afryki, Argentyna czy Nowa Zelandia. Stałych czytelników mamy w Izraelu, Anglii i Stanach Zjednoczonych. Po wyczerpaniu nakładu nie możemy czasem spełnić oczekiwań nowych czytelników. Przeważnie poszukujących nasz kwartalnik nauczycieli, studentów i uczniów liceów, zainteresowanych problematyką regionalną, odsyłamy do łódzkich bibliotek.

W 2006 roku postanowiliśmy w ramach istniejącego budżetu „KMŁ" wydawać corocznie odrębny zeszyt poświęcony zapomnianym łodzianom, których życie i czyny powinny znaleźć się w pamięci społecznej łodzian. Cykl „Bohaterowie trudnych czasów", na który złożyły się dotychczas cztery tomy zawierające 25 małych biografii, przeważnie nieżyjących już mieszkańców Łodzi, ma przede wszystkim znaczenie dydaktyczne. Na podstawie tych wydobytych z niepamięci sylwetek, czytelnicy, zwłaszcza młodzi, mogą dotknąć wzorców postaw obywatelskich w trudnych okresach naszej najnowszej historii.

Zespół redakcyjny, który formuje od 2003 roku kształt wydawniczy kwartalnika, w zasadzie się nie zmienił. W latach 2005-06 bieżące prace redakcyjne wspomagał Mateusz Sidor. Potem zastąpiła go na tym odcinku Barbara Gortat, mająca profesjonalne przygotowanie edytorskie. Jesienią 2008 roku zespół opuścił Mieczysław Gumola.

Istotą redagowania „Kroniki Miasta Łodzi" jest opieranie formuły redakcyjnej na współpracy z dużą liczbą autorów. Jest to formuła otwarta, ponieważ adresowana jest do specjalistów bardzo różnych dziedzin, którzy w profesjonalny sposób potrafią przybliżyć konkretną problematykę. Pozwala to uniknąć niebezpieczeństwa często powierzchownych opisów skomplikowanych zjawisk przez niefachowców. Stosując odpowiednią adiustację i niezbędne redakcyjne zabiegi, można natomiast zawsze nadać tekstowi profesjonalisty czytelną popularyzatorską formę, zrozumiałą dla każdego zainteresowanego tematem czytelnika.

Dzięki temu przez łamy „KMŁ" przewija się rocznie około 80 autorów.

Numer, w którym przyszło mi podsumowywać dotychczasową historię „Kroniki Miasta Łodzi", jest 50. zeszytem czasopisma, licząc od jego początków. I 27. tomem kwartalnika zrealizowanym przez obecną redakcję. 18 lat istnienia i tylko 50 numerów łódzkiego kwartalnika. Jesteśmy najdłużej ukazującym się czasopismem, wydawanym nieprzerwanie przez samorząd.

Gustaw Romanowski

Bibliografia:

1. Akty prawa lokalnego z lat 1991-2004.
2. Andrzej Kempa. *Bibliografia zawartości „Kroniki Miasta Łodzi" z lat 1991-2000*, „KMŁ" nr 1/2001 str. 172-198.

Mniejsza Łódź

Kilka jubileuszowych refleksji

Kilkanaście lat temu, w 1992 roku, ukazał się skromnie wydany i amatorsko redagowany przez piszącego te słowa, pierwszy numer „Kroniki Miasta Łodzi”. Dzisiejsza, 50. edycja naszego samorządowego pisma, od tamtego dzieli cała epoka wydawnicza, tak pod względem programowym, jak i redakcyjnym. „Kronika Miasta Łodzi” to obecnie w pełni profesjonalne czasopismo, które pod redakcją Gustawa Romanowskiego wpisało się na trwałe w łódzki pejzaż wydawnictw kulturalno-społecznych, z pietyzmem dokumentujących łódzką złożoną historię i teraźniejszość.

Zastanawiające jest jak minione lata – 20 lat samorządności – przeobraziły nasze miasto. Jakie to miasto było u progu przemian i jakie jest dzisiaj oraz, co najważniejsze, jakie ma szanse konkurować z innymi polskimi metropoliami. Piszę konkurować, bo w praktyce polski system samorządowy to w zdecydowanie większym stopniu konkurencja o pozycję w rankingu miast, niż kooperacja dla wspólnie osiąganych korzyści.

Nie roszcząc sobie prawa do wyczerpania problemu, chciałbym zwrócić uwagę na kilka, moim zdaniem, ważnych spraw, nierzadko ujmowanych w świadomości społecznej nieco mitycznie. Są to utrata mieszkańców oraz zmniejszające się miasta na tle tradycji i tożsamości naszej metropolii.

Utrata mieszkańców

W 1990 roku Łódź była drugim co do wielkości miastem w Polsce, choć już od kilku lat zmniejszała się liczba jej mieszkańców. W okresie transformacji podstawowa przyczyna ubytku mieszkańców tego miasta, czyli większa liczba zgonów niż urodzeń, była zjawiskiem trwałym. Podobne procesy, choć nieco później, dotknęły większość wielkich miast w Polsce, a także gmin województwa łódzkiego. Dlatego też stolica regionu nie mogła liczyć, jak i dziś nie może, na znaczący napływ imigrantów ze swojego tradycyjnego obszaru migracyjnego. Żeby migrować trzeba się najpierw urodzić lub chociaż począć. W Małopolsce poziom urodzeń, a zatem przyrost naturalny był i jest zdecydowanie wyższy. Niektórzy uznają to za wyraz zacofania i braku równego statusu kobiety i mężczyzn, inni za przywiązanie do tradycji. Mniejsza o przyczyny, choć łatwo zauważyć, że Kraków tracił mieszkańców wolniej, dzięki czemu odebrał Łodzi drugie miejsce pod względem liczby ludności.

I co się stało? Nic się nie stało! Rozwój miast to nie wyścigi w rankingach, ale mozolne budowanie kapitału ekonomicznego, społecznego i tak zwanych przewag konkurencyjnych, a nie masy i przestrzeni.

Odnotowywany od kilkunastu lat ubytek ludności polskich miast – w Łodzi największy – nie jest negatywnym czynnikiem rozwoju, gdyż skala miast, a więc ich rynek pracy i sprzedaży, czynniki przyciągające inwestorów, pozostają w tej samej klasie jakościowej – wielkiego miasta. W dobie, w której zmierzamy do gospodarki opartej na wiedzy, nie liczy się ilość, a jakość mieszkańców, czyli jego kapitał ludzki.

Zmiany demograficzne niosą dla Łodzi szanse i zagrożenia, a niekiedy mają paradoksalny przebieg. W latach 90., gdy upadał przemysł włókienniczy, gdy władze centralne nie znalazły środków na wsparcie dla tej łódzkiej monokultury, skutkiem czego bezrobocie sięgało niebotycznego, jak na wielkie miasto, poziomu 20 procent, Łódź odznaczała się niewielkim, ale dodatnim saldem migracji (więcej osób przyjeżdżało niż wyjeżdżało). Natomiast w XXI wieku, gdy Łódź „chwyciła wiatr w żagle", stworzyła nową bazę wytwórczą i nowy rynek pracy dla wielu tysięcy pracowników, a ograniczanie rozmiarów bezrobocia należało do najszybszych w Polsce, saldo migracji ustabilizowało się. Na niewielkim, ale jednak ujemnym poziomie. W czasie gdy w mieście źle się działo, łodzianie nie przenosili się do strefy podmiejskiej (w tym czasie taka emigracja prowadziła do ubytku ludności Warszawy), bo nie mieli na to środków. Gdy dzięki znaczącej, konsekwentnie wspieranej przez władze samorządowe poprawie na rynku pracy, wzrosły dochody bardziej przedsiębiorczych łodzian, emigracja do nowych domów budowanych w strefie podmiejskiej nabrała tempa. Paradoksalnie do Łodzi nie stosuje się podstawowy schemat wyjaśniania migracji – są miejsca pracy, są imigranci.

Szansą płynącą z przewidywanego zmniejszenia liczby mieszkańców jest uporządkowanie rynku mieszkaniowego w mieście. Olbrzymia presja demograficzna, która towarzyszyła rozwojowi polskich miast, w tym oczywiście i Łodzi, w drugiej połowie XX wieku, wymusiła na ówczesnych władzach przyjęcie rozwiązań, które dziś nie spełniają standardów wielkościowych nowoczesnego zamieszkania, gdyż w budownictwie mieszkaniowym stosowano wyłącznie kryteria ilościowe. Przykładowo: budując małe mieszkania praktycznie zlikwidowano możliwość zamieszkiwania wspólnie rodzin wielopokoleniowych nawet wtedy, gdy wybierają one taki model życia. Obecnie skutkuje to zmniejszaniem się liczebności mieszkańców takich osiedli jak Retkinia.

Ograniczanie presji demograficznej w XXI wieku pozwoliło ukształtować rynek mieszkaniowy według kryteriów potrzeb i możliwości rynkowych mieszkańców. Pozwoliło to także gminom zróżnicować własną ofertę mieszkaniową, w której budownictwo socjalne nie odgrywa dominującej roli.

W Łodzi w ostatnim dwudziestoleciu przemiany warunków mieszkaniowych należy uznać za bardzo znaczne, gdyż od 1988 roku do 2007 roku przybyło

tu ponad 3,3 miliona metrów kwadratowych powierzchni mieszkaniowej, a przeciętna powierzchnia mieszkania przypadająca na jedną osobę wzrosła z 18,7 do 21,4 metrów kwadratowych. Są to efekty prężności inwestorów budowlanych i zaradności łodzian w zdobywaniu środków na zaspakajanie potrzeb w tym zakresie. Po stronie podaży mieszkań wolny rynek zrobił więc swoje.

Statystycznie żyje się więc nam lepiej, ale równocześnie udział kosztów uzyskania i utrzymania przeciętnie większego mieszkania istotnie wzrósł w budżecie każdej rodziny. Biorąc pod uwagę skalę dochodów łodzian, oznacza to, iż część mieszkańców jest i będzie mogła utrzymać mieszkania jedynie, korzystając z jakiejś formy wsparcia publicznego (mieszkania socjalne, niskie czynsze w zasobach komunalnych, dodatki mieszkaniowe). Oznacza to ułomność wolnego rynku mieszkaniowego po stronie popytowej i będzie stanowić znaczące obciążenie budżetu samorządu, a także poważny problem polityczny. Polega on na przekonaniu zdecydowanej większości mieszkańców do tego, że czynsze mieszkaniowe muszą być urynkowione (znacząco podniesione), czyli wystarczać nie tylko na pokrycie kosztów utrzymania budynków, ale i na odnowę zasobów mieszkaniowych wszystkich właścicieli, w tym także gminy. Natomiast pomoc mieszkaniowa powinna być adresowana nie jak dotychczas do mieszkania, a do mieszkańców, których nie stać na płacenie rynkowych opłat. Brak tej przemiany w świadomości, a co za tym idzie nieustanowienie odpowiedniego prawa, należy uznać za porażkę polskiego samorządu.

Więcej dziadków i mniej wnuków

Znacznie poważniejszym, wynikającym z przemian demograficznych, problemem na przyszłość jest zmiana struktury wieku mieszkańców Łodzi, czyli proces starzenia się łódzkiej społeczności. W opisywanym dwudziestoleciu zjawisko to nie było zbyt intensywne. Udział ludności w wieku produkcyjnym był względnie stały i wynosił w 1995 roku 65,6 procent, a w 2009 roku 67,5 procent. Natomiast istotnie zmniejszała się względna liczba dzieci i młodzieży (odpowiednio 15,9 i 11,3 procent), a rosła osób w wieku poprodukcyjnym (z 18,5 do 21,2 procent). Można więc stwierdzić, że w Łodzi rosła liczba dziadków kosztem zmniejszania się liczby wnuków. Proces ten ma szerokie uwarunkowania społeczno-kulturowe i nie poddaje się regulacjom prawno-administracyjnym żadnego szczebla. Mitem jest, że stosując określoną politykę prorodzinną zapewni się znaczący wzrost liczby urodzeń i dzietności kobiet.

W niczym nie zmienia tego stwierdzenia odnotowane w ostatnich trzech latach zmniejszenie ubytku naturalnego ludności wynikające z nieznacznego zwiększenia liczby urodzeń. Wynika ono bowiem z większej liczebności kobiet w wieku największej rozrodczości, a nie ze zmian preferencji prokreacyjnych.

Dobrą ilustracją tej tezy jest obraz zmian poziomu urodzeń i zgonów łodzian począwszy od 1951 roku.

Rys. 1. Ruch naturalny w Łodzi w latach 1951-2008

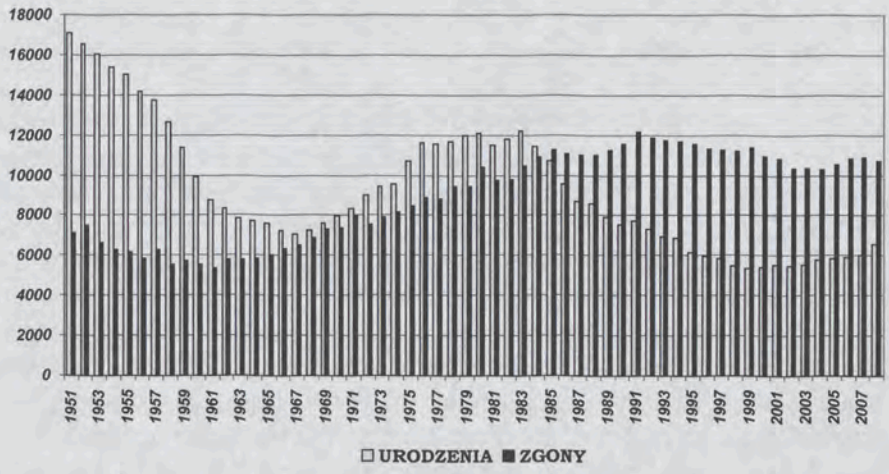

Źródło: Opracowanie własne na podstawie danych Urzędu Statystycznego w Łodzi.

Zmieniała się polityka państwa wobec rodziny od karania (odpowiedni podatek) bezżennych i bezdzietnych, poprzez wieloletnie przemilczanie problemu, do becikowego i utyskiwania, że system emerytalny się załamie. Zmieniało się samo państwo, ustrój społeczny, wprowadzono enigmatyczną społeczną gospodarkę rynkową. Medycyna uczyniła ogromne postępy, dozwoloną aborcję zastąpiła ochrona życia poczętego, znacznie wydłużono społecznie i prawnie okres kształcenia, a poziom urodzeń falował całkowicie niezależnie od tych zmieniających się uwarunkowań, zależąc tylko od rozmiarów początkowego wyżu kompensacyjnego (po II wojnie światowej) z lat 50. i cywilizacyjnej tendencji stałego spadku dzietności kobiet.

W niedalekiej przyszłości liczebność starszych mieszkańców Łodzi będzie istotnie wzrastać i miasto musi się na tę okoliczność przygotować. Osoby starsze nie mogą być postrzegane jedynie jako obciążenie budżetu, a jako odpowiedni segment rynku o określonych potrzebach i może niewielkim, ale stałym dochodzie oraz dużej ilości czasu wolnego. Oczywiście zmiany tego postrzegania muszą być ogólnokrajowe, obejmować ustawowe rozwiązania prawne oparte na aktywizacji osób, które mają uprawnienia emerytalne, a nie tylko na przedłużeniu czasu pracy potrzebnego do ich uzyskania.

Miasto musi się liczyć z koniecznością stworzenia infrastruktury technicznej dla opieki nad osobami starszymi, które nie są w stanie samodzielnie zaspakajać wszystkich swoich potrzeb. Wymaga to odpowiednich rozwiązań urbanistycznych, instytucjonalnych, a przede wszystkim rozwoju grup zawodów z grupy usług (opieka socjalna, pomoc domowa, aktywizacja społeczna itp.). Przykładowo: łódzki

rynek mieszkaniowy pozbawiony jest preferencji dla budowy i modernizacji małych lokali dostosowanych do potrzeb i możliwości finansowych osób w wieku emerytalnym. Warunki wolnego rynku nie preferują budowy takich mieszkań, gdyż przynoszą one mniejsze dochody deweloperom.

Mniejsze miasto

Zgodnie z prognozami opracowanymi przez GUS do 2030 roku, proces starzenia się społeczeństwa łódzkiego będzie znacznie bardziej intensywny niż dotychczas. W wiek emerytalny wkraczać będą roczniki wyżu demograficznego z lat 50., a więc nie ma co liczyć na znaczący napływ migracyjny. Łodzian będzie mniej i będą przeciętnie znacznie starsi.

Niestety świadomość tego faktu nie jest ani powszechna, ani dostatecznie zrozumiała wśród samorządowych decydentów. Praktyczne skutki takiego niedostatku wiedzy to nadmierna skala inwestycji i brak zdecydowania w działaniu na rzecz ograniczania, niezgodnego z zasadą rozwoju zrównoważonego, niekontrolowanego rozprzestrzeniania się miasta. Przykładowo: jeżeli miasto rozbudowuje sieć wodno-kanalizacyjną gdy zmniejsza się liczba mieszkańców, to tym samym sprzedaż wody, czyli koszty jednego metra sześciennego muszą być coraz większe. Tym samym wzrastają koszty utrzymania mieszkańców, a miasto traci konkurencyjność.

W Łodzi uznanie faktu zmniejszania się miasta bardzo powoli toruje sobie drogę w planowaniu zagospodarowania przestrzennego. W obowiązującym studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego z 1990 roku zakładano ograniczenie przyrostu terenów przeznaczonych pod budownictwo mieszkaniowe niezależnie od jego rodzaju (indywidualne, blokowe). Nie zastosowano jednak dostatecznie twardych narzędzi zapobiegających ich rozrostowi. Podstawowym błędem była decyzja ówczesnych władz, że plany zagospodarowania przestrzennego, które gmina musi uchwalić i które są w stanie uporządkować proces inwestycyjny, mają obejmować tyko wybrane, niewielkie doliny rzeczne. Ponadto w studium, które powstało w okresie gdy Łodzią nie interesowali się inwestorzy, nie przewidziano, że zapotrzebowanie na nowe tereny przeznaczone pod działalność gospodarczą będzie w następnej dekadzie tak wielkie. Wciąż wierzono jeszcze w to, że dawne fabryki włókiennicze będzie można przekształcić w obiekty produkcyjne innych branż. Tak się nie stało i stać nie mogło, gdyż potrzeby lokalowe nowych fabryk są zdecydowanie inne niż na przełomie XIX i XX wieku, kiedy to powstały łódzkie fabryki.

Te okoliczności i traktowanie odpływu łodzian do strefy podmiejskiej jako ucieczki spowodowały, że przystąpiono do opracowania nowego studium z założeniem istotnego zwiększenia oferty terenów inwestycyjnych oraz zapewnienia miejsca dla jednorodzinnego budownictwa mieszkaniowego. Presja rozwoju i pozyskania nowych podatników pokonała ograniczenia urbanistyczne. Bilans takiego podejścia nie jest jednoznaczny, gdyż z jednej strony nowe tereny inwestycyjne są nie-

zbędne, aby zapewnić utrzymanie ogólnej liczby miejsc pracy na tym samym poziomie co dotychczas. Takie będzie bowiem z przyczyn demograficznych zapotrzebowanie na pracę w Łodzi za 10-15 lat. Z drugiej strony nadmiar nowych terenów może negatywnie wpływać na jakość ich zagospodarowania.

Tym ważniejsze jest, aby społeczność łódzka (mieszkańcy i władze) wiedziała jakiego zagospodarowania chce, jaka Łódź jej się marzy. Czy, jak dotychczas, pod względem intensywności zabudowy, ma to być miasto średniej wielkości, czy może metropolia z nowoczesnym Nowym Centrum Łodzi albo XIX-wieczny skansen starannie kultywujący tradycje zagospodarowania przestrzennego.

Tradycja a rozwój nowoczesnego miasta

I tu dotykamy kolejnego nierozwiązanego problemu samorządowej Łodzi. Jak pogodzić sprzeczności w podejściu do tradycji i historycznej tożsamości miasta z wymaganiami nowoczesnego rozwoju oraz znaleźć mechanizmy kompromisu pomiędzy grupami społecznymi wyznającymi zróżnicowane ideologie urbanistyczne. Sam jestem zwolennikiem zasady, według której fundamenty nowoczesnej urbanistyki to: każde rozwiązanie jest technicznie możliwe, każdy obiekt ma swoją wartość przestrzenną, żadna funkcja miejska nie jest lepsza od innej, a każda postawa estetyczna w urbanistyce ma podstawy wyłącznie ideologiczne. Jest więc wartościowaniem w swojej najwyższej i jak najlepszej formie.

W tradycyjnych miastach z wykształconym historycznym centrum przyjmowane rozwiązania przestrzenne są dość oczywiste. Chroni się i rewitalizuje starą substancję budowlaną, uspokaja ruch drogowy z preferencją dla transportu publicznego, wypełnia centrum funkcjami kulturalnymi, turystycznymi, instytucjami o prestiżowym charakterze i handlem wyspecjalizowanym (markowymi sklepami). W Łodzi skala centrum-śródmieścia jest wielokrotnie większa niż w innych polskich metropoliach, przez ten obszar przebiegają głównie trakty tranzytowe miasta w kierunkach północ-południe i wschód-zachód. Starej, wymagającej rewitalizacji substancji mieszkaniowej mamy tak wiele, że nie można naprawić jej w ciągu najbliższych kilkudziesięciu lat, a po ich upływie i tak nie będzie co naprawiać, gdyż czas ma swoje prawa. Liczące ponad 1100 obiektów łódzkie zabytki niestety w niewielkim tylko stopniu są lub mogą być produktem turystycznym, czyli w uproszczeniu przyciągać tylu zwiedzających, aby na siebie zarobić.

Sukcesem jest licząca się grupa mieszkańców, dla której tradycja urbanistyczna, jej ochrona, jest ważnym celem i powodem aktywności społecznej. To jeden z nielicznych ruchów społecznych, który powstał po coś, a nie przeciw czemuś – aby chronić łódzką tożsamość zbudowaną na mitach. Mity podobno potrafią, jak wiara, przenosić góry, ale lepiej byłoby do tego celu używać specjalistycznego sprzętu i pieniędzy, których w samorządzie zawsze jest za mało. I to ostatnie jest jedyną stale obowiązującą prawdą samorządową – zawsze jest mniej środków niż potrzeb.

Stąd też gospodarka miejska, w tym ochrona zabytków i rewitalizacja, to sztuka wyboru z tego co potrzebne do zrobienia tego, co do zrobienia jest możliwe, tak aby podnosić konkurencyjność miasta i zwiększać wartość dodaną.

Pomimo kilku lat dyskusji na temat łódzkiej tożsamości, unikalności miasta w polskim systemie osadniczym, obiektów i struktur, które powinny być wpisane na listę Światowego Dziedzictwa Kultury, nie osiągnięto wspólnego stanowiska dającego szansę na zachowanie w Łodzi tego, co bezwzględnie zachować się powinno. Działania polegające na oprotestowywaniu przemian, często rozbiórek byłych fabryk, w tym reakcja kompetentnych organów polegająca na natychmiastowym wpisie do odpowiedniego rejestru utrwalającym co najwyżej tak zwaną trwałą ruinę, nie rozwiązują problemu. Wiara w to, że prawny nakaz ochrony rozwiąże problem, godna jest szacunku ze względu na wiarę, ale nie ze względu na skuteczność.

W Łodzi pojawił się, moim zdaniem wspaniały, pomysł prof. Jana Salma wpisania na listę dziedzictwa „wież kurzowych", czyli zachowanych jeszcze obiektów trwale obrazujących dawny, łódzki, fabryczny klimat. Nie ma już kominów, ale jest ich zastępstwo – charakterystyczne dla architektury fabryk włókienniczych konstrukcje wieżowe doskonale widoczne w miejskim krajobrazie i odporne na „żywiołową rewitalizację" (czytaj rozbiórkę). Pomysł upadł, gdyż podobno przepisy konserwatorskie nie pozwalają chronić takim wpisem obiektu, jeśli nie można ochronić także jego otoczenia, a na to jest już za późno. Z wiekiem coraz bardziej przekonuję się, że polskie prawo służy prawu, może też prawnikom, ale w najmniejszym stopniu nie zajmuje się tak niemożliwymi do prawnego ujęcia problemami jak dobro wspólne.

Nowe kierunki rozwoju

W latach 90. miasto poszukiwało nowych kierunków rozwoju, branż wytwórczości i usług, które mogłyby zastąpić upadający przemysł włókienniczy. W różnych dokumentach programowych zapisywano różne pomysły rozwoju (odnowa przemysłu lekkiego, centrum produkcji medycznej, ośrodek akademicki, główne centrum logistyczne kraju). Jednakże albo nie było determinacji władz i środków na ich realizację, albo weryfikacja rynkowa okazywała się druzgocąca.

Nowoczesna strategia wspierania rozwoju (bo żaden dokument, żadne starania władz, aktywność społeczna nie przyniosą efektów jeśli będą niezgodne z wymaganiami rynku) polega na selektywnym wyborze najbardziej konkurencyjnych w określonych warunkach priorytetów i działań. W Łodzi dopiero w ostatnim dziesięcioleciu, dobrze odczytując trendy rynkowe, udało się określić priorytety rozwoju miasta. Wytwórczość sprzętu AGD, BPO, branża IT oraz logistyka. Trzy z nich opierają się na wewnętrznych walorach Łodzi, czyli znacznych zasobach stosunkowo dobrze wykwalifikowanych pracowników, a logistyka uzależniona jest od rozwoju sieci komunikacyjnej znajdującego się w gestii władz centralnych. Szczęśliwie dla naszego miasta optymizm inwestorów tej branży okazał się znacznie większy niż rzeczywiste osiągnię-

cia polskich budowniczych dróg i autostrad. W ciągu 20 lat z Centralnego Węzła Komunikacyjnego, który uczyniłby z Łodzi rzeczywiste centrum komunikacyjne kraju powstało jedynie ramię – północny fragment autostrady A2 Stryków-Poznań. Klęska budowy systemu autostrad i dróg szybkiego ruchu w Polsce prowadzi do marginalizacji roli naszego kraju w Europie, a dla Łodzi stanowi istotną przeszkodę w konkurowaniu i partnerskiej współpracy z najbliższym sąsiadem, czyli Warszawą.

W Łodzi ustalenie przebiegu autostrady i dróg szybkiego ruchu, w porównaniu do innych miast, było sprawne i profesjonalne. Jednakże i tu pojawiła się grupa mieszkańców, których celem istnienia jest protest, nieważne w jakiej sprawie. Ich działanie przyczyniło się do opóźnień w wytyczeniu przebiegu A1 co najmniej o rok. Wobec załamania się programu budowy autostrad i tegorocznej powodzi wykorzystywanej przez drogowców dla jej usprawiedliwienia, opóźnienia te nie miały większego znaczenia. Jednakże pokazują one bardzo poważny problem, którego nie rozwiązała polska samorządność. Wszyscy są za rozwojem i likwidacją opóźnień cywilizacyjnych, byleby budowy nie przebiegały w pobliżu miejsc, w których mieszkają. W Łodzi taka postawa zagraża ochronie Lasu Łagiewnickiego, budowie podłączeń do autostrad i dróg szybkiego ruchu, budowie obwodnic komunikacyjnych, a pośrednio także programowi rewitalizacji centrum miasta. Uogólniając, możemy powiedzieć, że w budowie społeczeństwa obywatelskiego osiągnęliśmy jeden filar – prawa obywatelskie, ale w budowie drugiego – odpowiedzialności za dobro wspólne, postępy są znikome.

Dobrze, że w tworzącym się CWK chociaż jeden element, czyli lotnisko regionalne na Lublinku, w przeważającej mierze zależy od działań samorządu łódzkiego. I tu mimo istotnych zaniechań, które miały miejsce w połowie lat 90., nastąpiły bardzo znaczące postępy. Lotnisko ma odpowiednie wyposażenie techniczne, kody referencyjne bezpieczeństwa, terminal, realizuje program dalszej modernizacji oparty o finansowanie zewnętrzne. Co prawda, mimo najwyższego tempa przyrostu liczby pasażerów, z trudem konkuruje z takimi potentatami regionalnymi jak Kraków, Katowice, Poznań, które miały znacznie lepszą pozycję startową. Natomiast w czarterowych lotach wakacyjnych już nie ma się czego wstydzić.

Zamiast podsumowania pozwolę sobie na osobistą refleksję. Łódź 20 lat samorządności pod względem dorobku materialnego, namacalnych, mierzalnych osiągnięć wykorzystała bardzo dobrze. Nie przeczy temu fakt, iż nadal nie jest miastem przodującym w gronie największych polskich metropolii, ale nigdy takiego miejsca nie zajmowała, a warunki startowe miała od wszystkich trudniejsze. Natomiast ocenę osiągnięć w budowie społeczeństwa obywatelskiego, kapitału społecznego, pozostawię do dalszej dyskusji.

Wojciech Michalski
– dr geografii ekonomicznej; wykładowca akademicki.
Dyrektor Biura Rozwoju Przedsiębiorczości i Obsługi Inwestora UMŁ

kultura

Symbol w malarstwie
Fijałkowski – sztuka nieprzemijających wartości
Gustaw Romanowski
str. 97

Ideologia miłości
Fotofestiwal 2010
Marek Strąkowski
str. 103

Święto sztuki włókna
13 Międzynarodowe Triennale Tkaniny
Małgorzata Wróblewska-Markiewicz
str. 115

Symbol w malarstwie

Nerma, 1961, olej, płótno, własność artysty

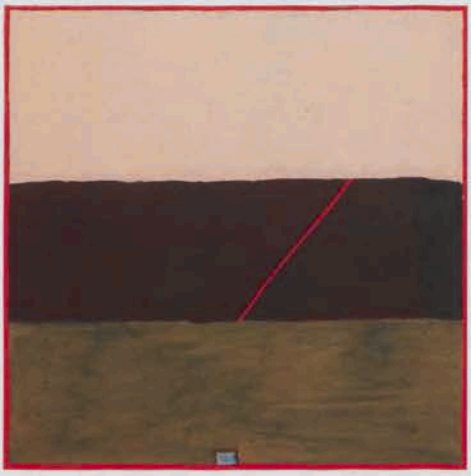

Zupełnie nowa autostrada VI, 2007, akryl, płótno, kolekcja prywatna

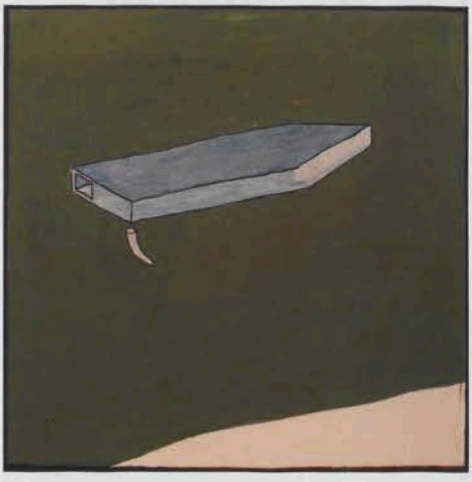

Zupełnie nowa autostrada X, 2008, akryl, płótno, własność artysty

Stalowa płeć, 1967, tempera woskowa, płótno, kolekcja Muzeum Okręgowego im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy

14.I.99, 1999, olej, płótno,
własność artysty

Czerwiec 2001, 2001, olej, płótno,
własność artysty

Zapamiętaj Beethovena Allegro con Brio, 1978,
akryl, płótno, kolekcja Muzeum Narodowego
we Wrocławiu

XI Studia talmudyczne, 1978, olej, płótno,
kolekcja Muzeum Narodowego
we Wrocławiu (depozyt)

Pejzaż morski, 1948, olej, płótno,
własność artysty

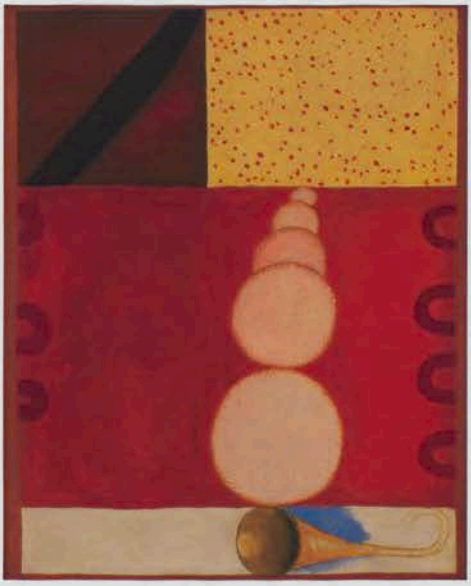

13.VIII.67/2 1967, olej, płótno,
kolekcja Muzeum w Koszalinie

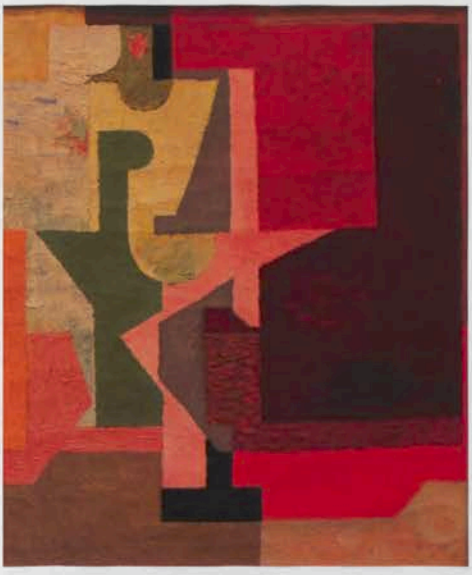

Kubistyczny akt, 1964, olej, płótno,
własność artysty

Poeta kontrastów, 1958, olej, płyta pilśniowa,
kolekcja Muzeum Sztuki w Łodzi

Nachtengel – Engelnacht, 1970, olej, płótno, kolekcja Muzeum Sztuki Współczesnej, Oddział Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu

7 lutego 2000, 2000, olej, płótno, własność artysty

Pamięci Władysława Strzemińskiego – replika, 1980, olej, płótno, kolekcja Muzeum Sztuki w Łodzi

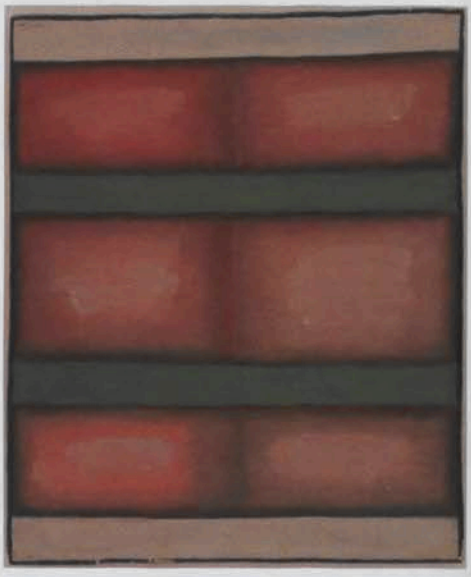

29.IX.63, 1963, olej, płótno, kolekcja Galerii Ego

Studia talmudyczne V, 1978, olej, płótno, kolekcja Muzeum Narodowego w Poznaniu

XXV Studia talmudyczne, 2003, olej, płótno, kolekcja Galerii Ego

Anioł w postaci dżdżownicy, 1969, tempera kazeinowa, płótno, kolekcja Muzeum Sztuki w Łodzi

10. V. 74, 1974, akryl, płótno, kolekcja Muzeum Sztuki w Łodzi

Gagrwmnn, 1971, olej, płótno,
kolekcja Muzeum Ziemi Chełmskiej

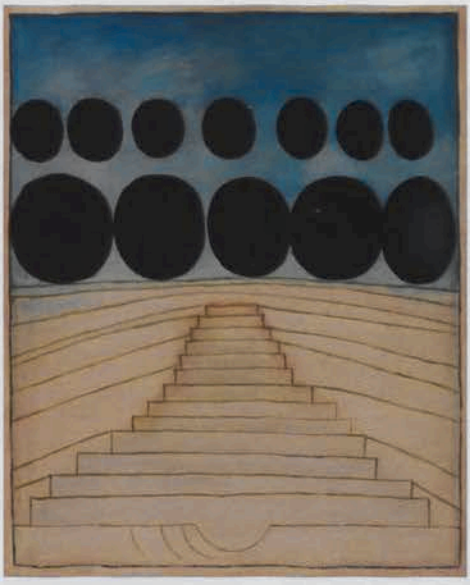

Nagłe pojawienie się Beatrycze, 1966,
tempera kazeinowa, płótno,
kolekcja Muzeum Narodowego we Wrocławiu

I Autostrada, 1972, olej, płótno,
kolekcja Piotra Kwiatkowskiego

XXII Autostrada, 1974, akryl, płótno,
kolekcja Galerii Ego

Autostrada III, 1972, olej, płótno,
kolekcja Muzeum Narodowego we Wrocławiu

27. II. 72, 1972, akryl, płótno,
kolekcja Muzeum Narodowego we Wrocławiu

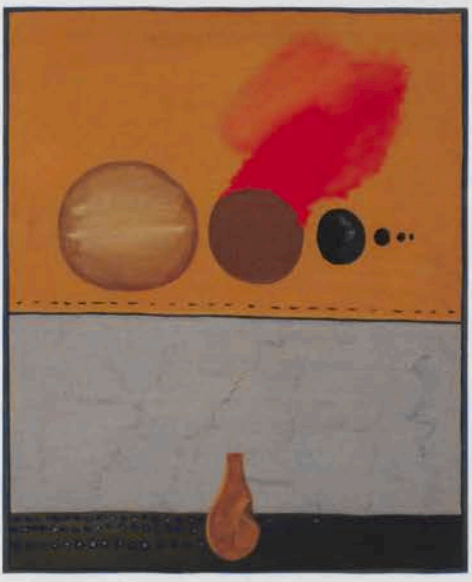

Inseminacja – 9. V. 69, 1969, olej, płótno,
kolekcja Muzeum Narodowego we Wrocławiu

Autostrada X, 1970, olej, płótno,
kolekcja Muzeum Narodowego we Wrocławiu

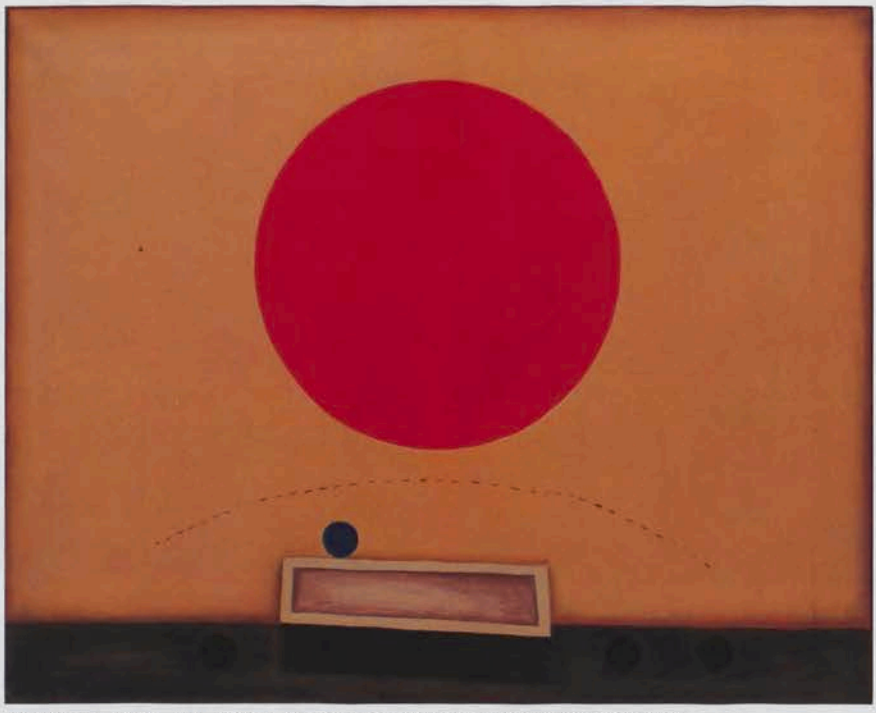

20. VI. 60, 1960, olej, płótno, kolekcja Zachęty Narodowej Galerii Sztuki

Autostrada V, 1972, olej, płótno,
kolekcja Muzeum w Koszalinie

Plener geometrystów II, 1985, olej, płótno,
kolekcja Muzeum Ziemi Chełmskiej

Fot. Barbara Gortat i Marek Strąkowski

Symbol w malarstwie

Fijałkowski – sztuka nieprzemijających wartości

Stanisław Fijałkowski to niewątpliwie najwybitniejszy twórca jaki mieszka w dzisiejszej Łodzi. Sztuka tego malarza i filozofa, artysty i teoretyka, wymyka się utartym definicjom. Niegdyś próbowano łączyć ją z elementami sztuki magicznej, z surrealizmem, ale były to próby chybione, bo oparte o schematy i nawyk szufladkowej klasyfikacji.

Fijałkowski stworzył własny język malarski oparty na pozornie prostych znakach plastycznych. Jednak istota graficzna tych znaków i znaczenie ich wzajemnych relacji wymyka się łatwym interpretacjom. Odbiorca sztuki tego artysty, obcując z nią po raz pierwszy, podświadomie szuka jakiegoś alfabetu znaczeń, który pomógłby mu odczytać świat symboliki stworzony przez twórcę. Ale świat tej symboliki nie jest ani prosty, ani jednoznaczny. Sam artysta podzielił się kiedyś własną definicją symbolu. Według niego *symbol jest to przedstawienie zastępcze innej rzeczywistości materialnej, duchowej lub abstrakcyjnej, przywodzące ją na myśl i związane z nim reakcje; symbol ma swoje źródło w tym, co symbolizowane – jest przedstawieniem poprzez przedmiot o niższym poziomie bytowym rzeczywistości wyższej. Należy zatem starannie odróżnić symbol od znaku, metafory i alegorii (…). Wniknięcie w świat symbolicznej tradycji i symbolicznych zachowań jest ogromną pracą (…). Trzeba zakorzenić się we własnej i zbiorowej duchowości. Trzeba nauczyć się żywić pokarmem zaspokajającym nasze wyższe potrzeby. Tym pożywieniem dla naszych myśli, tęsknot, pragnień, marzeń i całej wewnętrznej dynamiki życia duchowego (…) są te wszystkie wartości, które tworzą ludzką kulturę – niezniszczalny dorobek historycznego i przemijającego człowieka, wartość przekraczająca nasze kruche życie, a wspólna całemu ludzkiemu gatunkowi.*

* * *

Ta historiozoficzna wskazówka samego twórcy, wśród jakich motywów powinno się poszukiwać symbolicznych znaczeń jego własnej sztuki, stała się w pełni zrozumiała w zetknięciu z największą i niewątpliwie już historyczną wystawą malarstwa Stanisława Fijałkowskiego, jaką w 2010 roku zorganizował z ogromną starannością Atlas Sztuki. Była to bowiem nie tylko retrospektywa dzieła sędziwego twór-

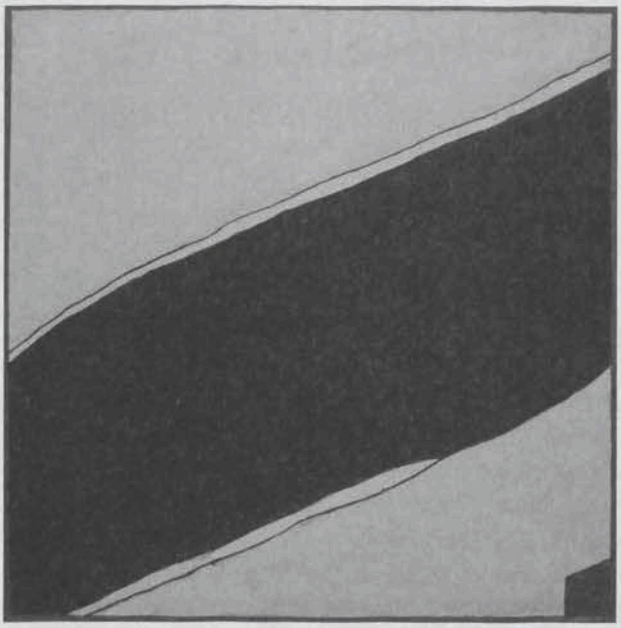

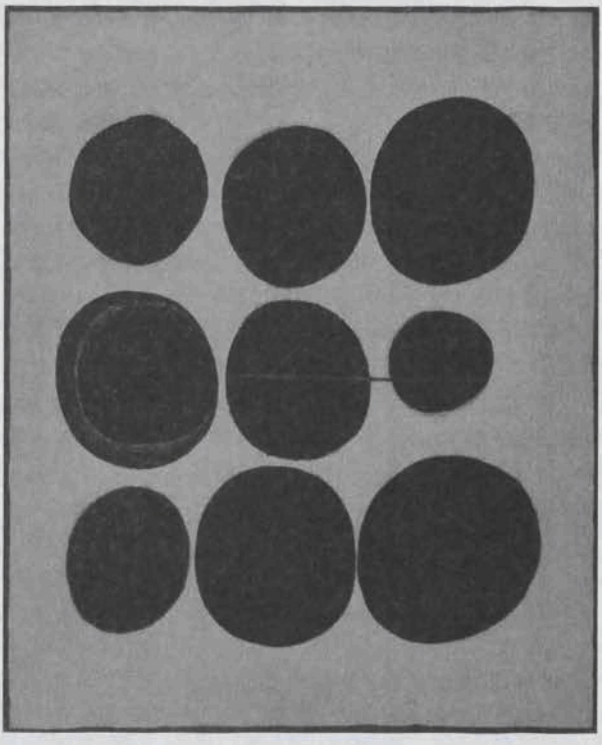

Zupełnie nowa autostrada IV, 2007, akryl, płótno, własność artysty
Asta – 8. VIII. 62, 1962, olej, płótno, kolekcja Galerii Ego

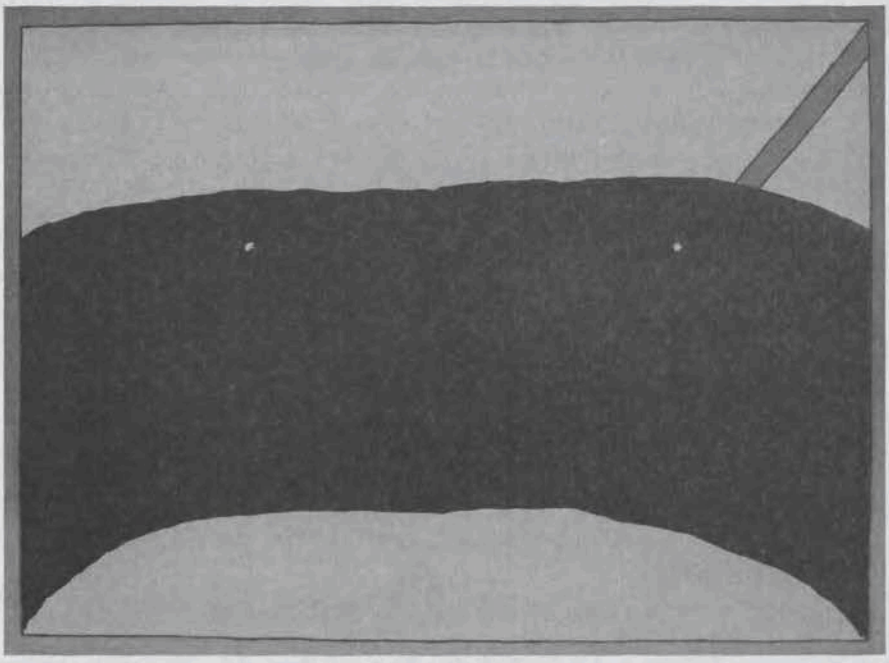

cy, ale także wyjątkowa synteza estetycznej drogi przebytej przez tego twórcę. Tego dotychczas byliśmy pozbawieni. Fijałkowski miał oczywiście bardzo wiele wystaw w kraju i za granicą. Żadna z nich jednak nie pozwalała zobaczyć dzieła artysty z perspektywy twórczych kilkudziesięciu lat . Tę szansę, której nie wykorzystały muzea, stworzyła dopiero prywatna galeria, pieczołowicie gromadząc wypożyczone z różnych zbiorów obrazy znakomitego twórcy i szczególnie cennego dla kultury Łodzi obywatela.

* * *

Jako młody człowiek Fijałkowski zetknął się z Władysławem Strzemińskim. Był jego studentem w Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych, zapewne zafascynowanym osobowością tego wybitnego malarza i teoretyka. Po latach przyznawał, że to, czego nauczył się od Strzemińskiego, to precyzja budowania obrazu, odpowiedzialność za formę i szacunek wobec racjonalnych motywów działalności twórczej. Było to jednak już po doświadczeniach II wojny światowej, która racjonalistyczną i progresywną postawę takich artystów jak Strzemiński wystawiła na ciężką próbę.

Fijałkowski, ucząc się od Strzemińskiego uczciwości artystycznej, wiedział już, że nie da się pójść drogą wytyczoną przez twórcę unizmu w sztuce. Poszukiwał więc alternatyw. Po doświadczeniach wojennych, zagładzie milionów ludzi i manifestacyjnej pogardzie totalitaryzmu dla ludzkiego rozumu, doświadczenie artysty kazało szukać zupełnie innego języka. Kiedy Fijałkowski dotarł do prac Carla Gustawa

str. 3 *Druga czarna szarfa* – 10. XI. 84, 1984, olej, płótno, własność artysty

Junga, psychologa, filozofa i twórcy teorii archetypu, znalazł potwierdzenie dla własnych intuicyjnych poszukiwań znaczeń symbolicznych, które może wyrazić przekaz artystyczny. Odtąd dla artysty symbol stał się wykładnią i pewną postawą realności aktu twórczego. W jednym z wywiadów artysta wyznał, że był jednym z pierwszych po wojnie czytelników Junga w Polsce, sprowadzał jego książki do bibliotek na długo zanim były tłumaczone.

* * *

Warto zwrócić uwagę, że wybitni artyści rzadko sięgają po aparat naukowy służący teoretycznej analizie dzieła sztuki. Talentowi plastycznemu nie zawsze towarzyszy erudycyjna umiejętność definiowania pojęć filozoficznych. Jest to raczej zjawisko nieczęste, ponieważ dla artysty ważniejsza bywa intuicja i wyobraźnia, niż potrzeba naukowego śledzenia procesu twórczego. Są jednak wyjątki i zdarzają się artyści o wyjątkowej, i nie tylko erudycyjnej, świadomości. W 1991 roku podczas Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej w Łodzi Stanisław Fijałkowski wygłosił odczyt pod tytułem *Cztery nieśmiałe uwagi o transcendencji*, w którym podzielił się ze słuchaczami swoimi przemyśleniami o istocie symbolu jako wielorakiego tworzywa obrazu. Odnosił to do uproszczonej symboliki wyrażanej także na przykład w abstrakcyjnych geometrycznych obrazach Pieta Mondriana. *W naszej europejskiej kulturze pion symbolizuje aktywność, życie, niebo i jego połączenie z ziemią, światło, mężczyznę, element dodatni – poziom zaś pasywność, śmierć, ziemię i horyzont, ciemności, kobietę, element ujemny. (…) Prawdziwa sztuka jest mniej lub więcej działalnością symboliczną (…) symbol nie odnosi się do rzeczywistości wulgarnej, lecz do realności wyższej – nie tej, która stanowi profanum, lecz tej, co jest określona przez rzeczy ostateczne.*

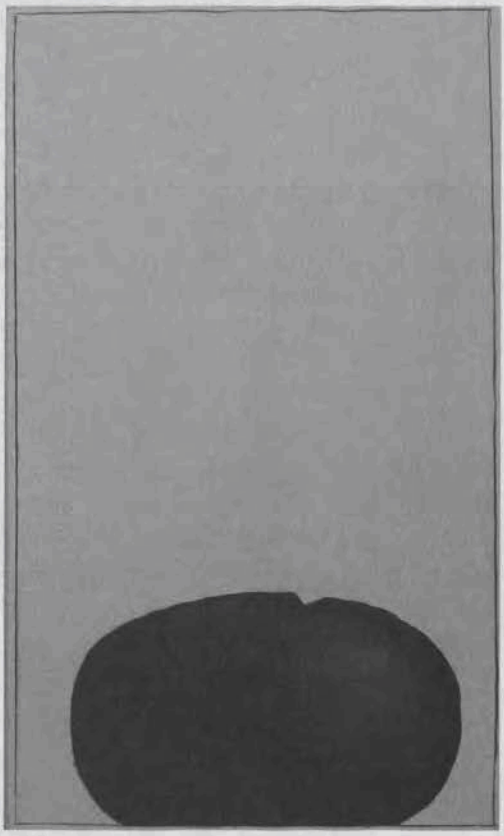

Dla Fijałkowskiego znajomość tradycyjnych

21. IV. 2009, 2009, akryl, płótno, kolekcja prywatna | **str. 4**

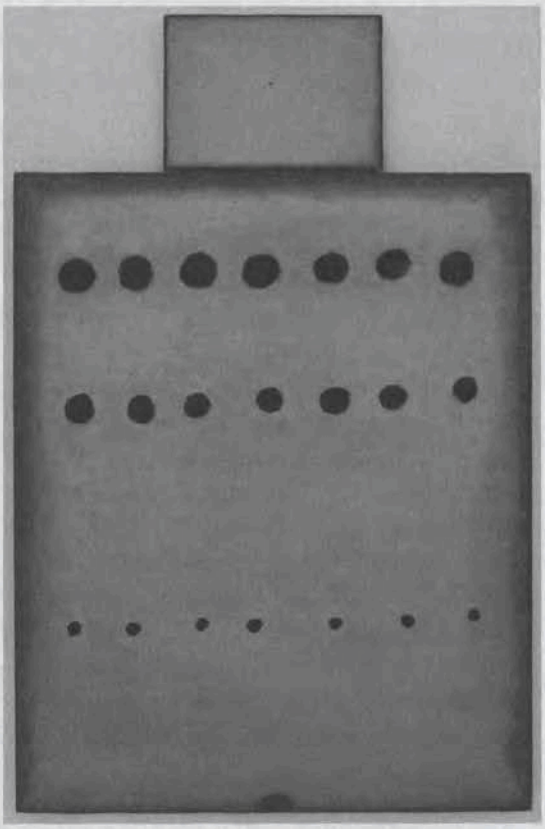

kodów kulturowych symboliki europejskiej nie stanowiła jednak drogi prowadzącej wprost do stworzenia alfabetu pojęć i znaczeń jego sztuki. Sztuki niewątpliwie symbolicznej, ale niematerializującej się – jak sam to określił – w wulgarnej symbolice przedmiotu. *Nie interesują mnie symbole konwencjonalne* – mówił artysta w 1978 roku – *(...) Staram się odkryć nowe symbole, wyrażane nie tylko przez same znaki, co poprzez wzajemne stosunki między nimi, powstające na powierzchni obrazu. Taka symbolika jest bardziej dynamiczna, bo działa aktywnie na wyobraźnię.*

Wartością samą w sobie obrazów artysty jest ich wyrafinowanie prosta kompozycja. Fijałkowski jest mistrzem w projektowaniu płótna i budowaniu na jego powierzchni subtelnych tajemniczych niuansów, które są niezwykłą grą znaczeń – takim swoistym połączeniem intuicji i intelektu.

Niewątpliwie też sztuka Stanisława Fijałkowskiego jest obudowana wyraźnym przesłaniem metafizycznym. Ale artysta odkrywa tylko część znaczeń symbolicznych, inna ich część pozostaje niedopowiedziana, albo nawet niema, prowokując odbiorcę do – jak sam to nazywa – wibracji emocjonalnej. *Kiedy dwa różne znaczenia tej samej formy* – mówił artysta w 1989 roku – *zderzają się naraz, powodując, że ona sama staje się niejednoznaczna i nabiera różnych możliwości, jej treści inicjują proces twórczy w nas samych. Forma wibruje, a my, jak kamertony, odpowiadamy jej tym samym.* Ale sam artysta zwykł też mówić, że poszukiwania duchowe i dylematy egzystencjalne, które dotykają wszystkich ludzi, w materialnym doświadczeniu malarza stają się pewną realnością, ponieważ zamieniają się w konkretny obiektywny kształt jakim jest obraz.

* * *

str. 5 | *Kobieta*, 1964, olej, płótno, kolekcja Galerii Ego

Wystawa w Atlasie Sztuki pozwoliła dojrzeć też subtelną ewolucję, którą przechodzi sztuka Fijałkowskiego w ostatnich latach. To już nie tylko odwołanie do problematyki metafizycznej, ale sygnalizowana jasno treść mistyczna jest kanwą tych obrazów. Są to obrazy bez tytułów, oznaczone tylko datami. Zapisane są w nich nastroje artysty, pełne wątpliwości dialogi wewnętrzne albo tylko smugi pamięci zamarłe w malarskiej materii. Są to najbardziej przejmujące obrazy, jakie wyszły spod pędzla sędziwego artysty. Wielkiego Łodzianina.

Gustaw Romanowski

Stanisław Fijałkowski. Atlas Sztuki. 12 marca 2010 – 18 kwietnia 2010

Cytaty pochodzą z następujących tekstów:

1. *Stanisław Fijałkowski. Spisał i opracował Gustaw Romanowski.* Osnowa. Sztuka tworzenia. Wydawnictwo Łódzkie 1978.
2. *Działania symboliczne. Ze Stanisławem Fijałkowskim rozmawia Zbigniew Taranienko.* „Projekt" nr 6 z 1989 r.
3. *Stanisław Fijałkowski. Wybrane teksty.* Galeria Gest Sławomira Bossa. Łódź 1997.

Stanisław Fijałkowski urodził się 4 listopada 1922 roku w Zdołbunowie na Wołyniu. W latach 1946–51 studiował w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Łodzi u Władysława Strzemińskiego, Stefana Wegnera i Ludwika Tyrowicza. Od 1947 roku był już pedagogiem tej uczelni, od 1983 roku jej profesorem. Jako profesor wielokrotnie prowadził seminaria na uczelniach zagranicznych w Niemczech i Szwajcarii. Jest wiceprezydentem Międzynarodowego Stowarzyszenia Drzeworytników XYLON z siedzibą w Szwajcarii, członkiem Europejskiej Akademii Nauk i Sztuk w Salzburgu oraz Belgijskiej Królewskiej Akademii Nauki, Literatury i Sztuk Pięknych w Brukseli. Laureat Nagrody Miasta Łodzi w 1998 roku. W 2002 roku otrzymał tytuł *honoris causa* Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi. Uprawia malarstwo i grafikę. Miał 87 wystaw indywidualnych w kraju oraz w wielu muzeach i galeriach za granicą. Tłumacz i wydawca pism Wasyla Kandyńskiego i Kazimierza Malewicza na język polski.

Fot. Barbara Gortat i Marek Strąkowski

Ideologia miłości

Fotofestiwal 2010

Miłość to znaczy popatrzeć na siebie,
Tak jak się patrzy na obce nam rzeczy (...).
(Czesław Miłosz)

Tegoroczny łódzki festiwal fotografii pytał o taką rzecz jak miłość. Pytał, ale również starał się udzielić odpowiedzi, jak definicja miłości wiąże relacje pomiędzy prawdą i poznaniem, doświadczeniem i mitem, iluzją i pragnieniem. Tytuł wystawy *All my lovin'* sugerował jakieś ogólniejsze ramy dialektyczne dla koncepcji prezentacji miłości w epoce uranu. W epoce, w której kulturowa perspektywa wszystkich pojęć ogranicza horyzont ich poznania do najprostszych znaków identyfikacyjnych. Po raz kolejny okazało się, że współcześnie to co ogólne nie oznacza wcale szerszego pola intelektualnych odniesień, a dotyczy wyuczonego odbioru symboli i kodów w przejawach dominującej kultury masowej.

Powszechność fotografii czyni z niej narzędzie sztuki coraz bardziej pospolite. Już Baudelaire postulował jej ograniczenie do funkcji „pokornej służebnicy sztuki", dyskwalifikując jej estetyczną i ideologiczną wiarygodność jako nośnika artystycznego przekazu. Historia fotografii rozpoczyna się od wykorzystania tego medium wyłącznie w charakterze pasywnego dokumentu o użytkowym charakterze. Proweniencja fotografii odnosi się do jej praktycznego wymiaru i neutralnej wartości emocjonalnej. Pierwotna relacja jaka zawiązywała się pomiędzy fotografującym a modelem bądź obiektem, była wyrazem racjonalnej obojętności, w której fotograficzna realność nie tworzy własnej – narzuconej i doraźnej – rzeczywistości. Wkroczenie fotografii w świat artystycznej kreacji spowodowało jej alians ze sztuką. Fakt ten wpłynął na zainicjowanie znaczących zmian w obrębie działań artystycznych, które nie mogły się ujawnić w czasie traktowania fotografii w kategorii nośnika lub narzędzia, pozostawiając poza nawiasem „artystycznego medium" tę dziedzinę aktywności twórczej.

Wbrew pozorom fotografia jest materią złożoną. Jej całokształt budują trzy główne elementy składowe: materiał zapisu, materiał będący przedmiotem zapisu i mechanika zapisu. Techniczne instrumentarium powoduje, że obraz fotograficzny kojarzony jest z materią przemysłową, zwłaszcza, że funkcjonuje on jako mate-

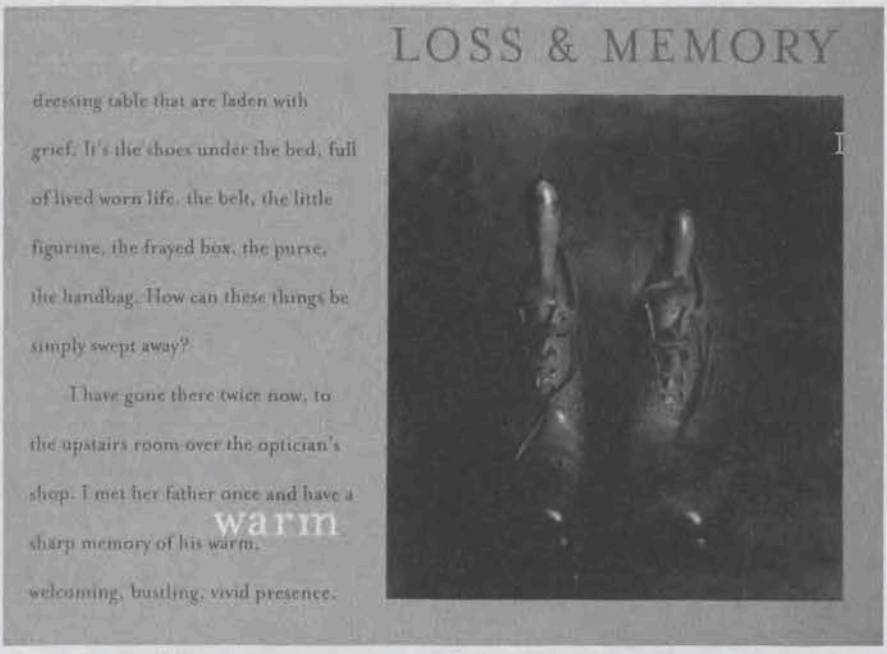

riał będący jednocześnie przedmiotem zapisu. Przeniesienie w formę fotograficzną następuje za pomocą specyfiki utrwalania obrazu, na którą składa się materiał mimetyczny i technologiczny. Ewolucja działań fotograficznych od funkcji nośnika do samodzielnego materiału artystycznego ma dla sztuki współczesnej znaczenie bez precedensu. Pojawiła się nowa wartość w zakresie przekazywania rzeczywistości, której realność pozostaje nienaruszonym obrazem tego, co widzialne. W fotografii wyodrębniły się dwa aspekty określające jej tożsamość: umiejętność posługiwania się narzędziem i eksperyment estetyczny (bo jest fotografia – zdaniem Johna R. Spencera – permanentnym eksperymentem). Zawarta w ortogonalnym kadrze forma obrazu optycznego jasno określa wzajemny stosunek techniki i estetyki.

W XXI wieku fotografia stała się podstawowym materiałem estetycznym agresywnie manifestującym swoją wszechobecność. Coraz częściej służy ona ograniczeniu wizualnej wrażliwości, wzmacniając jednocześnie fałszywość tworzonych obrazów. Fałsz fotograficzny nie polega na deformowaniu rzeczy i usuwaniu podobieństwa pomiędzy modelem a jego ilustracją. Zdjęcie posiadając wyłącznie ilustracyjną formę przekazu tworzy pozory komunikatu, bo przemawia wyłącznie do zbiorowej percepcji. Wpływa bezpośrednio na zmianę sposobu patrzenia. Rzeczywistość wypełniona zdjęciami i obrazami filmowymi staje się immanentną funkcją patrzenia. Fotograficzne znaki uniezależniają się od człowieka i egzystują samodzielnie, przestając być sposobem widzenia, a stając się materią widzialności, która różni się od tego, co widzimy tym, że obrazy zastępują rzeczy.

Czy miłość pokazana na fotografii jest obrazem samej siebie czy rzeczą przedstawioną w obiektywnej narracji wizualnej? *Rzeczy* – jak chciał Martin Heidegger – *są w różnych prawdach. Rzecz jest obecnym nośnikiem wielu obecnych w niej i przy tym wymiennych własności.* Jaka jest prawda o miłości? I czy fotografia jest odpowiednim nośnikiem jej istoty?

* * *

Uczucie miłości jest stale obecne w życiu człowieka. W kulturze chrześcijańskiej miłość rozumiana jest w kategoriach elementarnych relacji między mężczyzną a kobietą. Refleksja nad stosunkiem zachowań płciowych objawia się jako prawda o miłości i rozwija się w formie sentymentalnego kanonu. Prawdziwa miłość jest jednym ze społecznych emblematów, zawładniętych przez mechanizm do tego stopnia metafizyczny, że sam siebie skazujący na represję imaginacji. A jednak pospolitość pojęcia miłości sprawia, że proces jej identyfikacji i zrozumienia przebiega jako model kulturowego narzędzia koordynujący relacje między ludźmi. Jednostkowość w miłości ma w sposób konieczny wartość powszechności, *bo przedmiotem miłości indywidualnej jest od samego początku obraz wszechświata zaproponowanego do spożywania i niepoddanego żadnej kulturowej mierze. Tym spożywaniem – o ile jest kuszące, atrakcyjne – jest sam ów wszechświat, który kochającemu go podmiotowi ofiarowuje możliwość otwarcia się na wszechświat i zniesienia wszelkiego zróżnicowania między sobą a nim. Poprzez ustalenie się miłości zostaje zniesiony dystans mię-*

Igor Savchenko – *Abecadło gestów*, Białoruś | **str. 4**

dzy chaotyczną, lecz zupełnie konkretną całościowością tego, co powszechnie istnieje, a przedmiotem tej miłości: istota ukochana jest w miłości zawsze samym wszechświatem (Georges Bataille).

Człowiek żył w obiektywnym świecie uczuć na długo przed tym, zanim wyodrębnił z nich miłość. Nawet wtedy, kiedy nie pojmował jeszcze miłości w wymiarze indywidualnym, jego doświadczanie nie było amorficznym przejawem doznań zmysłowych. Było dobrze osadzone w zorganizowanej strukturze zachowań grupowych. Znakiem kulturowej stratyfikacji stało się uczynienie z miłości aktu posiadania i zmiana jej statusu na empiryczną syntagmę zakładającą jej praktyczną organiczność.

Uznając, że trwanie jest podstawą miłości a jej *spiritus regetatirus* jest fikcją, trzeba stwierdzić, że świat miłości jest wyłącznie ziemskim *paradisus voluptatis*. A w tym ogrodzie nieustannie kwitnie zbiorowa kultura miłości. Frommowska „gotowość do kochania" warunkuje kategorie zachowań indywidualnych i grupowych. *Fundamentalna afirmacja, stanowiąca element miłości, jest skierowana ku ukochanej osobie jako ucieleśnieniu istotowych wartości ludzkich* (Erich Fromm). Wartości reprezentowane w określonej kulturze jako model zachowań społecznych wynikają w sposób bezpośredni z zasady pamięci, która ze zobowiązań o ściśle obligatoryjnym charakterze czyni artefaktyczną kulturę pamiętania. Od samego uczucia ważniejsza staje

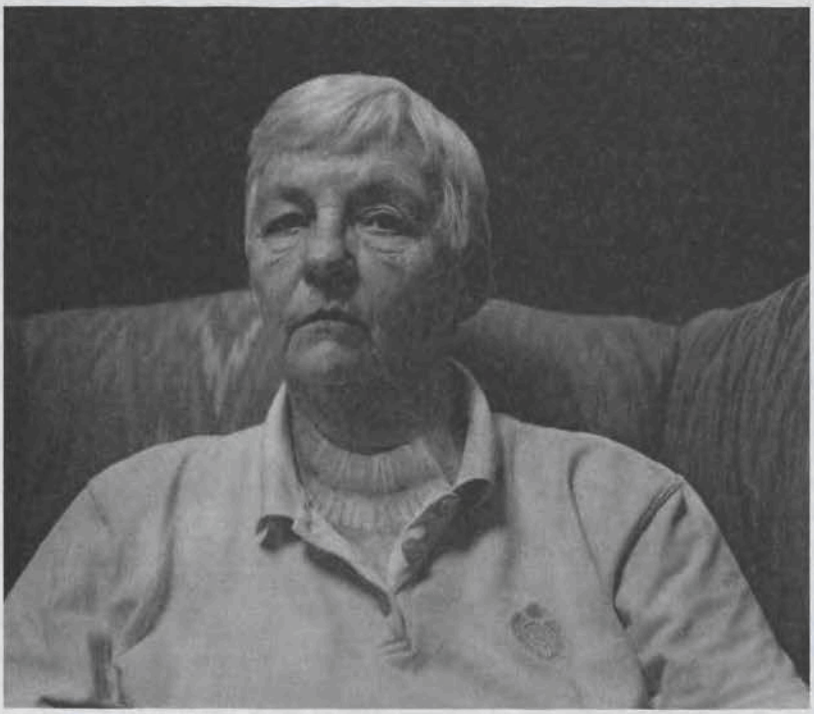

str. 5 | Doug Dubois – *Blizna Matki*, USA

się konieczność jego przejawiania jako argumentu identyfikacji kulturowej. Wola zbiorowości – wyrażana w produktach kultury – oczekuje podporządkowania pojęć obrazom ożywianym w życiu zbiorowym tak, aby stały się trwałymi elementami systemu idei społeczeństwa. Miłość jako idea staje się figurą pamięci dostępującą substancjalizacji przez określoną przestrzeń a aktualizacji przez określony czas. Każda miłość ma przecież swoje miejsce i czas. Ma też swoją konkretną orientację.

* * *

„Miłość" prezentowana podczas tegorocznej edycji Fotofestiwalu zorientowana była wyraźnie na instytucję pamięci zbiorowej. W obszarze społecznych doświadczeń uczuciowości pojawiły się próby przeprowadzenia rekonstrukcji w wymiarze jednostkowym. Większość artystów postawiła sobie za cel nadrzędny udowodnienie tezy, że miłość nie jest jednowymiarowym rudymentem ludzkiej aktywności emocjonalnej, a zespół pojęć określających uczuciowe zaangażowanie jest ekwiwalentem symboli, konwencji i obrzędów miłosnych od których pochodzi. Historyczna modalność doświadczenia miłości stała się zwykłym zatrzymaniem doświadczenia. Zatrzymanym w pamięci i zatrzymanym w kadrze.

Amerykanin **Doug Dubois** od ponad 20 lat fotografuje swoją rodzinę. Wykonane przez niego zdjęcia stanowią rodzaj kroniki skazanej na kontekst powstawania, a więc obciążonej swoją historycznością. Historia tej familii to opowieść o potrzebach i pragnieniach jej członków ujawniona w subtelnych portretach, wykonanych z silnej motywacji uczestniczenia w życiu rodzinnym i ze świadomością swojej roli. Naturalistyczne portrety Duboisa powstały jako efekt typowych napięć kierunkowych niedeformujących rzeczywistości, a jedynie nadających im autorski podtekst znaczeniowy, którym w tym przypadku jest siła bliskości.

Phillip Toledano również zajmuje się w swoich pracach tematyką pamięci. W sposób nieco przewrotny pokazuje, jak jej brak może wpłynąć na ustalanie i odnajdywanie wspomnień. Obciążony afazją ojciec autora staje się dla niego punktem odniesienia do przypominania sobie przeszłości i budowania nowych relacji między mężczyznami. Realistyczne portrety ojca pokazują go w sposób od rzeczywistości oderwany. Bohater, chociaż znajduje się w obszarze doświadczania miejsca i czasu, znajduje się równocześnie poza wymiarem wspólnego przeżywania wzajemnej obecności. I właśnie ta obecność w nieobecności staje się podstawową narracją wypowiedzi artystycznej Toledano.

Lucia Stranaiova ze Słowacji w serii pod tytułem *Dziadkowie* wkracza w świat ludzi starych nie po to, aby epatować tanim sentymentalizmem, prezentując starość z jej całym pięknem dostojeństwa, ale robi to w celu przywracania pamięci emocjonalnej bohaterom swojej opowieści. To pamięć progresywna, odtwarzająca zapomniane nastroje i uczucia z ich typowymi przejawami zachowań, jak tulenie się do siebie, czy samotne oczekiwanie w łóżku. Zdjęcia artystki nie dociekają napięcia emocjonalnego nachalnie i tylko po to, aby koniecznie udowodnić jego niezbywalność na każdej długości życia ludzkiego. To raczej przemyślany zabieg terapeutyczny, którego skutki odczują przede wszystkim oglądający te poetyckie fotografie. *Sprezzatura* w pracach Stranaiovej polega na skutecznym unikaniu dwu przeciwstawnych błędów: banalności i przesady. Te proporcje zachowane są w obu warstwach: formalnej i treściowej. W stosowanym przez artystkę katalogu kontrapostów wyraźnie zaznaczony

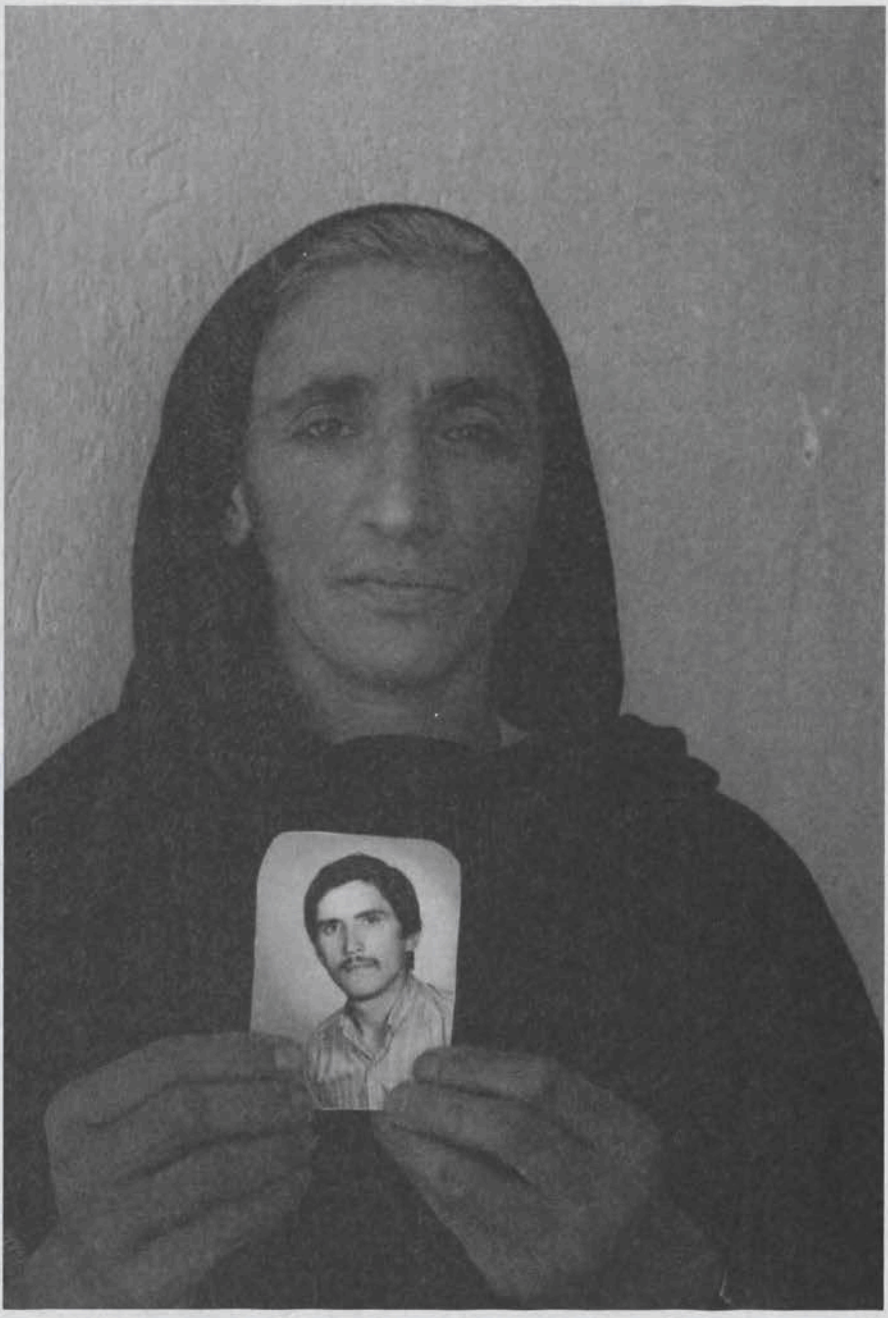

jest schemat ich właściwego stosowania. Fotografując, próbuje działać przeciwko czasowi w takim zakresie, w jakim jego zatrzymanie może uczynić przeszłość na zawsze obecną w świecie obrazu.

Obrazy **Marcina Sudzińskiego** to rodzaj komunikacji z ojcem. Autor – uwolniony od złudzeń działania – przywraca obiektowi rzeczywistość, szukając razem z nim jej istoty. Odnaleziony przez Sudzińskiego ojciec żyje w ubóstwie w świecie, który tylko niekiedy z literackiej perspektywy wydawać się może atrakcyjnym marginesem społecznym. Kiedy okazuje się, że jest śmiertelnie chory, robienie zdjęć staje się rodzajem niemej rozmowy opartej na wspólnym przeczuciu, że w ten właśnie sposób odbywa się akt pamięci. Prawda tej fotografii ma również wartość użytkową przez nadanie jej funkcji dokumentu. Stworzone przez autora archiwum pamięci i sposób w jaki inwentaryzuje on rzeczywistość dokonuje się w oparciu o dwie procedury tezauryzacji obrazu: tezauryzacji prawdy obiektywnej i tezauryzacji subiektywnej, dzięki użyciu fotograficznego narzędzia jej zapisu. Fotografie Sudzińskiego są interesujące także z powodów antropologicznych. Obraz fotograficzny, który miał dowodzić życia, w rzeczywistości produkował jego cień. Bezwarunkowa obecność na fotografii zwiększa warunek nieobecności w życiu. Doświadczenie śmierci w obrazie jest dla współczesnego człowieka rodzajem nowoczesnego archaizmu, o którym Roland Barthes mówił, że w fotografii *stajemy się całkowicie obrazem, co oznacza śmierć danej osoby*. Bez światła obraz fotograficzny nie istnieje, ale nie istnieje też bez swojej odwrotnej, transcendentalnej strony – bez cienia.

Fotografie, które kryją cień tajemnicy istnienia są dziełem angielki **Jenny Matthews**. Autorka portretuje ludzi noszących przy sobie zdjęcia utraconych bliskich. Te zdjęcia są rodzajem pamięci, która posiada silną konotację religijną. Zdjęciom traktowanym jak relikwie świętych nadawana jest symboliczna moc wskrzeszania zmarłych. Te obrazy są drogą od pozoru do prawdy. A prawda polega na tym, aby odróżnić wspomnienie od percepcji. Zdjęcia wykonane przez Matthews opierają się na metafizycznej iluzji istnienia bezpośredniej drogi łączącej teraźniejszość z przeszłością. W ten sposób autorka izoluje mechanizm percepcji obrazu od wspomnienia o rzeczy. A rzecz w tym właśnie, żeby uniezależnić percepcję obrazu od wspomnienia. Redukując percepcje do bezpośredniej i jednokierunkowej widzialności obrazu, w którym widzimy nie zdjęcie, tylko jego odniesienie, czyli niewidoczność zdjęcia. A niewidoczność zdjęcia jest wyrazem jedności pomiędzy realnym a fikcyjnym i pomiędzy teraźniejszym a przeszłym.

Cykl prac pochodzącego z Białorusi **Igora Savchenki** zatytułowany *Abecadło gestów* wyraża się w takim potraktowaniu przeszłości jakby czas teraźniejszy mógł zastąpić czas przeszły. Ta estetyczna gramatyka wychodzi od przekonania, że czas wynika z przeżywanej teraźniejszości, a jego charakter pozostaje w konflikcie ze wspomnieniem. Savchenko sfotografował fragmenty zdjęć innych autorów ustanawiając pretekst do ideologicznego użycia fotografii. Ideologicznego podwójnie, bo ob-

Phillip Toledano – *Drzemka*, Wielka Brytania
Marcin Sudziński – *Ojciec*, Polska

razy autora głoszą swój autonomiczny status. Bo autorowi nie chodzi o uchwycenie rzeczywistości, ale o dążenie do realności fotograficznej. Miłosne gesty na tych zdjęciach nie tworzą nowego kontekstu znaczeń i form wyrazu. Chwile, które kiedyś jakiś fotograf przemienił w wydarzenie, artysta pokazuje jako wspomnienia chwil, które implikują wydarzenie. Tak powstałe prospektywne obrazy są przeżyciem nie tylko przeszłego czasu, ale też przeszłej historii. Historii, która nieustannie nakazuje nam pamiętać o rzeczywistości, a ta jest przecież wynikiem konstrukcji, którą sami tworzymy.

* * *

Świat w naszym widzeniu świata – tak jak w fotografii – nie jest czystą kontyngencją. Jest reprezentowany przez obrazy, które zamiast świat przedstawiać, zasłaniają jego prawdziwy wymiar, nadając mu piętno twórczej woli. *Aby zatem jakiś przedmiot był obrazem, nie wystarczy, aby był widzialny. Obrazowość wymaga,*

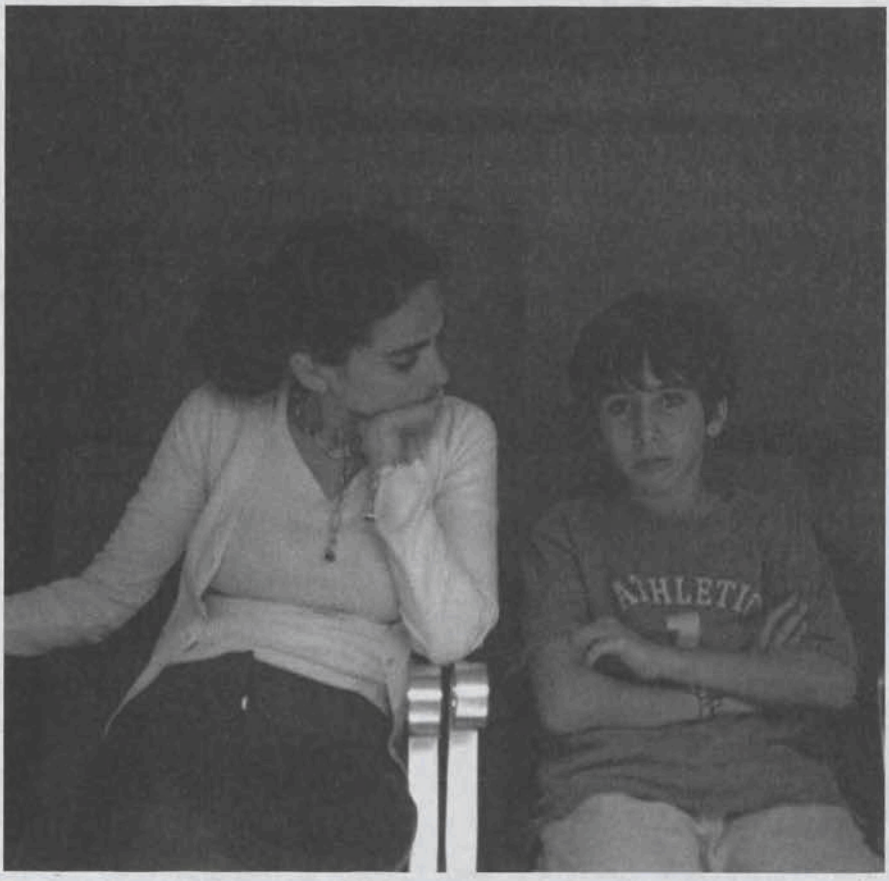

str. 11 | Carolle Benitah – *Tylko nas dwoje*, Maroko

aby obraz wytwarzał jakąś formę widzialności, która od widzialności „normalnych przedmiotów" różni się tym, że – choć brzmi to dość paradoksalnie – nie jest widzialnością tego, co człowiek widzi (Lambert Wiesing). Widzenie „miłości" za pomocą fotografii to atrapa, która tylko po to przypomina o oryginale, żeby go później całkowicie zastąpić. Życie współczesnego człowieka stało się funkcją stworzonych przez niego samego obrazów. Fikcja fotograficznej prawdy zakłada, że rzecz i obraz łączy taka sama fizyczność. Obraz fotograficzny jest nową rzeczywistością, która powstaje w procesie jej przetworzenia. Kopia rzeczywistości skutecznie zwodzi naszą percepcję. Tak skutecznie, że nie potrafimy już odczytać własnych zdjęć.

Marek Strąkowski

Bibliografia:

1. John Berger, *O patrzeniu*, Fundacja Aletheia, Warszawa 1999.
2. Lambert Wiesing, *Widzialność obrazu*, Oficyna Naukowa, Warszawa 2008.
3. Martin Heidegger, *Pytanie o rzecz*, Wydawnictwo KR, Warszawa 2001.
4. Georges Bataille, *Historia erotyzmu*, Wydawnictwo Aletheia, Warszawa 2008.
5. Erich Fromm, *Miłość, płeć i matriarchat*, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 1999.
6. Roland Barthes, *Światło obrazu*, Wydawnictwo KR, Warszawa 1996.
7. Eva Illouz, *Uczucia w dobie kapitalizmu*, Oficyna Naukowa, Warszawa 2010.
8. Hans Belting, *Antropologia obrazu*, Universitas, Kraków 2007.

Fot. Marek Strąkowski

Święto sztuki włókna

13. Międzynarodowe Triennale Tkaniny

13. Międzynarodowe Triennale Tkaniny zostało otwarte w 35-lecie pierwszej międzynarodowej wystawy sztuki włókna w Łodzi. Centralne Muzeum Włókiennictwa, od lat organizator tej największej na świecie ekspozycji konkursowej, zdążyło już nas przyzwyczaić do monumentalnych pokazów z udziałem artystów z całego świata. I tym razem do obejrzenia mamy prace aż 130 twórców z 51 państw, ale trzynasta edycja zyskała nowy kształt. Po raz pierwszy, dla potrzeb ekspozycji, zostało zaaranżowane czwarte skrzydło Białej Fabryki, niedawno poddane rewitalizacji i gruntownej przebudowie. Jasna, przestronna, silnie zintegrowana przestrzeń, otwarta na dwóch kondygnacjach, zapewnia ekspozycji walor lekkości, buduje wiele zaskakujących relacji pomiędzy eksponowanymi pracami.

Laureaci

Niewątpliwie, największymi beneficjentami tegorocznego spotkaniu są artyści z Norwegii – kraju o bogatych i kultywowanych tradycjach w dziedzinie tkaniny. Złoty Medal

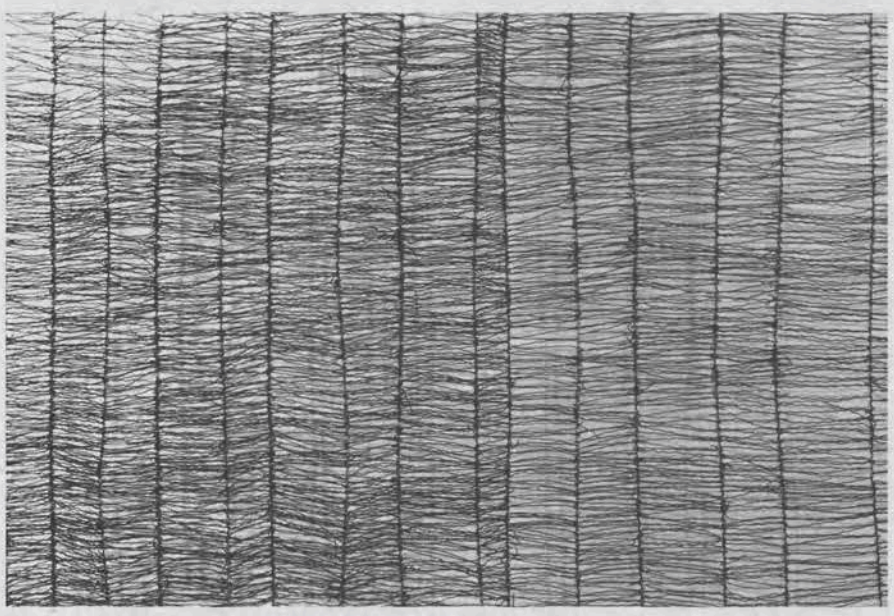

Mária T. Doromby – *Ku górze*, Węgry, 2009 (fragment).
Wyróżnienie Honorowe

dla Anne-Gry Løland oraz Srebrny Medal dla Kari Dyrdal wiele mówią. Warto przyjrzeć się tym kompozycjom: subtelnej i ulotnej, o przekornym tytule *Pomniki* oraz solidnej tkackim warsztatem, ale delikatnej jedwabnym połyskiem *Historii żakardu – lingo*. Obie lokują się daleko od „mięsistości" gobelinowej materii. Obie są opowieściami: pierwsza, bez mała nieistniejąca, z drobinami wizerunków tytułowych monumentów – mówi o kruchości czegoś, co mogłoby się wydawać trwałe; druga solidnie wytkana – streszcza historię języka programowania (i swoistej gry), niezbędnych do stworzenia zapisu, podstawy dla powstania żakardowego obrazu.

Trzeba też podkreślić, iż tegoroczne triennale okazało się równie szczęśliwe dla Łodzi. Laureatką Srebrnego Medalu została Izabela Wyrwa, Konrad Zych otrzymał Medal Brązowy. Oboje są absolwentami łódzkiej Akademii Sztuk Pięknych. Kompozycja Wyrwy *Coś w powietrzu*: subtelna, silnie grająca czernią, abstrakcyjnego

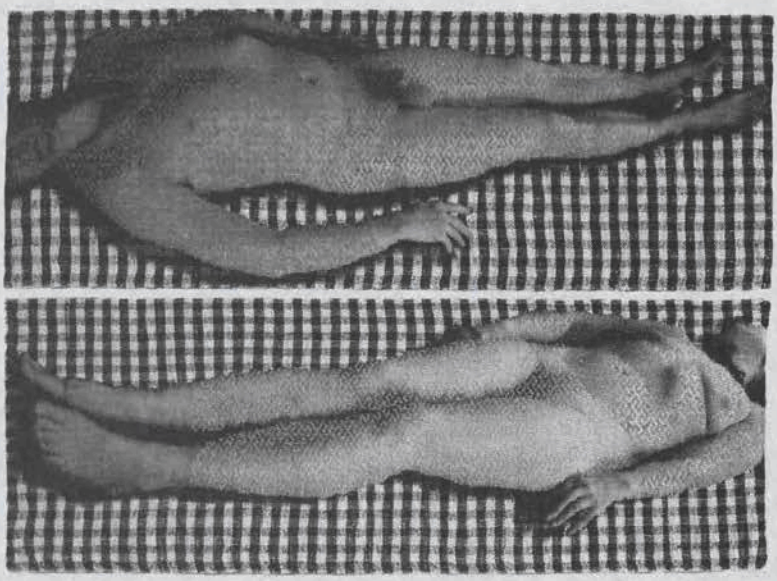

Outi Martikainen – *Krzyk*, Finlandia, 2009 (fragment)
Laima Oržekauskienė – *Pozycja optymalna I, II*, Litwa, 2008

„rysunku" nakreślonego liniami siatki, drutu i plastiku oraz praca Zycha *Przenikanie*, fascynująca złożonością, precyzją i pięknem zachwyciły międzynarodowe jury. Medalem Centralnego Muzeum Włókiennictwa, przyznawanym przez pracowników merytorycznych muzeum, nagrodzono malarski, precyzyjnie wytkany kilim (!) o tytule *NOL. Niezidentyfikowany Obiekt Latający*. Jego twórca Zygmunt Łukasiewicz, to kolejny artysta związany z łódzką uczelnią. Tą łódzką „listę chwały" wydłużają wyróżnienia: Ewy Latkowskiej-Żychskiej, za formowany w masie papierowej tryptyk pod tytułem *A jednak błękit* oraz dla Piotra Rędziniaka z Rzeszowa, absolwenta naszej ASP, za minimalistyczną kompozycję *Moja droga – Relief*.

Lista laureatów jest znacznie dłuższa. Medale brązowe powędrowały także do artystów z Niemiec i Łotwy – do Petera Horna za klasyczny gobelin *Orion Nebula* oraz do Dzintry Vilks za ażurowaną bryłę z bambusowych patyczków, łączonych bawełnianą nicią, noszącą tytuł *Spotkanie świata targanego wichrami*. Nadto uhonorowano wyróżnieniami: *Płonący III* Reginy V. Benson (USA) z gorejącą kolorem na matowym, ciemnym tle; pracę *Ku górze* – graficzne, zrytmizowane pasma stalowych linii, poprowadzonych w przestrzeni przez Márię T. Doromby (Węgry); nadesłany przez Stephena Huntera (Wielka Brytania) *Eksplodujący rysunek*, który może zaistnieć dopiero po przymocowaniu do podłoża, oraz konstrukcję *Ścieżki II* – z szeregiem trójwymiarowo szkicowanych drutem „koronkowych choinek" wykonanych przez Andę Klančič (Słowenia), a także *Wiosnę miłości* – fantastycznie naiwną i multikolorową, tkaną i haftowaną opowiastkę Maximo Laury (Peru).

I nie jest to jeszcze pełna lista nagród. Związek Polskich Artystów Plastyków „Polska Sztuka Użytkowa" uhonorował Lię Altman (Rosja) za *Czyste niebo* – inspirowany fotografią gobelin, o ironicznie socrealistycznym posmaku. Przyznawaną od 2004 roku Nagrodę Fundacji „Akapi" za najlepszy debiut na Triennale, wręczono Pawłowi Kiełpińskiemu z Poznania za pracę *Bez tytułu* – szaro-czarno-biały gobelin z pierwiastkiem postmodernistycznej gry, polegającej na zderzeniu miękkiej i giętkiej struktury z sugestywnym przedstawieniem rozbitej tafli szklanej.

Wymienione prace cechuje duża różnorodność i trudno sprowadzić je do wspólnego mianownika, poza – oczywiście – przemyślaną postawą wobec uprawianej sztuki. I jest to cecha charakterystyczna kolejnych triennalowych konfrontacji.

Pojemna formuła

Od początku bowiem o międzynarodowej zawartości wystawy decydowali konsultanci – krytycy sztuki, artyści, przedstawiciele stowarzyszeń artystycznych, instytucji kultury, środowisk uniwersyteckich, zapraszani przez organizatorów do skompletowania list uczestników z własnych krajów. Reprezentację artystów polskich i wyjątkowo zagranicznych (z krajów niereprezentowanych przez konsultantów) ustala Rada Programowa Triennale. Wybrana opcja typowania zespołu uczestników i pozostawienie nie-

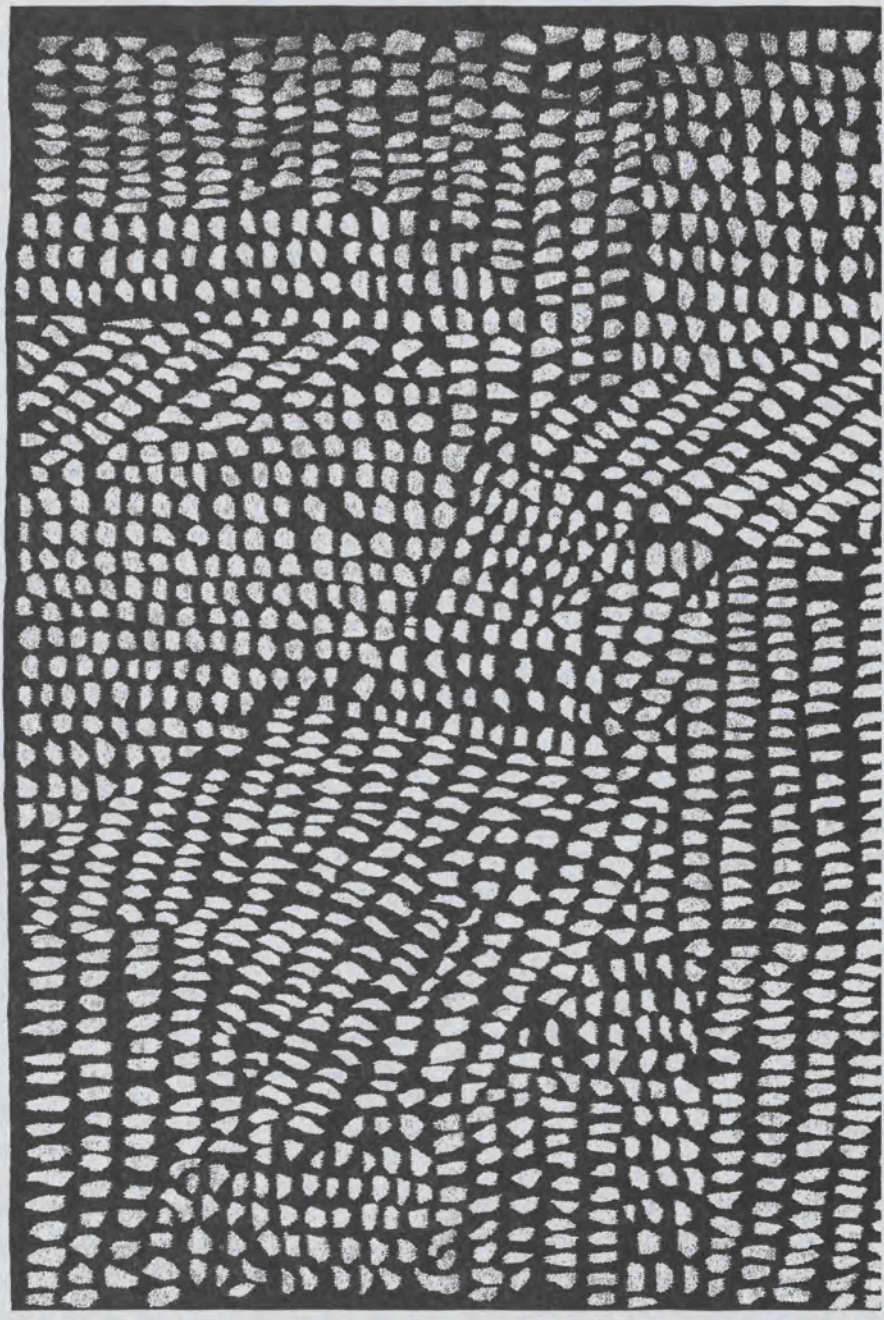

Elżbieta Kędzia – *Różne przestrzenie*, Polska, 2009 | **str. 4**

zależności w doborze dzieła, jakim chcą się wpisać w wystawę bezpośrednio wybranym artystom, pozwala na zaprezentowanie wielu idei postrzegania tkaniny w różnych obszarach kulturowych. Zapewnia to olbrzymią rozmaitość prac. Triennale zawsze było szeroką panoramą – przeglądem, bez zakusów sugerowania kierunków poszukiwań artystom. W historii łódzkiej międzynarodowej wystawy tylko edycja z 1978 roku nosiła tytuł *Tkanina – idea – człowiek*. Zawsze jednak regulamin wystawy miał bardzo otwartą formułę i nie ograniczał ani nie zawężał zakresu czy możliwości wypowiedzi artystycznej.

Na przestrzeni bez mała czterech dziesięcioleci historii, w cyklicznie powtarzanej, tkaninowej manifestacji, zmiany są dobrze widoczne. I nie chodzi tu wcale o najszybciej ewoluujący i najłatwiej zauważalny repertuar stosowanych surowców, ale o sens przekazu i wybierane rodzaje ekspresji. Współczesna tkanina pozostaje wspaniałym medium, bo jest istotnie zręcznym i prawdziwie pojemnym nośnikiem. Uważnym obserwatorom oferuje fascynujące spotkania, wędrówkę poprzez osobiste światy, regionalne historie i przetwarzane bądź kontestowane globalne mody. Intrygujące wydają się być czerpane z różnych kultur klisze, kameralnie opowiedziane historie czy ironiczne, a nawet dramatyczne opisy zaczerpnięte z codzienności. Ciekawe są również rozwiązania czysto formalne.

Aktualny wizerunek sztuki tkaniny tworzą „nowe" gobeliny: haftowane, aplikowane, drukowane i malowane, formowane z włókien, rzadziej tkane na krośnie; najczęściej są rezultatem łączenia kilku technik. Równie bogata struktura cechuje formy reliefowe i rzeźbiarskie oraz obiekty czerpiące z różnych dyscyplin. Nie

str. 5 | Teodolinda Caorlin – *Tak wznosi się Wenecja*, Włochy, 2010

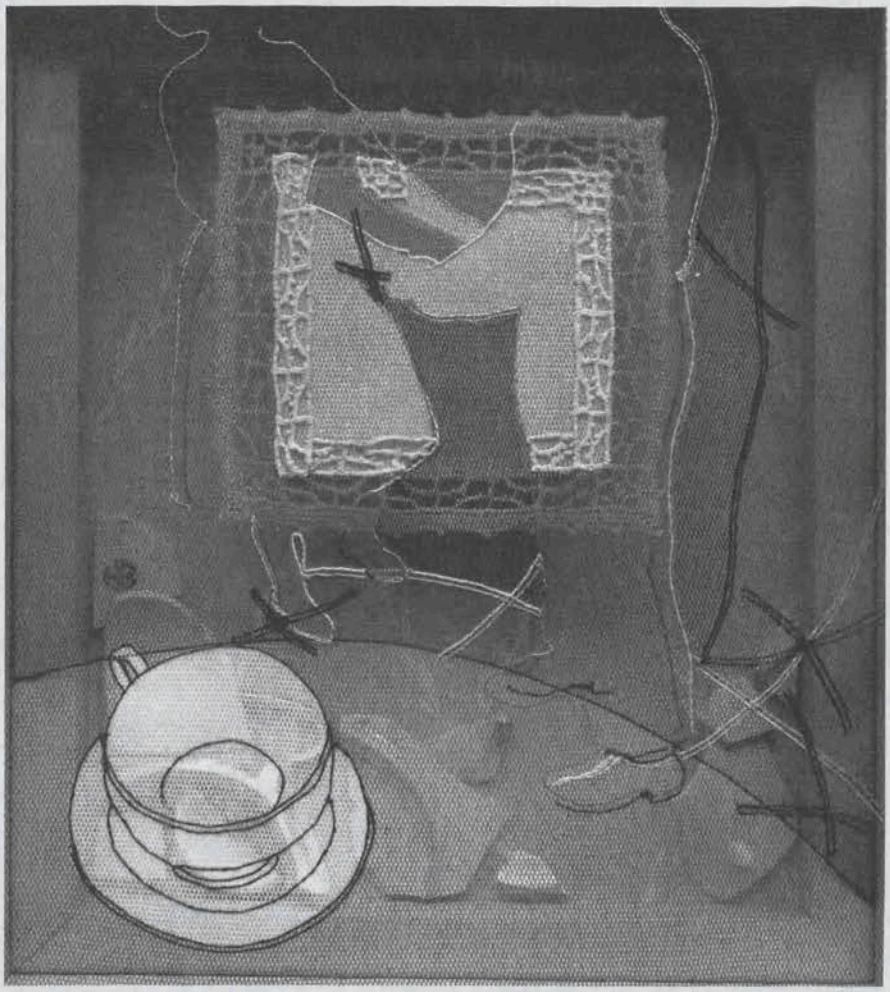

zamiera ruch eksperymentatorski. Twórcy egzaminują nowe i odkrywane na nowo technologie. W dalszym ciągu tkane są klasyczne gobeliny.

Wybierając się na wystawę, warto się przyjrzeć również pracom nienagrodzonym: tkanemu gobelinowo monumentalnemu znakowi pod tytułem *U szczytu stołu*, autorstwa Ingibjörg Styrgerður Haraldsdóttir (Islandia); wykonanej w tkaninie podwójnej figuratywnej *Pozycji optymalnej I, II* Laimy Oržekauskiené (Litwa); pozornie naiwnemu zbiorowi min przeciwpiechotnych, wyszydełkowanych różową włóczką przez Barb Hunt (Kanada); instalacji *Droga róż nr 1, nr 2, nr 3* z fragmentami karoserii samochodowych haftowanych krzyżykowo w kwiaty pomysłu Severiji Inčirauskaité-Kriaunevičiené (Litwa) oraz pracy *Sekret*, zgłębiającej kabałę Nity Thakore (Indie), a także naprawdę dobrym pracom polskich artystek.

Czas konfrontacji

Równolegle z otwarciem międzynarodowego triennale, w gmachu muzeum udostępnione zostały dwie ekspozycje ogólnopolskie: 11. Wystawa Tkaniny Unikatowej i 9. Wystawa Miniatury Tkackiej. Pierwsza towarzyszy triennale od 1978 roku, drugą powołano do życia w roku 1985. Obie są wystawami konkursowymi i wyborem z nadzwyczaj licznie dostarczonych zgłoszeń. Obie po raz pierwszy zostały pokazane w prestiżowych salach wystawowych klasycystycznego budynku, znajdującego się od ulicy Piotrkowskiej, najstarszego z należących do Białej Fabryki. Zgodnie z tradycją, tuż po inauguracji międzynarodowego przeglądu, można go porównać z propozycjami wyłącznie krajowymi.

80 prac „dużego formatu" i 134 miniatury tkackie tworzą reprezentatywna próbę. Wśród twórców, biorących udział w wystawach ogólnopolskich, spotkamy nie tylko zdeklarowanych tkaczy (od kreatorów legendarnej „polskiej szkoły tkaniny" po świeżych absolwentów uczelni artystycznych). Tkaninowe medium jest również bliskie malarzom, traktującym obie dyscypliny równorzędnie lub zajmujących się tkaniną sporadycznie. Graficy i uprawiający rysunek dostrzegają w tekstylnym medium możliwość przedłużenie linearnego gestu kreski, który można kontynuować choćby hafciarskim ściegiem, warstwowością struktur, przenikaniem płaszczyzn. Rzeźbiarze w tekstylnej materii coraz częściej widzą znakomity budulec. Działający na polu elektronicznych mediów posiłkują się tkaniną do wizualizacji opracowanych komputerowo pomysłów. Równie chętnie po tkaninę sięgają twórcy multimedialni, a projektanci korzystają z wypracowanych w tej dyscyplinie rozwiązań.

W polskim wydaniu, w niemal każdej z dyscyplin sztuk wizualnych, dostrzec można tkaninowe związki. Stąd też na wystawie znalazły się gobeliny: perfekcyjny Ryszarda Kaczmarka, świetnie zharmonizowany Anny Bednarczuk, „ulotny" Olgi Jagielińskiej oraz bardzo „malarski" żakard Doroty Taranek. Sąsiadują one z kompozycjami przetwarzanych ubrań (Marian Stępak, Sylwia Jakubowska), stawiających też punkt wyjścia dla nowych kompozycji (Małgorzata Dmitruk, Zonia Pionk). Należy również zwrócić uwagę na propozycję Danieli Jałkiewicz, świetnie poruszającej się w obrębie rzeźby i tkackiego tworzywa oraz na serie komputerowych wydruków, choćby Małgorzaty Lachman, czy filcowe „aplikacje" Moniki Loster i Anny Więckowskiej-Kowalskiej oraz subtelne w barwie i kształcie shibori Ludwiki Żytkiewicz. Zauważyć trzeba agresywne w formie i przesłaniu body printing Anki Leśniak oraz krańcowo odmienne, precyzyjnie przemyślane, czarne *Słońce* Magdaleny Soboń. Nie zabrakło również obiektów czysto „dizajnerskich" – dowcipnych filcowych dywanów Agnieszki Czop i Joanny Rusin, artystek z powodzeniem biorących udział w ważnych wystawach wzornictwa.

W czasie prawdziwego festiwalu tkaniny cykliczna wystawa miniatury tkackiej stwarza wyjątkową relację pomiędzy odbiorcą a dziełem. Dostrzec można aspekty i zjawiska umykające w „normalnym" formacie, mini-wymiar je wydobywa i czyni głównym bohaterem. Inaczej „czyta się" materię, z innej perspektywy spogląda

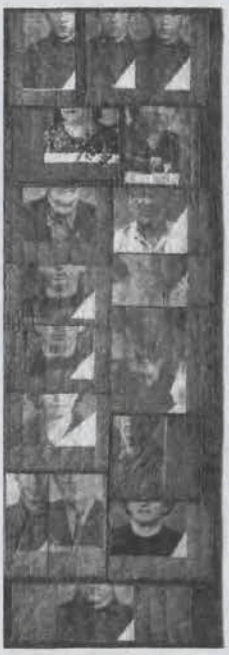

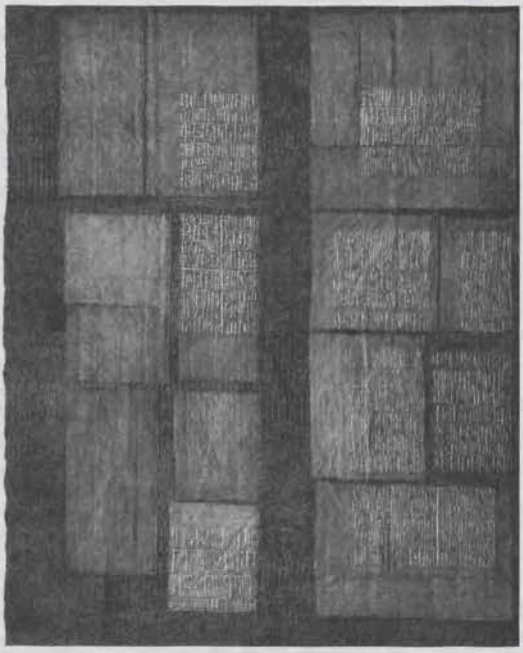

na strukturę dzieła. Miniatura, pozornie łatwa, wymaga olbrzymiej dyscypliny, logicznej i precyzyjnej budowy oraz czytelnego przekazu skoncentrowanych w niewielkim formacie. Myślowy skrót, idea, symbol, żart, poetyckie haiku, skupione w skali mikro, muszą mieć siłę skali makro, by sugestywnie przemówić. Do takich bez wątpienia należą: miękki *Obiekt* Emilii Domańskiej, zabawny *Sweterek* Mariana Stępaka, zaskakujący *Pozór* Bartka Jarmolińskiego, *Bezpieczne zapałkami* Zoni Pionk, naturalistyczna *Droga* Anny Więckowskiej-Kowalskiej, *Kanapon hiszpański* Romany Szymańskiej-Pleskowskiej oraz wirtuozerska *Enigma* Anny Jesinowicz-Nguyen.

Maraton towarzyszący

Ogromowi przeglądu międzynarodowego triennale i wystaw ogólnopolskich, odpowiada rozbudowany zespół imprez towarzyszących: indywidualnych i zbiorowych, rozpisanych na blisko 70 wystaw, sympozjów, warsztatów i spotkań łączących profesjonalnych twórców, studentów uczelni artystycznych, aspirujących do nich uczniów oraz zainteresowaną aktualnymi wydarzeniami w sztuce publiczność. Tylko w ciągu trzech pierwszych dni trwania triennale, tylko w Łodzi, otwarto 11 wystaw prezentujących tkaninę. Wyjątkową – bez wątpienia – była ekspozycja: *Obecność*.... Lidia Choczaj i Andrzej Rajch (1948-2009), zaaranżowana w przestrzeni Ośrodka Propagandy Sztuki. Efektowny cykl gobelinowych *Gracji* z obrazem pofalowanej pasiastej czarno-białej tkaniny, nagradzanych na najważniejszych wystawach sztuki włókna w Łodzi (1985), Lozannie i Kioto (1987) – to spektakularna wizytówka Andrzeja Rajcha, niedawno zmar-

łego profesora łódzkiej ASP. Przez lata współpracująca z nim Lidia Choczaj zamieściła serię prac noszących tytuł *Bliżej błękitu*, z motywem przeskalowanego oka, odwzorowanym w realizacjach wykonanych klasycznym żakardem oraz 150 kolorami satynowych wstążek, zamkniętych w trzech tysiącach szklanych kapsuł. Wypowiedzi obojga artystów, choć odległe i odmienne, łączy nie tylko naskórkowa, bo łatwa do odczytania fotograficzność kadru, ale i podejście do uprawiania sztuki: poszukujące, badające sens, wyprowadzające interpretacje z rzeczy najbliższych i najprostszych. W maratonie trzech pierwszych dni uczestniczyło także: Centrum Sztuki „Patio", goszcząc w Galerii Nowa Przestrzeń wystawę *Frame-Work/ ...w ramach...* Włodzimierza Cygana (zdobywcy Grand Prix na poprzednim triennale); Galeria Piotrkowska 86 (prace Elżbiety Kędzi i Wawrzyńca Strzemiecznego); Galeria Rynku Sztuki z prezentacją obiektów Jagody Krajewskiej, Jolanty Rudzkiej-Habisiak, Magdy Soboń i Joanny Wiszniewskiej-Domańskiej; Galeria „526" w Poleskim Ośrodku Sztuki z kameralnymi pokazami miniatur: „tkano-dzianych" Małgorzaty Górnej-Saniternik oraz subtelnych autorstwa Marii Budziarek. Pierwszy dzień zakończyły prezentacje: *Antymoda – Kolekcja Biblioteka* Matyldy Leśniakowskiej oraz *Fotografja* Magdaleny Oraczewskiej w nowo otwartym Skansenie Łódzkiej Architektury Drewnianej. Obszerny wybór przedstawiły galerie Akademii Sztuk Pięknych. Od świetnie zakomponowanych i nowatorskich tkanin Bolesława Tomaszkiewicza, nestora łódzkiej uczelni (Galeria Blok), przez wielki pokaz żakardów (bez mała stu) z Pracowni Tkaniny Dekoracyjnej, prowadzonej przez Krystynę Górską (Galeria

str. 9 Mary Zicafosse – *Niebieski druk*, USA, 2009

Kobro) po ekspozycję *Tkanina i rzeźba – interakcje* (Galeria Biała Ściana). Wystawom towarzyszył dzień otwartych pracowni Wydziału Tkaniny i Ubioru ASP, a studenci uczelni, wraz z kolegami ze szkół wyższych Bratysławy i Liberca, przedstawili swoje prace w pokazie zatytułowanym *Nowy Ornament* w Galerii *Na Piętrze* przy Piotrkowskiej 87. Akademia była również współorganizatorem międzynarodowego sympozjum „Tkanina współczesna. Koncepcja. Kreacja. Edukacja".

Równocześnie w krakowskich galeriach: „Dziennika Polskiego", Generalnego Konsulatu Republiki Austrii, Grota Nobile, ZPAP „Pryzmat", Nordic House, Turlej Gallery i w Pałacu Sztuki, rozpoczął się Międzynarodowy Festiwal Sztuki „Struktury powiązań", towarzyszący łódzkiemu triennale od 2004 roku. Jego trzecia edycja opatrzona została hasłem: „Tkanina artystyczna – transformacje". Także po raz trzeci, do imprez towarzyszących triennale, należy Międzynarodowe Nadbałtyckie Triennale Miniatury Tkackiej, prezentowane od lipca w Muzeum Miasta Gdyni. Zainaugurowane w 1993 roku patronuje szeregowi ekspozycji w Polsce północnej. Od stycznia do października w galeriach trójmiejskich, ale także w muzeach: w Pucku, Lęborku, Bytowie, Kartuzach mają miejsce liczne pokazy sztuki tkaniny. Na Dolnym Śląsku, od lat łódzkiemu triennale towarzyszy Festiwal Sztuki Włókna wraz z Międzynarodowym Sympozjum Sztuki Włókna w Kowarach. We wrocławskich salach wystawowych, na czele z Galerią Tkacką „Na Jatkach" (prowadzoną przez Ewę Marię Poradowską-Werszler), w Jeleniej Górze, Kowarach, w Muzeum Tkactwa Dolnośląskiego w Kamiennej Górze przez cały rok spotykają się i prezentują prace artyści uprawiający tkaninę. Bogaty repertuar wystaw towarzyszących Triennale obejmuje nadto: VI Międzynarodowe Biennale Artystycznej Tkaniny Lnianej „Z krosna do Krosna", organizowane przez Muzeum Rzemiosła i Biuro Wystaw Artystycznych w Krośnie; VIII Międzynarodowy Plener Artystyczny „Wiklina w Arboretum" w Bolestraszycach, ale także IX Ogólnopolskie Biennale Tkaniny Artystycznej dla uczniów szkół plastycznych w Supraślu. Geografia miejsc związanych z Międzynarodowym Triennale Tkaniny jest znacznie dłuższa. W Warszawie towarzyszą mu Galeria Domu Artysty Plastyka przy Mazowieckiej i Litewskie Centrum Kultury przy Ambasadzie Republiki Litwy, a w Łodzi jeszcze Galeria Amcor Rentsch. Związki z Triennale mają też galerie we Włocławku, w Czeladzi, w Olsztynie, Nowym Targu i Skierniewicach oraz Muzeum Łużyckie w Zgorzelcu i po sąsiedzku Annenkapelle i Historisches Hallenhaus w Görlitz, Galerie K w Haus der Modernen Kunst w Staufen. Z kronikarskiego obowiązku wypada dodać, iż tegoroczny okołotriennalowy festiwal tkaniny został zainaugurowały w gmachu Białej Fabryki, jeszcze w październiku 2009 roku, wystawą *Piękno użyteczne*, jubileuszową ekspozycją z okazji 60-lecia „Cepelii". Długi „rok" festiwalu tkaniny Muzeum zamknie w styczniu roku 2011, także prezentacją zbiorową, zatytułowaną *Europejska identyfikacja. Międzykulturowy dialog artystek w Europie.*

Małgorzata Wróblewska-Markiewicz
– starszy kustosz i kierownik Działu Tkaniny Artystycznej
w Centralnym Muzeum Włókiennictwa w Łodzi

Święto sztuki włókna
Małgorzata Wróblewska-Markiewicz
Fot. Marek Strąkowski

Święto sztuki włókna

Anne-Gry Løland – *Pomniki,Norwegia*, 2009. Grand Prix. Złoty Medal

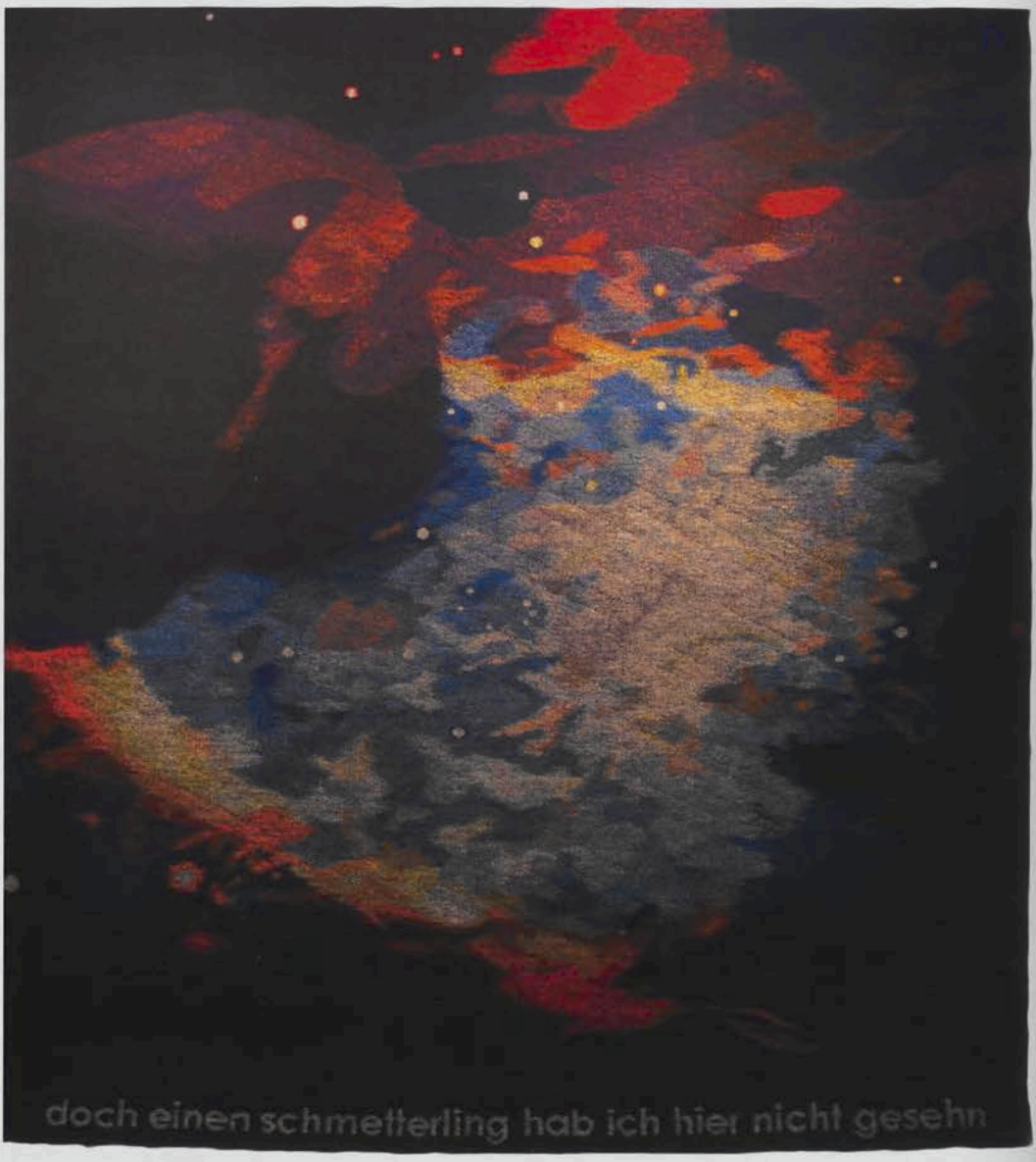

Peter Horn – *Orion Nebula*, Niemcy, 2009. Brązowy Medal

Kari Dyrdal – *Historia żakardu – lingo*, Norwegia, 2009. Srebrny Medal

Piotr Rędziniak – *Moja droga – Relief*, Polska, 2009. Wyróżnienie Honorowe

Regina V. Benson – *Płonący III*, USA, 2009. Wyróżnienie Honorowe

Dzintra Vilks – *Spotkanie świata targanego wichrami*, Łotwa, 2007. (fragment) Brązowy Medal

Kyoung-Yeon Chung – *Bez tytułu* 06-15, Korea, 2006

Charlotte Schrøder – *Sen*, Dania, 2007

Koraljka Kovač – *Ukryte nitki*, Chorwacja, 2009

Andrea Hayes – *Doki*, Irlandia, 2008

Anna Mazzoni – *Ponczo do modlenia się za nasze zagubione dusze*, Argentyna, 2009

Anna Torma – *Zabawa u Dionizosa*, Kanada, 2009

Christine Altona – *Nieba*, Niemcy, 2005

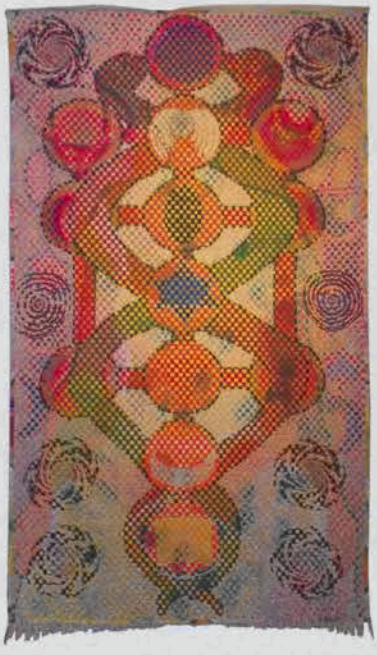

Nita Thakore – *Sekret*, Indie, 2009

Karin Binder – *Utrata twarzy*, Austria, 2009
(fragment)

Lia Altman – *Czyste niebo*, Rosja, 2009

Liev Beuten-Schellekens – *Pozy*, Belgia, 2005

Sonja-Elena Salomäki – *Admirator sztuki ulicy*,
Finlandia, 2008

Aija Baumane – *Słupy*, Łotwa, 2009.
Medal Centralnego Muzeum Włókiennictwa

Olha Paruta-Vitruk – *Guzik w kwadracie*, Ukraina, 2005

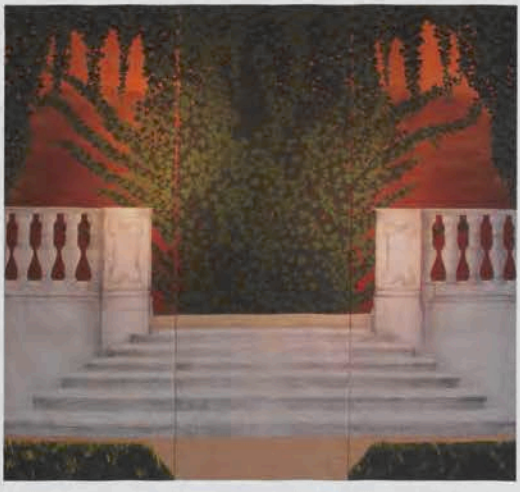

Márta Simonffy – *„...namaluję...Obiecuję, namaluję dla Ciebie, to będzie duży obraz, z zawartym w nim przekazem...”*, Węgry, 2009

Helen Schamroth – *Diagram H*, Nowa Zelandia, 2008

Fot. Marek Strąkowski

historia

Nieskończona biografia
Powrót do pamiętników Antoniego Michałkiewicza
M. Magdalena Starzycka
str. 127

Teatr w Parku Staszica
Zapomniane ogródkowe sceny
Halina Gawlik
str. 148

Spotkanie po 42 latach
Ostatnia rozmowa z pisarzem Jerzym Jochimkiem (1921–2010)
Józef Henryk Wiśniewski
str. 156

Nieskończona biografia

Powrót do pamiętników Antoniego Michałkiewicza

„Kronika Miasta Łodzi" w nr 1 z 2004 roku opublikowała moje wspomnienie o Antonim Michałkiewiczu – łodzianinie, rewolucjoniście z 1905 roku – wraz z obszernymi fragmentami jego pamiętnika.

Poznałam go we wczesnych latach 60., więc pisanie o Michałkiewiczu po latach było dla mnie rekonstrukcją rozmów z mojej niepewnej pamięci. Praca nad artykułem była w pewnej mierze przypominaniem swoich reakcji, wzruszeń i zadziwień. Chciałam te obrazy przeszłości jeszcze z kimś skonfrontować i w tym celu pisałam o Michałkiewiczu, jeszcze przed artykułem w „Kronice", w łódzkiej „Gazecie Wyborczej". Potem był wywiad w Radiu Łódź i czytane na antenie fragmenty pamiętników zesłańca. Szukałam jego śladów w Muzeum przy Tramwajowej, bo Michałkiewicz odszedł na emeryturę z MPK w latach 50.

Moja niepewność była tak wielka, że nie znajdując w jego dokumentach wątku syberyjskiego, nie wspomniałam o nim w artykule dla „Gazety Wybor-

Zdjęcie zrobione w więzieniu
Fot. zbiory rodzinne

czej". Jednak kontakt nawiązało ze mną Muzeum Tradycji Niepodległościowych przy ulicy Gdańskiej. Tam znalazłam potwierdzenie: Antoni Michałkiewicz był na liście powracających z Syberii w 1921 roku.

Minęło pięć lat. Wydałam tymczasem powieść poświęconą Łodzi i jej mieszkańcom. Akcja *Manufaktury* czasu obejmuje lata od 1908 do 1968 roku. Rekonstruując klimat epok, zamieściłam w książce dokumenty i listy z tamtych lat. Wykorzystałam też fragmenty pamiętnika Antoniego Michałkiewicza, czyniąc go jedną z moich postaci literackich. Do książki dodałam również zdjęcia. Ponieważ nie posiadałam fotografii Antoniego Michałkiewicza, zamiast jego portretu umieściłam tekst: *pomimo usilnych starań (audycje w Radio Łódź i artykuł w „Gazecie Wyborczej" oraz w „Kronice Miasta Łodzi" nr 4/2004, a także poszukiwania w Muzeum Tramwajów, nie udało się znaleźć potomków Antoniego Michałkiewicza.*

W listopadzie 2009 roku spotkałam się z czytelnikami w ramach sympozjum „Wizerunek Łodzi w literaturze ostatniego dwudziestolecia", organizowanym przez Muzeum Etnograficzne i Archeologiczne. Gdy opowiadałam o warstwach faktograficznych, które złożyły się na fabułę *Manufaktury czasu*, wpadła mi w słowo dr Kazimiera Wiśniewska, wyjaśniając, że zdjęcie Antoniego Michałkiewicza może mi podarować, bo to jej dziadek…

Uzyskawszy dodatkowy materiał, który był w rękach wnuczki, wracam do poszukiwań sprzed pięciu lat. Przede wszystkim ciekawi mnie wątek syberyjski. Pytam dr Wiśniewską czy Michałkiewicz o nim pisał. Podobno pisał, ale te teksty nie zostały zachowane. Mogłam jednak skopiować cenne zdjęcia: z więzienia, z pogrzebu nieznanego zesłańca na Syberii i brązowe, małe zdjęcie bohatera w kajdanach i ubraniu katorżnika, zrobione niczym w atelier. Upozowany więzień spoglądał z żalem na kartkę trzymaną w ręku – zapewne na zdjęcie rodzinne. Zapytałam Kazimierę Wiśniewską: *– Gdzie to było zrobione? – No, już w Polsce, pewnie po powrocie* – odpowiedziała. Wydawało mi się to nierealne i aż niesmaczne. Dopiero w domu dostrzegłam na odwrocie ledwie widoczny napis: „Tow. Michałkiewicz Antoni, Mokotów 1911 rok". I wówczas zrozumiałam. O tym niezwykłym wydarzeniu w więzieniu mokotowskim pisałam w artykule sprzed pięciu laty: *(…) opowiadał, że wśród uwięzionych jego towarzyszy znajdował się pewien człowiek, który chwalił się, że umie robić fotografie. Wszyscy się z niego śmiali, bo to było jakby – i tu pan Antoni odwołał się do porównania odpowiedniego do naszej ówczesnej epoki – ktoś powiedział, że był w kosmosie… To było aktualne porównanie, bo nie tak dawno gazety były pełne Gagarina. Wówczas, w tym czasie zaprzeszłym, tam w więzieniu, odczekano do odpowiedniej chwili, którą były święta prawosławne i przekupiony strażnik poszedł pod wskazany adres, opłacony sowicie otrzymał aparat fotograficzny (rozmiarów odpowiednich jak na epokę), przyniósł i fotograf zabrał się do dzieła. Panowie usiedli na krzesłach, w poważnych pozach, niektórzy mieli na nogach kajdany połączone łańcuchem, czasem jeszcze kule metalowe. (…) Uderzyło mnie jeszcze coś w tym zdjęciu – grupa ustawiona zupełnie*

tak, jak na znanym portrecie zbiorowym Proletariatczyków namalowanym przez Kowarskiego. To grupowe zdjęcie jednak się nie zachowało.

Co jeszcze pozostało? Wśród różnych dokumentów Michałkiewicz przedstawia się w tekście pisanym na maszynie. I czcionka, i cienki pożółkły papier, był taki sam jak jego pamiętników, które u mnie zostawił. Wyraźnie jest to tekst napisany z jakiś powodów oficjalnych:

Urodziłem się 10.6.1881 w Bronówku, pow. Turecki. Po ukończeniu 4-o klasowej Szkoły Realnej w 1903 r. wstąpiłem do Towarzystwa Oświaty Narodowej, w szeregach którego prowadziłem robotę oświatową wśród robotników i włościan, propagując wprowadzenie języka polskiego do gmin i unarodowienie szkół, jako główny cel.

Od roku 1905, z chwilą powstania N.Z.R. byłem czynnym członkiem tegoż, należąc do dzielnicy „Bałuckiej". Z polecenia tejże Dzielnicy, jako przedstawiciel f-ki I. K. Poznański, brałem udział w pracach Zarządu Okręgowego N.Z.R-u. Występowałem jako referent na zebraniach konspiracyjnych i wiecach publicznych tak w Łodzi, jak i na prowincji. Aresztowany w 1908 r. po paru tygodniach zostałem zwolniony, aby po raz wtóry w 1910 r. powędrować do więzienia z 2-ej części 102 art. K.K. Skazany zostałem przez Warszawską Izbę Sądową na 4 lata „katorgi" i bezterminowe zesłanie na Syberię. W dniu 6 grudnia 1921 r. wróciłem do Kraju i wstąpiłem do organizowanego wtedy Z.B.W.P. w Łodzi, w którym przez cały okres piastowałem różne mandaty. Przez cały ten czas moja współpraca w wyżej wymienionym związku ściśle była związana z tow. Nowakowskim St.

(–) Antoni Michałkiewicz

NZR to Narodowy Związek Robotniczy. W akcie oskarżenia Michałkiewicza zarzuca się tej organizacji dążenie do utworzenia państwa polskiego i nienawiść do wszystkiego, co rosyjskie.

Z życiorysu napisanego przez Michałkiewicza wyłania się postać społecznika i bojownika. Przy tym zwraca uwagę wykształcenie. Antoni Michałkiewicz był typem samouka, charakterystycznym dla czasów, gdy uzyskanie wykształcenia było związane ze statusem majątkowym. Takimi zainteresowaniami musiał wyróżniać się w swoim środowisku robotniczym i zapewne zyskiwać szacunek innych.

str. 3 Zdjęcie zrobione w więzieniu
Fot. zbiory rodzinne

W akcie oskarżenia podkreśla się też, że Antoni Michałkiewicz odegrał w tej organizacji *wybitną rolę, będąc znany pod pseudonimem „Antoni" i „Wołodyjowski"*. Odnajduję tu również potwierdzenie relacji z pamiętnika Michałkiewicza: świadkowie oskarżenia byli konfidentami bezczelnymi, ale lękliwymi, tak że nie odważyli się powtórzyć w sądzie tego, co rzekomo powiedzieli policji. Mimo że rozprawa powinna być zawieszona do momentu pojawienia się świadków, sędzia kontynuował proces. Antoniego Michałkiewicza oskarżono o sprawowanie sądów partyjnych i rzekome skazanie jakiegoś człowieka na karę śmierci. Trzeba było poszukać odpowiednich paragrafów, a dopiero potem znaleźć przyczynę, ponieważ poza gazetkami niczego u niego w domu nie znaleziono. W przeciwieństwie do współoskarżonych, u których podczas rewizji wykryto wykazy składek z nazwiskami towarzyszy partyjnych, pieniądze i skład broni...

Przeglądam papiery, gdzie poza różnymi dokumentami znajduję dwie intrygujące kartki wyrwane z rosyjskiej książki. Obie posiadają ilustracje. Na jednej stronie widać „zakuwanie katorżnika", a na drugiej Aleksandrowskie więzienie na Sachalinie. Jak dowiaduję się od wnuczki, właśnie na Sachalin został zesłany Michałkiewicz, gdzie pracował w kopalni złota.

Odtwarzając biografię Antoniego Michałkiewicza, warto też przypomnieć, że reprezentował on tylko jedną ze stron walczących w rewolucji 1905 roku. Rewolucjoniści zgodnie przystąpili do walki, ale już rok później nastąpiły konflikty wewnętrzne i wręcz bratobójcza walka. Społeczeństwo podzieliło się na dwa główne odłamy, skupione wokół koncepcji politycznych Józefa Piłsudskiego lub Romana Dmowskiego.

Zachwyt i rozczarowanie, entuzjazm i gorycz, wielkie oczekiwania i urata złudzeń – taki obraz rewolucji 1905-1907 utrwalił się w literaturze polskiej na kilkadziesiąt następnych lat, aż do II wojny światowej. Jednak najcelniejszy i najbardziej zwięzły opis doświadczeń rewolucji dał krytyk literacki Karol Irzykowski, pisząc w 1908 roku: „Młoda polska przez jedną noc posiwiała; katzenjammer na całej linii". Parafrazując te słowa można powiedzieć, że posiwiała wówczas cała inteligencja polska.

Tego porewolucyjnego kaca potęgowały jeszcze wydarzenia późniejsze: wycofanie się władz rosyjskich ze znacznej części koncesji udzielonych polskości w latach 1905-1907, walki wyborcze, narastający antysemityzm. Po spazmie rewolucyjnym życie z trudem wracało w dawne ramy, zaś rozbudzone nadzieje i emocje nie przemijały bez śladu – pisze Magdalena Micińska w książce *Inteligencja na rozdrożach 1864-1918*.

Mając przed oczyma obraz tamtych lat, można dojść do wniosku, że rysa, która wówczas podzieliła inteligencję polską, przetrwała do dziś, pomimo przeżytych później katastrof wojen światowych.

M. Magdalena Starzycka
– pisarka, tłumaczka literatury portugalskiej

Urywek z listu do...

Wszyscy spośród nas, którzy zostali skazani na osiedlenie na Syberii, mieli wyjechać w najbliższy poniedziałek. Zbliżał się dzień 28 sierpnia, a w dniu tym, według zawiadomienia z kancelarii więziennej, skazani na osiedlenie kol. M.P.K.Sz.S.T. stanowczo mieli wyjechać. Pozostał tylko kolega Karl, którego wyrok jako podchorążego rezerwy, według decyzji Warszawskiej Izby Sądowej, miał być przedstawiony za pośrednictwem ministra sprawiedliwości do zatwierdzenia cesarzowi. Z powodu wyjazdu w celi panował ruch gorączkowy od samego rana. Każdy z wyjeżdżających szykował swoje skromne pakunki. Pytania i odpowiedzi: co można zabrać, co konwój wyrzuci itp. O dziewiątej rano wezwano wszystkich sześciu do składu po ubrania, gdzie wydano im wszystko nowe począwszy od bielizny, a skończywszy na czapce. Z tego względu, że prócz żywności i bielizny nie wolno nic zabrać, każdy starał się oddać pozostałe rzeczy do domu, tym bardziej, że rodziny wyjeżdżających oczekiwały na wyruszenie etapu. Jeszcze nie zdążyliśmy poprzyszywać guzików do ubrań, kiedy otwarto drzwi naszej celi i rozległ się głos: smirno. To przyszli naczelnik i pomocnik, aby z okazji wyjazdu kilka słów powiedzieć. Korzystając ze sposobności, niektórzy prosili o pozwolenie pożegnania się z rodziną i mimo protestu ze strony pomocnika, że wczoraj wszyscy mieli widzenia, naczelnik na nie zezwolił. Jakoż po upływie kilku minut wezwano na widzenie wszystkich, do których ktokolwiek przyszedł. Widzenie przed wyjazdem to bodaj najboleśniejsza chwila tak dla więźniów, jak i rodzin. Dlatego widać było łzy w oczach powracających z widzeń.

Około godziny jedenastej wezwano nas na spacer. Wszystkie okna wychodzące na podwórze więzienne przepełnione były wyglądającymi. Wszyscy, znajomi czy nie, przesyłają pozdrowienia. Zesłańcy dziękują za życzenia. Schodzimy ze spaceru wcześniej, bo jeszcze nie wszystko przyszykowane do wyjazdu. Na głos proszę wychodzić! wszyscy rzuciliśmy się sobie w objęcia razem i każdy oddzielnie. Nie byłoby końca tym pożegnaniom, gdyby nie zniecierpliwiony głos dozorcy. Ostatni z oczyma pełnymi łez wyszedł kolega T., który prócz dalszej i bliższej rodziny pozostawił bez opieki i środków do utrzymania żonę i troje dzieci.

Ochotnik do Rosji

Co do mnie, to trudno mi dziś wiernie opisać co czułem, gdyż serce moje wezbrało jakimś uczuciem bezmiernej żałości za tymi ludźmi, z którymi prawie dwa lata spędziłem, przeżywając różne troski więzienne, i którzy teraz idą w bezmierną dal, pozostawiając na łasce losu najdroższych i może ich już nigdy widzieć nie będą. Dla nas pozostałych czterech, rozpoczęły się dni nudy i zniechęcenia, szczególnie że pomocnik naczelnika z kilkoma dozorcami przyszedł co celi i wydał rozporządzenie przeprowadzenia szczegółowej rewizji. Każdego z nas szczegółowo zrewidowano i wyprowadzono na korytarz, gdzie oczekiwaliśmy na wynik rewizji celi. Potem zobaczyliśmy ogromny nieład, bo rzeczy nasze porozrzucane były na podłodze. Zabrano nam materiały pisemne, bieliznę i pościel, a kiedyśmy zapytali o powód, to ów pan zasłaniał się ustawą

więzienną, która nie pozwalała na korzystanie z tych ulg, które mieliśmy dotąd. Nie pomogły nasze skargi u naczelnika, zaledwie pozwolił na noszenie własnych skarpetek. Przyrzekł porozmawiać z pomocnikiem, ale nie było żadnej odpowiedzi. Kiedy chcieliśmy iść znów do naczelnika, powiedziano nam, że go nie ma, wyjechał, a wróci za miesiąc... Wreszcie w kancelarii zgodzono się wydać każdemu po jednym kajecie i ołówku. Resztę naszych rzeczy polecono wydać do domu. Kiedy przyjechała żona, oddałem jej wszystko, pozostawiając sobie dwa ręczniki, parę chusteczek, trzy pary skarpetek i poduszkę. Za moim przykładem poszli wszyscy. W takich warunkach mój pobyt w więzieniu stał się jeszcze bardziej przykry. Przy sposobności starałem się o szybszy wyjazd, ale odpowiedziano mi, że kandydatów na wyjazd jest 60., a ja liczę się do ostatnich. W tej sytuacji zacząłem żyć życiem niezmiernie apatycznym i monotonnym, tym bardziej że lato miało się ku schyłkowi, a następowały dni jesienne, dżdżyste, przepojone smutkiem i żałobą. (...) Stada wron usiadły na przeciwległym dachu i kraczą. Krakanie wron strasznie działało na moje już i tak rozstrojone nerwy, i tak mi ciężko i smutno na ciele i duszy, a do tego wiatr łopocze i szumi za oknami celi więziennej. (...) Stałem zamyślony przy oknie, kiedy z zadumy obudził mnie głos dozorcy zawiadamiający nas o mającej odbyć się kontroli. Już upłynęło kilka dni od otrzymania listu od kolegi K., w którym oprócz szczegółowego opisu podróży z poszczególnymi etapami pisał, że obecnie czekają w Krasnojarsku (gdzie naczelnikiem jest Harewicz, pomocnik adwokata w Radomiu, były członek PPS, później agent ochrany), na dalsze wysłanie ich do miejsca przeznaczenia, prócz kolegi I. Sut., który z powodu zajścia, jakie miał z jednym z dygnitarzy więziennych, miał być wysłany w bardziej oddalone strony. Prawie równocześnie przyszły też listy od pozostałych kolegów. Wszystkie wiadomości tchnęły głęboką tęsknotą, jakimś smutkiem, gdyż każdy z zesłanych pozostawił tu w kraju, nie mówiąc o obowiązkach względem Matki-Ojczyzny i całego Narodu Polskiego, sercu swoim najbliższe istoty.

Parę dni później wizytował cele pomocnik naczelnika, wtedy wystąpiłem z prośbą o pozwolenie napisania podania do Głównego Zarządu Więziennictwa celem możliwie najszybszego wysłania mnie z Piotrkowa. Dziwnym może się wydać, że pomimo dość dobrych warunków w więzieniu piotrkowskim chciałem, aby mnie wysłano do Rosji, gdzie bez żadnych względów będę zaliczony do kategorii wszystkich bez wyjątku zbrodniarzy, dla których istnieje jedno określenie: „katorżnik" i będę zmuszony ciężko i bez wytchnienia pracować i znosić obelgi. Jednak poza tymi męczarniami widzę bliższe promienie wolności i pracując mogę korzystać z ulg, jakie na zasadzie prawa mi przysługują. W Piotrkowie nawet cały wyrok musiałbym siedzieć zakuty w kajdanach i pozbawiony byłbym „skitki", która jak dla mnie stanowi sześć miesięcy. Na moją ponowna prośbę p. Pr. poradził mi, abym poczekał jeszcze parę dni, gdyż on biorąc pod uwagę swoje kilkuletnie doświadczenie, zapewnić mnie może, że w październiku, listopadzie i grudniu zwykle bywają wysyłane etapy, więc być może i co do mnie nadejdzie rozporządzenie.

Wobec tego nic mi nie pozostało jak tylko czekać, jednak jakby wiedziony przeczuciem zacząłem szykować się do podróży, regulując swoje drobne sprawy i korespondencję. W tym czasie napisałem liścik wierszem do żony i do starszej córeczki Zosi. (...)

Zsyłka na Mokotów

Upłynęło dni parę od wysłania listu z wierszem. Razu pewnego wychodzę na korytarz, ujrzałem przez okno żonę, która bez uprzedniego zawiadomienia przyjechała. Wezwano mnie do kancelarii, pierwsze słowa powitania i pytanie żony czy prawdą jest jakobym miał być wysłany do Mokotowa, na co ze zdziwieniem odpowiedziałem, że nic o tym nie wiem. Jakoż niedługo nadszedł sam pomocnik i wiadomość potwierdził. W niedzielę wezwano nas do kancelarii. (...) Nie będę tu opisywał przygotowań do podróży, bo uczyniłem to już przy wyjeździe kolegów na osiedlenie, dodać mi tylko wypada, że nie zdążyliśmy się jeszcze ubrać, kiedy wezwano nas do wyjścia, po zamienieniu ostatnich słów i serdecznych uścisków wyszliśmy żegnani wykrzyknikami, pozostałych po sprawdzeniu w kancelarii więziennej oddano każdego z nas konwojowi. Konwój wyprowadził nas na podwórze i tam odbyła się rewizja dość ścisła. Po dokonaniu rewizji uszykowano wszystkich w czwórki. Nas skazanych na ciężkie roboty było 10, prócz tego około 30 żołnierzy różnych pułków, którzy za propagandę rewolucyjną w wojsku oddani byli pod Warszawski Sąd Wojenny. To był 30 października, od tego dnia rozpoczyna się dla mnie nowe życie katorżnika. Brzęk kajdan, w które byliśmy zakuci wszyscy, poza żołnierzami nieosądzonymi jeszcze, rozlegał się ponuro. Szliśmy ulicami Piotrkowa otoczeni konwojem z obnażonymi szablami i karabinami gotowymi do strzału. Gdzieniegdzie ludzie z pobladłymi twarzami i wylęknionymi oczyma spoglądali to na nas, to na konwój. Na stacji gwar, z dala słychać przeraźliwy świst i od strony granicy z szumem i łoskotem wpadł pociąg na stację. Wyskakują wesoło podróżni, szukając oczyma tu kogo bliskiego, to znowu oglądają się za posługaczami, którym mogliby powierzyć swoje pakunki. Na samym końcu pociągu wagony z zakratowanymi oknami. Z tych wagonów zwanych powszechnie „aresztanckimi" wyskoczyło kilku żołnierzy konwoju i zaczęli wyprowadzać więźniów, którzy mieli być odprowadzeni do więzienia piotrkowskiego. Na opróżnione miejsca wprowadzono nas.

Czy mogłem przypuszczać wtedy, gdym jechał do B., że niezadługo będę przejeżdżał przez tę samą stację, ale już nie jako wolny człowiek, lecz skazaniec, pozbawiony praw, zakuty w kajdany i przybrany w szary strój więzienny, konwojowany brutalnymi sługami okrutnego tyrana. Pogrążyłem się w zadumie. Tymczasem ciemność zapanowała w wagonie, gdyż dwie małe lampki niedostatecznie oświetlały go. Z dala zauważyliśmy mnóstwo światełek i jakby łunę na niebie – to Warszawa. Tak, to była Warszawa, w której spędzałem ongiś dni szczęśliwości mojej i wesołej młodości, a która teraz ma się stać dla mnie grobem za życia na lat parę albo na wieki. Wjechaliśmy do Warszawy. Po kilku minutach postoju przyczepiono nasze wagony do

pociągu kolei obwodowej mającego nas zawieźć na Pragę do stacji Terespolskiej. Jadąc koleją obwodową, mogliśmy podziwiać z wysokości nasypu kolejowego całą Warszawę, oświetloną tysiącami lamp elektrycznych i gazowych. Widok był tak wspaniały, że na chwilę zapomniałem o swojej niedoli i cierpieniach, a cały zapatrzony byłem w to wielkie miasto, tak pełne gwaru i życia. (...) Pociąg stanął. Zaczęto nas wyprowadzać pojedynczo z wagonów na peron kolejowy, gdzie już oczekiwało na nas wojsko z bronią w ręku, kilku policjantów konnych, podwoda dla chorych i pakunków. Kiedyśmy ruszyli w pochodzie, poprzedzeni szeregiem żołnierzy z bronią przygotowaną do użycia, zbliżył się do mnie straszy podoficer (naczelnik konwoju) i odebrał mój pakunek celem oddania go na idącą z nami podwodę. Byłem mu wdzięczny za to, gdyż czułem się bardzo osłabiony przebytymi tego dnia wrażeniami. Do tego zmęczenia przyczynił się w znacznym stopniu gwar, hałas, turkot jadących dorożek i powozów, co połączone było z dzwonieniem dzwonków tramwajowych. Dla mnie, odwykłego w celi więziennej od życia wielkomiejskiego, zdało się, że znalazłem się na dnie jakiego chaosu i zamętu, który ani początku ani końca nie ma.... Przechodziliśmy między innymi ulicą Targową, a na Terespolskiej zatrzymaliśmy się przed gmachem kamienicy trzypiętrowej numer 10, w której otworzono wrota i znaleźliśmy się na dość małym podwórzu. To punkt zbiorowy dla wszystkich więźniów wysyłanych i przysyłanych z więzień w Królestwie i Cesarstwie. Było około dziewiątej. Wieczór był dość chłodny, jak zwykle o tej porze, gdyż kalendarz wskazywał 30 października, lecz ja zimna nie czułem. Tymczasem w sieni oficyny ustawiono stół, przy którym zasiadł naczelnik „zborniaka". Rozpoczęło się sprawdzanie tożsamości naszej. Wołano nas z nazwiska, po czym z odkrytą obowiązkowo głową, mimo zimna, musiał każdy podejść do stołu, przy którym obok naczelnika siedział również jakiś jegomość w uniformie oficera armii rosyjskiej. Podchodzącego do stołu więźnia zwykle brał za rękę stojący obok, starszy dozorca i wraz z siedzącym przy stole urzędnikiem bacznie porównywał wygląd danego osobnika z załączoną do papierów podobizną. W ten sposób na sprawdzeniu upłynęło około 40 minut. Po sprawdzeniu zamknięto nas w jednej z cel, we frontowym gmachu, objaśniając jednocześnie, że po wysłaniu etapu do Moskwy będziemy poddani osobistej rewizji i przeprowadzeni do celi w oficynie, na dole. Około godziny 10 wieczorem zaczęła się rewizja, której dokonywano więcej dla formy, tylko żeby nie znaleźć pieniędzy. Po skończonej rewizji przeprowadzono nas wszystkich, skazanych na ciężkie roboty do celi, gdzie zastaliśmy już jednego, jak my „katorżnika". (...) Za parę kopiejek, mimo spóźnionej pory, przyniesiono nam duży, miedziany czajnik gorącej wody na herbatę. Zażądaliśmy światła, ponieważ w celi było ciemno, dano nam je w tej chwili w postaci małej lampki naftowej, przy świetle której mogliśmy się rozejrzeć po celi. Był to pokój dość duży, o dwóch oknach, nad którymi stała wysoka „nara" – to nasze posłanie, kubeł, umywalka i smołowcem osmarowane ściany. Po wypiciu herbaty udałem się na spoczynek.

Rano wstałem skostniały z zimna. Po uporządkowaniu celi i wypiciu herbaty, wyszliśmy na spacer po podwórzu więziennym. Korzystając ze sposobno-

ści, poprosiłem o napisanie listu, ale odmówiono mi. Po obiedzie, który niczym się nie różnił od obiadów więziennych, chyba tylko tym, że pomysłowy kucharz daje zamiast skwarków ze słoniny drobno pokrajane i zarumienione kartofle. Po spożyciu obiadu polecono nam przyszykować się, gdyż będziemy przewiezieni do więzienia na Mokotowie. Po obiedzie przybył konwój, a karetka więzienna, jak nas objaśnił dozorca, już czekała na ulicy przed bramą. (...) Długi czas jechaliśmy w zadumie ulicami Pragi. Nareszcie wjechaliśmy na most żelazny łączący Pragę z Warszawą przy Placu Zamkowym. Szum i łoskot panujący na moście, spowodowany ruchem kołowym, wyrwał nas z odrętwienia, w jaki wpadliśmy przy wsiadaniu do karety. (...) Jechaliśmy tak, aż wjechaliśmy za rogatkę mokotowską – to już sławny Mokotów. (...) Oczom naszym ukazał się wysoki murowany parkan, poza którym widać było tylko czerwone dachy budynków – to nasze przyszłe mieszkanie – więzienie mokotowskie. W parę minut potem karetka zatrzymała się i uszom naszym dał się słyszeć zgrzyt otwieranej bramy, w którą wjechaliśmy. (...) Oczom naszym przedstawiło się podwórze, na którym rosła trawa, podwórze było dość długie a wąskie, okolone murem. Wprowadzono nas do frontowego gmachu, gdzie w celi jak to można było wnosić po umeblowaniu, przeznaczonej na widzenia, czekaliśmy dość długo. W sali panował mrok...

Po sprawdzeniu nazwisk udaliśmy się do łaźni w otoczeniu paru dozorców więziennych. W łaźni odebrano nam wszystkie rzeczy, tak skarbowe, jak i własne, wydając natomiast każdemu oddzielnie: bieliznę, ubranie i obuwie. Wręczono nam po przebraniu się: cukier, herbatę, czajnik (imbryk) do wody. Po przebraniu, przeprowadzono nas przez podwórze więzienne, do gmachu celkowego, gdzie po zrewidowaniu tylko co otrzymanego ubrania, każdego z nas dozorca oddziału przeprowadził do celi. Kiedy otwarto drzwi prowadzące do wnętrza gmachu celkowego, to miałem wrażenie jakbym wchodził w paszczę jakiegoś potwora. Od czarnych, żelaznych schodów i takich balkonów (galerii) polerowane na biało, niklowe, dziwne, jakby ślepia, odbijały się dzwonki przymocowane do drzwi, które prowadziły do cel. Tak na korytarzach jak i w celi panowała czystość. Podłoga czarna woskowana, po obu stronach chodniki z linoleum, błyszczące jak lustro. Po zrewidowaniu mnie dozorca uczynił znak, abym udał za nim, szliśmy po żelaznych schodach czysto utrzymanych i zatrzymaliśmy się przed drzwiami nr 71; wyciągniętym zza pasa kluczem dozorca otworzył drzwi – jeden krok i już byłem w swojej celi. Ta cela przedstawiała się daleko lepiej niż w Piotrkowie, ściany czysto wybielone, takiż sufit sklepiony, a od podłogi na dwa i pół łokcia lamperia, ściany pomalowane były farbą olejną, ogrzewalnik, mały piecyk parowy, stał przy drzwiach z jednej strony, a z drugiej strony drzwi „klouzet", który nakrywał się drewnianą pokrywką koloru dębowego, żelazny stolik i takaż ławeczka wmurowana wewnątrz poprzecznej ściany, cokolwiek wyżej półka na ciemno pomalowana. Na półce tej stała czarna puszka blaszana na cukier i herbatę, miedziane naczynia do obiadu (menażka i talerzyk), dzbanek, kubek do wody i mała miednica do mycia, to wszystkie naczynia jakimi może posługiwać się więzień, jeżeli dodamy do tego posła-

nie, które na dzień bywa składane i przyczepiane za pomocą specjalnie urządzonego zamka, od którego ma klucz dozorca, to będziemy już mieli kompletne urządzenie cel więziennych w tak zwanym gmachu celkowym – pojedynczym. Posłanie więźnia w więzieniu mokotowskim można zaliczyć do mniej przykrych niż w innych więzieniach. Składa się ono z czworoboku, rurki żelaznej, spajanej odpowiednio na wszystkich kantach, a do ściany przytwierdzonej zawiaskami. (...) Czworobok ten obciągnięty był płótnem „żaglowym", ściągnięty sznurem i przymocowany do żelaza (...) poduszka była ze słomy lub rogoży, za prześcieradło służył kawałek sukna szarego z takąż dłuższą kołdrą. (...)

Codziennie rano posługacz „korytarzowy" wydaje dwa kawałki cegły i trzy sukna, cegłami tymi trąc je na mia, trzeba było czyścić naczynia miedziane, a podłogę suknem. Aby otrzymać wymagany połysk podłóg, trzeba ją nacierać woskiem lub parafiną po nasmarowaniu i natarciu suknami i trzeć tak długo, dopóki nie otrzyma się wymaganego przez dozorcę połysku.

Dwa funty chleba i gorąca woda na herbatę stanowiły śniadanie; o godzinie 12 obiad, o szóstej wieczór kolaca, na którą dawali zwykle resztki pozostałej z obiadu kaszy. Po rozdaniu kaszy była jeszcze gorąca woda. (...)

Z okien mojej celi widać było cały las kominów i setki domów. Widać je przez wąskie okno. Cela była ciasna, sklepiona jakby mniszka, słabo ogrzana, tak że z zimna drżałem. W czterech ścianach siedziałem samotny. Przez dwa poprzednie lata spędzone w więzieniu tęskniłem za samotnością. A choć i dawniej bywałem w tłumie towarzyszów sam, ale nie tak. Cisza i spokój. (...)

Sny o Niepodległej

Tak spędzałem dzień pierwszy, a raczej wieczór w więzieniu mokotowskiem. Kiedy się przebudziłem to cela była już oświetlona. Nie zdążyłem się jeszcze ubrać, kiedy „korytarzowy" podał mi cegłę z suknami, a minut parę potem porcję chleba. Wyczyściwszy naczynia i wytarłszy podłogę, podałem czajnik na wodę do herbaty. Wyjrzawszy oknem, zauważyłem jakiś dziwny spokój na ulicy i placu, przez który wczoraj przechodziło dużo ludzi, jak sądzić mogłem po ich ubraniach – byli to robotnicy. Dziś za to, o ile ktokolwiek przechodził, to ubrany czysto, jakby świątecznie. Prawda, to pierwszy listopada święto Wszystkich Świętych. (...)

O godzinie 12 podano obiad i może nigdy w życiu z takim apetytem nie jadłem, jak tego dnia. Po obiedzie wyszedłem z drugimi na spacer. Podwórza więzienne, jak to już pisałem, są otoczone wysokim, murowanym parkanem. Na tych podwórzach jest urządzony krąg, coś w rodzaju cyklodromu, po obu stronach tego kręgu zieleni się trawa, która nawet teraz, mimo chłodu jesiennego, pozostała zielona, ze strony wewnętrznej kręgu jest żywopłot z różnych krzewów – jeżeli dodalibyśmy do tego drzewa, które teraz wycinają, to dla oka będziemy mieli przyjazny widok.

Siedząc w celi sam jeden i nie mając żadnej książki, byłem skazany na myślenie. Niedługo, bo zaledwie cztery dni przesiedziałem w celi pojedynczej, lecz

o ile w pierwszych dniach pragnąłem samotności, to teraz chciałbym jak najprędzej dostać się do celi ogólnej, gdyż ta cichość cel pojedynczych i tylko od czasu do czasu te przenikające do szpiku kości odgłosy dzwonków, denerwowały mnie w najwyższym stopniu. O skutkach pojedynczego siedzenia mogłem się przekonać patrząc na tych więźniów, którzy po kilka miesięcy siedzą w pojedynczych celach, są oni w większości zdenerwowani. (...)

Kiedy zastanawiam się nad losem, tak swoim, jak i tych wszystkich, którzy wraz ze mną cierpią w tych ponurych murach, to (...) roją się wężowiska myśli. Chciałem iść do niej – ku tej czystej – ku Nieskalanej – której na imię Niepodległość. Chciałem dokonać rzeczy wielkich... Jak gruzy zamku starego widzę sny i marzenia moje i jeden okrzyk rwie się z serca zbolałego: *Bądźcie wolni!* (...) Piszę tych słów parę pod wrażeniem chwili, którą przypomniałem sobie z okresu walk agitacyjnych. (...)

Wejście dozorcy zmusiło mnie do przerwania rozmyślań. Głosem ponurym i surowym wezwano mnie do kancelarii, zaprowadzono nas do lekarza, który oddzielnie każdego pytał o zdrowie i o ile zapytany żalił się na jakąś chorobę, to doktor brał podejrzanej czystości ręcznik i przyłożywszy go do piersi pacjenta obsłuchiwał go. W mojej obecności prosiło o radę 16 osób i wszyscy z nich byli odprawieni z niczym, ach nie, jeden otrzymał olejku rycynowego, drugi proszek, tylko jeden z nich był uznany za rzeczywiście chorego i z polecenia lekarza miał być przesadzony z pawilonu ogólnego do celkowego. Ja, rozumie się, byłem zdrów.

Około godziny po obiedzie udaliśmy się poprzedzeni przez pomocnika naczelnika i naszego dozorcę do naczelnika, który po sprawdzeniu imienia i nazwiska wyznaczył każdego do odpowiedniej roboty. Ja wyznaczony zostałem do fabryki kopert. Według rozporządzenia tegoż naczelnika dziś jeszcze powinniśmy być przeprowadzeni do gmachu ogólnego. Nie upłynęła nawet godzina, kiedy wezwano mnie, abym zabrał wszystkie moje rzeczy. Wiedziałem co to znaczy, zabrawszy więc moje skromne mienie, udałem się za dozorcą, który zaprowadził mnie na czwarty oddział do celi numer 17. Cela ta (...) nie sprawiła na mnie dodatniego wrażenia. Na obydwu ścianach przyczepione były posłania „legimaty", na środku celi dwa duże stoły, kilka ławek, parę taboreciков, blaszany kubełek do wody stojący na stole, na którym prócz tego leżało kilka książek, w polskim i rosyjskim języku, dwa okna dość dobrze oświetlały celę, po prawej stronie okien stał ustęp zasłonięty parawanikiem z żelaza; po lewej stronie piecyk centralny, a ponad nim w rogu ściany u góry wisi „ikona". (...) Na ścianie, na karcie, były przepisy o wystrzeganiu się przed suchotami i wyciąg z regulaminu więziennego. Oddzielnie zaś wisiała karta z wyszczególnieniem imienia i nazwiska i dołączonym numerem „legimaty", jaką poszczególny więzień zajmie. Mnie przypadła „legimata" przy samym ustępie, kiedym wstał na drugi dzień, głowa strasznie mnie bolała, gdyż noc całą oddychałem strasznym powietrzem wydobywającym się z klozetu, tym bardziej, że lufcik z powodu chłodu jesiennego był zamknięty.

Zbliżył się wieczór, zapalono światła i cela w oświetleniu dwóch elektrycznych lampek wyglądała daleko lepiej. Stanąłem w oknie i zapatrzony w ciemności pobiegłem myślą poza te mury i kraty. Wtem dał się słyszeć z dziedzińca jakiś szum i brzęk łańcuchów: wytężywszy słuch i wzrok, rozróżniać zacząłem z dala kroki idących, a kiedy podeszli bliżej, to oczom moim przedstawił się obraz, którego przez całe życie nie zapomnę. To więźniowie skazani na ciężkie roboty wracali po całodziennej pracy. Patrzyłem na tych nieszczęśliwych ludzi, przyszłych moich współtowarzyszy, z którymi przyjdzie mi dzielić nieznaną dolę, jak wydeptaną ścieżką podwórka więziennego snuli się leniwym ze zmęczenia krokiem, ze zwątpieniem na twarzach. Widziane w bladym świetle elektrycznym, wychudłe, wynędzniałe postaci w kajdanach, w większej części odziane dziurawymi i podartymi kapotami, sprawiały na mnie wrażenie snujących się duchów. Pomyślałem też, że oni po całodziennym znoju zamiast powitania żony czy szczebiotu wesołych dziatek, usłyszą grubiańskie słowa dozorcy obrażające ich uczucia. W razie jakiegokolwiek nieporozumienia zawsze rację ma dozorca, a więźniowi nie wolno nawet się wytłumaczyć z zarzucanego mu przewinienia. Nic też dziwnego, że „karcery" zawsze są przepełnione.

Powrócili też z roboty i ci, którzy siedzieli w celi, w której się znajdowałem, a widząc świeżo przybyłego i nieznajomego człowieka zaczęli zadawać mi pytania: skąd? Co za jeden? itp. Kiedy powiedziałem, że przyjechałem z Piotrkowa i wymieniłem swoje nazwisko, to podszedł do mnie jeden z więźniów, przedstawiając się jednocześnie, że jest łodzianinem, o czym w poufnej rozmowie się przekonałem. Mój nowoznajomy wziął mnie pod swoją opiekę, jako już obyty ze stosunkami tutejszymi, udzielił mi objaśnień i wskazówek jak należy postępować, by zawsze być w porządku wobec administracji i dozorców. (...) Na drugi dzień była niedziela, więc z innymi udałem się do kaplicy. Przechodząc przez korytarze, widziałem wszędzie zamiast drzwi kraty żelazne, tak że całe korytarze można ogarnąć jednym rzutem oka. Kaplica więzienna swoim urządzeniem, a poniekąd i rozkładem przypomina mi kościółek Dobrego Pasterza na Bałutach w Łodzi. Taki sam chór, ambona, ten sam styl ołtarza, a nawet kolor, tylko na ścianie, nad wielkim ołtarzem, wisi Chrystus na krzyżu. Duże okna gotyckie jasno oświetlają wnętrze kaplicy; na chórze stoi fisharmonia, na której podczas nabożeństwa przy wtórze chóru składającego się z więźniów grywa przychodzący z wolności organista. (...) Kaplica przedzielona jest balustradą i w pierwszej części podłoga wyłożona jest kolorową posadzką, a część druga, w której mieści się ołtarz i gdzie z boku jest miejsce dla pobożnych przychodzących z miasta, zamiast kamiennej jest drewniana podłoga, woskowana do połysku. Wejście do kaplicy dozwolone jest tylko rodzinom administracji i dozoru więziennego. To wszystko połączone razem dałoby może choć chwilowo zapomnieć o więzieniu i gniotącej serca niewoli, gdyby nie rozstawieni strażnicy, którzy baczą, aby każdy spokojnie stał na wyznaczonym sobie miejscu. Ciągłe przechodzenie dozorców pomiędzy szeregami stojących więźniów przeszkadza skupić ducha w modlitwie. Z okien kaplicy rozciąga się śliczny widok pól,

ginący gdzieś w konturach lasu i obłoków. Patrząc na wizerunek Ukrzyżowanego i na ten tłum kornie pochylonych głów modlących się, mimo woli moje usta szepczą ze strapieniem słowa wydobywające się z głębi serca i zbolałej duszy. (...) Po mszy świętej pełen wspomnień i z sercem zasmuconym powróciłem do celi więziennej. (...) Pierwszy dzień ubiegł mi na rozpatrywaniu się i obserwowaniu twarzy osób, z którymi mnie los złączył. Nie chcę też opisywać mojego pierwszego wrażenia o tych ludziach, gdyż łatwo mógłbym się pomylić, uważając za pewnik to, co może jest tylko pozorem.

„Tylem wyczytał w tych kochających oczach"

Jak słusznie przewidywałem, wezwano mnie dziś do pracy. O godzinie wpół do siódmej rano wyszliśmy na podwórze, gdzie dwójkami udaliśmy się do fabryki. Fabryka położona jest na drugim podwórzu, oddzielonym od więziennego murem różnymi budynkami, przeważnie gospodarskimi. W parę minut po naszym wejściu przyszedł majster prowadzący roboty. O człowieku tym tyle mi naopowiadano, że z niecierpliwością oczekiwałem chwili, w której miałem go poznać, i rzeczywiście – na pierwszy rzut oka sprawił on na mnie dość dodatnie wrażenie. A jak teraz widzę i doświadczam, jest to człowiek uprzejmy i łagodnego charakteru, więźniowie-robotnicy otaczają go szacunkiem.

Pracę wyznaczono mi lekką, lecz przeogromnie nudną, gdyż dzień cały siedzieć muszę przy maszynie i odbierać koperty, które za pomocą maszynki wyrabia drugi robotnik-więzień. Praca ta w pierwszych godzinach szła mi źle, gdyż palce odmawiały mi posłuszeństwa i z tego powodu całe dziesiątki kopert, a nawet setki popsułem. Nad wieczorem już przyzwyczaiłem się o tyle do swojego nowego zajęcia, że zaledwie kilka sztuk było popsutych. Zarobek mój wynosić ma podobno za każdy przepracowany dzień pięć kopiejek, prócz tego jeszcze trzy kopiejki dziennie dodatkowego wynagrodzenia, co w połączeniu z płacą więzienną, która wynosi dwie kopiejki dziennie, a bywa wypłacana co dwa tygodnie w połowie, bo pozostała część pozostaje w kancelarii jako kapitał żelazny, który bywa wypłacany tylko w razie opuszczenia więzienia.

Praca moja coraz bardziej mi się podoba, tylko w pierwszych dniach nudno mi było siedzieć przy maszynce i automatycznie odbierać koperty, lecz teraz przyzwyczaiłem się tym bardziej, że praca ta zwalnia mnie od bliższego obcowania z drugimi więźniami, do których z małymi wyjątkami, jakoś mimo chęci, nie mogę się przyzwyczaić. Mogę myśleć za to do woli, toteż w mojej głowie z szybkością błyskawicy po nieskończoną ilość razy przebiegam moje życie i widzę w tych myślach całą przeszłość swoją. (...)

Jeżeli wypada święto, spędzam je w celi. Świąt jest tu dużo, gdyż prócz zwykłych dni świątecznych katolickich, w ważniejsze święta prawosławne i galowe jesteśmy również zwolnieni od pracy. (...) Nadzieja, że kiedyś powrócę do ogniska rodzinnego i myśli o żonie i dzieciach i o wszystkich pozostałych mi drogich osobach

dodają sił do znoszenia mej niedoli i podtrzymują słabnącą czasem energię. (...) Żona zapowiada mi w liście, że przyjedzie w najbliższą niedzielę. Nadszedł zapowiadany w liście dzień, w którym przyjechać miała żona. Rano wstałem z bólem głowy i lekką gorączką – nie spałem całą noc. Wezwano mnie na widzenie. Pokój na ten cel przeznaczony jest ciemny, mimo że trzy okna powinny go oświetlać dostatecznie, przyczynia się do tego olbrzymia balustrada, wysoka z kwadratowymi otworami i gęstą i grubą kratą żelazną. Krata jest podwójna – przestrzeń między jedną a drugą stroną wynosi około półtora łokcia. W tej izbie podczas widzeń gwar panuje taki, że trzeba pilnie uważać, aby zrozumieć co mówi osoba stojąca po drugiej stronie. Kiedy wszedłem na widzenie, zwrócił moją uwagę żandarm, który bacznie nasłuchiwał o czym rozmawiają osoby przychodzące z więzienia. W jednym otworze zobaczyłem twarz żony. Jakiś bezmierny ból ssał moje serce po parotygodniowym niewidzeniu, kiedy zamienialiśmy pierwsze słowa i zaczęliśmy rozmawiać o sprawach domowych i rodzinnych, to cały ten czas żona z oczyma utkwionymi w moim obliczu starała się wyczytać z twarzy to, o czym nie byłbym rad powiedzieć, ale zbliżył się dozorca i kazał mi odejść. Widzenie trwało zaledwie parę minut i pozostałem sam ze swoimi myślami. (...) Tylem wyczytał w tych kochających oczach, które z taką głęboką miłością, a zarazem boleścią na mnie patrzyły.

„Krajobraz nastrojem duszy"

17 grudnia, niedziela. Święta Bożego Narodzenia zbliżają się, ach gdy pomyślę, że i w tym roku nie zasiądę z moimi do stołu, to taka żałość mnie ogarnia, że łzy mi do oczu napływają, a ja ich nie jestem w stanie powstrzymać. (...) Daremnie usiłuję zwalczyć czytaniem lub pisaniem ogarniającą mnie tęsknotę. Z wolna pogrążam się w jakieś bolesne odrętwienie. (...)

23 grudnia, sobota. To dzisiaj Wigilia. Ileż w tym słowie wspomnień? (...) Tam, w domu, przy stole wigilijnym zasiądą: droga żona, kochane dziatki z matką staruszką, a ja zamiast dzielić się z nimi opłatkiem, siedzę tu z dala od domu odgrodzony grubymi murami i kratami więziennymi pod strażą bagnetów żołnierskich i rewolwerów, w które uzbrojeni są pilnujący mnie dozorcy. Dziś do roboty nie idziemy, ale za to w celi robimy gruntowny porządek, który rozpoczął się od mycia okien, ścian i podłogi, a skończył na trzepaniu pościeli na podwórcu więziennym. Na robieniu porządków upłynął dzień cały. O godzinie szóstej wieczór przy gwarze i hałasie jak zwykle zasiedliśmy do stołu. O jakże wieczór dzisiejszy niepodobny do tego z ubiegłego roku, który aczkolwiek również spędzony w więzieniu w Łodzi, ale w otoczeniu ludzi jednej tradycji i przekonań narodowo-religijnych. Tu zaś znajdują się katolicy-Polacy, ale nie uznają zwyczaju łamania się opłatkiem lub przywiązują do tego bardzo małe znaczenie. Po kolacji i po kontroli z bólem głowy rzuciłem się na posłanie i pogrążony w myślach długo nie mogłem zasnąć. Myśl błądziła daleko ponad tym wielotysięcznym miastem, najeżonym kominami fabrycznymi, ponad tym domkiem, w którym ty droga moja, może tak samo czuwasz pełna żalu, smutku i tęsknoty.

24 grudnia, niedziela. Mimo świąt zbudzono nas jak zwykle o piątej rano. Wstałem z bólem głowy spotęgowanym bezsenną nocą. O dziewiątej udałem się do kaplicy więziennej na mszę świętą, po której ksiądz kapelan każdemu osobiście wręczył gwiazdkę w postaci małej paczki opłatków. Dzień ten spędziłem, myśląc tylko jak Wy tam żyjecie. Wieczorem głos z korytarza wezwał mnie z nazwiska, ledwie zdążyłem podejść do kraty posługacz korytarzowy podał mi list. Z wielką radością przekonałem się, że to od Ciebie, radość nie miała granic, kiedy zauważyłem opłatek. (...) Od chwili mego przyjazdu do Mokotowa nie otrzymałem od nikogo żadnej wiadomości, prócz listu od Ciebie i Matki. Czyżby wszyscy w rodzinie i cała gromada przyjaciół, kolegów i znajomych wymazała mnie z pamięci? (...)

8 marca. Dziś upływa druga rocznica mojego aresztowania. (...) Wspomnienia przygniatają serce.

– Coś ty taki nieswój? – zagadnął mnie jeden z kolegów.

– Jak ma być wesół, kiedy dwa lata temu był w domu, wśród rodziny, a dziś siedzi za kratą i z wolności tylko wspomnienia mu zostały – odpowiedział drugi z kolegów, którego przedtem objaśniłem o znaczeniu dnia dzisiejszego.

Tak, to rocznica mojej śmierci cywilnej. Jako katorżnik jestem wykreślony z listy stanu cywilnego, a tylko tam gdzieś, w kancelarii więziennej figuruje mój numer obok dawnego mojego nazwiska.

– W tych dniach otrzymałem list od żony, w którym donosi mi, że przyjeżdża na „widzenie". Z tego powodu udałem się do naczelnika, prosząc go, aby pozwolił mi mieć widzenie bez kratki. Odmówił mi, motywując odmowę regulaminem więziennym.

Na parę dni przed przyjazdem żony, kiedy przyszedłem z roboty i zjedliśmy obiad, wezwano mnie i jeszcze jednego z więźniów do starszego dozorcy, który zawiadomił nas, że wskutek „dobrego sprawowania" przedstawienie wniosku naczelnika o zdjęcie kajdan uzyskało sankcję gubernatora, a zatem on ma polecenie zdjąć mi kajdany. Udaliśmy się do kuźni więziennej, położonej na dziedzińcu, gdzie jeden z kolegów osądzony z mocy 2 cz. 102 art. KK zajął się zdjęciem z nóg moich kajdan żelaznych. Dwa uderzenia młotkiem i z głuchym dźwiękiem, który niemałym echem odbił się w sercu moim, opadły krępujące mnie od dziewięciu miesięcy pęta. Kiedy zacząłem władać nogami wolnymi od łańcuchów, to poczułem się wolnym jak ptaszę, z tą tylko różnicą, że ptaszę buja w błękitach nieba, a ja muszę pędzić tu marnie swoje życie. (...)

Zbliżył się nareszcie dzień przyjazdu żony. Kiedym nareszcie wszedł do pokoju, w którym znajdowała się żona, to ze wzruszenie nie wiedziałem o czym mówić, dopiero jej słowa wyrwały mnie z tego stanu. Wiadomości były względnie pomyślne, dzieci zdrowe, w ogóle zauważyłem tak w rozmowie jak w całej postawie jej pewną zmianę na lepsze i potem byłem wesół i dobrej myśli.

Skąpe mamy wiadomości, ale jedno z pism polskich wychodzących w Warszawie podało, że karnawał nie był zbyt świetny, a publiczność warszawska

tak zawsze skłonna do zabawy, szczególnie w dniach klęsk narodowo-społecznych, obecnie wbrew, że tak powiem, tradycji, zachowuje jakąś dziwną abstynencję w zabawach. Wielki post też się ma ku końcowi. Dziś w Niedzielę Palmową po raz ostatni prawdopodobnie będą odprawiane Gorzkie żale, które każdą niedzielę i święto odśpiewują więźniowie. Na to nabożeństwo uczęszczają z wielką chęcią, gdyż z powodu obchodu poszczególnych stacji Męki Pańskiej, nie mogą dozorcy utrzymać porządku i każdy swobodnie, bez narażania się administracji więziennej, może zbliżyć się do wybranej osoby i słów parę zamienić. Proszę się nie dziwić pseudopobożności więźniów i wyobrazić sobie człowieka, który całe tygodnie, miesiące a może i lata nie widział najbliższego przyjaciela, brata, bo zawsze przegradzała ich więzienna ściana lub krata, a całe dziesiątki dozorców i straży zbrojnych nie pozwoliło nie tylko słowa zamienić, ale i spojrzenia. (...)

W Wielki Piątek do pracy nie poszliśmy, bo dzień ten miał służyć do przygotowania się do spowiedzi. Tego dnia, kiedy wszedłem do kaplicy, zastałem grupkę skupionych więźniów stojących pośrodku kaplicy, po bokach siedzieli księża-spowiednicy. Twarze ich rumiane i śnieżnobiałe komeżki dziwnie odbijały się od tych postaci z bladymi obliczami i w ciemnym odzieniu. (...)

17 kwietnia, środa. *Krajobraz jest nastrojem duszy* – powiedział jeden z psychologów angielskich. I rzeczywiście, w jednostajnym życiu więziennym człowiek jakoś obojętnieje na wszystko, a chociaż czasem niby promień słoneczny zajaśnieje mu coś i rozweseli się w duszy. A to tylko na to, aby z tym większą siłą powracała bólu fala i pod wrażeniem nieubłaganej rzeczywistości wraca dawny stan apatii i zobojętnienia. *Krajobraz jest nastrojem duszy* – jakby na potwierdzenie tych słów przedstawia się z okien mojej celi szare nierówne podwórze więzienne, najeżone wokoło budynkami, a okna tych budynków zaopatrzone są grubymi kratami żelaznymi, podwórze zaś pełne dołów i błota. Ponad tym podwórzem i gmachami, w których ma przymusowe schronienie cały ogrom zbrodni, nędzy, rozpaczy, rozwianych nadziei i nieziszczonych marzeń, roztacza się niebo czasem pogodne i jasne, to znów ciemne i pochmurne. (...) Krajobraz ten to już od wielu, wielu tygodni jedyny przedmiot moich obserwacji. (...)

Zapisać katorgę

1 maja, środa. Dzień dzisiejszy uważany w pewnych kręgach robotniczych za „święto", tu niczym się nie różni od każdego przeciętnego dnia powszechnego. Nie masz tu tej gorączkowej agitacji za świętem, a nawet nikt z tych, co kiedyś nie tylko krew i wolność swą narażali i życie, aby przeprowadzić tę ideę i zmusić do święta w tym dniu oponentów, tak z chwilą stracenia wolności wszystko w nich zamarło.

2 maja, czwartek. Jak się dowiaduję za pośrednictwem K.P. („Kurier Poranny") święto 1 maja w tym roku poniosło prawie kompletne „fiasko", gdyż podług informacji wzmiankowanego dziennika świętowało w Warszawie 10 tysięcy

robotników, co na tak duże miasto jakim jest Warszawa (osiemset tysięcy ludności) stanowi zbyt małą ilość, aby traktować je poważnie, niemal tak samo rzecz się miała w Łodzi i innych miejscowościach przemysłowych Królestwa Polskiego. (...)

3 maja, piątek. Dzień dzisiejszy jest dla mnie dniem wielce uroczystym, mimo że nie różni się niczym od innych. (...) Nie będę wyliczał tu wszystkich uchwał Sejmu Czteroletniego, ale akt Konstytucji 3 maja 1791 roku zrównał według prawa wszystkie stany ówczesnej Polski. (...)

8 maja, środa. Dziś z powodu święta św. Stanisława do roboty nie poszliśmy. W gronie naszym więcej do siebie zbliżonych czy to wspólnością idei, czy tylko sympatią, mamy kolegę Stanisława P., warszawianina, osądzonego z mocy 2 cz. 102 art. K.K. Z samego rana składamy naszemu solenizantowi życzenia, a on wzruszony i rozpromieniony ściska w niemej podzięce nasze dłonie, dziękując za życzenia, jeżeli baczniej przyjrzeć się jego oczom to można wyczytać w nich jakąś utajoną boleść czy tęsknotę, myśl o bliskich widocznie sprowadza smutek na jego, zawsze wesołą twarz. Wieczorem, gdy światło pogasili, powróciły myśli i przypomniałem sobie jak bujałem w odpust św. Stanisława do kościoła na Skałce, gdzie śmiercią męczeńską zakończył życie św. Stanisław, biskup krakowski. I przesuwają się obrazy: tłum pobożnych spieszących z wawelskiego grodu i okolicy do świątyni, w której poległ patron Polski i męczennik, to szeroka wstęga Wisły unosi na swej powierzchni niezliczoną ilość statków parowych i łodzi pełnych pielgrzymów z dalszych okolic, a to widzę plac wielki przed kościołem pełen wozów i kramów ze „świętościami" i podarkami odpustowymi. Czego tam nie było począwszy od obrazów wartych kilka rubli a skończywszy na groszowym pierścionku lub innym świecidełku. (...)

Teraz zmuszony okolicznościami wysyłam niezapisany kajet, a zawarte w nim uwagi i notatki proszę uważać niejako jako szkic, inaczej materiał do, w przyszłości powstać mającego pamiętnika. Wielu tu rzeczy brak, lecz nie moja to wina, gdyż ze względu na dość często powtarzające się kontrole trzeba było o niejednym zmilczeć, lecz sądzę, że dane mi będzie uzupełnić w odpowiednim miejscu i czasie. Przesyłam Ci tych parę kartek w dowód pamięci i przywiązania. Nie sądź według tego, co warte, ale podług mojej chęci, gdyż zapisując Ciebie tylko miałem na myśli i Twoja blada, wymizerowana walką życia twarz stała mi przed oczyma. Twoje poświęcenie i zaparcie się dodaje mi męstwa do dźwigania mej doli. Doprawdy jam zbyt szczęśliwy, mając Ciebie.

* * *

Więzienia w Rosji podzielone były w stosunku do rodzaju przestępstw na lżejsze i ciężkie: więzienia zwykłe na tak zwane roty aresztanckie i ciężkie roboty czyli katorgę.

Katorga straszne to słowo i niejeden nie zdaje sobie sprawy ile pod tym pojęciem mieści się łez i krwi często niewinnie męczonych ofiar krwiożerczego

caratu.(...) Katorga to grób najwznioślejszych haseł i najszczytniejszych idei ludzkości. (...) Na polu mokotowskim właśnie, za murem z czerwonej prasowanej cegły wznosiło się złożone z kilku oddzielnych murowanych pawilonów tak zwane więzienie dla skazanych na ciężkie roboty. Zbudowano je w 1902 roku na wzór więzień belgijskich i zaliczało się, ze względów sanitarnych do „pierwszorzędnych" tego rodzaju gmachów w państwie. Pierwotnie było przeznaczone dla skazanych na tak zwane roty aresztanckie, lecz po 1905 roku poczęto umieszczać tam więźniów-katorżników, nieraz z długimi wyrokami.

Każdy z nas pamięta te czasy, kiedy to nie można było wyjść na ulicę, aby z jednej strony nie zetknąć się z żołdakami, a z drugiej z bandytami. Jedni i drudzy z okrzykiem: ręce do góry – rzucali się na swoją ofiarę, z tą różnicą, że pierwsi skrzętnie przeszukiwali kieszenie, szukając kompromitujących papierów lub innych dowodów winy, a drudzy zawsze zabierali pieniądze. A kiedy pierwsi znalazłszy cokolwiek wyprawiali delikwenta w najgorszym razie do więzienia, to drudzy po przetrząśnięciu kieszeni i portmonetek nierzadko wysyłali poszkodowanych na tamten świat.

Przyczyną tych objawów była straszna anarchia duchowa, w jakiej żyło ówczesne społeczeństwo oraz błędne przekonanie, że prawdziwy postęp nie godzi się z religią, którą odrzucano, a na miejsce Przykazań Boskich i prawd chrześcijańskich nie postawiono żadnych zasad etycznych, które mogłyby być busolą w życiu. Nic dziwnego, że obecnie łatwiej jest zabić człowieka niż zdeptać robaka. Wobec tego zapełniły się więzienia i na 107 tysięcy miejsc w więzieniach w państwie rosyjskim siedziało 231 tysięcy więźniów, o czym mówią oficjalne dane statystyczne. A kiedy przed rokiem 1905 „katorżników" liczono na około siedem do ośmiu tysięcy, to w roku 1912 było ich już przeszło 30 tysięcy, lwią część ich stanowili oczywiście więźniowie polityczni.

Wracając do więzienia mokotowskiego: olbrzymią część pola mokotowskiego od ulicy Rakowieckiej obejmowało obmurowanie w formie czworoboku, w którym znajdowały się pawilony, to część więzienia, które znów dzieliło się na dwie części: właściwe więzienie i fabryki więzienne, w których zatrudniano tylko więźniów pracujących pod kierownictwem majstrów – instruktorów, niezależnych od administracji więziennej. Były dwa pawilony przeznaczone dla więźniów. Wejście do gmachu głównego było od strony ulicy Rakowieckiej. Do tego budynku prowadziła żelazna brama, od niej kilka kroków wejście do głównego korytarza, wszędzie gęste kraty. Na szczycie frontowego gmachu czarny żelazny krzyż, godło cierpienia i bólu. Po lewej stronie obok bramy dzwonnica dla prawosławnych, a na parkanie również krzyż czteroramienny, wschodni. (...)

W pawilonie głównym oprócz izb-cel więziennych i „karceru" znajdowały się: kancelaria więzienna, dyżurka dla strażników rezerwy, izba dla warty żołnierskiej, wreszcie pokój dla widzeń czyli rozmównica dla widzeń z rodziną najbliższą (tylko raz na miesiąc). (...)

W drugiej części korytarza, znajdującej się za żelazną masywną bramą, zaczynało się już faktyczne więzienie i nikt z osób nienależących do dozoru więziennego nie mógł przekroczyć tej bramy. Tam znajdowało się ambulatorium lekarskie, biblioteka więzienna itp. Na najwyższych piętrach, gdzie mieścił się oddział ósmy, znajdowała się kaplica katolicka, a na dziewiątym cerkiew prawosławna. Mieli też i Żydzi swą bożnicę, która mieściła się w suterenie na pierwszym oddziale.(...) Poza kaplicami oddzielonymi dębowymi drzwiami, wszędzie tylko kraty, kraty. Daremnie byś chciał schronić się przed argusowym okiem dozorcy – wszędzie cię ono znajdzie, wszędzie prześladuje w celi czy na korytarzu. W dzień czy w nocy. Zawsze czujesz utkwiony czyjś wzrok. Początkowo w imaginacji mojej te oczy przybierały kształty jakichś strasznych potworów prześladujących mnie w dzień i w noc.

Cele w większości były przeznaczone na dwadzieścia cztery osoby, więcej nigdy w nich nie siedzi, gdyż nie było więcej „legimat". Z tego względu, że w celi nie wolno trzymać niczego prócz książek do czytania i kajetów, to na korytarzu znajdowały się specjalne szafy z odpowiednimi przedziałami, opatrzonymi numerami, w których można było trzymać artykuły spożywcze, czajnik na herbatę, kubek itp. (...) Na każdym z tych oddziałów prócz szaf była miedziana umywalnia obliczona na siedem osób, dwa zlewy z kranami do wody. Korytarze więzienne są niskie, wyglądają niby tunele i są słabo oświetlone.

Poza biblioteką i ambulatorium w głównym budynku znajdowały się jeszcze karcery – małe komórki, lochy bez okien, a chociaż w niektórych były okna, to zaopatrzone w grube żelazne zasuwy, które nie przepuszczały ani odrobiny światła. Lochy te służyły do złamania energii w więźniach, bywali w nich osadzani więźniowie według regulaminu więziennego za przeróżne wykroczenia. Począwszy od drobnostki, a skończywszy na poważnych jakimś wypadku każdy, kogo dozorca zaprowadził do kancelarii bywał osadzany w tych strasznych lochach. Karać karcerem mogli tylko wyżsi członkowie dozoru więziennego, to jest naczelnik i pomocnicy, z tą różnicą, że naczelnik mógł skazać więźnia na miesiąc, a pomocnik własną władzą najwyżej na siedem dni, o czym winien zawiadomić naczelnika. (...) Karcerów było tu 11, ale tylko cztery widne. Ja w karcerze nie siedziałem, dlatego zwróciłem się do kolegów, którzy w „akademii" kształcili się dwa razy, a oni mi opowiedzieli: *kiedy już byłem osądzony przez naczelnika, to starszy strażnik powiódł mnie do suteryn, gdzie przy samym wejściu do karcerów przeprowadzono osobistą, ścisłą rewizję. Odebrano mi: pasek, chusteczkę do nosa, oczyszczono moje kieszenie idealnie z zapałek, machorki i różnych drobiazgów. Każdego dnia rano przynoszono mi porcję chleba (dwa funty) i dzbanek zimnej wody, po którą sam chodziłem na korytarz. W tym czasie wypróżnia się nocne naczynie. Chwila ta jest jedyną, kiedy więzień ma otwarte drzwi, a całą pozostałą dobę jest pozostawiony swemu losowi wśród mroku i zimnych ścian. Dnia czwartego bywa przeprowadzany do widnego karceru z oknem i dostaje ciepłą strawę. Następne trzy dni znów w ciemnym lochu i o chlebie i wodzie. Jeśli jest ktoś skazany na dłużej, to każde-*

go ósmego dnia dostaje spacer. Karcery mokotowskie należały do bardzo ciężkich, gdyż znajdowały się w wilgotnych piwnicach i miały trzy łokcie w kwadrat, a bywały i mniejsze. Łożem był kawałek belki wpuszczonej w asfaltową podłogę, a zamiast poduszki kawałek drewna. W zimie nie można zasnąć, można sobie wyobrazić czego doświadcza więzień, jeżeli do karceru nie wolno było zabierać cieplejszego ubrania tylko drelichowe. (...) Męczarnie dla siedzących w karcerach są tak straszne, że rzadko się zdarza, aby ktoś po odsiedzeniu siedmiu dni przychodził z powrotem na oddział do celi ogólnej. Najczęściej szedł do szpitala, a w najlepszym razie do pojedynek. Bywały też i takie wypadki, że po wyjściu z karceru przenosi się tam, gdzie nie ma ani więzień, ani tyranów w postaci naczelnika czy dozorców. Należy przyznać, że w karcerach, jak w całym więzieniu, jest centralne ogrzewanie, ale naczelnik jako dobry administrator, wzorowy urzędnik, chce być również dobrym ekonomistą i karcerów nigdy nie pozwalał ogrzewać.(...)

Wieści zza krat

9 maja, czwartek 1912 r. Dzień dzisiejszy dlatego notuję, że majster prowadzący roboty p. Przybylski z powodu choroby nie przyszedł do zajęcia. Z tego powodu zastępuje go Makowski. O tym panu tyle się nasłuchałem ujemnych rzeczy, że z ciekawością niepozbawioną pewnego niepokoju, obserwowaliśmy go wszyscy. Nic też dziwnego, że po paru godzinach u każdego coś znalazł nie w porządku, a co za tym idzie posypały się wymysły i różne słowa, których nawet *istinno ruski* człowiek by się nie powstydził, mało tego, ten pan uciekł się do pomocy dozorcy więziennego, zwracając mu uwagę, aby napędzał do roboty.

15 maja, środa. Przechodząc przez podwórze, zauważyłem dwie trumny z prostych, nieheblowanych desek, a za całą ich ozdobę służył, czarną farbą nakreślony krzyż. W ogóle nie ma dnia, aby ze szpitala tutejszego nie wywożono nieboszczyka, czemu nie można się wiele dziwić, gdyż stan higieniczny więzienia, mimo pozorów, dużo pozostawia do życzenia, lecz o tym w innym miejscu.

25 maja, sobota. Dzień dzisiejszy krwawo zapisał się w dziejach tutejszej „katorgi". Jak zwykle przyszliśmy do pracy, a chociaż majstra z powodu choroby nie było, każdy z nas wziął się do swojej czynności. Około godziny dziewiątej przyszedł Makowski, pomocnik dyrektora chwilowo zastępujący Przybylskiego, lecz nikt prawie nie zwrócił na to uwagi zajęty robotą. Wtem dał się słyszeć straszny jakiś głos wzywający ratunku. Zanim zorientowaliśmy się co się stało, oczom naszym ukazał się straszny widok. Makowski z twarzą zalaną krwią na półprzytomny starał się ujść przed jednym z więźniów Szcz. M., który zadał mu nożem czy też innym jakiś narzędziem parę ran, przeważnie w twarz. Wszyscy byli przerażeni tym faktem do tego stopnia, że nikt się z miejsca nie ruszył, a dozorca doglądający więźniów przy robocie ze strachem biegał z kąta w kąt. Dopiero drugi dozorca, znajdujący się w klatce, zaalarmował posterunek rezerwy. Na ten alarm przybiegł zastępca naczelnika z pomocnikami

i dozorcami. Pochowano broń dopiero, widząc spokojne nasze postawy, oddalili się, zabierając z sobą ofiarę i sprawcę tego czynu. Po namyśle zabrano jeszcze osiem osób znajdujących się bliżej wydarzenia i zamknięto ich w gmachu celkowym, skąd po wypełnieniu protokółu wypuszczono za wyjątkiem Szcz., któremu prawdopodobnie wytoczą proces.

1 czerwca, sobota. Piękny i wspaniały dzień zajaśniał dziś od samego rana. Pod ożywczymi i ciepłymi promieniami przygrzewającego słońca jakoś lżej i weselej na duszy. Dawno minął karnawał, a nawet Wielki Post, już nawet do Świąt Wielkiejnocy dzieli nas parę tygodni, a dziś dopiero dzięki przypadkowi wyjaśniło się, co znaczyła ta abstynencja w zabawach tanecznych tak w Warszawie, jak i na prowincji, o której w swoim czasie wspominałem. Otóż pocztą więzienną otrzymałem broszurę podpisaną pseudonimem „Tensam". Z broszury tej, która była niczym więcej jak krytyką wyżej wzmiankowanej „żałoby narodowej", dowiaduję się, że „żałoba" ta miała zastosowanie niemal we wszystkich warstwach społecznych polskich. Proklamowaną zaś była, jak to wyraźnie zaznacza autor, przez polską młodzież, chociaż autor nie wskazuje do jakiego obozu politycznego owa młodzież należy, ale łatwo to wyczytać, że tak powiem, między wierszami, że jest to młodzież Narodowo-Demokratyczna. Pan „Tensam" ni mniej ni więcej, tylko w propagowaniu obecnej „żałoby narodowej" dopatruje się jakichś wielkich ruchów narodowych. Przewidywania zaś swoje popiera faktem historycznym 1863 roku.

Śródtytuły pochodzą od redakcji.

Teatr w Parku Staszica

Zapomniane ogródkowe sceny

Jednym z ciekawszych zjawisk życia teatralnego w przedwojennej Łodzi były teatrzyki letnie. Rekonstrukcja ich widowiskowej działalności nie jest jednak łatwa. Materiały archiwalne nie zachowały się w całości, przedwojenna prasa zajmowała się teatrzykami marginesowo, no i żywot teatrzyków był krótki. Najdłużej przetrwał Teatr Letni w parku Staszica, który 14 lat wytrwale bawił nie zawsze mu wierną łódzką publiczność.

Na polu teatralnym (...) Łódź przedstawiała specyficzne zjawisko – pisał Leon Gajewicz w „Kurierze Łódzkim" w 1933 roku. – *Na początku sezonu, zazwyczaj we wrześniu, dyrektorzy, aktorzy i publiczność ożywieni są najlepszymi horoskopami. Dyrektorzy zachwalają repertuar, nieliczna elita spośród publiczności wszelkimi sposobami zachęca do odwiedzenia teatru. (...) I zawsze wydawało się, że tak przygotowana impreza nie zawiedzie i wytrwa. (...) Gdzie tam? Corocznie, literalnie corocznie, każdy z dyrektorów (...) pod koniec sezonu końca z końcem powiązać nie mogli.*

Szczególnie trudnym okresem dla łódzkich scen okresu międzywojennego było lato. Publiczność niechętnie odwiedzała w miesiącach letnich duszne i źle przewietrzone teatralne sale. Chcąc uniknąć bankructwa, dyrektorzy ratowali się wystawianiem sztuk na „wolnym powietrzu". Spektakle uzależnione były jednak od pogody. A pogoda, jak to często się zdarza, była kapryśna. *Bóg raczy wiedzieć dlaczego tak się dzieje, faktem jest, że deszcz, zimno i najrozmaitsze złe humory aury towarzyszą prawie nieodmiennie i corocznie rozpoczynaniu przedstawień ogródkowych* – stwierdził Bolesław Dudziński w 1929 roku w „Kurierze Łódzkim".

„Bagatela", „Chochlik", „Złota kaczka"

Aby temu zaradzić, zaczęto budować prowizoryczne letnie scenki w ogrodach i parkach. W latach 1925-39 powstało ich w Łodzi kilkanaście. Do najciekawszych należały filie Teatru Miejskiego – **Teatr Letni** w parku Staszica i teatr **„Bagatela"** przy ulicy Piotrkowskiej 94. Warto jeszcze odnotować **„Gong"** przy ulicy Śródmiejskiej 17 (dziś Więckowskiego), **„Chochlik"** – Sienkiewicza 40 (przemianowany później na „Złotą Kaczkę"), nadscenkę w kinie **„Jar"** przy ulicy Kilińskiego 124. W tych efemerycznych teatrzykach ogródkowych występowały w „sezonie ogórkowym" trupy prowincjonalne z widowiskami o tak zwanym lekkim repertuarze. Spektakle nieobsadzone dobrymi

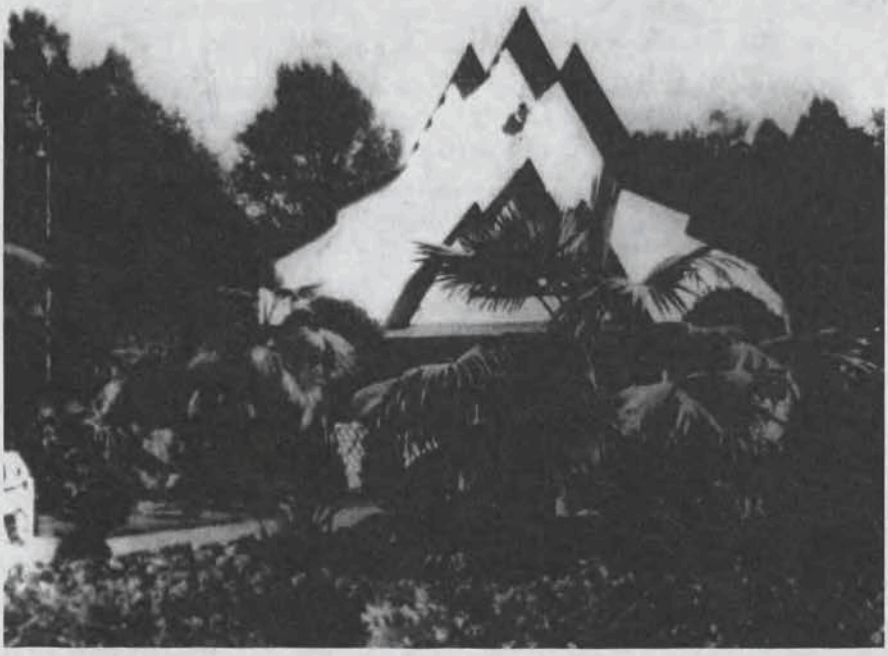

wykonawcami, z tekstami na miernym poziomie literackim, nie przyciągały jednak publiczności.

Licznie powstające w tamtych latach w Łodzi scenki i nadscenki miały swoich poprzedników w warszawskich teatrzykach ogródkowych.

W latach 70. XIX stulecia w Warszawie właściciele restauracji i jadłodajni na „świeżym powietrzu" zaczęli angażować śpiewaków, baletnice, aktorów i orkiestrę, aby ich występy ściągały większe rzesze klientów. Tak powstały teatrzyki „Eldorado", „Tivoli", „Alhambra" i inne. Repertuar teatrzyków początkowo był dość niewybredny. Tworzyły go fragmenty operetek, melodramatów, komedyjek i fars przeplatanych występami cyrkowców, magików i pantomimą. Później, kiedy do Warszawy zjechał Anastazy Trapszo[1] ze swoją trupą i w ogródkach zaczęli występować tej klasy artyści, co Adolfina Zimajer[2] i Rufin Morozowicz[3] niektóre teatrzyki zastąpiły składanki jednoaktówkami i dłuższymi utworami dramatycznymi.

Łódzkie teatrzyki ogródkowe miały wiele cech wspólnych ze swoimi warszawskimi poprzednikami. Podobieństw można szukać w doborze repertuaru nachylonemu ku zabawie i rozrywce, ale różnic – w widowni, dla której był przeznaczony. Publiczność warszawską tworzyli rzemieślnicy, drobnomieszczanie i kupcy, czyli tak zwany ludek warszawski, natomiast łódzki repertuar kierowany był do widzów nieco zamożniejszych – tutejszej inteligencji, kupców i bogatszych rzemieślników.

Różnice zaznaczyły się również w cenach biletów. Bilety do Teatru Letniego w parku Staszica były dość drogie. W 1926 roku najdroższy bilet – pięć zło-

str. 2 Otoczony palmami budynek Teatru Letniego, ok. 1928 r.
Fot. archiwum autorki

tych – kosztował tyle, ile trzykrotny, nocny kurs dorożką wokół miasta, toteż na lepsze miejsca do teatru mogli sobie pozwolić zamożniejsi obywatele. Aby ratować frekwencję, wprowadzono bilety ulgowe, ale mogła je kupić tylko inteligencja, która ze względu na niedostateczne zarobki nie była w stanie opłacać pełnych cen biletów. Natomiast warszawskie „ogródki" były imprezą masową, obliczoną na takiego odbiorcę, któremu nie sprawi wyrwy w budżecie *cena wnijścia, równa cenie kwarty kaszy perłowej lub „ogórka większego"*, dlatego nie narzekano na frekwencję, nękającą łódzkie teatrzyki.

Teatr Letni

Ponieważ lato decydowało najczęściej o bankructwie teatru, letnia scenka miała rozwiązać jego trudną sytuacje finansową.

Inicjatorem powstania najciekawszego teatru letniego w Łodzi był Kazimierz Wroczyński[4], literat, reżyser, kierownik literacki i dyrektor Teatru Miejskiego. Wykorzystał do tego celu muszlę koncertową w parku Staszica, która pozostała po Wystawie Rzemieślniczej zorganizowanej tu w 1912 roku. Pamiątką po niej był również Pomnik Pracy, który przedstawiał postać robotnika wspartego o młot na kamiennym cokole – symbol miasta pracy Łodzi.

Kilka lat później muszlę zburzono, a na jej miejscu w ciągu trzech miesięcy, kosztem 12 miliardów marek, wzniesiono drewniany budynek teatralny w stylu ludowym. Wokół teatru ustawiono rośliny szklarniowe – palmy, agawy i drzewka bananowe. Wejście zdobił kwietnik w kształcie gwiazdy. Wieczorem wstęp do parku mieli tylko nabywcy biletów do teatru. Aby w terminie zakończyć budowę, projektanci teatru Henryk Hiszenberg i „kandydat na inżyniera" Henryk Olszer zrzekli się swoich zarobków za dodatkowe godziny pracy.

Rekordowe tempo budowy odbiło się jednak na jakości wykonania. Toteż wszystkie usterki teatralnego budynku nękały kolejnych dyrektorów Teatru Miejskiego, którzy przed rozpoczęciem sezonu letniego wysyłali do magistratu przynaglające pisma o przydzielenie subwencji na remont sceny, naprawę dachu itp.

Teatr Letni w parku Staszica otwarto 15 maja 1925 roku o godzinie 20.30. Na inaugurację wybrano komedię Brunona Winawera *Znajomek z Fiesole*. Sztuka była zręcznie napisana, miała dowcipne dialogi i… nieliczną obsadę, co miało znaczenie dla małej sceny Teatru Letniego. Komedię reżyserował Jerzy Walden, aktorzy występujący w przedstawieniu to artyści Teatru Miejskiego, ulubieńcy łodzian. Wilhelm Fallek odnotował w „Republice", że *komedię zagrali artyści pierwszorzędnie*. Tamtego majowego wieczoru na szczęście nie padał deszcz, w antraktach przygrywała orkiestra i jasno świeciły po obu stronach teatru dwie latarnie ozdobione starymi herbami Łodzi. Dziś te same latarnie oświetlają wieczorem, pusty o tej porze, plac zabaw dla dzieci.

Jednak już od pierwszego sezonu zaczęły się przed Teatrem Letnim piętrzyć najrozmaitsze przeszkody. Największą był brak ławek. Toteż codziennie na

pół godziny przed przedstawieniem wypraszano z parku spacerowiczów, a ławki do teatru ściągali maszyniści ze wszystkich alei. Nazajutrz personel parkowy za specjalną opłatą znów ławki rozstawiał.

Dopiero po roku swojej działalności teatr dorobił się brezentowych zasłon, które chroniły widownię przed deszczem i otrzymał z magistratu 38 pięciometrowych ławek. Dwa lata później pozyskał również drewnianą podłogę, wznoszącą się stopniowo ku górze, co pozwoliło widzom jednakowo z każdego miejsca śledzić akcję sceniczną.

Na tym nie kończyły się jednak utrapienia dyrektorów. Niekorzystne było samo położenie Teatru Letniego. Park Staszica mieścił się na ówczesnych peryferiach miasta, z dala od centrum życia kulturalnego, które skupiała ulica Piotrkowska. Toteż wszystkie atrakcje poza jej obrębem nie miały powodzenia.

Od 1925 roku sezon letni w parku Staszica otwierano w końcu maja, a zamykano na początku września. Trwało to kilkanaście lat, póki Teatru Letniego nie „zabiła" konkurencja, czyli drugi teatrzyk letni zbudowany przez Lisnera, właściciela sklepu z zabawkami przy ulicy Piotrkowskiej 94.

Farsy i rewie

Repertuar obu scenek był podobny. Tworzyły go farsy, komedie muzyczne, wodewile i rewie. Wystawiano między innymi *Hrabinę Tłumok, Dziecko Olbrzym*, czyli quodlibet pod wspólnym tytułem Pss! Psst! Kazimierza Wroczyńskiego i Konrada Toma, *Cnotliwego kobieciarza* F. Arnolda i E. Bacha, *Tancerkę z variété* G. Kadelburga. Repertuar zmieniano często, co miało i swoje konsekwencje artystyczne: przedstawienia były po prostu niedopracowane scenicznie. Nie bez powodu więc narzekała prasa na aktorów za brak pamięciowego opanowania ról. Częste premiery wymuszała walka o widza. Teatrzyk nie mógł go utracić, dlatego zachęcał publiczność, by przyszła na nową premierę *nieskończenie komicznej farsy* lub *nadzwyczaj wesołej krotochwili*.

Po objęciu dyrekcji Teatru Miejskiego przez Arnolda Szyfmana i Bolesława Gorczyńskiego w 1926 roku, zaczęły się ukazywać na scenie Teatru Letniego rewie.

Błyskawiczne tempo przedstawienia, lekka piosenka, tani dowcip, przegląd kostiumów i dekoracji stały się najlepszą strawą dla odbiorcy teatralnego. Wtedy właśnie zarabiali bajońskie sumy właściciele przedsiębiorstw rewiowych jak: Casino de Paris, Moulin Rouge, Apollo, Folie Berger itp. – pisał recenzent „Kuriera Łódzkiego".

W rewiach Teatru Letniego śpiewano piosenki o kanalizacji łódzkiej, kuplety o podatkach i nędzy łódzkiego kupca. Niekiedy całe rewie, jak *Panna Łódź* finansowali łódzcy fabrykanci Karol Scheibler i Henryk Grohman, by reklamować sztuczny jedwab, który produkowali w swych fabrykach. Prasa jednak takie rewie ganiła, pisząc, że *letni czy nie letni, bądź co bądź jest to teatr, a nie jakieś przedsiębiorstwo*

ogłoszeniowe. Krytykowano również autorów przedstawień za brak pomysłów literackich. *Ażeby napisać rewię, nie wystarczy podłożyć słowa znanych kawałów pod stare melodie. Do dobrej rewii należeć winna nade wszystko świeżość dowcipu, oryginalność muzycznego opracowania i mimo wszystko polot poetyczny* – zauważył Bolesław Dudziński.

Rewia mogła pozyskać publiczność bogactwem kostiumów, pięknymi melodiami i nowoczesną techniką sceniczną. Postulatom artystycznym usiłował sprostać kompozytor piosenek Jerzy Białostocki oraz znakomity aktor i reżyser Konstanty Tatarkiewicz. Niewiele mogli jednak zdziałać na małej i ubogo wyposażonej scenie. Łódzkie rewie w Teatrze Letnim nigdy nie dorównały warszawskim ani obsadą aktorską, ani oprawą sceniczną.

Reżyserzy, szczególnie Konstanty Tatarkiewicz, który od 1926 roku wystawiał prawie wszystkie rewie w parku Staszica, „ozdabiali" je różnymi niespodziankami. W jednych przedstawieniach aktorzy z widownią śpiewali finałowe piosenki, w innych rozwiązywali wspólnie krzyżówki. W rewiowych zabawach prym wiedli bardzo lubiani łódzcy aktorzy – Michał Znicz i Jan Mroziński.

W 1931 roku coraz częściej powtarzano, że rewia się przeżyła, że stała się szablonem. Zaczęły ukazywać się na scenkach letnich teatrzyków popularne operetki: Franciszka Lehara, Imre Kalmana i Jacques`a Offenbacha. W późniejszych latach usiłowano rewię wskrzesić. Na próżno. Od 1933 roku do Teatru Letniego wróciły francuskie farsy, które na ogół podzielały los rewii. Jedne zdejmowano z afisza po kilku dniach, inne szły kompletami wiele wieczorów.

Początek końca

Latem 1935 roku w parku Staszica wystawiono komedię Pawła Schurecka *Muzyka na ulicy* z Jackiem Woszczerowiczem. Po przeniesieniu jej do „Bagateli" Teatr Letni zamknął sezon już 21 lipca. W roku następnym, po premierze farsy Kosela *Słoń w składzie porcelany*, ostatecznie zakończył działalność artystyczną. W maju następnego roku zamiast sezonu teatralnego otworzono w parku ponownie Wystawę Rzemieślniczą. Sam zaś teatr zamieniono na restaurację. Po zlikwidowaniu imprezy zamknięty teatrzyk straszył wieczorem swoją pustką. *Owinięto go* – pisał Stanisław Bal – *w brezenty i plandeki; stoi zapakowany, jak futro przed molami na lato. Nuda, niby ołowiem przepojona chmura, rozłożyła się na naszym łódzkim podwórku.*

Choć w codziennej prasie nawoływano do wznowienia działalności teatru, publiczność wolała jednak przychodzić do „Bagateli", która mieściła się w centrum miasta.

W następnych latach pojawiały się od czasu do czasu na scenie „Letniego" farsy i komedie, ale teatrzykowi brakowało dawnej artystycznej prężności. Przyczyniła się do tego również polityka dyrekcji Teatru Miejskiego, która patronując obu teatrom, bardziej starannie dobierała obsadę aktorską i repertuar „Bagateli". Do

niektórych przedstawień angażowano artystów warszawskich. Pojawiają się więc na afiszach między innymi nazwiska Kazimiera Krukowskiego, Toli Mankiewiczówny i Ludwika Sempolińskiego.

Czas „Bagateli"

„Bagatelę" otwarto 7 czerwca 1934 roku. Tego dnia w teatralnym ogródku została otworzona również kawiarnia, w której można było grać w bilard i w szachy oraz posłuchać orkiestry. Zaplecze „Bagateli" nie było wcale lepsze niż Teatru Letniego. *Mała, płaska scena. Patelnia. Cóż na niej usmażyć można?* – ironizował Stanisław Bal.

Lato 1937 roku „Bagatela" zamknęła komedią Władysława Fodora *Miłość w kwadracie* oraz wodewilem Stanisława Dobrzańskiego *Żołnierz Królowej Madagaskaru*. Stanisław Bal odnotował: *spośród licznego zespołu Żołnierza na czoło, jak zwykle, wysunął się Jan Mroziński jako kapitalny Mazurkiewicz. Mówiono o nim, że nareszcie znalazł dla siebie odpowiednią rolę.*

W 1937 roku pożegnało się z Łodzią 11 aktorów Teatru Miejskiego, wśród nich reżyserzy Henryk Szletyński i Konstanty Tatarkiewicz. Ci, co odeszli, byli elitą teatru. Niektórzy z nich nigdy już do Łodzi nie powrócili. Odeszli wspaniali aktorzy, którzy wiele lat dostarczali artystycznych wzruszeń łódzkiej publiczności.

Dwa lata później na scenie „Bagateli" ukazała się komedia muzyczna Kollo, Pordesa i Hallera *Baron Kimmel*. Komedię reżyserował Roman Urbański, rolę tytułową zagrał Jan Mroziński, który *rozśmieszał do łez, stosując swe niezawodne chwyty i numerki nader obficie*. Ostatnie przedstawienie *Barona* odbyło się 27 sierpnia 1939 roku. Spektaklem tym „Bagatela" zamknęła sezon letni 1939 roku dla mieszkańców Łodzi, którzy nie czytali już afiszy teatralnych, lecz z niepokojem śledzili afisze mobilizacyjne.

Teatr Letni w parku Staszica i teatrzyk „Bagatela" były rozrywką w szarym i monotonnym życiu łodzian. Dla nich wystawiano krotochwile, wodewile i frywolne farsy. Reżyserzy montowali, przerabiali i odmładzali banalne komedyjki, i łączyli je z nowymi melodiami. *Wiadomo o co chodzi w tym lekkim repertuarze. Piosenka, taniec, groteskowe sytuacje, trochę pikanterii i szczypta niedwuznacznego sex appealu. (...) A potem wplata się w takie widowisko melodie starego walczyka z* Ptasznika z Tyrolu *(...) słowem wytwarza się nastrój amoroso, taki letni, lipcowy, kawalerski, beztroski, szampański i frywolny* – pisał Stanisław Bal w „Kurierze".

Chwiejna koniunktura

Przy słabej frekwencji dyrekcje ratowały się obniżaniem poziomu repertuaru, sprowadzając go do banalnych utworów, schlebiających gustom niewybrednej publiczności, ale i to na dłuższą metę zawodziło. „Szeroka publiczność" wolała iść do cyrku „Medrano" podziwiać 15 tresowanych lwów, oglądać małpy w Hellenowie lub podczas *wielkiego, sensacyjnego wieczoru* zachwycać się Adamem Pietrzakiem, znanym mistrzem Polski i Europy, *zginaczem sztab i przerywaczem łańcuchów.*

Niekiedy odzywały się głosy, by urządzić teatr dla szerokich mas, ale Letni z trzystoma miejscami na widowni, małą sceną i dwiema prymitywnie urządzonymi garderobami, niewiele mógł zdziałać. Frekwencja w cyrku była zawsze dwukrotnie wyższa w ciągu jednego miesiąca, niż w Teatrze Letnim w ciągu trzech.

Jeśli kraj dopadł kryzys gospodarczy, sale teatralne świeciły pustkami. Na nic się zdały ciekawe sztuki, dobra obsada i przedsiębiorczość dyrektorów. Gdy kryzys mijał, teatry i tak borykały się z różnymi problemami. O powodzeniu spektaklu decydowały bowiem pogoda, wydarzenia międzynarodowe, kurs giełdy i niestety śmiesznie małe subwencje, które zależały od zmieniających się często prezydentów miasta i ich aktualnego stosunku do teatru.

Aby ratować teatralną kasę, wystawiano bajki dla dzieci w południe, rewie i wodewile – wieczorem. Publiczność, która przychodziła do Teatru Letniego, szukała tu przede wszystkim rozrywki, odpoczynku i schronienia przed zaduchem nieskanalizowanego miasta. Nic dziwnego, że w upalne dni lata było tu gwarno i ludno. Park był bowiem miejscem ciekawych imprez, wystaw i koncertów. Powstał w latach 1899-1901, a zaprojektował go w 1902 roku ogrodnik Leon Grabowski. Od ulicy centralnej ogrodzony był żelazną siatką, od pozostałych ulic drewnianym płotem. W 1918 roku otrzymał imię Stanisława Staszica dla uczczenia pamięci jednego z założycieli nowoczesnej Łodzi. Ustawiono w nim także popiersie patrona.

Łódzkie parki zawsze tłumie odwiedzane służyły za miejsce towarzyskich spotkań i zabaw. W jednym z nich powstał teatrzyk, który 14 lat bez mała starał się urozmaicić życie kulturalne ubogiego polskiego Manchesteru.

Letnia atrakcja Łodzi – Teatr Letni w parku Staszica – w czasie wojny został przeznaczony na magazyn siana i ostatecznie zburzony przez Niemców w 1942 roku. „Bagatela" po wojnie, w okresie kanikuły, była letnią sceną „Syreny". Po wyjeździe tego teatru do Warszawy korzystali z niej: następca „Syreny", teatr literacko-satyryczny „Osa" oraz Państwowy Teatr im. S. Jaracza.

Halina Gawlik
– dziennikarka

Źródła:

1. Archiwum państwowe w Łodzi, Wydział Oświaty i Kultury Zarządu Miejskiego, Teatr Miejski. Różne sprawy 1923-1926, nr 1267.
2. Fallek W., *Cztery sezony Teatru Łódzkiego (dyrekcja Szyfmana i Gorczyńskiego 1925/27 i dyrektora Gorczyńskiego 1927/29)*, „Prace Polonistyczne" 1939, seria III.
3. Filler W., *Melpomena i piwo*, Warszawa 1960.
4. Mowszowicz J. red., Parki Łodzi, Łódź 1962.

5. Prasa łódzka: „Kurier Łódzki" 1924-38; „Republika" 1925, 1928, 1939; „Łódzki Express Ilustrowany" 1954.
6. Relacje: Wandy Jakubińskiej, aktorki Teatru Miejskiego, Konstantego Mackiewicza, artysty malarza i scenografa, Mieczysława Jagoszewskiego, dziennikarza, doradcy literackiego Łódzkich Teatrów Miejskich oraz inż. Zofii Kotnowskiej, współautorki książki *Parki Łodzi*.
7. Wroczyński K., *Pół wieku wspomnień teatralnych*, Warszawa 1957.
8. Żeleński Boy T., *Flirt z Melpomeną, wieczór siódmy. Tajemnice Łodzi*, Warszawa 1964.

Przypisy:

1. Anastazy Franciszek Trapszo (1832-98) aktor i reżyser, artysta sceny krakowskiej, warszawskiej i lwowskiej. Był pedagogiem i wychowawcą wielu wybitnych aktorów oraz teoretykiem sztuki aktorskiej. Założyciel jednej z najbardziej znanych rodzin aktorskich. Jego dzieci: Marceli, Stanisław, Irena i Tekla Trapszo oraz wnuczka Mieczysława Ćwiklińska należały do grona znakomitych aktorów scen polskich. W latach 1866-84 kierował własnym zespołem, z którym występował gościnne w miastach, miasteczkach i warszawskich „ogródkach", proponując świetnych wykonawców i ambitny repertuar. Wydał *Podręcznik sztuki dramatycznej dla artystów i amatorów*.
2. Adolfina Zimajer (1852-1939) aktorka i śpiewaczka, artystka teatru lwowskiego, odtwórczyni około 250 ról operetkowych, komediowych i operowych. Znana na scenach teatrów w kraju i za granicą (między innymi Paryż, Wiedeń, Nowy Jork, Budapeszt, Monachium, Praga, Odessa, Petersburg, Ryga). Zasłynęła między innymi jako Dziewanna w *Dzwonach kornewilskich* R. Planquetta, Klara w *Zemście* A. Fredry, Kamila w *Żołnierzu królowej Madagaskaru* S. Dobrzańskiego. Od 1871 roku występowała z Rufinem Morozowiczem w teatrzykach letnich „Alhambra" i „Tivoli". W 1898 roku założyła w Warszawie własny zespół teatralny.
3. Rufin Morozowicz (1851-1931) król operetkowych komików, aktorski fenomen w ówczesnym zespole operetki. Wprowadził do niej klasę i umiar, a banalnym operetkowym tekstom nadawał odpowiednią rangę artystyczną.
4. Kazimierz Wroczyński (1883-1957), pseudonimy „Chigi" i „Bujwid". Poeta, prozaik, dramaturg i satyryk. Od 1912 roku prowadził kolejno teatry warszawskie: Artystyczny, Mały, Zjednoczony i Polski. Organizował szopki literackie i kabarety. W latach 1917-20 kierownik artystyczny kabaretu "Czarny Kot". W sezonie 1923-25 oraz 1933-39 dyrektor Teatru Miejskiego w Łodzi. Autor książek: *Wspomnienia o Stefanie Jaraczu, Z moją młodością, Pół wieku wspomnień teatralnych*.

Spotkanie po 42 latach

Ostatnia rozmowa z pisarzem Jerzym Jochimkiem (1921–2010)

Moja przyjaźń z Jerzym Jochimkiem datowała się od wczesnych lat 50., kiedyśmy studiowali w Uniwersytecie Łódzkim – on – filologię rosyjską, ja polską. Nie zrodziła się natychmiast, po kawałku poznawałem dzieje mego przyjaciela. Starszy ode mnie ponad 10 lat, zdał maturę w 1938 roku, uczęszczał do Społecznego Gimnazjum i Liceum, istniejącym do dziś przy ulicy Pomorskiej, gdzie wykładowcą języka polskiego był Mieczysław Jastrun. Być może on właśnie rozbudził w Jurku miłość do literatury, lecz Jurek wybrał fizykę, którą studiował w Sorbonie w Paryżu i przyjechał na wakacje do rodzinnej Łodzi w roku 1939. Tu los zgotował mu tragiczną sytuację. Jochimek pochodził ze spolonizowanej rodziny żydowskiej, z przekonań był piłsudczykiem.

Jego starsza siostra mieszkała w Warszawie, była dziennikarką. Miała skłonności literackie, publikowała w pismach prawicowych, między innymi w „Wiadomościach Literackich". Ewa Jochimek była patriotką i to ona, wiedząc, że Jurek chce uciekać do Francji, do wstąpić tam do polskiego wojska, namówiła go jako doświadczonego taternika, by został przewodnikiem dla uciekinierów przez góry, na Węgry. Ewa Jochimek była związana z ZWZ, później walczyła w powstaniu warszawskim wraz z młodszym bratem Julkiem, w którym oboje zginęli.

Jurkowi udało się przeprowadzić na Węgry kilka grup uciekinierów. Gdy przeprowadzał ostatnią i sam szedł na końcu, został zaskoczony serią z erkaemu i został ściągnięty już z terytorium węgierskiego przez żołnierzy sowieckich. Przeszedł ciężkie śledztwo, po czym odbył się proces, w wyniku którego Jurka skazano na pięć lat więzienia. Został wywieziony do łagru na północy i zmuszony do budowy linii kolejowej prowadzącej do Murmańska. Zbiegł z tego łagru i w pobliżu morza spotkał zbiega z barki. Ten poinformował Jochimka o losach oficerów, których wywieziono na Morze Białe i zatopiono. Ów zbieg – Polak – był w złym stanie zdrowia i wkrótce zmarł. Zapisywał on informacje o zbrodni na kawałkach kory brzozowej (co Jurek wykorzystał w jednej z powieści noszącej zresztą tytuł *Pamiętnik z kory brzozowej*). Stał się przypadkowo jednym z nielicznych odkrywców tej zbrodni. Po kilku tygodniach złapano go jednak i za ucieczkę z łagru dołożono mu jeszcze 10 lat obozu. Ucieczki powtarzały się i później. Dodawano mu zatem nowe wyroki. Ostatni raz pojmano Jochimka już w 1944 roku nad granicą perską, bo uciekając po raz kolejny miał jeszcze nadzieję,

że będzie mógł dołączyć do armii Andersa, gdyby udało mu się przekroczyć granicę. Aresztowany w strefie przygranicznej, znów został poddany śledztwu, w czasie którego złamano mu nos i kilka żeber.

Piszę o tym w wielkim skrócie, ponieważ obszerniejsze omówienie czytelnik może znaleźć w posłowiach do wydanych przez „Tygiel Kultury" zbiorach jego powieści *Chrystus i białe niedźwiedzie* i *Kołymskie psy*.

Jego dalsze losy były nie do pozazdroszczenia. Trzymano go w więzieniu. W 1948 roku – niespodziewanie – wywołano z celi, kazano się spakować i podstawiono do granicy polskiej.

Łagrowy koszmar i ciężkie przeżycia zmieniły go do tego stopnia, że kiedy znalazł matkę w ich przedwojennym mieszkaniu, nie rozpoznała syna.

Jurek zaczął pisać swoje powieści łagrowe już w 1955 roku, a więc jeszcze przed Sołżenicynem. Byłem pierwszym czytelnikiem jego prozy, czasami recenzentem. Spędzałem w jego domu wiele nocy.

Bardzo liczyliśmy na zmiany po śmierci Stalina, a zwłaszcza po XX Zjeździe KPZR. W 1956 roku braliśmy udział w wielu wiecach i spotkaniach. Szaleliśmy na wiecach w Szkole Filmowej, w UŁ i innych miejscach, wreszcie w hali „Wimy" przy stadionie RTS Widzew. W mieszkaniu Jurka odbywały się spotkania intelektualistów i dziennikarzy. Przypominam sobie jedno z nich, gdy Jurek przekonywał, że zasadniczą zmianę mogącą przynieść korzyści dla Polski, jest zmiana ustroju. Pewien młody i ideowy komunista, gdyśmy go przekonali do zmiany idei – rozpłakał się, a później doszły nas wieści, że się rozpił i „zszedł na psy". Ale euforia szybko minęła i zaczęto „przykręcać śrubę". Nadzieje Jurka na wydanie jego książek rozwiały się. On jednak niestrudzenie pisał dalej, chyba z nadzieją, że będzie mógł wydać swoje dzieło poza Polską.

Odmówiono mu paszportu, bo ktoś ze znajomych, którego obdarzał zaufaniem, widocznie doniósł do bezpieki. Może o tym świadczyć fakt, że przed moim wyjazdem do Paryża w 1959 roku musiałem odbyć rozmowę z oficerem SB, który ostrzegł mnie przed próbą wywiezienia maszynopisu do Francji. Byłem pewien, że na granicy będą mnie rewidować. Zrezygnowaliśmy więc z tego zamysłu, ale i tak mój bagaż był dokładnie przeglądany. Później Jurek próbował uzyskać prawa do wyjazdu w ambasadzie Izraela. Choć miał żydowskie korzenie, nie zamierzał emigrować do tego kraju, lecz zatrzymać się w Paryżu. Ten pomysł jednak także się nie powiódł.

Kiedy wszystkie legalne wysiłki wyrwania się z PRL zawiodły, Jurek zdobył się na czyn heroiczny. Zaczął budować w swoim mieszkaniu katamaran, mając w zamyśle ucieczkę przez morze. Odwiedziłem go w obozowisku nad jeziorem. Okazało się, że łódź miała przecieki i pomysł ucieczki zawiódł. Ukończył więc kurs żeglarski i po dłuższych perypetiach udało mu się zaokrętować na jacht klubowy i odbyć nim rejs wokół Europy.

Wiedziałem już, że nie wróci już do Polski. Prosił mnie, żeby zaopiekować się jego żoną, Krzysią Kołodziejską. Miałem nadzieję, że uda mi się wywieźć

ją do Jugosławii, skąd łatwo było przekroczyć granicę włoską, i tak połączyć się za granicą z mężem.

Nadzieje okazały się płonne, bo gdy Jurek poprosił o azyl we Francji, w Łodzi wybuchło piekło. Krzysię wzywano codziennie na przesłuchania, straszono ją, że męża zabiją we Francji. Zmuszono do napisania listu do Jurka z wezwaniem do powrotu. Napisała ten list, a jednocześnie jej matce udało się przesłać ze granicę inny list wyjaśniający całą historię.

Otrzymałem wówczas kilka telefonów od nieznanych osobników. Obiecywano mi, że będę żałował kontaktów z Jurkiem, przezywano „szabesgojem". Straszenie skończyło się, gdy powiedziałem nieznanemu rozmówcy, że nagrywa te telefony korespondent „Independence".

Ale żona Jurka Krzysia – kobieta nadwrażliwa – załamywała się. Umówiliśmy się ze znajomym psychiatrą, by ją zabrał do szpitala. Ale pomogło to na krótko, bo gdy tylko opuściła szpital, znów ciągano ją do siedziby SB. Musiała całe dnie czekać na korytarzu, ale wieczorem wypraszano ją, nakazując obecność następnego dnia rano. Takie nękanie trwało wiele dni.

Pewnego dnia dręczona kobieta wyjechała do Warszawy i tam w hotelu zażyła większą ilość tabletek. Już się nie obudziła.

Korespondencja z Jurkiem rwała się, czasami dostawałem od niego same koperty. Nikt nie chciał powiadomić go o śmierci Krzysi. Wziąłem więc ten ciężar na siebie i wysłałem Jochimkowi kartkę pocztową, informując go oględnie o tym co się stało.

Korespondencja między mną a Jurkiem stawała się coraz bardziej szczątkowa. Wcześniej Jurek przysłał mi studentów amerykańskich, którzy zwiedzali Polskę. Sądziłem, że wezmą list ode mnie, ale odmówili. Opowiedziałem im, co się tu działo, lecz nie wiem, czy byli w stanie pojąć moją opowieść, bo trudno było im wytłumaczyć niuanse działań reżimu totalitarnego.

Nękano telefonami także moją żonę Bożenę. Ona była też słaba psychicznie i pewnego dnia skoczyła z trzeciego piętra głową wprost na kamienne podłoże.

Po tym ciosie nasza korespondencja się urwała. Potem zmieniłem miejsce zamieszkania. Milczenie między nami trwało dziesiątki lat. Aż dzięki internetowi odnalazł mnie pasierb Jurka. Dowiedział się w ten sposób, że wydaliśmy w podziemnym wydawnictwie „Przedświt" cztery jego powieści w książce *Za kręgiem*. Odtąd znów nawiązaliśmy kontakt korespondencyjny.

Jurek ożenił się z Amerykanką, która zmarła w 2008 roku. Wówczas postanowił wrócić do Polski. Chciał sprzedać mały dom na Florydzie, w którym mieszkał od wielu lat i kupić mieszkanie w Łodzi, gdzie pojawił się niespodziewanie w grudniu 2009 roku. Odwiedził wówczas redakcję „Kroniki Miasta Łodzi" i spotkał się z czytelnikami w Klubie Nauczyciela. Tryskał energią i mimo swoich 89 lat spra-

wiał wrażenie wciąż silnego mężczyzny. Uskrzydlał go plan powrotu do Polski po 42 latach emigracji. Zapisałem wówczas rozmowę z tym wybitnym pisarzem Gułagowego Losu, moim przyjacielem. Kto mógł przypuszczać, że okaże się ona już po śmierci Jurka.

– Co cię skłoniło do powrotu po 42 latach spędzonych poza Polską?

– Jestem pisarzem i piszę po polsku. Chcę mieć choćby u schyłku życia żywy kontakt z polszczyzną. Ja w dalszym ciągu piszę.

– Czemu chcesz wrócić na stałe do Łodzi?

– Jak wiesz tu się urodziłem, tu uczęszczałem do liceum przy ulicy Pomorskiej. Stąd po maturze ruszyłem do Paryża, gdzie studiowałem fizykę. I w czasie wakacji 1939 roku tu zaskoczył mnie najazd niemiecki na Polskę. Moja matka z małą wnuczką Anią wyjechały z Łodzi. Ojca zagarnęli do getta. Nie mam wieści o nim, nie wiem czy zginął na miejscu, czy też w Oświęcimiu. Moja siostra Ewa i młodszy brat Julek byli w Warszawie. Wiem, że konspirowali i zginęli w czasie walk w powstaniu warszawskim. Jak wiesz miałem doświadczenie taternicze, toteż siostra namówiła mnie, bym się zajął przeprawianiem ludzi przez góry, którzy via Węgry zdążali do polskiej armii we Francji. Sam też chciałem dotrzeć do polskich oddziałów. Niestety zostałem schwytany przez czerwonoarmistów już na terytorium węgierskim. Dalsze moje losy to ciąg łagrów, z których uciekałem...

– A czy nie mogłeś znaleźć kontaktu z tworzoną w ZSRR armią generała Władysława Andersa?

– Władze sowieckie skrzętnie ukrywały przed skazańcami informacje o tworzeniu się wojska polskiego. Dowiedziałem się o tym dopiero w 1944 roku i miałem zamiar przejść granicę z Persją, żeby dostać się do armii polskiej. W pobliżu tej granicy zostałem ostatni raz złapany i osadzony w więzieniu, w którym przebywałem do 1948 roku. Możesz sobie wyobrazić jak wyglądałem po powrocie do Polski, skoro mnie własna matka nie poznała i dopiero po godzinie rozmowy dowiedziała się, że jestem jej synem.

– A czemu nie chciałeś wrócić do przerwanych studiów fizyki?

– Szybko zorientowałem się, że nastąpił w tej dziedzinie tak wielki postęp, że nie było mowy bym nadrobił lukę spowodowaną więzieniem. Tym bardziej, że nie mógłbym przecież wyjechać do Paryża, na Sorbonę. Zacząłem więc pracować

jako lektor języka rosyjskiego dla związków zawodowych. Jednocześnie wziąłem się za przekłady poetyckie, które od czasu do czasu publikowałem w pismach literackich. Przetłumaczyłem też sztukę teatralną. Wreszcie zdecydowałem się podjąć studia rusycystyczne w UŁ. W tych ciężkich czasach stalinizmu było to najłatwiejsze, a poza tym nie budziło podejrzeń, że po moich doświadczeniach łagrowych nie jestem wrogo nastawiony do Rosji.

– Właśnie zastanawiam się czemu nie popadłeś w nacjonalistyczne potępienie Rosjan?

– Nienawiść jest mi obca. Poza tym w łagrach stykałem się z Rosjanami, którzy potępiali istniejący porządek społeczny w ZSRR. Najuczciwsi i najbardziej sympatyczni ludzie w tym kraju, spotykani w łagrach, to ludzie prości. Nie czuli lęku i byli w opozycji do władzy.

– Czy wielu było takich w czasie twego pobytu w Rosji?

– Trudno mi to ocenić, ale wydaje się, że bardzo wielu.

– Jakie są więc rzeczywiste szanse demokratyzacji współczesnej Rosji?

– Aby mówić o demokratyzacji Rosji, trzeba odwołać się do tradycji. Moskwa została najechana przez Mongołów, którzy długo okupowali to księstwo i zasiali tam strach i bezwzględne posłuszeństwo wobec rządzących. Tę tradycję umocnili późniejsi carowie. Godzi się przypomnieć, że car Iwan Groźny, gdy wjeżdżał do Kremla, żądał, aby bojarowie układali się na ziemi w błocie, by on suchą nogą mógł dotrzeć do swojego rumaka. Czy jest to do wyobrażenia, by coś takiego mogło się zdarzyć w jakimkolwiek kraju europejskim? Gdy Stefan Batory przepędził wojska carskie na wschód i zatrzymał się pod Pskowem, zażądał kwater dla swego wojska. Pskowscy mieszczanie dali Polakom te kwatery, bo jakże mogliby odmówić tego zwycięzcom. Wówczas, po odstąpieniu wojsk polskich, car rozkazał powiązać swoich mieszczan po 40 osób i zepchnąć ich do rzeki. To mogło się zdarzyć tylko w kraju, w którym panował bezwzględny terror. Jak wiadomo chrystianizacja Rosji przyszła z Bizancjum, a więc z obszaru, gdzie istniały tradycje cezaropapizmu. Wszelkie późniejsze najazdy rosyjskie na Polskę czy Litwę wiązały się z tym, że carowie bali się „zarazy wolności", mogącej dotrzeć do społeczeństwa rosyjskiego. Trudno było utrzymać system zastraszania Rosjan poddanych tradycyjnemu terrorowi, gdy tylko dochodziło do buntów, wiadomo jak je likwidowano. Podbojów dokonywano pod pretekstem zagrożenia *matuszki Rasieji.*

Potrzeba reform, uosabiana na przykład przez bunt Dekabrystów, została stłumiona nie tylko represjami, ale też mobilizowaniem przeciw nim kręgów kulturotwórczych Rosji. Gdy podbito Polskę i Litwę, powstanie listopadowe potępił między innymi Aleksander Puszkin. Niezależnie myślącego i potępiającego despotię Lermontowa zesłano do granicznego garnizonu. Gdy bolszewicy w 1920 roku najechali Polskę z wyraźnym zamiarem ekspansji i przejścia do podboju krajów zachodnich i ponieśli druzgocącą klęskę pod Warszawą i nad Niemnem – Lenin przyjął niemiecką dziennikarkę i pisarkę Annę Segers, komunistkę. Gdy zapytała o przyczynę klęski, Lenin odpowiedział: *nie przypuszczaliśmy, że ci Polacy to tacy imperialiści.* I ta jedyna prawda obowiązywała aż do upadku ZSRR. Gdy nieco inny obraz wojny przedstawił marszałek Tuchaczewski, dowódca pokonanej armii – zapłacił za to życiem. Monopol na objawioną prawdę miała zawsze władza, obojętnie biała czy czerwona. Przypomnijmy, że wielki buntownik Fiodor Dostojewski, gdy próbował objawiać swoją prawdę – został zesłany na Sybir. Tam „zmiękczono" go tak dalece, że przestał się buntować, co mogą ocenić znawcy jego pisarstwa.

W Rosji obowiązywała przez wieki zasada jedynej prawdy i strach. Jest więc pewien problem, kiedy myśli się o zmianach, o demokracji...

– A jednak są już wyraźne symptomy zmian, że wymienię choćby Sołżenicyna.

– Który jednak w końcu objawił się jako nacjonalista.

– Ależ coś się jednak na wschodzie rusza, powstał między innymi Memoriał, który zrobił wiele w sprawach zbrodni katyńskiej, rosyjscy historycy potępiają pakt Ribbentrop-Mołotow.

– Ale w Rosji nie ma aprobaty dla uznania poczynań rosyjskich jako ludobójstwa. Sądzę jednak, że zmiany w świadomości narodu rosyjskiego to perspektywa na dziesiątki lat. Powiesz mi, że rozpad Imperium Brytyjskiego trwał o wiele krócej, ale w Wielkiej Brytanii były tradycje nie tylko polityczne, ale też uwarunkowania mentalne, zdeterminowane przez demokratyczne tradycje, których nie ma Rosja.

– Zmieńmy temat, powiedz, jak patrzysz na Łódź, odwiedzając swoje rodzinne miasto po 42 latach nieobecności?

– To jest już zupełnie nowa Łódź. Zniknęły kominy z warkoczami dymów zatruwających atmosferę, widzę wreszcie piękno odnowionych secesyjnych elewacji starych kamienic, poszerzono wiele ulic, ruch samochodowy w mieście jest

taki, jak w krajach zachodnich. Cieszy zwłaszcza młodzież wykształcona i mająca poczucie wolności, jakiego nam brakowało w czasach, gdyśmy studiowali.

– To prosty wniosek wynikający ze zmiany warunków ustrojowych.

- Chciałbym jednak podkreślić, że przyciąga ludzi także różnorodność oferty kulturalnej miasta. Nie miałem zbyt wiele czasu by odwiedzić teatry, filharmonię i muzea, ale znając repertuar wielu tych placówek, widzę bogactwo i różnorodność zjawisk kulturowych. Toteż sądzę, że gdy osiądę na stałe w naszym mieście, będę szczęśliwy. Zdumiewa mnie też różnorodność wydawnictw. W PRL kulturę traktowano funkcjonalnie pod kątem potrzeb ideologicznych władzy komunistycznej. Gdy trzeba było, nie żałowano ani pieniędzy, ani środków, ale finansowanie kultury było niesymetryczne, zresztą nie było mecenatu prywatnego. Zważywszy na moje doświadczenie amerykańskie sądzę, że nie ma jeszcze w Polsce warunków prawnych, ulg podatkowych dla mecenatu prywatnego. Gdy mecenat taki łoży na kulturę, powinien być traktowany jak współtwórca dobra narodowego. Ma więc prawo oczekiwać, by mu się to „opłacało" w sensie ulg podatkowych. W sumie zyskuje przecież także państwo i społeczeństwo. Należy wreszcie obalić mit, że kultura wymaga tylko nakładów, a nie przynosi zysków.

I jeszcze jedna uwaga. Aż dziw bierze, że tak wielkie miasto jakim jest Łódź, gdzie dzieje się tak wiele nawet w skali międzynarodowej, nie ma dziś tygodnika kulturalnego jak kiedyś na przykład „Kronika" czy choćby „Odgłosy". Byłby to znakomity bodziec do rozwoju kultury i konsolidacji środowisk artystycznych i intelektualnych miasta. Ale cieszę się, że na rynku czasopism wychodzą dwa świetnie redagowane periodyki. Myślę o „Kronice Miasta Łodzi" i „Tyglu Kultury". Szkoda tylko, że są to niskonakładowe kwartalniki.

rozmawiał Józef Henryk Wiśniewski

czarne dziury, białe plamy

Plany i złudzenia
Franciszek Szwajdler – zapomniany łódzki polityk
Janusz Wróbel
str. 165

Sprawa Heleny Brożyńskiej
Hiena szpitalna
Adam Antczak, Jarosław Warzecha
str. 184

Plany i złudzenia

Franciszek Szwajdler – zapomniany łódzki polityk

Łódź w okresie międzywojennym była ważnym ośrodkiem ruchu narodowego. W przededniu II wojny światowej na terenie województwa łódzkiego Stronnictwo Narodowe (popularnie zwane endecją) miało 15415 członków[1]. Łódzką organizację SN cechował duży dynamizm, głównie za sprawą adwokata Kazimierza Kowalskiego. W 1933 roku, mając zaledwie 31 lat, Kowalski został prezesem Zarządu Okręgowego SN w Łodzi, a od 1935 roku wszedł w skład Komitetu Głównego. Od października 1937 roku do maja 1939 roku pełnił funkcję prezesa Zarządu Głównego SN[2]. Był działaczem o dużym talencie organizacyjnym. Jego zwolennicy w kierownictwie SN uważali, iż ma „zdolności charyzmatyczne" i wywiera „magnetyczny wpływ na słuchaczy"[3].

Stronnictwo Narodowe było w ostatnich latach II Rzeczypospolitej najsilniejszym ugrupowaniem opozycyjnym, dysponującym silną reprezentacją w sejmie i samorządach miejskich. W swojej działalności odwoływało się do haseł patriotycznych, podkreślając niebezpieczeństwo grożące Polsce ze strony nazistowskich Niemiec i komunistycznego Związku Sowieckiego. Ideologicznym fundamentem stronnictwa było chrześcijaństwo, co sprawiało, iż cieszyło się ono szerokim poparciem kleru katolickiego. Bez wątpienia endecja była ruchem nacjonalistycznym, a w latach 30. antysemityzm stał się jednym z głównych komponentów jej programu politycznego i gospodarczego.

Do środowiska „młodych", którzy w końcu lat 30. XX wieku wypierali z kluczowych stanowisk „starych" działaczy narodowych, zmieniając charakter organizacji w kierunku jeszcze bardziej radykalnym, należał Kazimierz Kowalski. Szefa łódzkich narodowców uważano za przedstawiciela ortodoksyjnej grupy w SN, nieprzejednanie opozycyjnej wobec rządu i bezwzględnie wrogiej wobec tak zwanej żydokomunie[4]. Nic dziwnego, że policja polityczna uważnie obserwowała jego poczynania

i nie wahała się wkraczać, gdy uznała to za konieczne. W okresie swej działalności w Łodzi Kazimierz Kowalski był kilkakrotnie aresztowany.

W gronie najbliższych współpracowników Kowalskiego znajdował się Franciszek Szwajdler, podobnie jak on adwokat, prowadzący własną kancelarię w Łodzi. Był starszy od Kowalskiego, gdyż urodził się w 1898 roku. Podczas studiów w Warszawie wraz z grupą akademików pochodzących z Łodzi założył Korporację Akademicką *Republika*. Po powrocie do rodzinnego miasta prowadził praktykę adwokacką, reprezentując między innymi interesy miejscowej Kurii Biskupiej. Dużo czasu poświęcał również działalności politycznej w ramach Obozu Wielkiej Polski, pełniąc funkcję kierownika Wydziału Organizacyjnego. Po rozwiązaniu OWP czynnie działał w łódzkich strukturach Stronnictwa Narodowego.

Paragraf „aryjski"

Franciszek Szwajdler był prezesem założonego w 1936 roku Związku Adwokatów Polskich w Łodzi. Jego statut zawierał tak zwany paragraf aryjski, wykluczający z członkostwa w stowarzyszeniu osoby narodowości żydowskiej[5]. Po objęciu przez Kowalskiego stanowiska prezesa Stronnictwa Narodowego Szwajdler przejął po nim prezesurę Zarządu Okręgu Łódzkiego SN. W 1938 roku został członkiem Komitetu Głównego SN, wchodząc tym samym do kierowniczego gremium wytyczającego generalną linię polityki Stronnictwa[6].

W ocenie Wydziału Społeczno-Politycznego Urzędu Wojewódzkiego Łódzkiego, w łonie łódzkiej organizacji SN zaobserwować można było tarcia w sprawie realizowanej taktyki politycznej. Grupa działaczy wokół Kazimierza Kowalskiego reprezentowała stanowisko demagogiczne i skrajne, głosząc otwarcie hasła gwałtu fizycznego w stosunku do Żydów. Na czele drugiej grupy stał natomiast Franciszek Szwajdler. Nieco mniej radykalny niż Kowalski, starał się realizować politykę antyżydowską środkami politycznymi i administracyjnymi, unikając burd, bójek i awantur[7].

Różnic poglądów w łonie kierownictwa SN w Łodzi nie dostrzegała natomiast policja polityczna. W tajnym raporcie agentury policyjnej zapisano, iż Szwajdler – już wówczas szef stronnictwa w okręgu łódzkim – nawoływał *do intensywnej walki o odżydzanie życia w Polsce*. Atakował on rządzący obóz piłsudczyków, że nie tylko toleruje obecność Żydów w administracji i policji, ale nawet sprzyja ich napływowi z zagranicy. Prezes łódzkiej organizacji SN posunął się nawet do stwierdzenia, iż powstały niedawno prorządowy Obóz Zjednoczenia Narodowego jest w rzeczywistości *szyldem dla ratowania sytuacji Żydów w Polsce* [8].

Szwajdler był zwolennikiem ścisłego współdziałania SN z Kościołem katolickim. W jednym z artykułów pisał, iż *ruch narodowy ma swoje źródło i oparcie w zasadach chrześcijańskich, i z religii w dużym stopniu czerpie swą siłę i natchnienie. To skojarzenie jest tak istotne, że każdy wróg Kościoła jest równocześnie wrogiem*

Obozu Narodowego, a walka z wrogami Obozu Narodowego jest równocześnie walką z wrogami Kościoła. Ścisły związek Szwajdlera z Kościołem dokumentował fakt, iż był on wiceprezesem Diecezjalnego Instytutu Akcji Katolickiej Diecezji Łódzkiej i prezesem Sodalicji Inteligencji Męskiej[9].

Pięć lat w oflagu

Polityczną działalność Franciszka Szwajdlera w Łodzi przerwał wybuch wojny z Niemcami. W sierpniu 1939 roku jako oficer rezerwy zmobilizowany został do wojska i uczestniczył w kampanii wrześniowej. Wzięty do niewoli trafił do obozu jenieckiego, w którym spędził pozostałe lata wojny.

Sytuacja jego partyjnych kolegów mieszkających w Łodzi była trudniejsza. Łódź znalazła się pod okupacją 9 września 1939 roku i od pierwszej chwili Niemcy przystąpili do rozprawy z organizacjami i ludźmi, których uważali za wrogów nazizmu i Rzeszy Niemieckiej. Dotyczyło to również Stronnictwa Narodowego, które zajmowało w okresie przedwojennym stanowisko zdecydowanie antyniemieckie. Naziści dobrze pamiętali przemówienie Kazimierza Kowalskiego wygłoszone na wiecu w Łodzi 2 kwietnia 1939 roku, rozwinięte 30 kwietnia na naradzie działaczy Stronnictwa w Warszawie. Ówczesny prezes SN z naciskiem stwierdził, iż *między Imperium Germanicum, a niepodległością Polski nie może być kompromisu.* Określając polityczne cele w zbliżającym się nieuchronnie konflikcie zbrojnym z Niemcami wskazał, iż Polska powinna sięgnąć nie tylko po etnicznie polskie ziemie na zachodzie, ale i dalej, aż po *Sudety i Dolną Odrę* [10]. W miarę jak wzrastało napięcie w stosunkach polsko-niemieckich, łódzcy endecy coraz ostrzej występowali przeciwko mniejszości niemieckiej ulegającej wpływom nazistowskim. W lipcu 1939 roku Stronnictwo Narodowe zorganizowało manifestację, która dotarła przed redakcję niemieckiej gazety i konsulat III Rzeszy przy ulicy Piotrkowskiej. Miała tak burzliwy przebieg, że policja dwukrotnie interweniowała, rozpraszając demonstrantów[11].

Władze niemieckie natychmiast po zajęciu miasta zaczęły represjonować polskich działaczy politycznych, z których wielu osadzono w więzieniu na Radogoszczu. Rozpętany terror sprawiał, że osoby znane z zaangażowania politycznego, zwłaszcza jeśli miało ono charakter patriotyczny i antyniemiecki, opuszczały miasto, przenosząc się do Warszawy i innych miast Generalnego Gubernatorstwa, gdzie łatwiej było ukryć się przed niemiecką policją.

Położenie ludności polskiej w Łodzi stało się jeszcze trudniejsze z chwilą wcielenia miasta do Rzeszy Niemieckiej, co nastąpiło oficjalnie 9 listopada 1939 roku. W planach Artura Greisera, fanatycznego nazisty sprawującego urząd namiestnika tak zwanego Kraju Warty, Łódź miała ulec szybkiej germanizacji, a Polacy zostać sprowadzeni do rzędu niewolniczej siły roboczej. Wszelkie przejawy polskiego życia społecznego uległy likwidacji. Późną jesienią 1939 roku w podłódzkich lasach odbywały się masowe egzekucje, w których zginęło wiele tysięcy osób, w dużej mierze

przedstawicieli inteligencji, w tym również działaczy społecznych i politycznych związanych z ruchem narodowym.

Pomimo skrajnie niekorzystnych warunków jakie zapanowały w Łodzi jesienią 1939 roku, Stronnictwo Narodowe rozpoczęło działalność konspiracyjną. Kierownictwo tej akcji spoczywało w rękach Kazimierza Kowalskiego i jego brata Bolesława oraz Mariana Kwiatkowskiego, Leona Trelli i Wacława Borusiewicza. Kowalscy zagrożeni aresztowaniem mieszkali co prawda w Warszawie, ale przy pomocy przebywających na miejscu młodszych działaczy zdołali stosunkowo szybko stworzyć gęstą sieć konspiracji[12].

Niestety, w latach 1940-41 w Łodzi i innych miastach regionu gestapo wpadło na trop ich konspiracji i nastąpiły masowe aresztowania, które znacznie ją osłabiły. Odbudowano ją mozolnie dopiero w połowie 1942 roku. Kazimierz Kowalski, aresztowany w grudniu 1941 roku, rozstrzelany został 20 marca 1942 roku w masowej egzekucji publicznej stu Polaków w Zgierzu. Zginęli wtedy również jego brat Bolesław i Leon Trella[13].

Franciszek Szwajdler w tym czasie przebywał w obozie jenieckim, przygotowując się do podjęcia działalności politycznej po zwycięskim dla aliantów zakończeniu wojny. Wolność odzyskał wiosną 1945 roku w wyniku ofensywy wojsk amerykańskich i od razu włączył się wir intensywnej pracy społecznej i politycznej. Wiadomo, iż na terenie Niemiec działał w Związku Prawników Polskich w Niemczech oraz w Związku Polskich Uchodźców Wojennych. Wśród ludności polskiej, którą koniec wojny zastał w Niemczech i Austrii, organizował komórki Stronnictwa Narodowego. Jego aktywność zwróciła uwagę komunistycznego wywiadu. Jeden z raportów przygotowanych dla szefa bezpieki gen. Stanisława Radkiewicza w połowie 1947 roku wspomina o działalności w Niemczech „reakcjonisty" porucznika Szwajdlera. W 1945 roku z fałszywymi dokumentami przybywał w kraju i przeprowadził szereg rozmów z działaczami SN. Szybko doszedł do wniosku, iż w powojennej Polsce nie ma warunków na wznowienie legalnej działalności politycznej i wrócił do Niemiec. Po powrocie na Zachód pracował jako dziennikarz w pismach „Dziennik Żołnierza" i „Defilada", wydawanych przez polską 1 Dywizję Pancerną, wchodząca w skład wojsk okupacyjnych stacjonujących w strefie brytyjskiej[14].

Na emigracji

Współpracował blisko z Tadeuszem Bieleckim, niekwestionowanym liderem emigracyjnego SN. Z jego polecenia wyjechał do Londynu, a w 1948 roku wszedł do prezydium Zjednoczenia Kontynentalnego SN w Paryżu. Z ramienia SN zasiadał również w Radzie Politycznej[15]. W 1949 roku Szwajdler wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie nadal aktywnie pracował w emigracyjnych strukturach SN[16]. Na zjeździe delegatów Stronnictwa z terenu Stanów Zjednoczonych, który obradował w początkach lipca 1953 roku, Szwajdler został wybrany przewodniczącym Wydziału Wykonawczego.

W 1954 roku wszedł w skład 16-osobowej delegacji polskiej do Zgromadzenia Europejskich Narodów Ujarzmionych (Assembly of Captive European Nations) skupiającego antykomunistyczną i niepodległościową emigrację z krajów Europy Środkowo-Wschodniej.

Władze komunistyczne traktowały emigrację polityczną jak groźnego przeciwnika i starały się zniszczyć jej autorytet i zredukować wpływ na polskie społeczeństwo. Nie mogąc bezpośrednio uderzyć w środowiska i organizacje działające na Zachodzie, kierowano na nie skoncentrowany ogień propagandy. Emigrantów oskarżano o wszystkie możliwe grzechy, od działania z niskich pobudek, po zdradę narodową. Działania podejmowały również służby specjalne, które zmierzały do wywiadowczego spenetrowania organizacji emigracyjnych, i lokując w nich swoją agenturę, usiłowały rozbić je od wewnątrz. Apogeum tej akcji przypada na przełom lat 40. i 50., później polityka wobec emigracji i Polonii uległa zmianie, chociaż zasadnicze cele pozostawały wciąż te same.

Tak jak w wielu innych dziedzinach sygnał do zmiany nadszedł z Moskwy, gdzie już w końcu 1953 roku podjęto działania zmierzające do skłonienia do powrotu rosyjskich działaczy emigracyjnych[17]. W Polsce tak zwaną kampanię repatriacyjną zapoczątkował opracowany przez Wydział Zagraniczny KC PZPR raport pod tytułem *O pracy wśród wychodźstwa polskiego za granicą*. Znalazły się tam postulaty zmiany polityki wobec Polaków na obczyźnie, która miała polegać odtąd na propagowaniu haseł ogólnonarodowych, zwłaszcza obrony zachodniej granicy kraju przed niemieckim rewizjonizmem oraz podkreślania kulturalnych i językowych związków Polaków, bez względu na miejsce zamieszkania.

W październiku 1955 roku powstało Towarzystwo Łączności z Wychodźstwem Polskim „Polonia". Wcześniej, w marcu 1955 roku, po rozmowach delegacji kierownictwa PZPR w Moskwie, postanowiono powołać specjalny organ zajmujący się organizacją repatriacji Polaków z Zachodu, a w dwa miesiące później Komitet do Spraw Bezpieczeństwa Publicznego przyjął plan pracy wśród Polonii[18].

Dla zamaskowania wywiadowczego i dywersyjnego charakteru akcji „repatriacyjnej" starano się pozyskać dla niej mieszkające w kraju osoby o głośnych nazwiskach, zwłaszcza posiadające kontakty z emigrantami na Zachodzie. Niewątpliwym sukcesem władz była deklaracja z 26 lipca 1955 roku wzywająca rodaków z zagranicy do powrotu podpisana przez 48 znanych osób. Drugi apel o podobnej treści ogłoszono w styczniu 1956 roku. Wśród sygnatariuszy obu dokumentów znaleźli się wybitni naukowcy, literaci, artyści, dziennikarze, generałowie przedwojennego Wojska Polskiego. 31 lipca 1955 roku zaczęła działalność rozgłośnia „Kraj" nadająca audycję dla Polaków za granicą. Niektóre z nich publikowano na łamach „Biuletynu Rozgłośni "Kraj"", rozsyłanego bezpłatnie na adresy Polaków na Zachodzie[19].

Pierwszym znaczącym sukcesem komunistów w „bitwie o repatriację", która rozgorzała pomiędzy krajem a emigracją, był powrót do Polski 8 wrze-

śnia 1955 roku Hugona Hankego, premiera rządu na uchodźstwie. Do końca roku wróciło kilku znanych działaczy politycznych: Adam Szczypiorski z PPS, Leszek Florczyk z Polskiej Partii Socjal-Demokratycznej i Jerzy Włodarczyk z PSL[20].

W ambasadzie PRL

W końcu października 1955 roku Franciszek Szwajdler, przebywający od kilku lat w Stanach Zjednoczonych, przyszedł do siedziby ambasady PRL w Waszyngtonie i oświadczył, iż on również zamierza wrócić do kraju. Zainteresowało to funkcjonującą w ambasadzie rezydenturę wywiadu, która poprosiła centralę o wskazówki jak ma załatwić wniosek Szwajdlera i czy należy w jakiś sposób wykorzystać go przed wyjazdem do Polski. Odpowiedź przyszła rychło. Departament I (wywiad) Komitetu do Spraw Bezpieczeństwa Publicznego polecił szybkie zorganizowanie repatriacji Szwajdlera *ponieważ jego powrót ma duże znaczenie polityczne*[21].

Według notatki sporządzonej przez rezydenta wywiadu w ambasadzie PRL z rozmowy przeprowadzonej 25 października, Szwajdler, dziękując za ciepłe przyjęcie zastrzegł, iż nie jest komunistą i nigdy nim nie będzie. Jako katolik i od 30 lat członek SN, ma negatywny stosunek do PRL. Pytany co go skłoniło do podjęcia decyzji o powrocie do kraju, odpowiedział, iż jest całkowicie zniechęcony polityką amerykańską. Bardzo tęskni za krajem oraz dwiema córkami. Oznajmił również, że nabrał *trochę zaufania do tego co się dzieje w kraju*. Rozmówca Szwajdlera starał się rozwiać jego obawy, wskazując na pozytywne przemiany zachodzące w kraju. Przechodząc do omówienia szczegółów powrotu Szwajdlera do Polski, rezydent wywiadu zaoferował mu pięćset dolarów na pokrycie kosztów podróży[22].

Z depesz rezydentury wywiadu polskiego w Waszyngtonie wysyłanych do centrali w Warszawie wynika, iż Szwajdler miał wyjechać do kraju 17 listopada 1955 roku, najpierw samolotem do Kopenhagi, a stamtąd maszyną LOT-u do Warszawy. Miał już nawet wykupione bilety lotnicze. Okazało się jednak, iż emigracyjny polityk niespodziewanie zmienił zdanie. Szyfrogramem z 20 listopada poinformowano Warszawę, iż Szwajdler na razie nie zamierza wracać do kraju. Zwrócił też paszport konsularny i pieniądze, które otrzymał poprzednio w ambasadzie na pokrycie kosztów podróży[23].

W centrali Departamentu I zapanowała konsternacja. Pułkownik Józef Czaplicki uważał, iż to obawy przed *pogróżkami i szantażem ze strony reakcyjnej emigracji, jak i czynników oficjalnych USA* skłoniły Szwajdlera do zmiany decyzji[24]. Wycofanie z planów powrotu nie potraktowano jednak jako decyzji nieodwołalnej. Funkcjonariuszy bezpieki doszli do wniosku, że *aczkolwiek Szwajdler się rozmyślił (...) to jednak przyczyny, które zrodziły myśl powrotu nadal istnieją.*

Na przełomie lat 1955/56 funkcjonariusze bezpieki, przedstawiając się za urzędników administracji państwowej, dotarli do mieszkających w Polsce córek Franciszka Szwajdlera, Teresy Szwajdler i Barbary Kubik z d. Szwajdler. Ofero-

wali „bezinteresowne" usługi w nawiązaniu kontaktu z ojcem, sugerując, aby użyły swego wpływu dla skłonienia go do powrotu. Podczas spotkania z małżonkami Kubik, oficer bezpieki zdołał skłonić ich do napisania listu do Franciszka Szwajdlera, który zobowiązał się dostarczyć mu do rąk własnych drogą poufną. List od najbliższych krewnych stał się dla wywiadu PRL w Stanach Zjednoczonych wygodnym pretekstem do ponownego nawiązania kontaktu z politykiem emigracyjnego SN[25].

22 lutego 1956 roku funkcjonariusz rezydentury wywiadu PRL w Stanach Zjednoczonych zjawił się w mieszkaniu Szwajdlera, wręczając listy od córki. Gospodarz wyznał, że nadal poważnie myśli o powrocie do kraju. Tęskni coraz bardziej za krajem i córkami, których nie widział od wielu lat. Od podjęcia decyzji o wyjeździe powstrzymuje go jednak obawa przed potępieniem przez środowiska emigracyjne, które zarzucą mu *plamienie honoru i zdradę ideałów*, o które dotąd walczył. Bał się także represji po powrocie do kraju, powoływał się na przykład działacza SN Adama Doboszyńskiego, który skazany został na karę śmierci i stracony. Wysłannik bezpieki starał się rozwiać jego obawy, przekonując, iż dostanie pełną gwarancję osobistego bezpieczeństwa.

W połowie marca 1956 roku w Departamencie I KdsBP przygotowano plan uzupełniający w sprawie Franciszka Szwajdlera. Jego celem było dalsze podtrzymanie kontaktów z emigracyjnym politykiem *w celu wykorzystania go w sposób subtelny do pracy po naszej linii*. Plan przewidywał udzielenie Szwajdlerowi gwarancji bezpieczeństwa i zapewniania, że będzie miał swobodę decyzji w sprawie podjęcia ewentualnie działalności politycznej, oczywiście z zastrzeżeniem, iż nie będzie to *działalność reakcyjna*. Oferować mu miano również mieszkanie (dwa pokoje z kuchnią), w którym będzie mógł zamieszkać z córką[26].

W zachowanych archiwaliach dotyczących powrotu Franciszka Szwajdlera nie ma zbyt wielu informacji o tym, co działo się w tej sprawie w ciągu następnych dwóch miesięcy. Niedatowany raport rezydenta wywiadu PRL w Stanach Zjednoczonych informuje, iż przeprowadził on siedmiogodzinną rozmowę ze Szwajdlerem. Z szyfrówki wysłanej 11 maja do centrali bezpieki z ambasady w Waszyngtonie wynika, iż Szwajdler zgłosił ostatecznie chęć wyjazdu do Polski i otrzymał zgodę władz. Kolejne depesze z 17 maja zawierają informację, że Szwajdler przyleci samolotem z Nowego Jorku przez Amsterdam na lotnisko Okęcie 30 maja 1956 roku[27].

Zbliżający się przylot Franciszka Szwajdlera spowodował, iż w centrali bezpieki wyciągnięto przygotowany już poprzednio plan postępowania wobec emigranta po jego powrocie do kraju i poddano go aktualizacji. Przewidywał on zamieszczenie w prasie komunikatu i udzielenie przez polityka SN wywiadu krajowej prasie i radiu. Przybysza zamierzano natychmiast po powrocie obstawić agenturą bezpieki. Poza korzyściami czysto propagandowymi, spodziewano się zdobyć wartościowe informacje o emigracyjnych środowiskach narodowców, które mogły posłużyć do akcji dywersyjnej na Zachodzie. Zamierzano użyć Szwajdlera do bezpośredniej akcji

nawoływania emigrantów do powrotu i podrywania autorytetu Tadeusza Bieleckiego, lidera SN na emigracji.

„Miłe rozczarowanie"

31 maja 1956 roku Franciszek Szwajdler przyleciał do Polski. Przebieg powitania na warszawskim lotnisku opisany został przez funkcjonariusza SB kpt. Z. Zaorskiego, który przygotował w końcu lat 60. opracowanie na temat działalności endeckiego polityka na terenie kraju. Garść informacji na ten temat znajdziemy również w przechwyconym przez bezpiekę liście Szwajdlera do Romualda Szumskiego wysłanym w połowie czerwca 1956 roku. Według kpt. Zaorskiego, który prawdopodobnie korzystał ze szczegółowych raportów SB, Szwajdler, wysiadając z samolotu na warszawskim lotnisku, był blady i czuł się wyraźnie skrępowany, najwidoczniej nie będąc pewny tego, co go spotka. *Przez samą formę przywitania* – pisał Zaorski – *spotkało F. Szwajdlera pierwsze miłe rozczarowanie, oczywiście na korzyść naszych władz.* Zadowolony był, iż podczas odprawy celnej nie zabrano mu przywiezionych dolarów. Podczas jazdy samochodem do hotelu przybysz z Ameryki miał okazję obserwować przebieg procesji Bożego Ciała i tłumy ludzi zebrane przed kościołami. Miało to na nim zrobić wielkie wrażenie, odbierał to jako dowód, iż rozpowszechniane na Zachodzie informacje o prześladowaniach Kościoła i religii w Polsce były nieprawdziwe.

Rozmowy ze Szwajdlerem prowadzili przedstawiciele urzędu repatriacyjnego i redaktorzy rozgłośni „Kraj". Próbowali go nakłonić do wystąpień na łamach prasy i w radio, aby uzasadnił swą decyzję o powrocie i dokonał oceny ugrupowań emigracyjnych. Z opracowania kpt. Zaorskiego wynika, że Szwajdler *wykręcał się i odmawiał zaangażowania w oficjalnych wystąpieniach na łamach prasy i radia* [28].

W liście do kolegi w Stanach Zjednoczonych Szwajdler informował, iż po przylocie do Warszawy przemawiał przez radio, ale jak zastrzegł *ograniczył się do rzeczy najogólniejszych bez najmniejszej nuty politycznej.* Nie zgodził się natomiast na konferencję prasową, odraczając ją do czasu, aż lepiej pozna panujące w kraju stosunki. Był zadowolony, iż władze wypełniają swe zobowiązania, ma przyrzeczone mieszkanie, wszczęta została procedura jego powrotu do zawodu adwokata. Otrzymał ponadto zapomogę w wysokości dwóch tysięcy złotych. Co jednak najważniejsze, cieszył się całkowitą swobodą i nie odczuwał *żadnego skrępowania* [29].

Przylot Franciszka Szwajdlera był kolejnym sukcesem władz PRL w kampanii repatriacyjnej. Wprawdzie przybysz nie był politykiem o znanym nazwisku, ale ważną wymowę polityczną miał fakt, iż wracał ze Stanów Zjednoczonych, samego centrum wrogiego komunizmowi Zachodu i reprezentował najbardziej nieprzejednane, antysowieckie i antykomunistyczne środowisko emigracyjne. Dzięki temu można było przyjazd Szwajdlera wykorzystać w propagandzie kierowanej na kraj i zagranicę. Co więcej, jego powrót można byłoby użyć do kolejnych działań mających na celu dezintegrację polskiej emigracji politycznej.

W łódzkim „Głosie Robotniczym" ukazała się po przyjeździe Szwajdlera krótka notatka informująca także o jego funkcjach w przedwojennym SN[30]. Jego nazwisko wymieniono również w większym artykule omawiającym sukcesy akcji repatriacyjnej, starającym się również dowieść bankructwa polityki emigracji polskiej na Zachodzie[31]. W proporcji do podjętych wysiłków i zaangażowanych środków, korzyści propagandowe dla władz PRL nie były więc zbyt duże, co jest niewątpliwie zasługą Szwajdlera, który nie dał się zaprząc w rydwan komunistycznej propagandy.

Rozczarowany do Anglosasów

Franciszek Szwajdler przybył do Polski w momencie szczególnym. W kraju trwała „odwilż" przejawiająca się praktycznie na każdym polu życia społecznego. W PZPR nasilał się ferment i walki frakcyjne, do czego przyczyniły się szeroko upowszechnione w Polsce rewelacje o zbrodniach Stalina ujawnione na XX Zjeździe KPZR przez nowego przywódcę sowieckiego Nikitę Chruszczowa. W kilka tygodni po przyjeździe Szwajdlera do Polski doszło do rewolty robotników w Poznaniu, krwawo stłumionej przez wojsko i milicję. Władze wprawdzie zapobiegły rozprzestrzenieniu się buntu na inne ośrodki przemysłowe, ale miały świadomość, że bez zdecydowanych zmian politycznych i ekonomicznych może dojść do powtórzenia się „wypadków" poznańskich w innych częściach kraju i to na skalę daleko poważniejszą.

Łódź, rodzinne miasto Franciszka Szwajdlera, również przeżywała gorące dni. W zakładach pracy panowała wybuchowa atmosfera, gdyż robotnicy coraz częściej dawali wyraz niezadowoleniu z niskich zarobków i złych warunków pracy. Jeszcze większy ferment panował w środowisku inteligencji. Odważne i krytyczne teksty zamieszczano na łamach lokalnego tygodnika społeczno-kulturalnego „Kronika", większą niezależność przejawiały redakcje gazet codziennych, nawet partyjnego „Głosu Robotniczego". Na uczelniach ferment przejawiał się w powstawaniu grup rewolucyjnych, rodziły się tam najróżniejsze pomysły na uzdrowienie sytuacji w kraju. Wśród *grup zawodowych,* które były najbardziej rozdyskutowane wymienić trzeba również łódzką palestrę, gdzie było wiele osób przed laty czynnych politycznie w ugrupowaniach prawicowych.

Atmosfera, którą zastał w Łodzi i w kraju Franciszek Szwajdler, musiała działać na niego inspirująco. Prawdopodobnie uznał, iż zmiany, których był świadkiem sprawią, iż będzie możliwe podjęcie w jakiejś formie niezależnej działalności społecznej, a może nawet politycznej. Usiłował Szwajdler w przełomowych miesiącach 1956 roku być bardzo aktywny, o czym świadczą materiały bezpieki odnoszące się do okresu czerwiec 1956 – luty 1957 roku i jego oświadczenie złożone po zatrzymaniu przez SB w listopadzie 1959 roku.

W sprawozdaniu Wojewódzkiego Urzędu do Spraw Bezpieczeństwa Publicznego w Łodzi za trzeci kwartał 1956 roku odnotowano, iż powrót Szwajdlera wywołał duże zainteresowanie w środowisku byłych członków SN. On sam na-

wiązał w krótkim czasie liczne kontakty z działaczami katolickimi i księżmi. Pomagać miał mu w tym Witold Kotowski[32], były działacz regionalnych struktur SN, związany wówczas z PAX-em. Szwajdler kontaktował się wówczas z łódzka Kurią Biskupią tak w sprawach prywatnych, jak i zawodowych, a nawet natury politycznej. 16 września biskup Kazimierz Tomczak odprawił nabożeństwo żałobne za dusze żony i syna Franciszka Szwajdlera poległych w powstaniu warszawskim. Szwajdler kontaktował się z ordynariuszem łódzkim bp. Michałem Klepaczem, spotykał się z Bukowskim, byłym sekretarzem Sodalicji Mariańskiej. Dużo podróżował, odwiedzając byłych działaczy SN w Poznaniu, Gnieźnie, Krakowie i Wrocławiu[33].

Wygląda jednak na to, że bezpieka nie o wszystkich kontaktach Szwajdlera wiedziała. Po zatrzymaniu przez SB w listopadzie 1959 roku ujawnił, iż we wrześniu 1956 roku w warszawskim mieszkaniu Jerzego Redke spotkał się z działaczami endeckimi Kazimierzem Kobylańskim, Konstantym Skrzyńskim i Leonem Mireckim. Szwajdler szeroko informował o swojej działalności na Zachodzie i sytuacji panującej wśród emigracji politycznej. Wyjaśnił ponadto motywy, które skłoniły go do podjęcia decyzji o powrocie do kraju. Mówił o rozczarowaniu polityką Anglosasów i zachęcających sygnałach dochodzących z kraju. Jego rozmówcy przyjęli jednak powrót Szwajdlera *sceptycznie i podejrzliwie*. Ze swojej strony poinformować mieli przybysza z Zachodu, że po aresztowaniach w 1947 roku w związku ze sprawą Doboszyńskiego *resztki jakiejkolwiek działalności wygasły i że byłyby bezsensowne i szkodliwe próby podejmowania jakiejkolwiek pracy Narodowej*. Pomimo tego ustalono, że za miesiąc lub dwa dojdzie do kolejnego spotkania w Warszawie i to w szerszym gronie z udziałem mieszkającego we Wrocławiu wybitnego działacza SN Władysława Jaworskiego[34].

Jesienią 1956 roku, kiedy wydarzenia polityczne w całej Polsce, w tym także w Łodzi, bardzo przyspieszyły, bezpieka odnotowała, iż pojawiają się pogłoski, iż Franciszek Szwajdler ma kandydować w zapowiadanych wyborach do Sejmu PRL. Wysiłki w tym kierunku czynił podobno Bronisław Bojanowski, były członek Zarządu Okręgowego SN, który miał do tego pomysłu pozyskać grupę działaczy Stronnictwa Demokratycznego. Nazwisko Szwajdlera pojawia się również w kontekście wysuwanej także w Łodzi koncepcji powołania niezależnej partii katolickiej. Kontakty Szwajdlera nie ograniczały się jednak tylko do Łodzi. Wiadomo, iż spotykał się wówczas z byłymi premierami rządu RP na uchodźstwie Stanisławem Cat-Mackiewiczem i Hugonem Hanke. Co było jednak treścią tych rozmów – nie wiadomo. Możemy się jedynie domyślać, iż dyskutowano także nad możliwościami podjęcia w kraju działalności publicznej[35].

Dopiero jesienią 1959 roku SB dowiedziała się od samego Szwajdlera, iż pod koniec 1956 roku doszło w Warszawie do kolejnego spotkania byłych działaczy Stronnictwa Narodowego. Bardzo optymistycznie oceniono sytuację wewnętrzną kształtującą się pod wpływem *przewrotu październikowego*. Przewidywano,

że nastąpi *zliberalizowanie stosunków wewnętrznych, co umożliwi powstanie różnych organizacji społecznych, jak klubów dyskusyjnych, sodalicji, rad robotniczych, w których dawni narodowcy będą się mogli społecznie wyżyć* [36].

Na terenie Łodzi próby powołania niezależnych od komunistów organizacji o charakterze społeczno-politycznym były jednak od początku obarczone zasadniczą słabością. Ich inicjatorzy nie byli w stanie wypracować jednej spójnej koncepcji, a ponadto byli silnie skłóceni. Pozytywna w środowisku łódzkiej inteligencji działalność mecenasa Konstantego Jocza, który wysunął śmiały pomysł utworzenia *postępowej* partii chadeckiej i organizował akcję na rzecz demokratyzacji ordynacji wyborczej, nie spotkała się z poparciem Szwajdlera, który bezpodstawnie uważał Jocza za karierowicza. Nie spotkała się z jego poparciem również idea powołania Katolickiego Stronnictwa Pracy. Nie odrzucał natomiast Szwajdler możliwości wstąpienia do PAX-u[37]. Stowarzyszenie Bolesława Piaseckiego uznał za realną siłę polityczną.

Adwokatura nie chce antysemity

Ostatecznie na listach wyborczych w Łodzi nie znalazł się żaden z przedwojennych działaczy narodowych, a główną osią sporu w kampanii wyborczej była sprawa niezależnego kandydata prof. Zygmunta Izdebskiego wysuniętego przez młodzież akademicką. Bez wątpienia ważną rolę odegrała tu postawa Kurii Biskupiej, która nie zamierzała przez popieranie niezależnych inicjatyw politycznych, nawet tych ideowo bliskich Kościołowi, wchodzić w otwarty konflikt z władzami. Prawdopodobnie niepowodzenie inicjatyw podjęcia działalności politycznej w oparciu o Kościół lub istniejące już organizacje w rodzaju SD czy PAX, skłoniły Szwajdlera do skupienia się na własnym środowisku politycznym.

Bez wątpienia Szwajdlerowi szkodziła również opinia radykalnego antysemity. Wielu ludzi ze środowisk katolickich i liberalnych pamiętało jego przedwojenne wystąpienia pełne rasistowskiej demagogii. Adwokaci Konstanty Jocz i Jan Bucewicz zwrócili się do Rady Adwokackiej, aby ta podejmując decyzję o ponownym wpisaniu Franciszka Szwajdlera na listę adwokacką, wzięła pod uwagę panującą powszechnie opinię, *że stosunek adw. Fr. Szwajdlera do kolegów pochodzenia żydowskiego odbiegał od norm ogólnoludzkiego sposobu postępowania.* Domagali się również, aby sam Szwajdler publicznie do tych zarzutów się ustosunkował.

List Jocza i Bucewicza miał poważne konsekwencje. Na posiedzeniu Okręgowej Rady Adwokackiej w Łodzi w dniach 23 i 30 sierpnia 1956 roku wniosek Szwajdlera o wpis na listę adwokatów załatwiono odmownie. W uzasadnieniu tej decyzji napisano, iż co prawda *ideologiczna treść przedwojennej działalności petenta nie może go obciążać zarówno ze względu na dobrodziejstwo ostatniej ustawy amnestyjnej, jak i słusznie uznany pogląd, że przedwojenne błędy polityczne muszą pójść w niepamięć, ale biorąc pod uwagę, że zachodzą jednak okoliczności specjalne, obligujące Radę do rozważenia, czy wpis petenta na listę adwokatów w Łodzi nie będzie*

kolidował z zasadami podstawowego ładu w adwokaturze, opartego na powadze godności zawodowej i koleżeństwa uznano za niemożliwe wpisanie petenta na listę adwokatów Izby Łódzkiej (...) przed złożeniem przez petenta oświadczenia satysfakcjonującego adwokatów urażonych jego przedwojennym postępowaniem.

Franciszek Szwajdler w początkach września 1956 roku złożył na ręce ministra sprawiedliwości PRL odwołanie od uchwały Rady Adwokackiej w Łodzi odmawiającej wpisania go na listę adwokacką. W obszernym piśmie zarzucił Radzie, iż jej uchwała jest *pozbawiona wszelkiej podstawy prawnej w obowiązującym prawie o ustroju adwokatury*. Szwajdler wytknął Radzie, iż uchwałę swą podjęła na podstawie anonimowych pogłosek i dowolnych domysłów. Oświadczył kategorycznie, iż przez cały czas praktykowania jako adwokat nie miał ani jednego zatargu osobistego z adwokatami Żydami, nie mają więc – jego zdaniem – żadnego uzasadnienia obawy Rady, iż z jego powodu nastąpi *zamącenie atmosfery koleżeńskiej* w łódzkiej adwokaturze. Według Szwajdlera wspomniał, że stanowisko łódzkiego samorządu adwokackiego w jego sprawie jest nie do pogodzenia z uchwałą Rady Ministrów z 10 września 1955 roku o opiece nad repatriantami i ustawami amnestyjnymi[38].

Nie wiadomo jak dalej potoczył się spór Franciszka Szwajdlera z Radą Adwokacką w Łodzi, faktem jest jednak, że do praktyki adwokackiej wrócił, wygląda więc na to, że minister sprawiedliwości podzielił jego punkt widzenia[39].

Działać jak najszybciej

Kłopoty z powrotem do praktyki adwokackiej nie przeszkodziły Szwajdlerowi w kontynuowaniu kontaktów z dawnymi kolegami z SN. W styczniu 1957 roku doszło w Warszawie do kolejnego spotkania działaczy endeckich. Dokonana wówczas ocena sytuacji po przełomie październikowym była zróżnicowana. Redke twierdził, iż proces liberalizacji będzie postępował i należy podjąć starania o legalizację *działalności endeckiej* albo założyć *klub*, w którym kształtować się będzie *narodowa myśl polityczna w nowej sytuacji*, względnie wykorzystać istniejące już legalne struktury. Myślał między innymi o środowisku skupionym wokół „Tygodnika Powszechnego". Z kolei Kobylański był zdania, ze wydarzenia pójdą tak daleko, że wkrótce Stronnictwo Narodowe będzie mogło legalnie działać, przeciwny był z tego powodu koncepcji Redkego wykorzystywania innych organizacji i stowarzyszeń. Natomiast Szwajdler był zwolennikiem szybkiego działania, dlatego opowiadał się raczej za koncepcją Redkego, wszelako z zastrzeżeniem, że endecy powinni nadać swej działalności samodzielną formę organizacyjną.

O ile o poprzednich spotkaniach działaczy endeckich bezpieka dowiedziała się dopiero w 1959 roku, to na bieżąco była poinformowana o konferencji w Łodzi, która odbyła się 1 i 2 czerwca 1957 roku z inicjatywy i na zaproszenie Franciszka Szwajdlera. Obok gospodarza, który przyjmował gości w swoim mieszkaniu przy ulicy Drukarskiej 10, uczestniczyli w niej: Jerzy Redke i Kazimierz Kobylański z Warszawy oraz Władysław Jaworski i Szymon Poradowski z Wrocławia. Uczestnicy

narady spotkali się nie tylko w swoim gronie, ale odwiedzili również mieszkającego pod Łodzią byłego prezesa Zarządu Głównego SN Aleksandra Zwierzyńskiego[40].

Kontrowersyjna narada

Rozmówcy Franciszka Szwajdlera mieli za sobą podobne doświadczenia: działalność konspiracyjną pod okupacją niemiecką, nieudaną próbę wznowienia legalnej działalności w Polsce Ludowej, okres brutalnego śledztwa i długoletnie więzienie. Natomiast Szwajdler realiów krajowych ani tych okupacyjnych, ani doby stalinowskich znać dobrze nie mógł, sytuację oceniał jedynie przez pryzmat zmian zachodzących w okresie „odwilży" i podczas Polskiego Października. Siłą rzeczy musiało to rzutować na postrzeganie sytuacji w kraju i perspektyw politycznych na najbliższą i dalszą przyszłość.

Czerwcowa narada działaczy Stronnictwa Narodowego w Łodzi, tak jak poprzednie, koncentrowała się wokół aktualnej sytuacji politycznej kraju i w ruchu narodowym. Dla krajowych działaczy SN zmiany zachodzące w Polsce i dyskusje prowadzone przez polityków emigracyjnych, stanowiły zachętę do sformułowania na nowo polityki krajowych środowisk narodowych w duchu szukania porozumienia z Rosją sowiecką, wszelako pod warunkiem unikania podporządkowania się komunistom.

Wiele miejsca zajęła podczas czerwcowego spotkania dyskusja nad sytuacją w kraju i polityką Kościoła wobec władzy komunistycznej. Podkreślano, iż tolerowanie obecnej rzeczywistości nie może oznaczać jej aprobowania. Krytycznie oceniano nakłanianie polskiego społeczeństwa, aby włączyło się w popieranie programu Frontu Narodowego. Z dyskusji przebijała krytyka angażowania się pism i organizacji katolickich oraz hierarchii kościelnej do współpracy z partią. Dopuszczano co najwyżej poparcie posunięć rządu w niektórych sprawach jednakże *bez firmowania jakiegokolwiek programu.*

W dyskusji nie zabrakło jednak starej nuty o *niebezpieczeństwie* żydowskim. Dostrzegano je nie tylko jako rezultat wpływów osób narodowości żydowskiej w aparacie państwowym. Potencjalnie groźne byłoby to w przypadku gdyby doszło do zbyt daleko idącego powiązania polityki gospodarczej PRL z kapitałem amerykańskim. Dostrzegali działacze SN ponadto problem *postępującej masonizacji ruchu komunistycznego.* Jak widać pomimo zagłady ogromnej większości polskich Żydów, antysemityzm nie opuścił sposobu myślenia polskich endeków.

Na koniec zebrani u Szwajdlera działacze endeccy przedyskutowali przebieg i wyniki IX Plenum KC PZPR. W ich ocenie pozycja I sekretarza KC Władysława Gomułki nie była zbyt silna, a *życie partyjne w terenie właściwie w ogóle nie istnieje.* Uznali, iż należy popierać rewizjonizm, który był *wynikiem ustępstw na rzecz narodu* i dążyć do tego *żeby jak najbardziej rozluźnić to co nam narzucił reżim komunistyczny.* Poruszono również sprawę ostatnich wyborów do Sejmu PRL, podkreślając,

że *głosowaliśmy nie za reżimem, a za zmianami i nie za komunizmem, a za zmianami w komunizmie, nie za Partią, a za zmianami w Partii*. Stwierdzono, iż taki właśnie pogląd trzeba najszerzej propagować w społeczeństwie[41].

Spotkanie nie zakończyło się żadnymi konkretnymi ustaleniami w sprawie podjęcia działalności politycznej i nadania im ram organizacyjnych. Zgodzono się tylko co do tego, że w przyszłości odbędą się kolejne narady. Odmienne stanowisko prezentować miał Szwajdler, który nalegał, aby przystąpić do *konkretniejszych form działalności*, gdyż same dyskusje do niczego nie prowadzą. Pozostali uczestnicy byli jednak dużo bardziej ostrożni i wyrażali niezadowolenie, że gospodarz spotkania robił notatki, co uznali za dużą nieostrożność[42].

Latem 1957 roku Szwajdler, zdając sobie sprawę, iż same spotkania i dyskusje w gronie działaczy endeckich do niczego nie prowadzą, a sytuacja w kraju ewoluuje w niepożądanym kierunku, szukał innych kontaktów. Spotkał się między innymi z mieszkającym w Gdańsku jezuitą Przybylskim, z którym prowadził rozmowy o charakterze politycznym. Obiecać miał Szwajdlerowi, że postara się skupić kilkunastu zaufanych działaczy politycznych bliskich ideologicznie. Kontakty Szwajdlera z tego okresu obejmowały również innych działaczy, w tym Stanisława Rymara z Krakowa, Napoleona Siemaszkę z Warszawy, Feliksa Rembielińskiego z Wrocławia, Kazimierza Herbicha z Kalisza. W Łodzi spotykał się regularnie z Witoldem Kotowskim i biskupami Klepaczem i Tomczakiem. W połowie grudnia 1957 roku odwiedził Łódź Szymon Poradowski. Usłyszał wówczas od Szwajdlera propozycję powołania „sztabu", który miałby zająć się sformułowaniem polityki obozu narodowego w realiach „popaździernikowej Polski".

Konspiracja na podsłuchu

W dniach 2-3 lutego 1958 roku Szwajdler przebywał we Wrocławiu, gdzie rozmawiał z Poradowskim i Jaworskim, przedstawiając im szczegółowo swoją koncepcję przystąpienia do działalności politycznej, wprawdzie w ograniczonym zakresie, ale w skali całego kraju. O treści tych rozmów wiemy z zeznań Jaworskiego złożonych w SB w listopadzie 1959 roku. Istotą koncepcji Szwajdlera, według Jaworskiego, było *utworzenie ośrodka centralnego, złożonego z około pięciu osób. Ośrodek ten śledzi rozwój sytuacji, bada ją, ustala pogląd z punktu widzenia ideologii Narodowej i przekazuje to dalej. W poszczególnych większych miastach będzie jeden działacz SN-u, który będzie miał kontakt z kimś z ośrodka centralnego, skąd będzie otrzymywał ocenę sytuacji i wskazówki. Będzie on skupiał wokół siebie kilku miejscowych działaczy SN i przekazywał im to, co otrzyma z ośrodka centralnego. Tamci mają oddziaływać na innych, każdy w swoim otoczeniu. (…) Wszystko ma się odbywać na płaszczyźnie osobistych kontaktów z poszczególnymi działaczami*. Należało unikać większych zebrań, koncepcja Szwajdlera przewidywała jednak, że z biegiem czasu „ośrodek centralny" przystąpi do wydawania własnego biuletynu.

W „ośrodku centralnym" Szwajdler widział obok siebie Jaworskiego i Poradowskiego z Wrocławia oraz Kobylańskiego z Warszawy, podał również nazwiska działaczy w poszczególnych ośrodkach regionalnych, których zamierzał zaangażować w realizację swojej koncepcji. Przewidywał, iż starsi działacze SN, Rymar, Zwierzyński i Kozicki, mogą służyć radą i opiniować wybrane zagadnienia[43].

Spotkania Szwajdlera z byłymi działaczami Stronnictwa Narodowego nie uszły uwadze Służby Bezpieczeństwa, trudno zresztą było oczekiwać, aby było inaczej, wszak wszyscy uczestnicy czerwcowego spotkania w Łodzi byli od lat w polu jej zainteresowania. SB dysponowała od początku szczegółowymi informacjami o spotkaniach Szwajdlera dzięki meldunkom agentury z najbliższego jego otoczenia i podsłuchowi zainstalowanemu w mieszkaniu przy ulicy Drukarskiej. Bezpieka potraktowała czerwcowe spotkanie bardzo poważnie i uznała, że miało ono *charakter programowo-organizacyjny*. Jego przebieg stanowić miał również dowód, że grupa działaczy SN rozpoczęła aktywną działalność o charakterze politycznym[44].

„Kombinacja operacyjna", czyli koniec złudzeń

Długoletnie przygotowania SB do akcji przeciwko środowiskom endeckim wykorzystano jesienią 1959 roku, kiedy to w Ministerstwie Spraw Wewnetrznych zapadła decyzja o przeprowadzeniu jednoczesnej, ogólnopolskiej operacji. Oficjalnym powodem jej uruchomienia były powroty do kraju emigracyjnych działaczy SN, którzy kontaktowali się z kolegami tu zamieszkałymi. Miało to powodować *poruszenie polityczne w krajowych środowiskach endeckich*. Szczególną uwagę zwróciła bezpieka na osobę Jana Optata Sokołowskiego, działacza endeckiego ze Stanów Zjednoczonych, który w 1959 roku przybył do Polski.

Czy był to jedyny powód, należy wątpić. Narady i spotkania w środowisku endeckim nie były żadną nowością, prowadzono je od 1956 roku i przez kilka lat nie doprowadziły do powstania zorganizowanej opozycji politycznej, nie było więc przesłanek, aby uznać, iż tym razem będzie inaczej. Wydaje się, że na podjęcie przez SB akcji represyjnej miało wpływ pogarszanie się sytuacji politycznej w kraju oraz potęgujące się rozczarowanie społeczeństwa spodziewającego się większej liberalizacji i głębszych reform w sferze społeczno-gospodarczej. Władze komunistyczne, mając świadomość tego rodzaju nastrojów, reagowały wzmożoną represyjnością w obawie, że najmniejsze nawet przejawy niezależnej działalności politycznej mogą stać się zaczynem szerszych inicjatyw opozycyjnych. Nie można również wykluczyć, iż w centrali SB uznano w końcu, że długoletnie „rozpracowanie" Szwajdlera, Jaworskiego i innych działaczy SN winno zakończyć się jakąś spektakularną akcją, którą można byłoby przedstawić jako sukces tajnej policji.

Do realizacji planu akcji skierowanej przeciwko byłym działaczom SN przystąpiono 11 listopada 1959 roku. Tego dnia Jan Optat Sokołowski został wezwany do Biura Rejestracji Cudzoziemców i Zarządu Spraw Wewnętrznych Prezydium

Wojewódzkiej Rady Narodowej w Warszawie, gdzie wręczono mu postanowienie o wydaleniu go z granic państwa polskiego. 13 listopada odstawiono go na lotnisko Okęcie i wsadzono do samolotu odlatującego do Kopenhagi.

Również 11 listopada zatrzymano na 48 godzin kilku byłych działaczy endeckich w Warszawie i Łodzi. W stolicy zatrzymano Adama Strzembosza, Tadeusza Rutkowskiego, Leona Mireckiego i Konstantego Skrzyńskiego, w Łodzi Franciszka Szwajdlera, Józefa Walczaka, Witolda Kotowskiego i Tadeusza Błażejewicza. Prawdopodobnie nieco później zatrzymano *dla pogłębienia materiałów* Jerzego Redke, Kazimierza Kobylańskiego, prof. Stanisława Grzymałowskiego i Antoniego Chacińskiego. W mieszkaniach zatrzymanych przeprowadzono rewizję. Wszyscy wymienieni musieli złożyć wyjaśnienia na temat rozmów prowadzonych z Sokołowskim i swojej „nielegalnej" działalności politycznej

Służba Bezpieczeństwa starannie odnotowywała odgłosy swojej akcji, wykorzystując agenturę i podsłuchy. Franciszek Szwajdler po zwolnieniu opowiadał córce i znajomemu o przebiegu przesłuchań w komendzie MO w Łodzi. Duże wrażenie wywarła na nim sprawność tajnej policji, która dysponowała rozległą wiedzą o jego poczynaniach, ale nie wydawał się z tego powodu przerażony. Mówił nawet, iż chciałby, aby mu zrobiono proces sądowy, gdyż dodałoby mu to *blasku niezasłużonego*. Zatrzymanie Szwajdlera odbiło się sporym echem w środowisku łódzkiej palestry. Wicedziekan Rady Adwokackiej i rzecznik dyscyplinarny zwracali się z pytaniami do prokuratury o jego przyczyny. Wskazywano, iż zatrzymania były od czasu Października 1956 pierwszą tego typu akcją represyjną.

Służba Bezpieczeństwa swą antyendecką operację uznała za sukces. W raportach dla zwierzchników podkreślano, iż zastosowano wymyślne *kombinacje operacyjne* i wykorzystano nowoczesne urządzenia *techniki operacyjnej*. Tylko podczas sprawy operacyjnej obserwacji pod kryptonimem „Ferma" wymierzonej przeciwko Szwajdlerowi, zastosowano podsłuchy pokojowe i telefoniczne, perlustrację korespondencji, przeprowadzono tajną rewizję mieszkaniową i wykorzystano 14 tajnych współpracowników[45].

Oceniano, że *ujawniono i zdemaskowano działalność antysocjalistyczną podjętą przez byłych działaczy SN w 1956 roku i kontynuowaną do chwili obecnej*. Zdobyto również materiał dowodowy, który mógł być wykorzystany w przypadku wytoczenia im procesu sądowego. Zrealizowano ponadto cel psychologiczny polegający na wytworzeniu wśród zatrzymanych przekonania, *że wobec zdemaskowania tej działalności przez organa MSW, dalsze jej kontynuowanie jest bezcelowe i grozi konsekwencjami prawnymi*. Posiano również nieufność pomiędzy działaczami endeckimi, wywołując przekonanie, że *ujawnienie całej sprawy nastąpiło na podstawie oświadczenia złożonego przez Jana Sokołowskiego, Franciszka Szwajdlera, Leona Mireckiego i innych*. Spodziewano się, że akcja SB odbije się szerszym echem wśród krajowych środowisk opozycyjnych, co *spowoduje sparaliżowanie innych wrogich zamiarów*

i poczynań. (...) Spowoduje to również ostrzeżenie elementów antysocjalistycznych przed nadużywaniem swobód politycznych, przed liczeniem na bezkarność w związku z prowadzoną wrogą działalnością oraz wykorzystywaniem legalnych i nieoficjalnych form dla prowadzenia wrogiej działalności.

W centrali SB uznano, że sprawę należy ostatecznie zamknąć i nie planowano zastosowania sankcji karnych w stosunku do zatrzymanych ze względu na ich podeszły wiek, stan zdrowia, represjonowanie ich w przeszłości i wcześniejsze dobrowolne wycofanie się niektórych z nich z działalności *antysocjalistycznej* [46]. W stołecznej prokuraturze umorzono dochodzenie przedśledcze, a przedmioty zatrzymane podczas rewizji zwrócono właścicielom[47].

Listopadowe zatrzymania w Warszawie i Łodzi, podobnie jak aresztowania z lat 1945-47 pozbawiły Szwajdlera i jego kolegów ze Stronnictwa Narodowego wszelkich złudzeń, co do możliwości prowadzenia niezależnej działalności w komunistycznym państwie. Dowiodły, że „październikowa odwilż" dawno się skończyła, a aparat bezpieczeństwa całkowicie panuje nad sytuacją, paraliżując w zarodku wszelkie przejawy działalności opozycyjnej. Na wznowienie legalnej działalności politycznej trzeba było jeszcze czekać kilkadziesiąt lat. Franciszek Szwajdler tego jednak nie dożył. Zmarł w 1961 roku.

Janusz Wróbel
– dr historii, pracownik Biura Edukacji Publicznej
Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej w Łodzi

Przypisy:

1. J. J. Terej, *Rzeczywistość i polityka. Ze studiów nad dziejami najnowszymi Narodowej Demokracji*, Warszawa 1971, s. 87.
2. *Ibidem*, s. 88.
3. K. Kamiński, *Łódzka organizacja Stronnictwa Narodowego w „Obozie Narodowym" (1934-1936)*, „Rocznik Łódzki" 1989, t. XXXIX, s. 155.
4. J. J. Terej, op. cit., s. 102.
5. K. Kamiński, *Zasięg wpływów Stronnictwa Narodowego w Łodzi w latach 1936-1939*, „Rocznik Łódzki" 1988, t. XXXVIII, s.168-169.
6. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej. Oddział w Łodzi (dalej: AIPN Łd) pf. 10/676, t. 9, opracowanie pt. *Działacz Stronnictwa Narodowego* kpt. Z. Zaorskiego, s.5-6.
7. Archiwum Państwowe w Łodzi (dalej: APŁ), Urząd Wojewódzki Łódzki (dalej: UWŁ), 2507/n, sprawozdanie nr 1 za styczeń 1937 r.
8. APŁ, Komenda Policji Państwowej m. Łodzi, 45, Wydział Śledczy. Meldunek doraźny nr 259 z 21 XI 1938 r., k. 27.
9. Cyt. za K. Kamiński, *Zasięg wpływów...*, s. 172, 175.
10. J. J. Terej, *op. cit.*, s. 105-106.
11. APŁ Oddział Sieradz, Starostwo Powiatowe Wieluńskie, 873, Sprawozdanie Wydziału Społeczno-Politycznego UWŁ o stanie bezpieczeństwa za lipiec 1939 r., k. 12.
12. J. J. Terej, *op. cit.*, s. 173.

13. K. Lesiakowski, *Lista rozstrzelanych w Zgierzu 20 III 1942 roku w świetle akt gestapo* [w:] *W 60 rocznicę zbrodni zgierskiej 20 III 1942 roku*, Łódź-Zgierz 2002, s.65-67.
14. AIPN 00231/51, t. 2, Notatka informacyjna dla min. S. Radkiewicza, czerwiec 1947 r., k. 96.
15. Rada Polityczna była organem politycznym skupiającym emigracyjne partie sprzeciwiające się polityce prezydenta RP na uchodźstwie Augusta Zaleskiego.
16. AIPN 01178/154, Raport o zezwolenie na przeprowadzenie rozmowy z F. Szwajdlerem zatwierdzony przez dyr. Dep. I Kds.BP płk. J. Czaplickiego, 7 I 1956, k. 10-19; AIPN Łd, pf, opracowanie pt. *Działacz Stronnictwa Narodowego* kpt. Z. Zaorskiego, s. 6.
17. P. Machcewicz, *Emigracja w polityce międzynarodowej, (Druga Wielka Emigracja 1945-1990*, t. II), Warszawa 1999, s. 129.
18. A. Friszke, *Życie polityczne emigracji, (Druga Wielka Emigracja 1945-1990*, t. I), Warszawa 1999, s.232-233.
19. *Ibidem*, s. 233-234.
20. *Ibidem*, s. 239.
21. AIPN 01178/154, Parafraza szyfrówki z Waszyngtonu z 22 X 1955 r., k.2; *ibidem*, Parafraza szyfrówki do Waszyngtonu z 24 X 1955 r., k. 3.
22. AIPN 01178/154, Notatka z rozmowy z F. Szwajdlerem w Ambasadzie PRL w Waszyngtonie, 25 X 1955 r., k. 64-66.
23. AIPN 01178/154, Parafraza szyfrówki z Waszyngtonu z 20 XI 1955 r., k. 9.
24. S. Cenckiewicz, *Czaplicki do Brystygierowej. Dyrektor Departamentu I Komitetu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego o początkach akcji reemigracyjnej*, „Aparat represji w Polsce Ludowej 1944-1989", 1/2/2005, s. 404.
25. AIPN, 01178/154, Notatka służbowa z rozmowy z małżonkami Kubików w styczniu 1956 r., k. 79-82; *ibidem*, Raport z przeprowadzonej rozmowy z małżonkami Kubików 15 I 1956 r., k. 20-23.
26. AIPN, 01178/154, Plan uzupełniający w sprawie F. Szwajdlera, 15 III 1956 r., k.?
27. AIPN, 01178/154, Parafrazy szyfrówek z Waszyngtonu z 11, 17 i 20 V 1956 r.
28. AIPN Łd, Pf, 10/676, t.9, Opracowanie pt. *Działacz Stronnictwa Narodowego* kpt. Z. Zaorskiego,s.7-8.
29. AIPN, 01178/154, List F. Szwajdlera do R. Szumskiego z 15 VI 1956 r., k.19-20.
30. *Do kraju powrócił członek kierownictwa emigracyjnego Stronnictwa Narodowego*, „Głos Robotniczy", 1 VI 1956 r.
31. Napisano w nim, iż wśród repatriantów byli prości ludzie, „dla których stracił wszelki smak gorzki chleb na obczyźnie" oraz „tacy działacze, jak Hanke, dr Szczypiorski czy Szwajdler, którzy ujrzeli cały nonsens pozostawania nadal na obczyźnie", K.G., *Droga do Polski – czy śmierć*, „Głos Robotniczy", 11 VI 1956 r.
32. Witold Kotowski był bliskim współpracownikiem Szwajdlera z okresu przedwojennego. Bronił przed sądami członków SN, wszedł z ramienia stronnictwa do Rady Miejskiej w Łodzi. Po odejściu Szwajdlera do wojska w sierpniu 1939 roku Kotowski pełnił obowiązki szefa endecji w Łodzi. W latach okupacji najpierw ukrywał się przed Niemcami w Warszawie, a pod koniec wojny organizował konspiracyjne SN w Łódzkiem. W 1944 roku został prezesem Okręgu Łódzkiego SN. Po wojnie prowadził działalność konspiracyjną. Aresztowany 28 XII 1946 roku stanął przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Łodzi i został skazany na 10 lat więzienia. Karę zmniejszono mu na podstawie amnestii do 5 lat. Na wolność wyszedł w 1951 roku. Początkowo pracował jako chałupnik, a potem jako redaktor i radca prawny w łódzkiej redakcji „Słowa Powszechnego". W 1957 roku został zrehabilitowany i i wrócił do praktyki adwokackiej. AIPN Łd 030/1, Nielegalna organizacja polityczne Stronnictwo Narodowe 1945-1946, 1956-1959, s. 12-13.
33. AIPN Łd, pf. 10/48, Sprawozdanie z pracy Wydz. III WUdsBP w Łodzi za III kwartał 1956 r., k. 57-58.

34. AIPN BU, 01178/668, Oświadczenie F. Szwajdlera z 13 XI 1959 r., s. 1-2.
35. AIPN BU, 01178/668, Opis materiałów jakie wpłynęły do sprawy F. Szwajdlera od czasu jego powrotu do kraju, 20 II 1957 r., k. 2-9.
36. AIPN BU, 01178/668, Oświadczenie F. Szwajdlera z 13 XI 1959 r., s. 2.
37. J. Wróbel, *Przemiany społeczno-polityczne w Łodzi (październik – grudzień 1956 roku)* [w:] *Łódź w latach 1956-1957*, red. L. Próchniak, J. Wróbel, Łódź 2006, s. 147-151.
38. *Wypowiedź Jana Bucewicza i Konstantego Jocza w sprawie wpisania na listę adwokatów adw. Fr. Szwajdlera; Wyciąg z protokołu Nr 10 z posiedzenia Rady Adwokackiej w Łodzi odbytego w dniach 23 i 30 sierpnia 1956 roku; Odwołanie F. Szwajdlera od uchwały Rady Adwokackiej w Łodzi do Ministra Sprawiedliwości PRL*, 3 IX 1956 roku Wszystkie dokumenty w posiadaniu autora.
39. W kwestionariuszu osobowym Franciszka Szwajdlera sporządzonym przez Wydział „C" Komendy Wojewódzkiej MO w Łodzi zapisano, iż zatrudniony jest „w Zespole Adwokackim w Łodzi". AIPN Łd, 030/1, Nielegalna organizacja polityczna Stronnictwo Narodowe 1945-1956, 1956-1959.
40. Aleksander Zwierzyński (1880-1958), publicysta i polityk. Od 1905 roku członek ligi Narodowej, czołowy przywódca ruchu narodowego w Wilnie. Zasiadał w Sejmie Litwy Środkowej, a potem w Sejmie RP. Z ramienia Związku Ludowo Narodowego był wicemarszałkiem Sejmu. Przez wiele lat pełnił ważne funkcje w organach kierowniczych ZLN, a potem SN. Po wybuchu wojny przebywał w Wilnie, gdzie prowadził działalność konspiracyjną. Po przeniesieniu się do Warszawy w drugiej połowie 1940 roku pracował w tzw. Biurze Wschodnim Delegatury Rządu. W 1943 roku ponownie wszedł do władz naczelnych SN, jako członek Zarządu Głównego, a od końca tegoż roku jako prezes ZG. We wrześniu 1944 roku został zastępcą przewodniczącego Rady Jedności Narodowej. Aresztowany przez NKWD w marcu 1945 roku został z innymi przywódcami Polskiego Państwa Podziemnego wywieziony do Moskwy i postawiony przed sowieckim sądem. Po powrocie do kraju zamieszkał w Tuszynie pod Łodzią u swoich sióstr, Antoniny i Zofii. Mając świadomość, iż jest pod stała obserwacją tajnej policji zaprzestał wszelkiej działalności, nie utrzymywał nawet bliższych kontaktów z miejscową ludnością. Zmieniło się to w okresie „odwilży". W początkach 1956 roku bezpieka miała informacje, iż odwiedzają go byli działacze SN, *z którymi przeprowadza rozmowy na tematy polityczne [i] udziela wskazówek jak należy postępować. Uznano go w związku z tym za człowieka niebezpiecznego politycznie i polecono jego dalsze rozpracowywanie.* J. J. Terej, op. cit., s. 32; AIPN Łd 011/3199, Pismo PUBP w Łodzi do Wydz. III WUBP w Łodzi z IV 1948 roku, k. 63, *ibidem*, Pismo naczelnika Wydz. II Dep. III mjr Jastrzębskiego z 22 II 1956 roku, k. 77.
41. AIPN BU 01178/668, Informacja dotycząca przejawów działalności elementów endeckich i pokrewnych, 30 VII 1957, s.1-6.
42. AIPN BU 01178/668, Raport o zezwolenie na realizację operacyjnych przedsięwzięć zmierzających do niedopuszczenia do dalszej działalności organizującej się grupy b. działaczy SN, 26 II 1958, s. 2.
43. AIPN BU 01178/668, Informacja dotycząca dalszego przebiegu i wyników akcji profilaktycznej wobec b. działaczy Stronnictwa Narodowego, 30 XII 1959 r., s. 6.
44. AIPN BU 01178/668, Informacja dotycząca przejawów działalności elementów endeckich i pokrewnych, 30 VII 1957, s.7.
45. AIPN Łd 030/1, Nielegalna organizacja polityczna Stronnictwo Narodowe 1945-1959, k.32-33.
46. AIPN BU 01178/668, Informacja dotycząca przebiegu i wyników akcji profilaktycznej wobec b. działaczy Stronnictwa Narodowego, 19 XI 1959, s. 1-6.
47. AIPN BU 01178/668, Informacja dotycząca dalszego przebiegu i wyników akcji profilaktycznej wobec b. działaczy Stronnictwa Narodowego, 30 XII 1959 r., s. 11.

Sprawa Heleny Brożyńskiej

Hiena szpitalna

Grudzień roku 1951. Pełnia stalinowskiej zimy. W miesięcznym sprawozdaniu szef Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego na miasto Łódź, pułkownik Teodor Duda, melduje:

Okres sprawozdawczy nie ujawnił na terenie m. Łodzi band kadrowych, za wyjątkiem 3 osobowej nowo powstałej bandy, która dokonała morderstwa na chor. Kacprzaku, natomiast działa na terenie naszego miasta kilka grup włamywaczy, które są aktywnie rozpracowywane przez nasz Urząd wespół z M.O.

W grudniu ujawniono jedną ulotkę o treści antyradzieckiej pisaną odręcznie i jeden napis „Niech żyje Piłsudski, precz ze Stalinem" oraz zdjęto z poczekalni tramwajowej wycinek z gazety, na której było kilka dopisków o treści antypaństwowej.

W dalszej części raportu meldunki o dwóch krótkotrwałych strajkach w łódzkich fabrykach, zniszczenie materiału podczas produkcji, niewielka katastrofa budowlana. *Katastrofę – pęknięcie dwóch belek stropowych spowodował przez brak dozoru Ob. Korytkowski Marian jako były członek A.K. i oficer łącznikowy w Misji W.P. w Paryżu. (...) na którego prowadzimy sprawę pod krypt. „Francuz". W/w wyświetlał na terenie pracy filmy pornograficzne i uprawiał szeptaną propagandę.*

Kończy sprawozdanie opis sytuacji w Szpitalu im. dr Janusza Korczaka (pisownia oryginalna): *W dniu 12. XII. 51 r. Urząd nasz został powiadomiony przez prokuratora Gorcze o wypadku jaki miał miejsce w dniach 17 i 18 XII. 51 r. a mianowicie:*

W szpitalu Nr 2 (im. J. Korczaka) przy ul. Armii Czerwonej 15 nastąpiło 12 nagłych zgonów niemowląt w wieku od 2 tygodni do 5 miesięcy. Zgony nastąpiły na skutek zastosowania dzieciom kroplówek. (...) Stosowano kroplówkę dzieciom chorym na ostrą biegunkę i przez zastosowanie jej dzieci wracały do zdrowia. (...) Należy nadmienić, że stan zdrowia u tych dzieci polepszył się i część z nich miała powrócić do domu. Po zastosowaniu kroplówki w dniu 17. XII. 51 r. stan ich pogorszył się, nastąpiła u dzieci sinica, zapaści, głuche tętno serca i w konsekwencji zgony.

W/g zeznań Ob. Tomczyk Zofii na której oddziale nastąpiło najwięcej zgonów (bo aż 8) wynika, że 6 dzieci mogło żyć tylko przy zastosowaniu kroplówek. Charakterystyczną rzeczą jest, że dzieci które otrzymały kroplówkę bez roztworu oso-

czy żyją i stan ich zdrowia nie pogorszył się, natomiast dzieci, które otrzymały kroplówkę z roztworem osocza zmarły. Osocze pobrał szpital w dniu 17. XII. 51 r. z Instytutu Przetaczania Krwi w Łodzi, która została spreparowana w dniu 10. XII. 51 r. z krwi nadesłanej przez Instytut Przetaczania w Katowicach w końcu listopada ub.r. Na podkreślenie zasługuje fakt, że zgony nastąpiły dnia 18. XII. 51 r. o których to szpital powiadomił Prokuratora (nie nas) dopiero 21. XII. 51 r. i to przeprowadzona sekcja zwłok w dniu 24. XII. 51 r. w obecności Prokuratora Gorczy wykazała, że poprzednio przeprowadzone sekcje przez szpital miały tylko pozorny charakter.

W wyniku dochodzenia i na podstawie agenturalnych danych stwierdziliśmy, że dzieci nie były otoczone należytą opieką. Bielizna była brudna. Niewłaściwa temperatura na sali, braki w magazynach żywnościowych i.t.p.

Należy dodać, że tamtejszy ordynator dr. Sroczyński przechodzi w materiałach naszego Urzędu jako jednostka o zapatrywaniach chadecko – endeckich, jest on pochodzenia mieszczańskiego wywodzi się z rodziny kołtuńskiej.

Szef U.B.P. na m. Łódź
/–/ Duda płk.

W dokumentach Urzędu Bezpieczeństwa w Łodzi nie zachował się żaden ślad dalszego ciągu tej sprawy. W doniesieniach prasowych nie ma sprawozdań z jakiegokolwiek procesu z udziałem dr. Sroczyńskiego czy pielęgniarki Tomczyk. Można przypuszczać, że ani UBP w Łodzi, ani prokurator Gorcze sprawy nie kontynuowali. Prawdopodobnie śledztwo zostało umorzone. Aż do 12 marca 1955 roku szpital im. Korczaka nie pojawia się w aktach milicji i prokuratury.

Polska w początkach roku 1955 to już inny obraz niż ten z grudnia 1951. Wprawdzie w dalszym ciągu więziony był Prymas Polski Kardynał Stefan Wyszyński, odbywały się sfingowane procesy polityczne, wykonywane były wyroki śmierci na więźniach politycznych, ale erozja stalinizmu, choć powolna, wydawała się nieunikniona.

28 września 1954 roku przed mikrofonem Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa wystąpił były podpułkownik Urzędu Bezpieczeństwa Józef Światło. Zainicjował w ten sposób kilkumiesięczny cykl audycji *Za kulisami bezpieki i partii*, w których ujawniał bezprawie władz i zbrodnie Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

7 grudnia rozwiązano MBP, dotychczasowy minister Bezpieczeństwa Stanisław Radkiewicz został przeniesiony na stanowisko ministra Państwowych Gospodarstw Rolnych.

13 grudnia zwolniono z więzienia Władysława Gomułkę, między 21 a 24 stycznia 1955 roku w czasie obrad III Plenum KC PZPR krytyce poddano *brak przestrzegania leninowskich zasad życia i kolegialności kierownictwa*. W normalnym

języku znaczyło to, że wewnątrz tak zwanego aparatu partyjnego dochodzi do polaryzacji stanowisk między grupą twardych stalinowców a tymi, którzy gotowi są popłynąć z nowym prądem. Szykowała się co najmniej zmiana garnituru władzy i odnowa zużytej fasady. Nie miało to wpływu na ciężkie warunki materialne życia przeważającej większości Polaków. Między 31 lipca a 14 sierpnia miał się odbyć w Warszawie V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów z udziałem 30 tysięcy gości zagranicznych. Po raz pierwszy od szczelnego zaciągnięcia żelaznej kurtyny w 1947 roku miała się ona na chwilę uchylić.

Aresztowanie

Tymczasem w Łodzi 12 marca 1955 roku została zatrzymana, a później aresztowana, Helena Brożyńska – pielęgniarka ze szpitala im. Korczaka.

W trakcie śledztwa prokurator Stanisław Rogowski ustalił, że Helena Brożyńska, nim została pielęgniarką, od roku 1945 do 15 marca 1947 roku pracowała w szpitalu przy ulicy Sterlinga 13 w Łodzi jako kucharka. 1 marca 1947 roku ukończyła półroczny kurs dla pielęgniarek i zaczęła pracować jako pomoc pielęgniarska w szpitalu im. Korczaka przy ulicy Armii Czerwonej 15. W sierpniu 1949 roku Brożyńska zdała egzamin państwowy i została pielęgniarką dyplomowaną. Udało się ustalić, że od stycznia 1950 do 1 września 1951 pracowała jako pielęgniarka zabiegowa na oddziale gruźliczych zapaleń opon mózgowo-rdzeniowych. 1 września 1951 roku oddział przeniesiono do Szpitala im. dr. Władysława Biegańskiego przy ulicy Kniaziewicza, a wraz z oddziałem przeniesiono i Helenę Brożyńską. Do szpitala im. Korczaka wróciła 2 stycznia 1952 roku.

W datowanym na 24 listopada 1955 roku *Sprawozdaniu z wyników śledztwa w sprawie II Sm. 185/55 p-ko Helenie Brożyńskiej prokurator Rogowski napisał: Opiekujący się oddziałem lekarze, ordynator dr Zarzycka, lekarze Margolis-Edelman, Kozyrska, Holka zauważyli, iż stan leczonych na oddziale dzieci nie tylko, że nie ulega oczekiwanej poprawie, ale przeciwnie ulega pogorszeniu.*

O spostrzeżeniach swych zawiadomili przełożoną pielęgniarek Markowską i pielęgniarkę oddziałową Płatek, pytając dlaczego u dzieci nie ma oczekiwanej poprawy stanu zdrowia.(...) Płatek zaniepokojona sygnałami lekarzy, mając na uwadze, że już uprzednio stwierdziła nienależyte podawanie lekarstw przez Brożyńską (osad na dnie kieliszków), zaczęła bacznie obserwować pracę Brożyńskiej. Pomiędzy 2 a 12 marca 1955 r. na oddziale leżało jeszcze 3-je dzieci, które otrzymywały penicylinę do opłucnej.

Prokurator jednak nie podał w sprawozdaniu co się stało z pozostałymi dziećmi – wyzdrowiały, ich stan się pogorszył czy zmarły? Na oddział przyjęto bowiem w styczniu 1955 roku 16 dzieci, w lutym – 24 dzieci, w marcu – 32. To nie jedyna niewyjaśniona sprawa śledztwa. Poza tym zapewne ciągle jeszcze żywa była w Łodzi plotka z przełomu lat 1951-52, że *w Korczaku wykańczają dzieci ubeków i robi*

to jakiś lekarz albo pielęgniarka. Plotka, która była echem nagłych zgonów 12 niemowląt w grudniu 1951 roku.

Można domniemywać, że szpital im. Korczaka pozostawał pod szczególną obserwacją UB i milicji. Prawdopodobnie wiedzieli o tym i lekarze, i pielęgniarki. Być może wiedzieli także, kto jest konfidentem UB i zaniepokoili się jego uwagami na temat stanu zdrowia trójki dzieci leżących na oddziale. Nie wiemy, kim byli rodzice owych dzieci, choć zachowały się nazwiska pacjentów: Boratyńska, Ajzen i Lorentowicz.

Czy Brożyńska była ofiarą złożoną dla ratowania reszty? Dlatego, że kogoś trzeba było wskazać, a ona należała do tych nielubianych, wyróżniających się, czego tak zwany „kolektyw" nie lubił? Z zeznań świadków wynika, że pracowała szybciej od innych, co denerwowało pozostałe koleżanki pielęgniarki. Była ambitna. Z kucharki awansowała na pielęgniarkę dyplomowaną w wieku 35-36 lat. To też mogło budzić zawiść lub co najmniej niechęć. Należała do tych zaradnych życiowo. Jedna z jej koleżanek, świadek Natalia Sobolewska zeznaje, że Brożyńska jechała na wakacje wynajętym wozem konnym lub autem z całą sześcioosobową rodziną, choć jako pielęgniarki nie powinno było jej na to stać. Pracowała tylko ona i mąż księgowy. I w tym zeznaniu pobrzmiewa nuta zazdrości i niechęci do Brożyńskiej.

Świadkowie przypominają

Prowadząc śledztwo, prokurator sięgnął aż do roku 1945, mimo że opisane w sprawozdaniu wcześniejsze zdarzenia nie doprowadziły wtedy do aresztowania Brożyńskiej ani do zainteresowania się jej osobą przez UB czy milicję. Z perspektywy wyroku, który zapadł, wydają się błahe i bez znaczenia, ale złożyły się na niekorzystny obraz aresztowanej, później oskarżonej. Czytając dzisiaj akta prokuratorskie trzeba pamiętać, że był rok 1955 i niezależnie od próby sił na najwyższych szczeblach władzy, stary aparat trzymał się jeszcze mocno, słowo „prokurator" budziło strach, nawet grozę. Wezwanie na przesłuchanie w prokuraturze mogło zakończyć się zniknięciem na długie lata, bywało, że i na zawsze. Prokurator mógł przesłuchiwanemu z łatwością narzucić ton i kierunek zeznań. Tak mogło być również w sprawie Brożyńskiej.

Oto zeznająca w 1955 roku kierowniczka kuchni w szpitalu przy ulicy Sterlinga, Józefa Fluderska, przypomina sobie po dziesięciu latach, że pomoc kuchenna Elżbieta Bumbul meldowała jej, że Brożyńska *krając porcje kiełbasy odrzucała do stojącego przy stole kosza kawałki kiełbasy wagi około 15 dkg. Odrzucone przez Brożyńską kawałki wędlin nie poszły już na salę dla chorych.*

Inny świadek, portier Wiktor Hubert, zeznał, że 10 lat wcześniej zaczął bywać u Brożyńskiej w domu (nie podał w jakim charakterze). Wyświadczał jej też przysługi, dostarczając do domu Brożyńskiej w godzinach pracy paczki. Były to półlitrowe butelki z mlekiem i paczki z żywnością. Od pół do kilograma.

Czy Brożyńska kradła ze szpitala żywność? Zapewne tak. Były to czasy niedostatku, szpitalna kuchnia stwarzała do tego doskonałą okazję. Czy inne kucharki nie kradły? Trudno w to uwierzyć. Tym bardziej, że jak wynika z zeznań, wszyscy o tym wiedzieli, ale jakoś nikt nie zameldował o kradzieżach choćby dyrekcji szpitala.

Czy kradła leki? Przesłuchani przez prokuratora świadkowie przeszłość Brożyńskiej przedstawiali i w tej sprawie w czarnych barwach, choć i tu można mieć wątpliwości, czy nie robili tego na wyraźne zamówienie prokuratury.

Bezpośrednim powodem aresztowania Heleny Brożyńskiej nie były jednak wszystkie opisane w sprawozdaniu z wyników śledztwa wcześniejsze przypadki, ale ciąg zdarzeń, który rozpoczął się 2 marca 1955 roku.

2 marca pielęgniarka oddziałowa Płatek, podczas rannej zmiany, wydała Brożyńskiej penicylinę. Ta miała ją podczas dyżuru wstrzyknąć dzieciom. W apteczce zostały dwa flakony penicyliny procainowej po sześćset tysięcy jednostek, które były przeznaczone do zabiegów na zmianie popołudniowej. Płatek pokazała flakony Brożyńskiej, objaśniła ich przeznaczenie i poleciła nie ruszać. Kilka godzin później Płatek zauważyła, że w apteczce nie ma penicyliny, a w książce zabiegów jest notatka Brożyńskiej o wykonaniu zastrzyków chorym dzieciom z zawartości tych właśnie flakonów. Oddziałowa przeszukała kosz, do którego pielęgniarki składały puste flakony po antybiotykach. Znalazła tylko jeden flakon po penicylinie procainowej o pojemności sześciuset tysięcy jednostek. Przeszukała kieszenie fartucha Brożyńskiej i znalazła cztery fiolki po penicylinie po dwieście tysięcy jednostek. Wszystkie miały zabrudzone naklejki. Płatek wyciągnęła wniosek, że Brożyńska wstrzyknęła dzieciom tylko sześćset tysięcy jednostek, a drugi flakon przywłaszczyła sobie.

3 marca Płatek wydała Brożyńskiej jeden flakon penicyliny dwieście tysięcy jednostek z poleceniem przygotowania jej do wstrzyknięcia przez lekarza jednemu z dzieci. Po zabiegu Brożyńska zdała flakon po penicylinie dwieście tysięcy jednostek. Płatek zauważyła, że nie jest to ten sam, który rano dała Brożyńskiej. Zdany flakon miał nalepkę starą, zniszczoną, a pielęgniarka dostała ze świeżą, czystą nalepką. Ten, który oddała Brożyńska, przypominał widziane przez Płatek poprzedniego dnia. Ponownie sprawdziła kieszenie fartucha pielęgniarki i znalazła tam tylko trzy, zamiast czterech flakonów po penicylinie. Wszystkie miały nieświeże naklejki, podobne do zdanego. Płatek znowu doszła do wniosku, że Brożyńska podała lekarzowi do wstrzyknięcia coś innego, a całe opakowanie z penicyliną przywłaszczyła.

4 marca Płatek po raz kolejny wydała Brożyńskiej dwieście jednostek penicyliny, które ta miała przygotować do wstrzyknięcia jednemu z dzieci. Brożyńska znowu zdała fiolkę po antybiotyku podobną do tych w kieszeni fartucha – z zabrudzoną nalepką. Płatek i tym razem sprawdziła kieszenie fartucha pielęgniarki i znalazła tam już tylko dwa flakony. Musiała zatem – zdaniem Płatek – podać lekarzowi do wstrzyknięcia coś innego, a penicylinę przywłaszczyła sobie i tym razem.

Pomiędzy 7 a 9 marca pielęgniarka oddziałowa zauważyła też, że ktoś grzebał w koszu, w którym gromadzone były opróżnione fiolki po antybiotykach. Sprawdziła kieszenie fartucha Brożyńskiej i obok dwóch flakonów z zabrudzonymi naklejkami znalazła tam nowe fiolki z czystymi naklejkami, nie do odróżnienia od wydawanych na zabiegi. Najwyraźniej Brożyńska zabrała je z kosza. Płatek zawiadomiła o tym przełożoną pielęgniarek Markowską i ordynatora dr Zarzycką. Po naradzie postanowiono wydawane Brożyńskiej flakony z penicyliną oznaczyć. Markowska na nalepkach dwóch fiolek penicyliny czerwonym ołówkiem wpisała mało widoczny znaczek w kształcie litery „L". 12 marca oba flakony wydała Brożyńskiej.

Zabieg wstrzyknięcia penicyliny jednemu z dzieci miała tego dnia wykonać dr Margolis-Edelman. Brożyńska przygotowała dla niej roztwór w jednym flakonie. Lekarka zauważyła w nim pyłki, ale doszła do wniosku, że nie są szkodliwe i sto tysięcy jednostek wstrzyknęła jednemu z dzieci. Sto tysięcy jednostek pozostawiła we flakonie w postaci zawiesiny i całe opakowanie przekazała pielęgniarce oddziałowej Płatek. Płatek zauważyła od razu, że na nalepce nie ma oznaczenia wpisanego przez Markowską, a na gumowym korku fiolki są aż cztery ślady po wkłuciach igły.

Drugi z flakonów penicyliny Brożyńska mała innemu dziecku wstrzyknąć osobiście. Przygotowała roztwór, flakon z wbitą igłą pozostawiła na stoliku w pokoju pielęgniarek i wyszła. Płatek zdążyła fiolkę obejrzeć. Zauważyła, że i ten flakon nie ma na nalepce oznaczenia. Nie była to zatem penicylina wydana na zabiegi.

Teraz Markowska, Płatek i przewodnicząca Rady Zakładowej szpitala Witaszek, przejrzały zawartość torby Brożyńskiej i odkryły tam dwa oznakowane flakony penicyliny. W obu opakowaniach antybiotyk nie był rozpuszczony. Markowska jako przełożona zarządziła raport pielęgniarek. Podczas raportu zażądała od Brożyńskiej zdania fiolek po otrzymanej tego dnia penicylinie. Brożyńska jeden flakon wyjęła z kieszeni fartucha, drugi, otrzymany od dr Margolis-Edelman, przyniosła Płatek. Obie fiolki nie miały wpisanego czerwonym ołówkiem znaku „L". Markowska zarządziła sprawdzenie kieszeni wszystkich pielęgniarek. Wtedy Brożyńska nie wytrzymała nerwowo i uciekła do ubikacji.

Tu w sprawozdaniu prokuratora Stanisława Rogowskiego z wyników śledztwa, pojawia się dziwna niekonsekwencja, której nie wyjaśnia. Kilka zdań wcześniej Rogowski napisał, że oznakowane fiolki z penicyliną Markowska, Płatek i Witaszek znalazły, przeszukując torbę Brożyńskiej stojącą w pokoju pielęgniarek. Opisując ucieczkę Brożyńskiej do ubikacji prokurator podaje, że była tam także pielęgniarka Rozalia Krowiranda, którą Brożyńska poprosiła, by schowała to, co znajdzie w koszu. Krowiranda w koszu znalazła dwa flakony penicyliny po dwieście tysięcy jednostek każdy. Przekazała je Markowskiej, a ta stwierdziła, że są to oznakowane fiolki, które Płatek wydała Brożyńskiej. Jak mogły znaleźć się w kieszeni Brożyńskiej, a później w koszu w ubikacji, gdy chwilę wcześniej zostały znalezione w torbie Brożyńskiej?

Markowska oznakowała dwa, a nie cztery flakony penicyliny. Być może cała sprawa była bardziej rozciągnięta w czasie niż to wynika z opisu w sprawozdaniu. Może między znalezieniem penicyliny w torbie, a wyniesieniem jej przez Brożyńską do ubikacji, upłynęło kilka godzin, w czasie których przełożyła flakony z torby do kieszeni fartucha? Tego prokurator nie wyjaśnia.

Torba oskarżenia

Po dostarczeniu przez Krowirandę fiolek z penicyliną Markowska zarządza szczegółowe przeszukanie torby Brożyńskiej. Tym razem w obecności samej zainteresowanej. Tak przynajmniej wynika ze sprawozdania prokuratora. W torbie znaleziono jaja, około 20 deko cukru, około 20 deko herbaty i płat ligniny o rozmiarach 10 na 10 centymetrów. W ligninę zawiniętych było 10 pastylek auromycyny podzielonych na części. Takie części Brożyńska miała podawać chorym dzieciom. Płatek wyciągnęła aureomycynę, ale Brożyńska wyrwała jej płat ligniny z lekarstwem, zgniotła i włożyła do swojej torby. Cukier i herbatę wsypała do naczyń, w których były przechowywane na oddziale, jaja dołożyła do innych jaj. Na pytanie przewodniczącej Rady Zakładowej Witaszek skąd wzięła cukier, herbatę i jaja Brożyńska przyznaje, że skradła z oddziału szpitala.

Zebrane w pokoju pielęgniarek gremium – ordynator dr Zarzycka, przełożona pielęgniarek Markowska i pielęgniarka oddziałowa Płatek postanawiają wydać Brożyńską w ręce milicji. Intendent szpitala Julian Kaźmierczak i przewodnicząca Rady Zakładowej Maria Witaszek prowadzą Brożyńską do komendy milicji Łódź-Śródmieście. Przed szpitalem wsiadają do tramwaju. Muszą dojechać do Piotrkowskiej. W trakcie jazdy Brożyńska proponuje Kaźmierczakowi, by zamiast na milicję udać się do jej mieszkania i przeprowadzić rewizję. Ten się jednak nie godzi. Wysiadają na przystanku przy Piotrkowskiej i idą do komendy. Tam przekazują zatrzymaną.

Witaszek wraca do szpitala, a Kaźmierczak z milicjantami i zatrzymaną jadą do jej mieszkania na przeszukanie. Kaźmierczak ma być świadkiem rewizji i rozpoznawać rzeczy należące do szpitala.

W mieszkaniu jest matka Brożyńskiej Maria Wolniakowska i jej siostra Barbara Wolniakowska. Milicjanci wzywają do dobrowolnego wydania leków ze szpitala. Brożyńska twierdzi, że żadnych leków nie ma. Milicjanci rozpoczynają rewizję. W koszu z bielizną znajdują flakony z penicyliną, w szafie pudełko zastrzyków i igły do iniekcji, w teczce pod łóżeczkiem dziecięcym penicylinę i streptomycynę, w szafce od licznika zastrzyki, w worku zastrzyki. Ponadto różne leki znaleziono na półkach mebli, w szufladach i w apteczce. W sumie milicjanci znaleźli: 19 fiolek penicyliny, 44 fiolki streptomycyny, 75 różnych igieł do zastrzyków, 178 ampułek do zastrzyków, różne witaminy w tabletkach i kapsułkach. Leki były produkcji krajowej i zagranicznej.

Aresztowana Helena Brożyńska zostaje osadzona w areszcie II Komisariatu MO.

W toku dalszego śledztwa ustalono, że penicylina, streptomycyna i inne zastrzyki pochodziły z tej samej serii, którą posiadał szpital im. Korczaka. Między lekarstwami znaleziono fiolkę penicyliny oznaczoną wcześniej nazwą szpitala przez pielęgniarkę Rachelską. Znaleziono także komplety zastrzyków „Becozim", które rodzina pacjentki Aleksandry Litwin sama dostarczyła do szpitala dla swojej córki. Brożyńska miała je wstrzyknąć chorej. Także szereg innych znalezionych specyfików mogło pochodzić wyłącznie ze szpitala im. Korczaka. Żaden inny łódzki szpital takich leków nie posiadał.

Prokurator dysponował ponadto listą kilkunastu nazwisk osób, które od marca 1954 do stycznia 1955 roku kupowały leki od Heleny Brożyńskiej. Wśród nich znajdowała się także jedna z lekarek ordynujących w szpitalu im. Korczaka.

Już po aresztowaniu pielęgniarki została powołana komisja biegłych lekarzy do zbadania przypadków śmiertelnych na oddziale gdzie pracowała Brożyńska. Komisja orzekła, że przebieg choroby Magdaleny Figacz, Józefa Wójcika i Grażyny Miśkiewicz wskazuje na to, że dzieci zmarły na skutek niepodawania im zaordynowanych leków. W przypadku podawania leków powinny bowiem być wyleczone. Teza komisji idealnie zgadzała się z tezą prokuratora, co zresztą ten ostatni wykorzystał podczas procesu.

Proces w domu kultury

19 marca 1956 roku rozpoczął się proces Heleny Brożyńskiej.

Od aresztowania Brożyńskiej upłynął rok bogaty w wydarzenia. Szczególnie pierwsze miesiące 1956 roku niosły zapowiedź daleko idących zmian. Między 14 a 25 lutego odbył się w Moskwie XX Zjazd Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, na którym Nikita Chruszczow wygłosił tajny referat *O kulcie jednostki i jego następstwach.* Tajny referat szybko dotarł do Polski i stał się powszechnie znany, szeroko czytany i komentowany. 11 marca w tygodniku „Po prostu" ukazał się artykuł *Na spotkanie ludziom z AK*, podnoszący problem rehabilitacji akowców. 12 marca w Moskwie zmarł Bolesław Bierut, główny architekt stalinizmu w Polsce. Ta śmierć nasiliła walki frakcyjne wewnątrz najwyższych władz partii komunistycznej w Polsce. Niedawni zwolennicy twardej ręki Stalina podzielili się na „puławian" i „natolińczyków". Ci pierwsi gotowi byli szybko włączyć się w nowy nurt pozornej demokratyzacji i liberalizacji. Drudzy wskazywali jako przyczynę tylko złą działalność towarzyszy pochodzenia żydowskiego, żądali ich rozliczenia i odwoływali się do „zdrowego jądra partii". Pośrodku tych frakcji tkwił premier Józef Cyrankiewicz, towarzyszył mu Edward Ochab. Ten ostatni został zresztą wkrótce wybrany I sekretarzem, jako kandydat kompromisowy.

W całym kraju atmosfera była napięta. W Łodzi większość mieszkańców żyła w szczególnie trudnych warunkach. Co najmniej jedna trzecia robotników przemysłu bawełnianego zarabiała poniżej ośmiuset złotych miesięcznie. Ci ludzie żyli

w nędzy, poniżej minimum socjalnego. Robotnicy nie występowali jawnie, ale nastroje buntu i niechęci wobec władz były odnotowywane przez bezpiekę w raportach do Komitetu Wojewódzkiego i Komitetu Łódzkiego partii. W lutym 1956 roku w Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Juliana Marchlewskiego na plakatach propagandowych ktoś dopisał „wrogie hasła". 5 marca został skazany na karę 10 miesięcy więzienia bezpartyjny tokarz z zakładów „Wi-Fa-Ma" Stanisław Makowski – *za wrogie napisy szkalujące dostojników radzieckich.*

W tej sytuacji ówczesne władze partyjne postanowiły proces Brożyńskiej potraktować jako pokazowy. Miał on prawdopodobnie w zamyśle władz politycznych i aparatu bezpieczeństwa pokazać troskę ludowego państwa o dzieci, o „klasę robotniczą" i choćby na chwilę odwrócić uwagę od nędzy, jakiej ta klasa doznaje na co dzień. Dlatego Sąd Wojewódzki zebrał się w sali Domu Kultury Zakładów im. Józefa Stalina przy ulicy Przędzalnianej 68. Tam proces mogło obserwować jednocześnie tysiąc osób.

O godzinie 9 sala była wypełniona po brzegi. Na ławie oskarżonych zasiadła 42-letnia Helena Brożyńska, jej siostra Barbara Wolniakowska i ich matka Maria Wolniakowska. Siostra Barbara oskarżona była o próbę doręczenia Brożyńskiej grypsu do więzienia. Helena Wolniakowska o usiłowanie przekupstwa świadków w czasie trwania śledztwa. Bronił mecenas Władysław Stachurski. Oskarżał prokurator Stanisław Rogowski. Sąd powołał także biegłych w osobach: prof. Anna Margolis, prof. Puchowski, prof. Rembieliński

Akt oskarżenia Heleny Brożyńskiej składał się z dwóch zasadniczych punktów. W punkcie 1 prokurator zarzucał oskarżonej, że:

Od maja 1945 roku do 1947 roku jako kucharka szpitala im. Rydygiera kradła na szkodę szpitala żywność przeznaczoną dla chorych.

W punkcie 2 zarzuty brzmiały:

Od stycznia 1950 roku do marca 1955 roku w Łodzi jako pielęgniarka zabiegowa w szpitalu im. dr Korczaka, następnie w szpitalu Biegańskiego i na powrót w szpitalu im. Korczaka, działając w zamiarze pozbawienia życia co najmniej kilkorga dzieci, przebywających w tych szpitalach na leczeniu

- ***a) nie wstrzykiwała chorym dzieciom około 50 proc. zastrzyków ze streptomycyny oraz penicyliny,***
- ***b) preparatów krążeniowych,***
- ***c) nie podawała dzieciom aureomycyny i zmniejszała przeznaczone dla dzieci dawki aureomycyny z 35 mg do 10 mg,***
- ***d) zlecała pielęgniarkom zmian popołudniowych wstrzykiwanie dzieciom mniejszych od zaordynowanych dawek i w równych zamiast różnych ilościach,***
- ***e) wstrzykiwała dzieciom zamiast penicyliny sól fizjologiczną,***

z tym, że przewidywała, iż wskutek tego działania nastąpi śmierć niektórych dzieci i godziła się na to, w wyniku czego co najmniej kilkoro dzieci zmarło.

Do aktu oskarżenia dołączona została opinia profesora Puchowskiego z Zakładu Medycyny Sądowej. Profesor Puchowski stwierdził w niej, że: *Helena Brożyńska nie podając lub podając nieregularnie leki dzieciom, narażała ich życie na bezpośrednie niebezpieczeństwo. Istnieje największe prawdopodobieństwo graniczące z pewnością, że ze 166 dzieci zmarłych w czasie pracy Brożyńskiej, co najmniej kilkoro zmarło na skutek tego, że Brożyńska albo nie podała im leku, albo podała w zbyt małej ilości.*

Kara śmierci na pokaz

Brożyńska zaprzeczyła wszystkim zarzutom, a zeznając na temat swojej pracy w szpitalu oświadczyła, że kwalifikacje pielęgniarskie zdobyła już w 1937 roku, tyle, że odpowiednie dokumenty zaginęły podczas wojny.

Podczas kolejnych rozpraw przed sądem przewinęło się szereg świadków – przede wszystkim pielęgniarki i lekarki ze szpitala im. Korczaka. Wszystkie potwierdziły zeznania złożone w śledztwie, szczególnie mocno podkreślając fakt, że Brożyńska wielokrotnie nie wykonywała pacjentom zaordynowanych zastrzyków. Zofia Tarnowska, dziennikarka „Łódzkiego Expressu Ilustrowanego" w sprawozdaniu z procesu przytoczyła między innymi zeznania dr Margolis-Edelman, z których *wynika, że Brożyńska otrzymując penicylinę do rozcieńczenia dla lekarzy robiących wstrzykiwania do opłucnej zabierała flakon sobie, a solą fizjologiczną napełniała pusty flakon. (...) Dziecko, któremu dr Edelman-Margolis robiła zastrzyk do opłucnej, otrzymało zamiast penicyliny sól fizjologiczną.*

Szóstego dnia procesu, 24 marca 1956 roku, w sobotę, z trzygodzinną mową oskarżycielską wystąpił prokurator. Po nim głos zabrali obrońcy – adwokaci Stachurski i Wiziurski. Prokurator swoje wystąpienie wygłosił zgodnie z poetyką tamtych czasów: *W imieniu łódzkiej klasy robotniczej, w imieniu klasy robotniczej całej Polski, jako reprezentant społeczeństwa stojący na straży jego interesów, w imieniu matek, w imieniu interesów społeczeństwa żądam dla oskarżonej kary śmierci!*

Obrońcy zakwestionowali szereg dowodów, a także opinię biegłych, wskazując, że nie może być absolutnej pewności, iż to działalność Brożyńskiej przyczyniła się do śmierci dzieci, dopóki nie można powiązać tej działalności ze śmiercią konkretnych dzieci. Obrona zwróciła także uwagę na momenty zawiści w zeznaniach niektórych świadków.

30 marca 1956 roku, w piątek, sąd wydał wyrok. W zakończeniu uzasadnienia wyroku sędzia stwierdził: *Sąd nie doszukał się ani jednej okoliczności*

łagodzącej w postępowaniu Heleny Brożyńskiej. Oskarżona swym zachowaniem tak w okresie popełniania zbrodniczych czynów, jak i w śledztwie oraz w czasie rozprawy wykazała, że jest przestępcą niebezpiecznym, który nie rokuje nadziei na poprawę. Dlatego też sąd postanowił wymierzyć jej karę śmierci.

To jednak nie koniec sprawy Heleny Brożyńskiej. W czerwcu 1956 roku Sąd Najwyższy uchylił wyrok kary śmierci, skazując pielęgniarkę na 12 lat więzienia. W kraju trwało już bowiem dożynanie resztek nadziei, które rozbudził polski październik 1956 roku. Polska wkraczała w tak zwaną małą stabilizację z Władysławem Gomułką w tle.

– Adam Antczak, em. inspektor policji;
były rzecznik prasowy KWP w Łodzi

– Jarosław Warzecha, dziennikarz PR;
pisarz, publicysta

łodzianie

Bibliotekoznawca, bibliograf
Wanda Frontczakowa (1927–1999)
Małgorzata Golicka-Jabłońska
str. 197

Nasz bibliografista
Andrzej Kempa (1936–2009)
Elżbieta Pawlicka
str. 203

Bibliotekoznawca, bibliograf

Wanda Frontczakowa (1927–1999)

Była bibliotekarką, którą widywało kilkadziesiąt studenckich roczników. Bez niej nie powstałoby pewnie wiele prac naukowych, a bibliografistyka regionu byłaby znacznie uboższa.

Znana głównie w kręgu pracowników naukowych i bibliotekoznawców, Wanda z Polakowskich Frontczakowa urodziła się 23 czerwca 1927 roku w Łodzi w rodzinie nauczycielskiej. Jej ojciec Józef był pierwszym dzieckiem w chłopskiej rodzinie, który zdobył wykształcenie. Podobnie matka Wandy, Kunegunda z Ciupińskich, mimo biedy jaka panowała w robotniczym łódzkim domu, uczyła się w Państwowym Gimnazjum Żeńskim im. Emilii Sczanieckiej w Łodzi. Po maturze w 1926 roku przystąpiła jako eksternistka do egzaminu metodyczno-pedagogicznego, który zdała z wynikiem celującym. Posiadała więc uprawnienia do pracy nauczycielskiej. Po ślubie z Józefem Polakowskim w 1926 roku, rozpoczęła wspólnie z mężem w październiku 1928 roku studia na Wydziale Humanistycznym Wolnej Wszechnicy Polskiej. Jednak sprawy zawodowe i rodzinne nie pozwoliły im ukończyć edukacji.

Rodzina nieustannie borykała się z problemami finansowymi. Józef Polakowski był co prawda cenionym nauczycielem, ale nie awansował, zapewne z przyczyn politycznych (był członkiem PPS-u), a Kunegunda prawie cały czas pozostawała bez pracy. Ojciec rodziny poszukiwał dodatkowych źródeł zarobku, więc połowę wakacji spędzał jako wychowawca i kierownik kolonii. Mimo to liczono się z każdym wydatkiem. W liście z 23 czerwca 1933 roku Kunegunda napisała do męża: *jeżeli będziesz uważał, że nie masz nic nadzwyczajnego, to nie pisz, bo szkoda 30 gr.*

Wanda była dzieckiem chudym i chorowitym. W listach rodziców przewijają się informacje o tym, czy i co jadła, ile waży. Poważne kłopoty i nieszczęścia miały jednak dopiero nadejść. Jesienią 1933 roku Kunegunda zaczęła chorować i zmarła 8 marca 1934 roku.

Do osieroconego domu przyjechała matka Józefa Polakowskiego

Kronika miasta Łodzi
Fot. archiwum autorki

– Katarzyna i pozostała z nimi do końca swego życia. Po latach Wanda Frontczakowa napisała:

Wychowywała mnie Babka, która była prostą kobietą z ludu, na chłopski sposób inteligentną i rozgarniętą, stanowiła bogate źródło wszystkiego tego, co nazywamy folklorem, począwszy od rawskiego stroju, który nosiła (mimo życia około 20 lat w dużym mieście), gwary, którą mówiła, do obyczajów i wierzeń, które potrafiła jakoś połączyć i pogodzić z religią.

W 1937 roku rodzina przeniosła się do własnego domu we wsi Doły, tuż za wschodnimi granicami miasta.

1 września 1939 roku w dniu wybuchu wojny skończyło się dla Wandy i jej młodszego brata Przedzisława Polakowskich, dzieciństwo. Ojciec, jako ochotnik, udał się do Warszawy bronić stolicy.

Niemcy ostrzeliwali kolumny bezbronnych wędrowców z karabinów maszynowych z nisko lecących samolotów i ktoś rozpuścił wiadomość, że Józef Polakowski został zabity.

Na szczęście wiadomość okazała się fałszywa. Ojciec zorientował się w sytuacji, zrezygnował z marszu do Warszawy, lasami i bocznymi drogami dotarł do Łodzi.

Łódź została wcielona do Rzeszy. Rozpoczęła się systematyczna germanizacja. Zamknięto szkoły. Zmieniono nazwy ulic, a potem nazwę miasta. Wysiedlano mieszkańców, najpierw z centrum, później nawet z peryferyjnych osiedli. Polakowskich nie wysiedlono, ale do ich domu wprowadziło się niemieckie małżeństwo Olga i Robert Schultzowie. Gospodarzom pozwolono pozostać w najmniejszym pokoju. Żyli w stałym zagrożeniu, kiedy Olga Schultzowa wypominała, że jedzą niemiecki chleb, a miejsce ośmioletniego brata Wandy jest na Przemysłowej (w obozie koncentracyjnym dla dzieci).

Jednakże Polacy nie poddawali się. Sąsiedzi spotykali się ze sobą, ich ulubioną rozrywką było opowiadanie przeczytanych książek. Młodzież próbowała się uczyć. Ojciec pracował w fabryce i brał udział w tajnym nauczaniu, a cały ciężar zaopatrzenia rodziny w żywność spoczywał na Wandzi.

W 1941 roku została zatrzymana przez niemiecki patrol, a ponieważ nie pracowała, groziło jej wywiezienie w głąb Rzeszy. Dzięki pomocy niemieckich uczniów ojca, udało się jej zostać w Łodzi i pracować w piekarni. Wielokrotnie ocierała się o śmierć i wychodziła z opresji cało.

Lata nauki

Wiosną 1945 roku Wanda miała 18 lat. Ojciec zapisał ją do IV Państwowego Liceum i Gimnazjum im. E. Sczanieckiej w Łodzi. Mimo długiej przerwy w nauce, uczyła się znakomicie. Na świadectwie maturalnym wystawionym w 1949 roku otrzymała oceny bardzo dobre. Podczas nauki wiele czasu poświęcała też na pracę społeczną w kole

PCK, w Szkolnym Społecznym Komitecie Radiofonizacji Kraju oraz w świetlicy szkolnej. Często jednak chorowała i opuszczała lekcje. Na przykład w 1946 roku opuściła ponad czterysta godzin nauki. Jednak mimo tych utrudnień uczyła się bardzo dobrze i nigdy nie powtarzała klasy.

Jednakże nieprzyjazne koleżanki, najprawdopodobniej ze szkolnej organizacji ZMP, do której nie należała, spowodowały że Wanda nie dostała się na wymarzoną medycynę. W ich opinii koleżanka był wrogiem ludu. W tamtych latach z tym oskarżeniem nie sposób było walczyć.

Oficjalnie Wanda zdała egzamin wstępny i to bardzo dobrze, ale nie została przyjęta na Wydział Medyczny UŁ z powodu braku miejsca. Na prośbę ojca, działacza związkowego od 1919 roku, Zarząd Główny ZNP dwukrotnie interweniował w sprawie Polakowskiej u ówczesnego ministra Skrzeszewskiego. Po drugiej interwencji Wanda została przyjęta na Wydział Humanistyczny UŁ. Postanowiła studiować anglistykę.

Studia I stopnia w zakresie filologii angielskiej ukończyła z powodzeniem i uzyskała dyplom 12 listopada 1952 roku. Niestety w tym czasie zlikwidowano anglistykę na UŁ. Chcący kontynuować naukę, musieli przenieść się na inne uczelnie. Wanda nie mogła tego zrobić, gdyż musiała opiekować się rodziną.

Warunki materialne rodziny nie były najlepsze. Choć Józef Polakowski w latach 1945-48 pracował jako inspektor, a później wizytator okręgowy, to szybko naraził się władzy ludowej i popadł w niełaskę. 1 września 1953 roku niespodziewane wysłano go na emeryturę. Nie miał wtedy jeszcze 60 lat.

Po śmierci babki Katarzyny w 1951 roku, Wanda przejęła kobiece rządy w domu i z tego powodu musiała kontynuować naukę w Łodzi. Wybrała więc studia II stopnia na kierunku bibliotekoznawstwa. Katedrą Bibliotekoznawstwa na UŁ kierował wówczas jeden z najwybitniejszych bibliotekarzy polskich – profesor Jan Muszkowski.

9 lutego 1954 roku Wanda Polakowska skończyła studia i otrzymała tytuł magistra bibliotekoznawstwa. Miała szczęście. Należała bowiem do grona ostatnich uczniów profesora Muszkowskiego, fachowców, których w środowisku bibliotekarskim bardzo ceniono oraz została przyjęta do pracy w Bibliotece Uniwersytetu Łódzkiego. Nie przypuszczała wówczas, że spędzi w niej całe zawodowe życie, czyli ponad 30 lat.

Małżeństwo, dzieci, dom

W tym samym roku zaszły zmiany w jej życiu osobistym. 3 września 1959 roku Wanda Polakowska wyszła za mąż za kolegę z pracy Wacława Frontczaka.

Podobnie jak Wanda, był wychowankiem prof. Muszkowskiego, legitymował się dyplomem magistra filozofii w zakresie historii ze specjalnością bibliotekoznawczą. W Bibliotece kierował Oddziałem Magazynów i Konserwacji Zbiorów.

Małżonkowie zamieszkali w domu przy ulicy Narutowicza 104/108. Dom ten graniczył z nowym gmachem Biblioteki i należał do Uniwersytetu. Mieszkanie miało jedną zaletę: znajdowało się blisko pracy. Jednak po urodzeniu się pierwszego dziecka okazało się bardzo ciasne. Wiosną 1964 roku rodzina Frontczaków przeprowadziła się do nowego mieszkania przy ulicy Nowopolskiej w spółdzielni *Lokator* na osiedlu Doły-Wschód. W grudniu 1966 roku na świat przyszło drugie dziecko. Większość rodzinnych wspomnień tej wybitnej bibliotekarki będzie się odtąd wiązała z Nowopolską.

Tragiczne lata

Lata 70. zapoczątkowały tragiczne wydarzenia w jej życiu. Najpierw ciężko zachorował Wacław, który zmarł w 1976 roku. Dwa lata później odszedł ojciec, z którym Wanda była przez całe życie i którego niezmiernie szanowała. Wkrótce po odejściu ojca i dziadka, zachorowała na białaczkę młodsza córka Zosia. Zmarła 18 października 1982 roku w szpitalu dziecięcym przy ulicy Spornej w Łodzi. Miała zaledwie 16 lat.

Mimo dojmującego cierpienia Wanda Frontczakowa zdobyła się na piękny czyn. Lekarzom ze szpitala, w którym córka chorowała, podarowała opracowaną przez siebie bibliografię pod tytułem *Ostra białaczka limfoblastyczna u dzieci w piśmiennictwie polskim i zagranicznym za lata 1971-83.*

Zosi nie mogli pomoc, ale może pomogą innym – powiedziała po śmierci córki.

Po śmierć córki całą swoją życiową energię Wanda skierowała na pracę i pomoc dla starszej córki Marii. Kibicowała jej pracy naukowej, cieszyła się z obronionego doktoratu.

Według córki Marii praca była dla matki błogosławieństwem. *Stanowiła nie tylko podstawę utrzymania, ale i źródło satysfakcji. Mój ojciec nieraz żartował, że Mama jest kobietą fatalną, nie tylko sama się napracuje, ale i inni przy niej muszą pracować. Rzeczywiście tak było. Ale jej postawa wzbudzała szacunek współpracowników.* Uciekała też w świat książek, o których pisała:

Ja osobiście nie wyobrażam sobie życia bez książek. Choć pracuję w bibliotece, nie zadawala mnie książka pożyczona, bo taka spełnia tylko swoją rolę utylitarną. Natomiast własna książka to jakby dobry znajomy, przyjaciel, który swą obecnością cieszy, służy w potrzebie, w każdym momencie jest pod ręką, gotowy zapełnić pustkę, odsunąć ciężkie myśli. Treść książki jest jej duszą, szata graficzna, cały wygląd zewnętrzny, jej ciałem i odzieniem.

30 lat w Bibliotece Uniwersyteckiej

Pracę w Bibliotece Uniwersyteckiej w budynku przy ulicy Składowej w Oddziale Czytelnictwa w Czytelni Czasopism Wanda Polakowska rozpoczęła 1 marca 1954 roku. Mimo fachowego przygotowania, nie otrzymała godnego siebie zadania, zlecano jej wręcz banalne prace. Ambitna i pomysłowa, proponowała pewne zmiany, co powodowało

konflikt z kierowniczką działu. Dyrekcja zdecydowała, aby już 1 sierpnia przenieść młodą bibliotekarkę za karę do Oddziału Informacji. Zamierzona kara okazała się dobrodziejstwem. Oddział dopiero tworzono i Polakowska dostała wolną rękę. Mogła teraz w pełni pokazać, czego nauczyła się na studiach.

Pięć lat później, 1 lutego 1959 roku, awansowała na stanowisko kierownika Oddziału. W Bibliotece przeszła przez wszystkie szczeble zawodowe od asystenta bibliotecznego aż do starszego kustosza dyplomowego.

Pracownicy Biblioteki Uniwersyteckiej byli zobowiązani do pracy naukowej. Wanda Frontczakowa zdecydowała, że będzie zajmować się bibliografią regionalną. Musiała jednak poprosić o zgodę Romana Kaczmarka (w latach 1963-80 dyrektora Miejskiej Biblioteki Publicznej), który także pracował nad tym tematem.

– *Czy pan profesor nie będzie miał nic przeciwko temu, że zajmę się bibliografią?* - zapytała.

– *Ależ nie, niech pani robi. I tak się pani nie uda* – usłyszała w odpowiedzi.

A jednak udało się. W 1958 roku ukazała się, jako szósty tom Wydawnictw Bibliograficznych BUŁ, bibliografia *Łódź i region łódzki w nauce polskiej, 1945-1956* opracowana przez Frontczakową. W następnych latach wspólnie z najbliższymi współpracownikami: mężem Wacławem, córką Marią i dr Ryszardem Żmudą wydała dwa tomy retrospektywnej *Łódzkiej bibliografii regionalnej* obejmujące lata 1945--70 oraz 1971-80.

Opublikowanie tej bibliografii spowodowało wieloletnią rywalizację z innymi bibliotekarzami, nie zawsze szlachetną. Zdarzały się lekceważące opinie, usiłowania zablokowania wydania następnych tomów i próby przejęcia z trudem gromadzonego materiału. Tymczasem zdaniem dr Ryszarda Żmudy i innych specjalistów Wanda Frontczakowa posiadała w reprezentowanej przez siebie dziedzinie największy dorobek w Łodzi.

Znakomicie planowała też i organizowała pracę w Oddziale. Do jej bezpośrednich obowiązków należało przygotowanie informacji naukowej dla potrzeb nauki i szkół wyższych. W tamtych czasach była to mrówcza, czasami przypominająca poszukiwania detektywistyczne praca, wymagająca dokładności i cierpliwości. Systematycznie recenzowała w fachowym piśmiennictwie angielskie polonica poświęcone bibliografii. Oprócz obowiązków ściśle bibliotekarskich i naukowych pracownicy Oddziału organizowali wystawy tematyczne oraz wystawy najnowszych nabytków biblioteki, prowadzili zajęcia z przysposobienia bibliotecznego i praktyki dla studentów bibliotekoznawstwa z Łodzi i innych miast, a także szkolenia dla pracowników bibliotek. Do ich obowiązków należało także oprowadzanie wycieczek, zwłaszcza po przeprowadzce Biblioteki do nowego gmachu 19 stycznia 1960 roku, który był wówczas szczytem nowoczesności.

We wspomnieniach podwładnych ta zasłużona bibliotekarka pojawia się jako kierowniczka dużo wymagająca zarówno od siebie jak i od innych. Posia-

dała zdecydowane poglądy polityczne, ale nie narzucała ich swoim współpracownikom, i przez lata pracy cechowała ją zdecydowanie apolityczna postawa. Nad bibliografią regionalną pracowała nawet po przejściu na emeryturę w 1990 roku. Pozostawione przez nią prace pozwoliły pokonać przejście od tradycyjnych metod do komputeryzacji informacji bibliotecznych.

Wanda Frontczakowa zmarła 13 grudnia 1999 roku po krótkiej chorobie. Została pochowana na cmentarzu na Dołach obok męża i córki, a jej przyjaciele i bliscy opublikowali o niej biograficzną książkę. Nazywano ją „człowiekiem z granitu", bo mimo wielu osobistych cierpień, pozostawiła po sobie wiele ciepłych wspomnień i trwały ślad ważnej także dla przyszłych pokoleń pracy.

opracowała Małgorzata Golicka-Jabłońska

Bibliografia:

1. Czapliński T., Launer J., *Miejsca pamięci narodowej w Łodzi. Martyrologia i walka, 1939–45*, Łódź 1972.
2. Lodzińska-Marciniak D., *Zachować pamięć. Zarys dziejów Szkoły im. Emilli Sczanieckiej w Łodzi*, Łódź 1995.
3. *Wanda Frontczakowa (1927–1999) Bibliotekoznawca, bibliograf*, red. Ryszard Żmuda. Częstochowa-Warszawa 2002.

Nasz bibliografista

Andrzej Kempa (1936–2009)

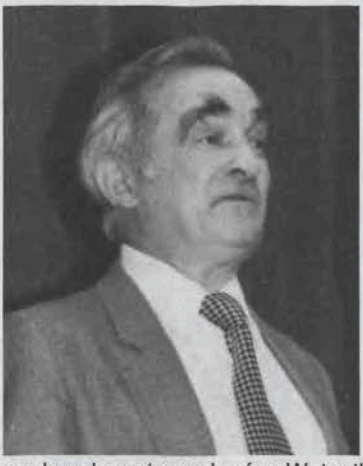

Był kustoszem dyplomowanym, bibliografem, bibliofilem, bibliotekarzem, krytykiem literackim, autorem wielu książek i setek publikacji. Dla „Kroniki Miasta Łodzi" pozostanie cennym bibliografistą samorządowego kwartalnika.

Urodził się 27 czerwca 1936 roku w Częstochowie jako Władysław Andrzej Kempa (potem używał już tylko drugiego imienia). Osierocony bardzo wcześnie przez obojga rodziców, bo już podczas wojny, musiał też wcześnie myśleć o zawodowym usamodzielnieniu się. W 1956 roku zdał maturę w Technikum Księgarskim. Został technikiem, ale silna chęć nauki spowodowała zmianę planów. Wstąpił na Uniwersytet Łódzki i w 1961 roku uzyskał dyplom magistra filologii polskiej.

We wrześniu 1961 roku podjął pracę w Bibliotece Głównej Akademii Medycznej w Łodzi. W 1973 roku zdał egzamin bibliotekarski przed Komisją Egzaminacyjną dla Bibliotekarzy Dyplomowanych. W 1974 roku został powołany przez rektora Akademii Medycznej na stanowisko zastępcy dyrektora Biblioteki Głównej.

Najbliższa Andrzejowi Kempie była w tym czasie działalność bibliograficzna i służba informacyjna. Przez pięć lat redagował informatory uczelni. Przygotowywał też *Bibliografię publikacji pracowników Akademii Medycznej za lata 1961--1980*.

Od 1 września 1980 roku został powołany na stanowisko zastępcy dyrektora – starszego kustosza dyplomowanego w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. L. Waryńskiego w Łodzi. Funkcję tę sprawował przez 16 lat, kończąc ją wtedy, kiedy Miejska Książnica nosiła już imię Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Nadzorował działalność merytoryczną biblioteki, czuwając nad budową katalogów bibliotecznych i problematyką organizacyjną związaną z relacjami i powiązaniami w systemie instytucji. Redagował roczniki sprawozdań M.B.P. za lata 1980–1991 i nadzorował też wdrażanie komputeryzacji. Prowadził wiele spotkań au-

Fot. archiwum WiMBP w Łodzi

torskich w cyklu „Spotkanie z literaturą". Był znakomicie zorientowany w zawartości zbiorów biblioteki.

Po przejściu na emeryturę w 1996 roku nie rozstał się z Wojewódzką i Miejską Biblioteką Publiczną, pozostając jako specjalista ds. promocji i marketingu. Przejął odpowiedzialność za kontakty biblioteki ze środowiskiem naukowym i kulturalnym Łodzi oraz za współpracę ze szkołami.

Andrzej Kempa przez 50 lat publikował w czasopismach naukowych, prasie tygodniowej i codziennej. Jest autorem około ośmiuset publikacji i kilkunastu książek z różnych dziedzin humanistyki. Pisał do ostatnich dni swojego życia. Współpracował z wieloma czasopismami. Wśród nich należy wymienić czasopisma naukowe „Prace Polonistyczne", „Polonistyka", „Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego", „Przegląd Humanistyczny". „Przegląd Biblioteczny", „Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa". „Rocznik Biblioteki Narodowej", „Media – Kultura – Społeczeństwo", „Tygiel Kultury" (gdzie był członkiem zespołu redakcyjnego) i „Kronika Miasta Łodzi". W „Poradniku Bibliotekarza" był w latach 1986-2005 członkiem komitetu redakcyjnego.

Warto wymienić książki Andrzeja Kempy z zakresu wiedzy o regionie: *Sylwetki łódzkich dziennikarzy i publicystów* (1991), *Szkice Trybunalskie* (1997), *Żydzi dawnej Łodzi: słownik biograficzny Żydów łódzkich oraz z Łodzią związanych*, T 1-4 współautor: Marek Szukalak (2001–2004), *Tablice pamięci: Łódzkie inskrypcje pamiątkowe* (2007).

Za przedostatnią publikację autorzy otrzymali „Złoty Ekslibris" – nagrodę Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Łodzi w kategorii: najlepsza książka popularno-naukowa o Łodzi za rok 2002.

Andrzej Kempa był także autorem haseł do: *Encyklopedii wiedzy o książce*, *Słownika pracowników książki polskiej* i *Polskiego słownika biograficznego*.

Andrzej Kempa prowadził jednocześnie bogatą działalność społeczną. Był między innymi współzałożycielem Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Książki oraz wieloletnim działaczem Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich, pełniąc funkcję przewodniczącego Zarządu Okręgu SBP i członka Zarządu Głównego tej zasłużonej bibliotecznej organizacji.

Był Andrzej Kempa kolekcjonerem ekslibrisów i książek, które chętnie udostępniał na różnorodne wystawy. Miał serdeczne kontakty z artystami grafikami z Polski i z wielu krajów europejskich. Artyści ci często wykonywali ekslibrisy na prywatne zamówienie Andrzeja Kempy.

O zbiorach i zainteresowaniach kolekcjonerskich Andrzeja Kempy pisano w prasie holenderskiej, szwedzkiej, litewskiej, angielskiej i polskiej.

Pisał dużo. Pisanie było jego pasją. Na swój sposób sensem życia. Każda nowa pozycja sprawiała mu nieukrywaną radość.

Był powszechnie szanowanym i pełnym ciepła, skromnym, życzliwym ludziom człowiekiem, a jego wiedza, erudycja i pracowitość mogą posłużyć za wzór dla młodych ludzi. Był przy tym człowiekiem niezwykle wrażliwym i zupełnie nieodpornym na nieuniknione w pracy konflikty. Cenił spokój, posiadając niespotykaną już dzisiaj elegancję w zachowaniu, bezbłędne maniery i delikatność w kontaktach z ludźmi.

Zmarł nagle 1 października 2009 roku.

Elżbieta Pawlicka
– starszy kustosz dyplomowany,
była dyrektor WiMBP im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Łodzi

łodzianie

osiedla, domy, ulice

Ulica Przejazd
Od św. Andrzeja do Juliana Tuwima
Dariusz Kędzierski
str. 209

Retkinia – wizja miasta w mieście
Wspomnienia projektantki największego osiedla
Krystyna Krygier
str. 229

Ulica Przejazd

Od św. Andrzeja do Juliana Tuwima

Pierwotnie ulicy Andrzeja nie było, gdyż od Wólczańskiej, w kierunku wschodnim, ciągnęła się ulica Przejazd. Dopiero prezydent miasta Andrzej Rosicki, jeszcze przed 1863 rokiem, nadał jej nazwę świętego Andrzeja. Dla wielu łodzian nazwa ta utożsamiana była właśnie z imieniem prezydenta Rosickiego, który za swoją postawę w czasie powstania styczniowego otaczany był powszechnym szacunkiem. Andrzej Rosicki żył w latach 1814--1904. W 1861 roku w ramach tworzenia samorządu miejskiego w Łodzi wybrano po raz pierwszy Radę Miejską. Jej pierwszym przewodniczącym został Franciszek Traeger, a po nim, już rok później, Andrzej Rosicki. Był on trzecim w kolejności, a jednocześnie pierwszym katolickim prezydentem Łodzi. Pełnił swój urząd w bardzo trudnym dla Polski okresie, ale zdał egzamin znakomicie. W trudnym czasie powstania styczniowego i represji po jego zdławieniu. Rosicki opowiedział się po stronie powstańców, za co, jako urzędnik nielojalny wobec caratu, został w 1865 roku pozbawiony piastowanej funkcji. Przez łodzian był bardzo szanowany, wręcz uwielbiany, zresztą nie tylko przez zwykłych obywateli. W 1872 roku, z inicjatywy łódzkich przemysłowców powołano do życia Towarzystwo Kredytowe Miasta Łodzi, na jego dyrektora wybrano Andrzeja Rosickiego, pełnił potem tę funkcję przez 32 lata, aż do samej śmierci.

W latach 50. ubiegłego wieku zmieniono nazwę ulicy. Ze świętego Andrzeja na Andrzeja Struga. W 1933 roku, tuż przed świętem 3 Maja odbyło się posiedzenie Komitetu Nagrody Literackiej miasta Łodzi. Rozpatrywano sześć kandydatur, w tym Stanisława Szpotańskiego, Marii Dąbrowskiej, Artura Górskiego, Andrzeja Struga, Marii Rodziewiczówny oraz Stanisława Ignacego Witkiewicza. Laureatem nagrody został Andrzej Strug. Tak czy owak, łodzianie o swojej ulicy mówią w skrócie – Andrzeja.

Na samym początku ulicy, przy skrzyżowaniu z Piotrkowską, stoi budynek Saspolu – to centrum handlowe, które okres świetności ma już za sobą. Na początku lat 90. robiła wrażenie jego nowoczesna lustrzana elewacja. Nowoczesne wnętrza przyciągały i sprzedających, i kupujących. Ruch był tu duży, nie było wtedy jeszcze w Łodzi ani hipermarketów, ani potężnych galerii handlowych. Wraz z powstaniem dużych centrów handlowych znaczenie Saspolu zmalało do tego stopnia, że w pewnym okresie budynek został zamknięty. Obecnie w Saspolu handluje się, a miejsce to pozostaje nadal ulubionym punktem kontaktowym dla tych, którzy chcą się spotkać i wspólnie kontynuować wędrówkę po Piotrkowskiej.

ANDRZEJOWI STRUGOWI
WYBITNEMU PISARZOWI
LAUREATOWI NAGRODY
LITERACKIEJ MIASTA
KTÓRY TWÓRCZOŚĆ SWĄ
I DZIAŁALNOŚĆ SPOŁECZNĄ
WIĄZAŁ Z ŁODZIĄ
W XXV ROCZNICĘ ŚMIERCI
PREZYDIUM RADY NARODOWEJ
M. ŁODZI

Trakt księgarzy

W 1910 roku szerokim echem wśród łodzian odbiła się katastrofa budowlana. Miała ona miejsce w samym centrum Łodzi, tuż obok Piotrkowskiej, przy Andrzeja 3. W czasie wznoszenia czynszowej kamienicy runęła ściana nowo stawianego budynku. Ówczesna prasa trochę podkpiwała, że o braku nadzoru budowlanego nie mogło być w tym wypadku mowy, gdyż architekt nadzorujący budowę mieszkał w pobliskim budynku. Nadzorującym tym był jeden z bardziej znanych architektów Piotr Brukalski. Z perypetiami, ale powstał w tym miejscu dom dochodowy, należący do Drugiego Towarzystwa Pożyczkowo-Oszczędnościowego w Łodzi.

Autorem projektu tego budynku był warszawski architekt Ludwik Panczakiewicz. Trzy jego dolne kondygnacje przeznaczone były na sklepy i siedzibę Towarzystwa, na dwóch górnych zaplanowano cztery komfortowe mieszkania. Obecnie w kamienicy tej mieści się znana księgarnia-antykwariat „Nike". Otwarta w sierpniu 1982 roku księgarnia prowadzona jest przez Janusza Karola Barańskiego. Specjalizuje się ona w wydawnictwach kartograficznych, przewodnikach, książkach poświęconych górom, ale przede wszystkim nie ma drugiego takiego miejsca w Łodzi, w którym potencjalny nabywca miałby do wyboru tak dużą ilość publikacji dotyczących naszego miasta. Właściciel kontynuuje księgarskie tradycje tego miejsca, gdyż przed wojną,

w 1939 roku, mieściła się tu księgarnia świętego Wojciecha z Poznania. Oprócz działalności księgarskiej Janusz Barański jest też inicjatorem powstania Oddziału Stowarzyszenia Przyjaciół Twórczości Jana Kasprowicza. Pełnił przez jakiś czas funkcję wiceprezesa zarządu. Księgarnia „Nike" była nawet siedzibą łódzkiego oddziału Stowarzyszenia. „Nike" to miejsce, w którym historia Łodzi przeplata się z jej teraźniejszością.

W pierwszej połowie ubiegłego wieku miłośnikom książek szczególnie znany był adres Andrzeja 5. W 1912 roku funkcjonowało w Łodzi sześć wypożyczalni książek, w tym ta najbardziej znana pod nr 5. Do końca lat 90. XIX wieku wypożyczalnie funkcjonowały przy niewielkich księgarniach, następnie podjęte zostały próby stworzenia wypożyczalni istniejących samodzielnie, bez zaplecza w postaci księgarń. W 1898 roku Janina Kaplińska i Klaudyna Szopska, właścicielki składu materiałów piśmiennych, otrzymały zgodę od gubernatora piotrkowskiego na otwarcie wypożyczalni książek przy ulicy Dzielnej. W następnym roku obie panie sprzedały bibliotekę Helenie Rogowskiej, która powiększyła ją o własne zbiory i przeniosła do lokalu na Andrzeja 5. Wcześniej pod tym numerem mieściło się przedstawicielstwo i skład instrumentów muzycznych, fortepianów, pianin i fisharmonii Aleksandra Robakowskie-

go. W 1907 roku właścicielkami Łódzkiej Wypożyczalni Książek zostały siostry Felicja i Hanna Pieńkowskie. Aby korzystać z tej wypożyczalni trzeba było ponieść pewne wydatki. Miesięczne wadium wynosiło jednego rubla, był to zastaw od jednej książki, miesięczny abonament od jednej książki stanowił 40 kopiejek, a każdej następnej 20 kopiejek. Wypożyczalnia była dosyć zasobna i liczyła sobie 11 tysięcy pozycji. Trzeba dodać, że księgozbiór był cały czas powiększany i tuż przed wybuchem wojny liczył ponad 30 tysięcy tomów. Oprócz książek w języku polskim wypożyczalnia miała w swoich zasobach książki w językach francuskim, niemieckim i rosyjskim.

Ale to nie koniec związków ulicy Andrzeja z książką. O dziwo to Łódź, jako pierwsze miasto, zrealizowała uchwałę o obowiązku nauczania. W związku z tym pilną potrzebą stało się stworzenie księgozbioru służącego kształceniu nowych kadr nauczycielskich. W 1925 roku Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego powołało w Łodzi Państwową Centralną Bibliotekę Pedagogiczną. Jej siedzibą stał się lokal przy ulicy Andrzeja 7. Początkowo księgozbiór stanowiły dary osób prywatnych i instytucji. Najwartościowszym nabytkiem stał się wieczysty depozyt Towarzystwa Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych. Biblioteka finansowana była przez ministerstwo oraz ze składek miesięcznych nauczycielstwa.

Po przeciwnej stronie ulicy bardzo efektownie prezentuje się kamienica przy Andrzeja 2. Jej właściciele – Wacław Rudolf i jego córka Monika, do których należy również mieszcząca się w podwórzu Galeria Antyków, z dużą starannością odrestaurowali zaniedbaną kamienicę. W 2006 roku zakończono trwający wiele lat remont. Dodatkowym elementem, który stworzono na dachu budynku, jest ogród. Na powierzchni 65 metrów kwadratowych urządzono niewielką enklawę zieleni umożliwiającą wypoczynek. Historia tej kamienicy wiąże się z łódzkim przemysłowcem Edwardem Lungenem, który działkę pod jej budowę kupił jeszcze w 1880 roku, natomiast sam budynek powstawał na przełomie 1895/96 roku. Co do architekta, to nie ma zgodności, wskazywany jest Franciszek Chełmiński lub Kazimierz Pomian Sokołowski. Obecnie odrestaurowana kamienica jest atrakcyjnym miejscem dla różnego rodzaju instytucji. Między innymi mieści się tu honorowy konsulat brytyjski.

Śmierć prezydenta Cynarskiego

Nie tylko przedwojenna Polska, ale także i sama Łódź przeżyła nagłą śmierć swojego prezydenta. Ulica Andrzeja kojarzy się z tragicznym wydarzeniem w dziejach miasta, związanym ze śmiercią Mariana Cynarskiego. W 1919 roku dekretem Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego został on mianowany sędzią Łódzkiego Sądu Okręgowego. Zamieszkał wspólnie z rodziną przy ulicy Andrzeja 4. W 1923 roku został prezydentem naszego miasta. Urodził się w 1880 roku w Warszawie. Pochodził z rodziny urzędniczej, sam skończył prawo. Jego działalność społeczna i patriotyczna nie podobała się władzom carskim i ówczesne władze centralne blokowały mu możliwość objęcia ważnych stanowisk w administracji państwowej. Cynarski miał wiele zainteresowań, był

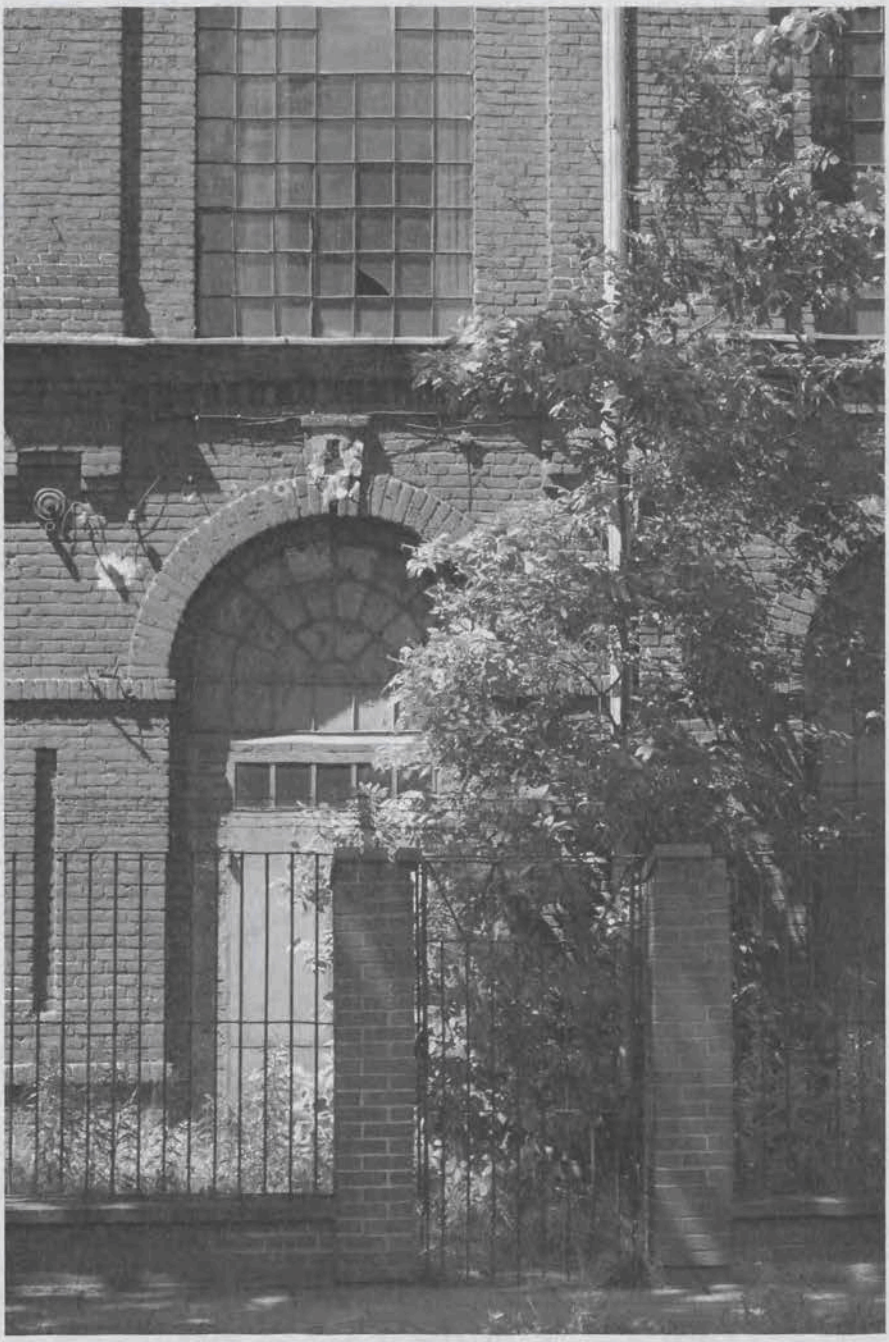

str. 7 | Ulica Struga 61

wykładowcą w gimnazjum, gdzie uczył historii, pisał recenzje ze spektakli teatralnych, interesował się literaturą i malarstwem. Był inicjatorem nagrody literackiej miasta Łodzi i założycielem Archiwum Miejskiego. Lata 20. ubiegłego wieku nie były najlepszym okresem dla łódzkiego przemysłu, a w konsekwencji i dla łódzkich robotników. Bankrutowały zakłady, zmniejszyło się zatrudnienie, nieustannie organizowano strajki i demonstracje. Winą za ówczesną sytuację obarczano ówczesne władze lokalne. Cynarski jako jeden z czterech przedstawicieli władz miasta zasiadał w radzie nadzorczej elektrowni łódzkiej. Niejasne przepisy nie precyzowały, kto powinien być dysponentem środków uzyskanych z tytułu pełnienia tej funkcji. Dwaj członkowie rady wynoszące po siedem tysięcy złotych dywidendy przekazali kasie miejskiej. Dwaj pozostali, w tym Cynarski, uznali je za swoją własność. Dopiero w późniejszym okresie Rada Miejska uchwaliła, że środki te mają być przekazywane na potrzeby miasta. Do tragedii doszło 14 kwietnia 1927 roku, przy Struga 4. Cynarski zginął pchnięty nożem na progu swojego mieszkania. Przypuszczano, że to jakiś niezadowolony robotnik był sprawcą tej zbrodni. Prowadzone śledztwo nie przynosiło pożądanych rezultatów, więc zdecydowano o przyznaniu pięciu tysięcy złotych nagrody za informację o zabójcy. Wkrótce

pochwycono sprawcę, okazał się nim Adam Walaszczyk, z zawodu brukarz. Ustalono, że po utracie pracy za opilstwo i awantury, zgłosił się do Cynarskiego, aby ten załatwił mu jakieś zajęcie. Cynarski zbył go, a Walaszczyk w odwecie postanowił go zabić. Sąd skazał Walaszczyka na karę śmierci i wyrok ten wykonano przez rozstrzelanie. Cynarskiego pochowano w katolickiej części Starego Cmentarza przy ulicy Ogrodowej.

W drugiej połowie XIX wieku ulica Andrzeja zablokowała budowę ważnego łódzkiego ciągu komunikacyjnego. W 1861 roku w ramach zabudowy ulicy Andrzeja, wtedy jeszcze Przejazd, wytyczono nowe działki. Działkę leżącą w połowie odcinka między Piotrkowską a Wólczańską nabyli Bracia Morawczykowie i postawili na niej kaplicę. W późniejszym okresie, kiedy miasto chciało się przebić z ulicą Spacerową (obecnie Kościuszki) w kierunku południowym, właśnie ta zabudowana działka stanęła na przeszkodzie. Bracia Morawczykowie w zamian za odstąpienie nieruchomości miastu zażądali przyznania im innej lokalizacji oraz odszkodowania umożliwiającego postawienie nowej kaplicy. Miasto wykazało się wyjątkową nieudolnością i aż przez kilkadziesiąt lat nie potrafiło rozwiązać tego problemu. Udało się to dopiero w 1901 roku.

Dzieło Jana Augustyniaka

Nie koniec jeszcze związków ulicy z łódzkim księgarstwem. Pod nr 14 istniała biblioteka, która dała później początek znanej wszystkim Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece im. Marszałka Józefa Piłsudskiego. W 1916 roku powstało w Łodzi Towarzystwo Biblioteki Publicznej, któremu w 1917 roku udało się doprowadzić do otwarcia nowej placówki bibliotecznej. Miało to miejsce 11 października. Biblioteka ta powstała z inicjatywy lekarzy Mieczysława Kaufmana, Seweryna Sterlinga, Antoniego Tomaszewskiego oraz dyrektora Towarzystwa Kredytowego Leona Gajewicza. Kierownikiem biblioteki został Jan Augustyniak, człowiek niezwykle zasłużony dla tej placówki, gdyż w dużej mierze to dzięki jego determinacji doszło do budowy i powstania dzisiejszej biblioteki im. Piłsudskiego. Jan Augustyniak kierował stworzoną przez siebie biblioteką aż do 1964 roku.

Ale wrócimy do roku 1917. Biblioteka początkowo mieściła się pod adresem Piotrkowska 150, aby następnie na długo osiąść w niedużym lokalu przy Andrzeja 14. Początkowo książki napływały powoli. Widząc to, niestrudzony Jan Augustyniak, gdy dowiedział się, że do Polski ma wrócić biblioteka im. Załuskich, pojechał do Warszawy, do Ministerstwa Oświaty, przekonywać, że jej zbiory powinny znaleźć się w Łodzi. Minister wprawdzie nie przekazał biblioteki do Łodzi, ale przesłał dary z bibliotek i wydawnictw warszawskich. Do 1922 roku los biblioteki był bardzo niepewny, gdyż finansowanie jej działalności uzależnione było od szczodrości osób fizycznych i instytucji społecznych. Dopiero w 1922 roku miasto wzięło na siebie ciężar utrzymania placówki. Biblioteka przy Andrzeja 14 funkcjonowała praktycznie do 1950 roku. Jeszcze przed wojną Jan Augustyniak rozpoczął skuteczne zabiegi, doprowadzając do rozpoczęcia budowy nowego gmachu u zbiegu ulic Gdańskiej i Kopernika. Roz-

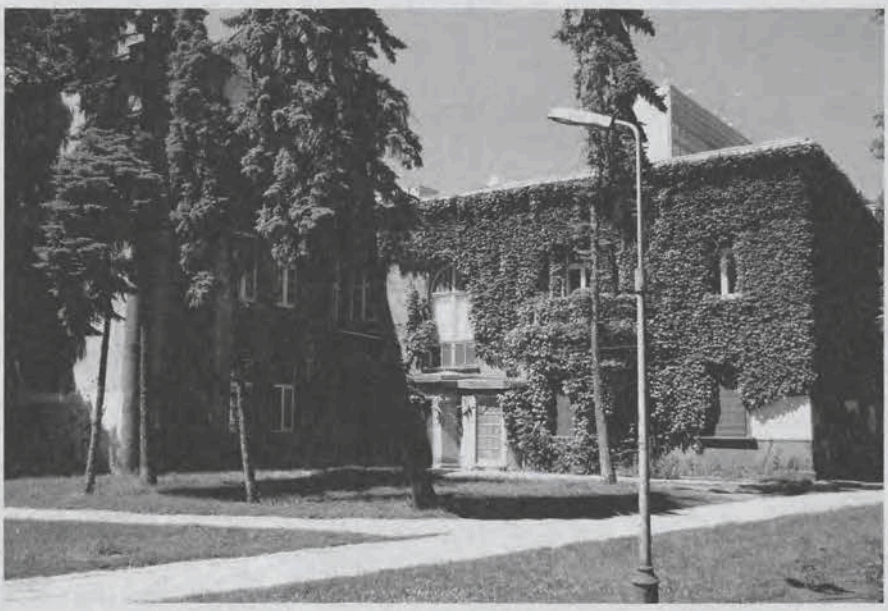

poczęte przed wojną prace budowlane przerwano w czasie okupacji. Po wojnie budowę dokończono, a nowa placówka, której nadano imię Ludwika Waryńskiego, przejęła zbiory biblioteki przy Andrzeja 14.

Ulica Andrzeja związana jest również z osobą przemysłowca Franciszka Kindermanna. Pod numerem 12 miał on swoje biura, natomiast nieco dalej, na Andrzeja 61/63, mieściła się jego fabryka. Franciszek Kindermann swoją karierę w mieście Łodzi rozpoczął od ręcznego warsztatu tkackiego przy Piotrkowskiej 110. W 1896 roku jego zakład na 70 krosnach wytwarzał tkaniny bawełniane, wełniane, korty i chustki. W 1897 roku Kindermann przeniósł produkcję do zakładu przy Andrzeja (obecnie 61/63). Mieściła się tu przędzalnia, tkalnia, farbiarnia i wykończalnia. W 1928 roku firma została przekształcona w spółkę akcyjną. W latach 30., w czasach kryzysu, firma ogłosiła upadłość. Hale wydzierżawiono, mieściła się tu między innymi filia „Telefunkena". Po wojnie, w kwietniu 1945 roku, na terenie zakładów pod numerem 61, inżynierowie Jan Serwaczyk i Tadeusz Tarasiewicz otworzyli Zakłady Przemysłowe „Optima". W zakładach wytwarzano sztuczny miód. Zakłady były własnością prywatną, ale tylko do stycznia następnego roku, kiedy to przedsiębiorstwo przeszło na własność Skarbu Państwa. Zmieniono wtedy nazwę na Państwowe Zakłady Przemysłowe „Optima". W latach 50. zakład ulegał powiększeniu poprzez przejmowanie drobniejszych fabryk i wytwórni cukierniczych z terenu Łodzi. Obecnie po zmianach własnościowych zakłady funkcjonują jako Zakłady Przemysłu Cukierniczego „Unitop-Optima" S.A.

Trzeba wspomnieć o jeszcze jednym istotnym adresie, to Andrzeja 42. Każdy, kto będzie tędy przechodził dowie się, iż w domu znajdującym się pod tym

numerem przez pewien czas pomieszkiwał Julian Tuwim, informuje o tym tablica pamiątkowa umieszczona na ścianie budynku.

Ulica Andrzeja, zanim nadano jej tę nazwę, była częścią ulicy Przejazd. W latach okupacji niemieckiej, zarówno podczas I, jak i II wojny światowej, Przejazd miała zmienioną nazwę na Meisterhausstrasse. Wstępnie wytyczona jeszcze jako Przechód, potem Przejazd, po zakończeniu II wojny światowej na dwa lata wróciła do starej nazwy, aby następnie zmienić ją na Ignacego Daszyńskiego. Dopiero w 1954 roku zmieniła nazwę na obecną – Juliana Tuwima. Ulicą Przejazd przejeżdżało się w kierunku Widzewskiej i dalej do lasów po drewno, po czym się nawracało i wracało do centrum Nawrotem, czyli ulicą Nawrot. Obecnie na większej części swoich długości obydwie ulice są jednokierunkowe, a ruch na nich odbywa się w kierunkach odwrotnych niż dawniej. Po ulicy Tuwima od 1928 roku kursowały tramwaje, o ich bytności w tym miejscu przypominają nie do końca jeszcze usunięte i częściowo zalane asfaltem torowiska.

„Luna" i „Tivoli"

Odcinek ulicy Przejazd od Piotrkowskiej do Sienkiewicza (wtedy Dzikiej) pełnił w życiu miasta dosyć istotną rolę. To tu w 1839 roku tkacze niemieccy, skupieni od 1824 roku w Zgromadzeniu Majstrów Tkackich, postanowili wybudować swoją siedzibę. Powstał

obszerny, murowany, parterowy dom kryty dachówką. Budynek zaprojektował Bonifacy Witkowski, budowniczy gubernialny, ten sam, który był projektantem łódzkiego ratusza. W budynku znajdowały się sale posiedzeń, archiwum cechowe, a także gospoda. W pomieszczeniach domu cechowego, z niemiecka zwanego *Meisterhaus*, odbywały się, oprócz zebrań, również różnego rodzaju bale, zabawy taneczne, koncerty. Z czasem dawni majstrowie tkaccy zaczęli przeistaczać się w fabrykantów, ale i tak chętnie wpadali do gospody na kufel piwa, aby w znanym sobie towarzystwie móc powspominać stare czasy. Zygmunt Bartkiewicz pisał o nich z sarkazmem: *dziś silni, syci, złocą opasłe brzuchy, a kosztowne pierścienie już im w palce wrosły*. Z czasem wybudowany w 1839 roku dom majstrów zrobił się przestarzały i zbyt ciasny. W 1911 roku pod numerem trzecim wybudowano nowy, okazały gmach. Jego część zajął zarząd Zgromadzenia, natomiast w pozostałych pomieszczeniach ulokowała się reprezentacyjna restauracja „Tivoli". Na piętrze znalazło siedzibę ekskluzywne kino „Luna". Stary *Meisterhaus* został rozebrany, a na jego miejscu stanęła czynszowa kamienica. Wcześniej, bo w 1867 roku, powołano do życia Niemieckie Towarzystwo Sportowe, które od 1877 roku znalazło swoją przystań przy Zgromadzeniu Majstrów Tkackich. Tu wybudowali korty tenisowe, tu organizowano ślizgawki, ale przede wszystkim powstał tor kolarski, bowiem od 1886 roku zawiązało się Łódzkie Towarzystwo Cyklistów – *Vereinlodzercyclisten*.

W tamtym okresie w Łodzi nie było profesjonalnej straży pożarnej, a wybuchające co rusz pożary stały się prawdziwym utrapieniem miasta. Grupa łódzkich przemysłowców postanowiła powołać Ochotniczą Straż Pożarną. Wbrew nazwie była to straż zawodowa, utrzymywana ze składek społeczeństwa. Na jej czele stanęli Ludwig Grohman i Jan Jarzębowski. W 1876 roku liczyła dwustu ludzi skupionych w trzech oddziałach usytuowanych w różnych punktach miasta, przy Konstantynowskiej 4, Głównej 2 i właśnie przy Przejazd 5, bowiem Zgromadzenie Majstrów Tkackich udzielało gościny Ochotniczej Straży Ogniowej, która na podstawie zawartej w 1877 roku umowy mogła tu urządzić remizę strażacką. W późniejszym okresie straż chciała przejąć teren na własność, w efekcie doszło do procesu sądowego. Teren został zasądzony Zgromadzeniu, które ponownie podpisało ze strażą umowę dzierżawną. Dzierżawa kina i restauracji przynosiły Zgromadzeniu stały, przyzwoity dochód. Po wojnie tkacze próbowali ponownie stworzyć własny cech, lecz na mocy ustawy z 1949 roku został on wchłonięty przez nowo utworzony Cech Włókienniczy, do którego oprócz tkaczy weszli również pończosznicy, dziewiarze itp. Majątek Zgromadzenia w 1956 roku przejęło państwo. Budynek Straży Ogniowej został rozebrany, ogród przylegający do restauracji „Tivoli" zmniejszono, a w tym miejscu urządzono skwer, natomiast na terenie klubu sportowego powstał parking.

Na Tuwima 1 jest też miejsce wpisujące się w gastronomiczną tradycję naszego miasta. To bar „Anna". Tuż po wojnie majstrowie tkaccy, którzy założyli swój cech z nadzieją funkcjonowania, podobnie w jak w czasach przedwojennych,

otworzyli również cukiernię Źródło. Niestety walec komunizmu najpierw unicestwił ich cech, a „Źródło" wessała Gastronomia Łódzka. Zamiast cukierni powstała tu kawiarnia „Łowicka". Wielu łodzian pamięta, że w późniejszym okresie mieścił się tu bar „Beza". „Bezą", a później już barem „Anna", od 23 lat kieruje Anna Łącka, najpierw jako najemca, a później jako właścicielka. Już teraz zaprasza wszystkich sympatyków na 25-lecie, które będzie hucznie obchodzone podczas Euro 2012.

Dom Emila Schmechla

Po przeciwnej stronie, na rogu Piotrkowskiej i Przejazd, od 1892 roku funkcjonował dom handlowy Emila Schmechla. Był to parterowy budynek, który w 1906 roku powiększony został o pracownie krawieckie. Prowadzono tu zarówno sprzedaż wyrobów gotowych, jak i krawiectwo miarowe. Wzory konfekcji, próbki materiałowe i gotowe ubrania wysyłano wprost do domu klienta. A że w Łodzi handel rozwijał się coraz bardziej, a Emil Schmechl miał swój magazyn w najlepszym z możliwych punktów handlowych, więc postanowił go rozbudować. Jego gruntowną przebudowę zaprojektował Leon Lubotynowicz. Według projektu tego architekta powstał efektowny, trzykondygnacyjny gmach, ciągnący się dłuższą elewacją wzdłuż ulicy Przejazd aż do kina

„Odeon". Do budynku prowadziło kilka wejść. Wielkie okna wystawowe zachęcały do odwiedzenia sklepu. Na budynku wyeksponowane zostały kartusze z monogramem „ES", a nad wszystkim górowała charakterystyczna kopuła. Po wojnie sprzedawano tu obuwie, stąd do tego miejsca przylgnęła nazwa „Dom buta". W 1990 roku podczas pożaru budynek uległ zniszczeniu, następnie został sprzedany. Nowi właściciele odrestaurowali go, nadając mu nowoczesną formę, jednak z zachowaniem dawnych charakterystycznych elementów. Na pewien czas do dawnego „Domu buta" powrócił handel, ale od wielu lat ten okazały obiekt znów stoi pusty.

Tuż za domem handlowym Schmechla powstało wtedy najbardziej okazałe w Łodzi kino „Odeon". Pierwsze projekcje filmowe w mieście datuje się na rok 1899, odbywały się one przy Piotrkowskiej 120, w pomieszczeniu dawnej restauracji Adolfa Fiszera. Prekursorami, którzy wprowadzili sztukę filmową do naszego miasta byli bracia Krzemińscy. Można uznać, iż było to pierwsze kino w Łodzi. Pierwsze kina, nazywane wtedy iluzjonami, miały charakter sezonowy, powstawały i znikały. Projekcje odbywały się przy akompaniamencie muzycznym. W uboższych kinach był to pianista akompaniator, u zamożniejszych właścicieli kin grały orkiestry. „Odeon" był kinem mieszczącym się w specjalnie na ten cel wzniesionym gmachu. Jego budowa rozpoczęła się w 1907 roku, a w październiku 1908 roku miały miejsce pierwsze projekcje. Budynek, zachowujący elementy secesji, składał się z dwóch części, przedniej i widowni. W części przedniej znajdowała się kasa, poczekalnia dla publiczności oraz kabina projekcyjna. Widownia liczyła 350 miejsc. Na szczycie fasady budynku wygiętej w łuk umieszczono odlew sowy, która stała się symbolem tego kina. Filmy do projekcji sprowadzano głównie z berlińskich biur wynajmu. Kina w Łodzi często zmieniały nazwy, najczęściej działo się to w momencie zmiany właściciela. Doświadczyło tego również kino „Odeon", które w 1938 roku stało się „Metrem", a po wojnie „Gdynią". W latach 80. funkcjonowało tu pierwsze w Łodzi kino non-stop. Później prowadzona była tu działalność handlowa, a obecnie trwa remont budynku.

„Casino" czyli elegancja

Po przeciwnej stronie ulicy, w Domu Majstrów Tkackich, w 1911 roku oddano do użytku kino „Luna". Również w tym samym czasie, przy Piotrkowskiej 67, powstało kino „Casino" (obecnie kino „Polonia"). Od początku swojego istnienie „Luna" i „Casino" stały się najbardziej reprezentacyjnymi kinami w Łodzi, jednocześnie rozpoczęły między sobą ostrą rywalizację o widzów. Właściciel kina „Luna" nie żałował pieniędzy na wystrój. Do kina, na pierwsze piętro wchodziło się po szerokich, marmurowych schodach, które prowadziły do obszernej poczekalni. Tu znajdował się duży taras, do dyspozycji widzów był bufet, działała również szatnia. Kino miało elektryczne oświetlenie i było ogrzewane parą. We wspomnianej już obszernej poczekalni organizowane były wystawy. W roku 1935 zmieniono nazwę kina na „Muza", a w 1936 na „Rialto". Po wojnie kino funkcjonowało pod nazwą „Wisła". Dziś nie ma już tam kina, budynek

przeszedł w prywatne ręce i prowadzona jest w nim inna działalność rozrywkowa – dyskoteka „Cabaret".

Na rogu Tuwima i Sienkiewicza (dawniej Dzikiej) stanął kościół pod wezwaniem Podwyższenia Świętego Krzyża. Historia budowy tego kościoła jest dosyć długa. Rozwój miasta zrodził koncepcję utworzenia drugiej parafii rzymskokatolickiej, która obejmowałaby zarówno Polaków, jak i niemieckich katolików. Wydawało się, że budowa ruszy szybko, jeszcze w latach 40. XIX wieku, ale na przeszkodzie stanęły problemy finansowe. Dopiero w połowie lat 50. architekt powiatowy Jan Karol Mertsching wykonał projekt i kosztorys. Podjęto również decyzję o lokalizacji świątyni. Miała się ona znajdować w narożniku ulic Dzikiej i Przejazd (obecnie Sienkiewicza i Tuwima). I znów nie rozpoczęto budowy, tym razem na przeszkodzie stanął architekt gubernialny Franciszek Tournelle, który doprowadził do odrzucenia istniejącego projektu Mertschinga i przeforsował swój własny. Wreszcie w 1860 roku prace rozpoczęto, lecz już w roku 1861 zostały wstrzymane, gdyż w Łodzi rozpoczął się kryzys bawełniany i zabrakło funduszy na budowę świątyni, do tego doszło jeszcze trwające powstanie styczniowe. W 1864 roku łódzki proboszcz, ksiądz Władysław Jakubowicz, za sprzyjanie powstańcom został zesłany na Sybir. Ostatecznie budowę kościoła zakończono w 1888 roku

i to dzięki znacznemu wsparciu łódzkich przemysłowców. Powstała trzynawowa bazylika na planie krzyża łacińskiego. Nad frontonem umieszczona została smukła, zgrabna wieża zwieńczona kopułą. Wokół niej ustawiono figury czterech ewangelistów. Fundatorem figur był Karol Scheibler. Ufundował również drewniany ołtarz główny oraz ołtarze boczne, także ambonę, organy i dzwony. Należy w tym miejscu przypomnieć, że Karol Scheibler był wyznania luterańskiego. Skupieni wokół kościoła Polacy i Niemcy wykazywali się dużą aktywnością społeczną i kulturalną. Sławne były chóry złożone z wiernych obu narodowości. Obecnie przy kościele działa między innymi Stowarzyszenie Rodzin Katolickich oraz Oddział Łódzki Stowarzyszenia Dziennikarzy Katolickich.

Dalej za świątynią, bliżej ulicy Kilińskiego, pod numerem 17, znajduje się bardzo oryginalny budynek, który należał do Otto Gehliga, przedsiębiorcy prowadzącego firmę zajmującą się budową domów. Zaniedbana ciemna elewacja powoduje, że jest on mało „widoczny". Jego odnowienie pozwoliłoby wydobyć wiele konstrukcyjnych i zdobniczych elementów. Budynek architektonicznie utrzymany był w stylu niemieckiego renesansu. Obecnie jest on prawie niewidoczny, gdyż już kilka lat temu został obłożony pilśniowymi płytami, co wskazywałoby na trwający tam remont. Budynek ten został wpisany do rejestru zabytków.

Po przeciwnej stronie ulicy posesja pod numerem 34 związana jest ze Stowarzyszeniem Robotników Chrześcijańskich. Na początku XIX wieku pracę oświatową prowadziły bractwa religijne, w tym powstałe w 1906 roku Stowarzyszenie Robotników Chrześcijańskich, powołane z inicjatywy księdza Jana Albrechta, założyciela Stowarzyszenia. Jan Albrecht urodził się w Tomaszowie Mazowieckim. Z Łodzią związany był od 1899 roku, gdy objął tu stanowisko proboszcza. W 1905 roku założył Stowarzyszenie Robotników Chrześcijańskich, w 1918 roku został patronem łódzkiego okręgu Stowarzyszenia, natomiast rok później był już patronem całego Stowarzyszenia. W roku 1910 ukończona została budowa Domu Ludowego przy ulicy Przejazd 34. Była to pierwsza w mieście placówka kulturalno-oświatowa, posiadająca własny lokal z przeznaczeniem na prowadzenie założonej przez siebie działalności. W budynku znajdowała się sala teatralna, biblioteka, sala posiedzeń i pokoje zebrań. Placówka działała do końca wojny. Po wojnie w miejscu tym istniał klub garnizonowy oraz kino „Oka". Obecnie budynkiem znów zawiaduje Stowarzyszenie, które udzieliło gościny Teatrowi Piccolo. Teatr Piccolo powstał w 1992 roku z inicjatywy aktorów Anny i Włodzimierza Wdowiaków. To jedyny prywatny teatr dla dzieci w Polsce mający tak długi staż. Od początku 2009 roku Teatr Piccolo, właśnie dzięki przychylności i współpracy ze Stowarzyszeniem Robotników Chrześcijańskich, znalazł swoją stałą siedzibę przy Tuwima 34, czyli w dawnym kinie „Oka".

Poczta główna

Szybki rozwój miasta na przełomie XIX i XX wieku wymusił usprawnienie działania poczty. Oprócz poprawiających funkcjonowanie posunięć organizacyjnych uznano, iż

zaistniała konieczność wybudowania nowego, funkcjonalnego gmachu dla tej instytucji. W 1899 roku zarząd poczt kupił od właściciela jednej z największych tkalni bawełny, Karola Hoffrichtera, plac u zbiegu ulic Przejazd i Widzewskiej (obecnie Kilińskiego). Za plac zapłacono 70 tysięcy rubli, natomiast cała budowa kosztowała około dwustu tysięcy. Projektantem budynku był inżynier Mikołaj Boczarow, budowę nadzorował architekt Dawid Lande. W 1903 roku swoją siedzibę znalazła tu poczta główna. Budynek ówcześnie znajdował się trochę na uboczu miasta, więc aby ułatwić mieszkańcom dostęp do usług pocztowych, konieczne stało się otworzenie kilku dodatkowych oddziałów. I tak do 1909 roku powstały trzy nowe w różnych punktach miasta.

Idąc dalej, za skrzyżowaniem z Kilińskiego, widzimy „rozciągnięty" wzdłuż ulicy Przejazd ciężki, ceglany, trzypiętrowy budynek. Jest to wybudowany w 1879 roku Dom Robotniczy zakładów przemysłowych Juliusza Heinzla. Heinzel swoje zakłady postawił na terenach pomiędzy ulicą Piotrkowską a Dziką. Były to atrakcyjne tereny w centrum miasta podlegające dosyć szybkiej urbanizacji. Ponieważ w momencie podjęcia decyzji o budowie mieszkań dla robotników w pobliżu zakładów nie było żadnych wolnych placów, stąd decyzja Heinzla o budowie domu robotniczego w pewnym oddaleniu, właśnie tu, na ulicy Przejazd przy Widzewskiej. Ceglana, urozmaicona ryzalitami elewacja, bardziej przypominająca elewacje powstających w tamtym czasie fabryk, kojarzona jest z architekturą Berlina tamtego okresu. Juliusz Heinzel już wcześniej korzystał z usług mającego związki z Berlinem architekta Otto Gehliga, istnieje więc duże prawdopodobieństwo, iż był on również projektantem tego budynku.

Duma miasta – elektrownia

Generalnie do początków XIX wieku miasto nie korzystało na szerszą skalę z energii elektrycznej. Do oświetlania ulic i ogrzewania wykorzystywano gaz. Co prawda istniały niewielkie elektrownie, ale zaopatrywały one w elektryczność maszyny w fabrykanckich manufakturach oraz częściowo domy przemysłowców. Istniała też niewielka elektrownia przy ulicy Tramwajowej, która zasilała w energię elektryczną uruchomioną w 1898 roku trakcję tramwajową. Wreszcie w 1906 roku u zbiegu ulic Przejazd i Targowej, Towarzystwo Elektrycznego Oświetlenia z siedzibą w Petersburgu rozpoczęło prace budowlane związane z budową nowej elektrowni. Na powierzchni czterech hektarów powstała maszynownia, rozdzielnia, urządzenia wyciągowe do węgla, magazyny i biura. We wnętrzu zadbano nie tylko o funkcjonalność, ale również i o estetykę stylu, wprowadzając wiele elementów secesyjnych. Zastosowano dekoracyjne okładziny z kafli, kute balustrady, a chcąc podkreślić charakter tego miejsca, do typowej ornamentyki roślinnej dodano motywy elektrycznych iskier. Wraz z elektrownią powstał efektowny budynek administracji i kas. Jest to piękny, funkcjonalny obiekt z przeszklonym dachem, o dosyć zwartej masywnej zabudowie. W środku duże wrażenie robi obszerna, wyłożona marmurem sala kasowa. Pierwsza energia z dwóch turbozespołów o mocy 1,3 megawata każdy, popłynęła we wrześniu 1907 roku. Później moc elek-

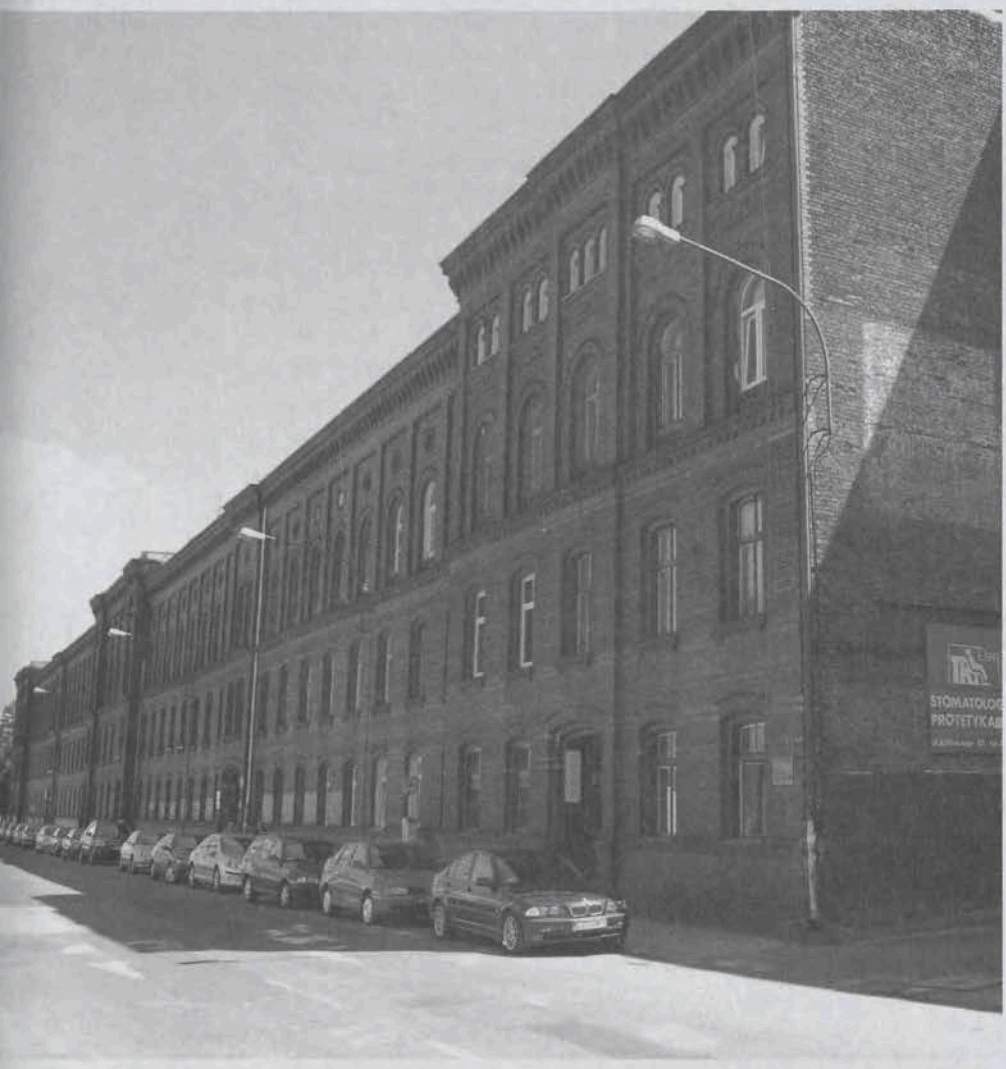

trowni wzrosła do 21 megawatów. Pierwsze uliczne latarnie zasilane energią elektryczną pojawiły się w 1908 roku na Rynku Nowego Miasta. Powstanie elektrowni pozwoliło w przemyśle na podłączenie nowych silników elektrycznych, zaś resztę energii można było przeznaczyć na oświetlenie mieszkań i ulic. W czasie I wojny światowej Niemcy wywieźli turbozespoły, zrabowali również ponad sto ton miedzianych i ołowianych kabli. Po zakończeniu wojny, po perturbacjach z ustaleniem kto ma być właścicielem elektrowni, utworzono Łódzkie Towarzystwo Elektryczne Sp. Akc., które zobowiązało się do przekazania miastu elektrowni po jej czterdziestoletniej eksploatacji. Towarzystwo zmodernizowało i rozbudowało elektrownię. W tym celu wykupiono tereny przy

ulicy Przejazd 46, gdzie mieściła się fabryka Icka Prusineckiego. W czasie II wojny światowej Niemcy nie zniszczyli elektrowni, gdyż Łódź została włączona w granice Rzeszy. Dopiero pod koniec wojny dokonano częściowego demontażu. Należy tutaj podkreślić, że w tamtym okresie łódzka elektrownia była jedną z największych i najnowocześniejszych w kraju. Po wojnie elektrownia została przekształcona w elektrociepłownię. Wymagało to kolejnej modernizacji, gdyż łódzkie zakłady potrzebowały dużej ilości pary technologicznej.

Tuwima jest obecnie jedną z bardziej znaczących ulic centrum Łodzi, nie łączy już, tak jak kiedyś, centrum miasta z jego wschodnimi rogatkami, kiedy to ulicą tą jeżdżono do Puszczy Łódzkiej po drewno. Bo Puszczy już dawno nie ma, jest tylko jej pozostałość – Park 3 Maja. Rogatki miasta też zdecydowanie bardziej przesunęły się na wschód. Niemniej jest to prawie dwa i pół kilometra historii.

Dariusz Kędzierski
– filmowiec; publicysta

Źródła:

1. Bazy online WiMBP im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Łodzi.
2. Bonisławski R., Podolska J., *Spacerownik*, Biblioteka „Gazety Wyborczej", 1998.
3. Budziarek M., *Łodzianie*, Wydawnictwo Literatura, Łódź 2000.
4. Duninówna H., *Gawędy o dawnej Łodzi*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1958.
5. Jarzyński E. A., *Tajemnice starych kamienic*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź, 1972.
6. Jaskulski M., *Stare fabryki Łodzi*, POMZ w Łodzi, ZORA, Łódź 1995.
7. Jordan W., *W kręgu łódzkiej secesji*, Wydawnictwo Literatura, 2006.
8. Konicki Z., *Ulice Łodzi – ulice w szachownicę*, wydawca Wojciech Grochowalski, Łódź 1995.
9. Kowalski W., *Leksykon łódzkich fabryk*, Wydawnictwo Literatura, 1999.
10. Krajewska H., *Życie filmowe Łodzi w latach 1896-1939*, PWN Warszawa-Łódź, 1992.
11. „Kronika Miasta Łodzi", 4/2007, 3/2008.
12. Pawlak W., *Na łódzkim bruku*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1986.
13. Pawlak W., *Patrząc na starą fotografię*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1981.
14. Pawlak W., *W rytmie fabrycznych syren*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1984.
15. Rosin R. red., *Łódź dzieje miasta*, t.1, PWN Warszawa-Łódź, 1988.
16. Stefański K., *Jak zbudowano przemysłową Łódź*, Regionalny Ośrodek Studiów i Ochrony Środowiska kulturowego w Łodzi, Łódź 2001.
17. Urbankiewicz J., *Muzy przy krosnach*, Wydawnictwo Łódzkie, 1970.
18. www.mojalodz.fora.pl/kamienice,37
19. www.unitop-optima.pl

Fot. Marek Strąkowski

Ulica Przejazd

ul. Struga 31

ul. Struga 33

ul. Struga 41

ul. Struga 42

ul. Struga 7

ul. Struga 11

Skrzyżowanie ulic Struga i Lipowej

Struga 16

ul. Struga 3

ul. Struga 13

ul. Struga 9

ul. Struga 84

ul. Struga 36

ul. Struga 44

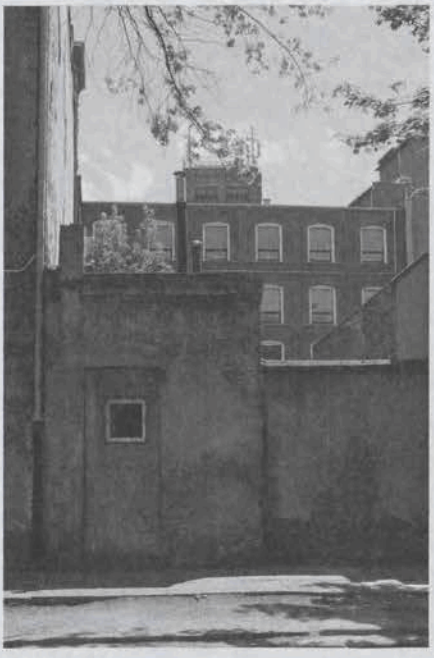

ul. Struga 78

ul. Struga 78

ul. Tuwima 5

ul. Tuwima 10

ul. Tuwima 4

ul. Tuwima 22/26

ul. Tuwima 17

ul. Tuwima 16

ul. Tuwima 3

ul. Tuwima 20

ul. Tuwima 30

ul. Tuwima 36

ul. Tuwima 38

Skrzyżowanie ulic Piotrkowskiej i Tuwima

ul. Tuwima 34

ul. Tuwima 98

ul. Tuwima 54/58

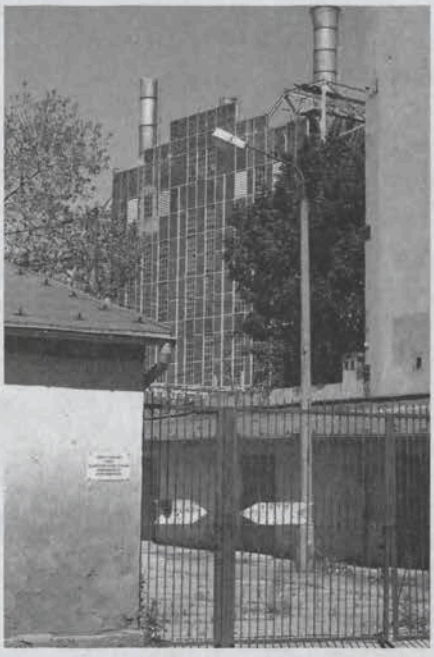

Widok z ulicy Tuwima na EC-1

Fot. Marek Strąkowski

Retkinia – wizja miasta w mieście

Wspomnienia projektantki największego osiedla

Miasto na retkińskich polach – tak w 1976 roku zatytułowano artykuł w jednym z łódzkich czasopism, ogłaszający rozstrzygnięcie konkursu na nową dzielnicę Łodzi. Autor tego artykułu nie poinformował, który zespół zwyciężył. Obok tytułu znalazł się jednak rysunek wizji przyszłej dzielnicy wykonany przez arch. Krystynę Krygier – uczestniczkę zwycięskiego zespołu – obok arch. Tadeusza Sumienia i arch. Szymona Waltera. Zwycięski zespół pracował w Miastoprojekcie Łódź-Miasto, w Wielobranżowej Pracowni Trzeciej.

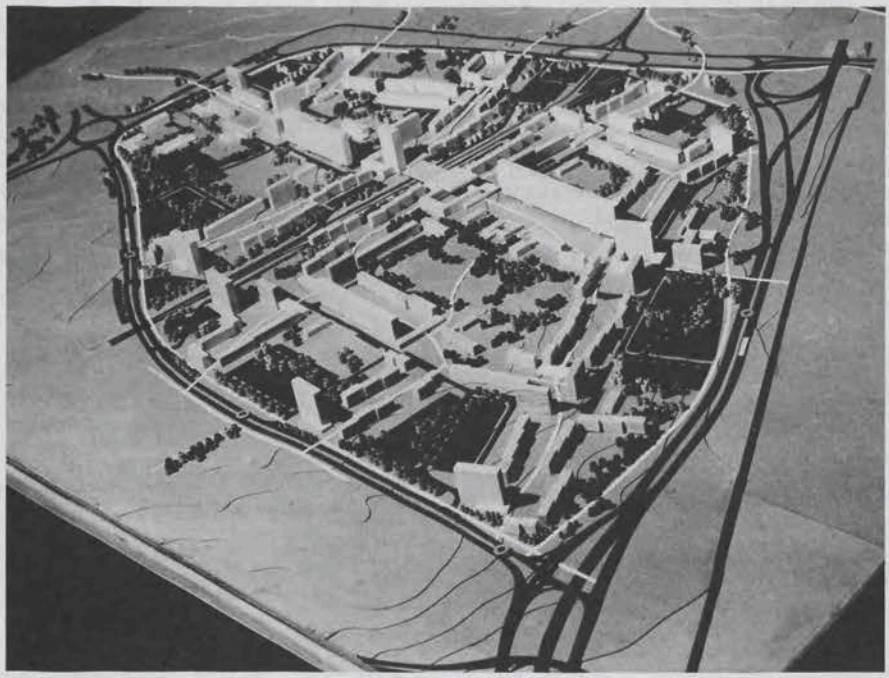

Makieta osiedla Retkinia-Wschód
Fot. archiwum autorki

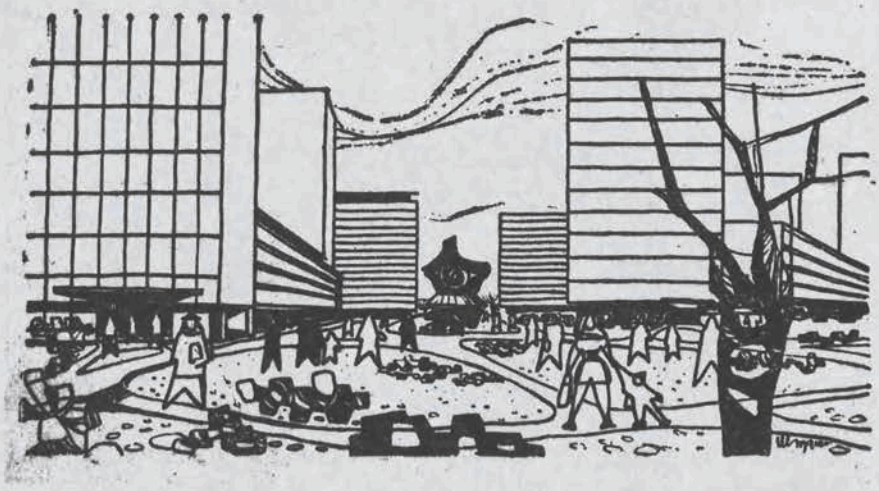

1.

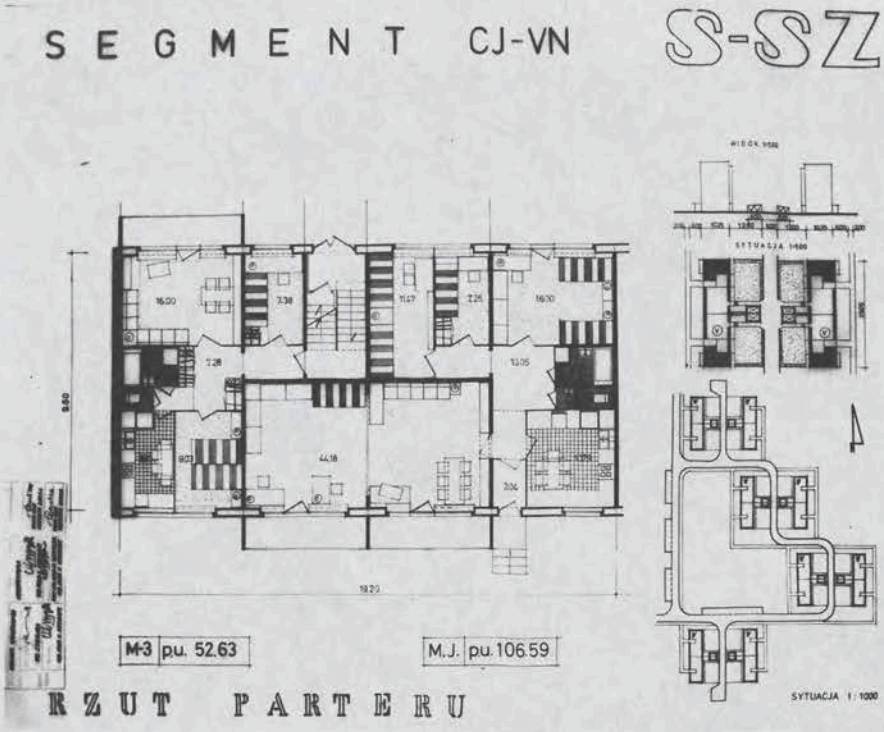

2.

1. Koncepcja pasażu handlowego (rys. Krystyna Krygier)
2. Rzut mieszkań realizowanych w systemie szczecińskim
Fot. archiwum autorki

Tereny, na których miała powstać dzielnica, zajmowała dawniej wieś Retkinia o starym rodowodzie historycznym. Pierwsza wzmianka o Retkini pochodzi z 1398 roku. Nazwa jej figuruje w spisie miejscowości, które znajdowały się w tym czasie w obrębie parafii pabianickiej.

Od północy projektowana dzielnica miała sąsiadować z ogrodem botanicznym i przewidywanym w przyszłości centralnym parkiem kultury. Od wschodu sąsiadem Retkini było osiedle Karolew. Wzdłuż południowej granicy przebiegała linia PKP Pabianice-Łódź. Od wschodu teren graniczył z projektowanym zgrupowaniem przemysłowo-składowym Smulsko.

Realizacją Retkini miała się zająć Spółdzielnia Mieszkaniowa „Polesie", a wykonawczo Łódzki Kombinat Budowy Domów. Prace projektowe prowadził zwycięski zespół w Miastoprojekcie Łódź-Miasto.

Głównym projektantem obiektów kubaturowych i zagospodarowania terenów została arch. Krystyna Krygier.

Powierzchnia przyszłej dzielnicy to około czterystu hektarów. Zabudowę przewidywano na około 70 tysięcy mieszkańców. Była to bardzo poważna skala przedsięwzięcia. Warto przypomnieć, że na przykład przedwojenny Radom liczył 60 tysięcy mieszkańców. Dla tej skali miasta przewidziano zatem górne granice usług

str. 3 Piesza kładka nad al. Wyszyńskiego
Fot. Barbara Gortat

przewidziane normatywem. Dla handlu wynosiło to czterysta metrów kwadratowych na tysiąc osób, a dla rzemiosła 220 metrów kwadratowych na tysiąc mieszkańców. Usługi z zakresu szkół podstawowych, przedszkoli, żłobków – miały być zgodne z ówczesnym normatywem urbanistycznym, z uwzględnieniem autonomiczności przyszłej dzielnicy.

Tak jak we wszystkich realizacjach miejskich lat 1945-89, nie brano pod uwagę prywatnej własności terenów. Wcześniej czy później miało się to okazać problemem trudnym do rozwiązania. Istniejące na Retkini-Wschód domy mieszkalne na działkach potraktowano jako rezerwy dla nowego budownictwa. Po tak zwanej „śmierci technicznej" istniejących tam obiektów – miały być wznoszone na wolnych terenach nowe bloki, zgodnie z planami poszczególnych etapów realizacji osiedli.

W celu sprawnego funkcjonowania komunikacji – zaprojektowano w osi pasmowego układu dzielnicy – linię szybkiego tramwaju, usytuowanego w wykopie. To obecna ulica kardynała Wyszyńskiego. Powstałe w ten sposób dwie części terenów osiedlowych zostały połączone w projekcie kładkami dla pieszych, przerzuconymi poziomo nad wykopem. Powstałe kładki miały być powiązane z centrami handlowymi. Główny ruch samochodowy i autobusowy miał być przeniesiony na drogi okalające dzielnicę. Ruch wewnętrzny kołowy został rozwiązany systemem pętlowo-sięgaczowym. Miejsca postojowe dla samochodów w ilości dwustu miejsc na tysiąc mieszkańców zlokalizowano głównie przy ulicach miejskich. W późniejszym okresie przewidywano budowę piętrowych parkingów, co dałoby możliwość zwiększenia ilości miejsc parkingowych do trzystu na tysiąc mieszkańców. Na terenach *stricte* mieszkaniowych przewidziano parkingi na krótkie postoje.

Z obserwacji obecnego systemu zagospodarowania terenu Retkini wynika, że tak założony system komunikacji działa sprawnie. Dojście do przystanków tramwajowych lub autobusowych nie przekracza 200-300 metrów odległości. Dlatego dzielnica odległa od centrum Łodzi w kilometrach, okazała sie nieodległa w czasie. Kilka linii tramwajowych łączy centrum miasta z tą dzielnicą, aż do krańcówki osiedla, z możliwością przesiadania się z tramwaju na autobus i odwrotnie.

al. Wyszyńskiego, widok w kierunku zachodnim
Fot. Barbara Gortat

Opisany układ komunikacyjny zdeterminował ilość jednostek mieszkaniowych i oczywiście wpłynął w jakimś stopniu na charakter poszczególnych osiedli. Retkinia-Wschód z pewną ilością istniejących i zaadaptowanych uliczek nawiązuje do pierwotnego układu osiedla. Retkinia-Śródmieście ma stanowić centrum całej nowej dzielnicy i wyróżniać się jako jej dominanta przestrzenna. Retkinia-Zachód to dwie jednostki – północ i południe, charakteryzujące się dużymi obszarami zielonymi.

Zastosowany system budownictwa mieszkaniowego zwany „systemem szczecińskim", przy niechęci producenta prefabrykatów do zmian, dawał małe możliwości indywidualizacji poszczególnych budynków mieszkaniowych. Niezależnie od oporów wykonawcy udało się jednak nieco tych zmian wprowadzić. Przy założeniu, że część usług wbuduje się w partery budynków, można było przyjąć, że to wpłynie na wygląd przynajmniej niektórych obiektów. Również kształt płyt balkonowych został zmieniony. Uzyskał też akceptację pięciokondygnacyjny budynek punktowy. Zastosowany w kształtowaniu zespołów mieszkaniowych kontrastuje pozytywnie z długimi, wysokimi blokami.

Opisane tu tworzywo architektoniczne pozwoliło autorom tego osiedla-dzielnicy stworzyć dość zróżnicowane formy zabudowy w skali urbanistycznej. Pozwoliło też w pewnym stopniu formować sylwety osiedli i tworzyć sylwetkę całej

str. 5 Współczesny widok osiedla Retkinia
Fot. Barbara Gortat

Współczesny widok osiedla Retkinia
Fot. Barbara Gortat

Retkini. Wszystko to w bardzo skromnym wymiarze i przy zastosowaniu jednej, dostępnej wówczas technologii.

Jednak niezrealizowanie głównych ośrodków usługowych w kształcie zamierzonym, zubożyło strukturę osiedli nie tylko pod względem programowym i estetycznym, ale także zdeformowało w pewnym stopniu zamierzone przez autorów spójnie przestrzenne między północą, a południem Retkini. Utworzył się w ten sposób mocny podział na północ i południe, a osłabił podział na wschód i zachód. Program usługowy został także znacznie zubożony. Jedyną zaletą zakłócenia założeń realizacji usług, mogą się okazać korekty tych programów, być może dostosowane trafniej do bieżących potrzeb mieszkańców. Trzeba bowiem dodać, że wznoszone pawilony usługowe wprowadzają niekiedy chaos urbanistyczny – sprzeczny z usiłowaniami autorów wprowadzenia i kultywowania ładu przestrzennego.

Do zakładanego wówczas programu integracji rodzin mogły się przyczynić mieszkania wielopokoleniowe. Zasadą ich tworzenia było łączenie dwóch niezależnych mieszkań. W jednym mieszkaniu mieli zamieszkać rodzice z dziećmi, w drugim dziadkowie. Obydwa mieszkania mogły być połączone wspólnym przedpo-

str. 7 | Retkinia - lata 70. Fot. archiwum autorki

kojem. Dziadkowie-emeryci mogli opiekować się swoimi wnukami, gdy rodzice w tym czasie pracowali. Był to niewątpliwie wybieg umożliwiający powiększenie przestrzeni życiowej rodziny, omijający sztywne normatywy. Pomimo akceptacji społecznej program ten nie został zrealizowany.

W Retkini Centrum-Południe znajdował się niewielki kościół wystarczający dla mieszkańców dawnej wiejskiej Retkini. Zgodnie z założeniami projektowymi, kościół ten został rozbudowany stosownie do nowych potrzeb. Autorem skorygowanej architektury tej świątyni jest arch. Marian Sordyl, a konstruktorem inż. Janusz Frey. Obecne wnętrze kościoła charakteryzuje się ukośnymi filarami podtrzymującymi kolisty układ nawy głównej. Całkowicie nowym obiektem sakralnym o dużych założeniach programowych jest kościół wybudowany w części zachodnio-południowej Retkini, tuż przy trasie autobusowej okalającej całą Retkinię, to jest przy ulicy ks. J. Popiełuszki.

Jak już wspomniałam, każde z osiedli miało mieć swój odrębny wyraz uzyskiwany różnymi sposobami i różnym „tworzywem urbanistycznym". Chodziło tu o powstanie miejsc „gdzie można się spotkać". Autorzy liczyli, że dzięki odpowiedniemu programowi usługowemu tym miejscem będzie Retkinia-Centrum. Szukano też sposobu na takie formowanie przestrzeni osiedlowej, przełamując unifikację architektury – tak, aby ułatwić mieszkańcom identyfikacje miejsca. Stąd konieczność stosowania różnych zasad dla każdej części dzielnicy.

W zespole Retkinia-Wschód przewidzianym dla około 23 tysięcy mieszkańców, układ zabudowy podporządkowany został ulicy pieszej z usługami i placami zabaw dla dzieci. Każdy z budynków mieszkalnych usytuowanych w tym ciągu sąsiaduje jedną elewacją z dużym fragmentem zieleni. Strefa mieszkaniowa zespołu Retkinia-Śródmieście, licząca około 13 tysięcy mieszkańców, została rozwiązana według innej zasady. Dominuje tu ciąg liniowy zabudowy, doprowadzający ruch do centralnego ośrodka usługowego, spinającego północ i południe Centrum. Zespół Zachód (33 tysięcy mieszkańców) tworzą dwa osiedla wolne od ulic przelotowych. Zwrócić należy uwagę, że wielofunkcyjne centra oświatowe – szkoły, przedszkola, żłobki – zgrupowane na zasadzie łączenia obiektów terenowych, miały służyć optycznemu powiększeniu terenów zielonych wewnątrz osiedli i łagodzić działanie kubatur przesłaniających wolną przestrzeń.

Formowanie siedlisk mieszkaniowych według różnych zasad ma wpływ na wiele czynników utylitarnych, estetycznych, a co za tym idzie, na tworzenie indywidualnego charakteru zamieszkiwanych obszarów. Jeśli więc można tu mówić o próbie autorskiej indywidualizacji, to sprowadza się ona do prób uzyskiwania kontrastowych relacji grup przestrzennych bardziej eksponowanych z fragmentami podporządkowanymi.

Trudno przyjąć, że unifikacja architektury może stanowić jakiś rodzaj piękna, pewnie tylko w oparciu o zasadę, że kryteria estetyki są zmienne, gdy tracą

na znaczeniu stare, wypróbowane kanony estetyki. Wzorów tego rodzaju coraz bardziej brak. Architektura Corbusiera obecnie nie znajduje już uznania. Zasady Bauhausu to też już klasyka nowoczesności i ładu.

Niewątpliwie jedyną pewną wartością tak wznoszonych osiedli okresu PRL-u były oddawane do użytku mieszkania. W ocenie użytkowników mieszkanie w blokach górowało nad mieszkaniami budowanymi wcześniej dobrym wyposażeniem sanitarnym i zadbanym otoczeniem.

Jednakże złe strony starej substancji mieszkaniowej nie zwalniały autorów osiedli z okresu PRL-u od postrzegania wielu wad charakterystycznych dla wznoszonych wtedy struktur przestrzennych. Dogłębna analiza tych wad być może pozwoli na usuwanie lub unikanie nieprawidłowości już zaistniałych. Możliwe jest przecież podnoszenie estetyki przez staranne pielęgnowanie terenów wypoczynkowych czy wprowadzenie cech indywidualnych do istniejącej zabudowy.

Fakt, że dzielnica Retkinia, mentalnie duża wieś, posiada niezbędne usługi w zasięgu ręki i jest dzięki temu autonomiczna w stosunku do Łodzi jako centralnej metropolii, podnosi jej walory użytkowe. Takie miasto w mieście to Retkinia.

Domy na Retkini montowano z elementów wielkopłytowych. Każda płyta to element jednocześnie konstrukcyjny, łączony tak zwanymi węzłami. System dość sztywny, ale jednak dający pewne możliwości projektowania mieszkań dość funkcjonalnych, a to dzięki prawidłowo rozmieszczonym w płytach otworom okiennym i drzwiowym. Oczywiście, ilość metrów kwadratowych wypływała z normatywu wówczas obowiązującego, ale była korzystniejsza niż w wielu innych ówczesnych systemach. Zgodnie z potrzebami wiele parterów budynków zostało zaprojektowanych na różnego rodzaju usługi lub mieszkania wielopokoleniowe (niezrealizowane).

Trudno mówić o odbiorze emocjonalnym zrealizowanej dzielnicy przez mieszkańców i przypadkowych bywalców. Badań tego rodzaju nie przeprowadzono, choć przy tej skali osiedla byłyby wskazane i być może dałyby interesujące wyniki. To, co na ten temat można dzisiaj powiedzieć, wynika z przypadkowych kontaktów z mieszkańcami. Czasem daje do myślenia otoczenie budynków realizowane przez samych mieszkańców. Na przykład posadzenie niezwykle starannie pielęgnowanych żywopłotów, wystrzyżone trawniki, ciągi piesze nierozdeptane i niezaśmiecone. W takich miejscach wyczuwa się bezpośredni emocjonalny związek nie tylko z wnętrzem mieszkania, ale i z otoczeniem.

Widziałam wieloklatkowy budynek na Retkini-Zachód, ozdobiony rysunkami roślin, ryb itp. Jeśli nie wykonał tego mieszkaniec-artysta, to zapewne koszty wykonania rysunków ponieśli mieszkańcy. Podobno przez długi czas przyjeżdżały wycieczki, aby obejrzeć ten budynek.

Najczęściej Retkinię określa się jako „wielką wieś". Wokół istnieją nadal duże zespoły zieleni – sąsiedztwo parku na Zdrowiu, ogród botaniczny i zoo, i jest nadzieja na teren sportu i rekreacji na północ od Retkini.

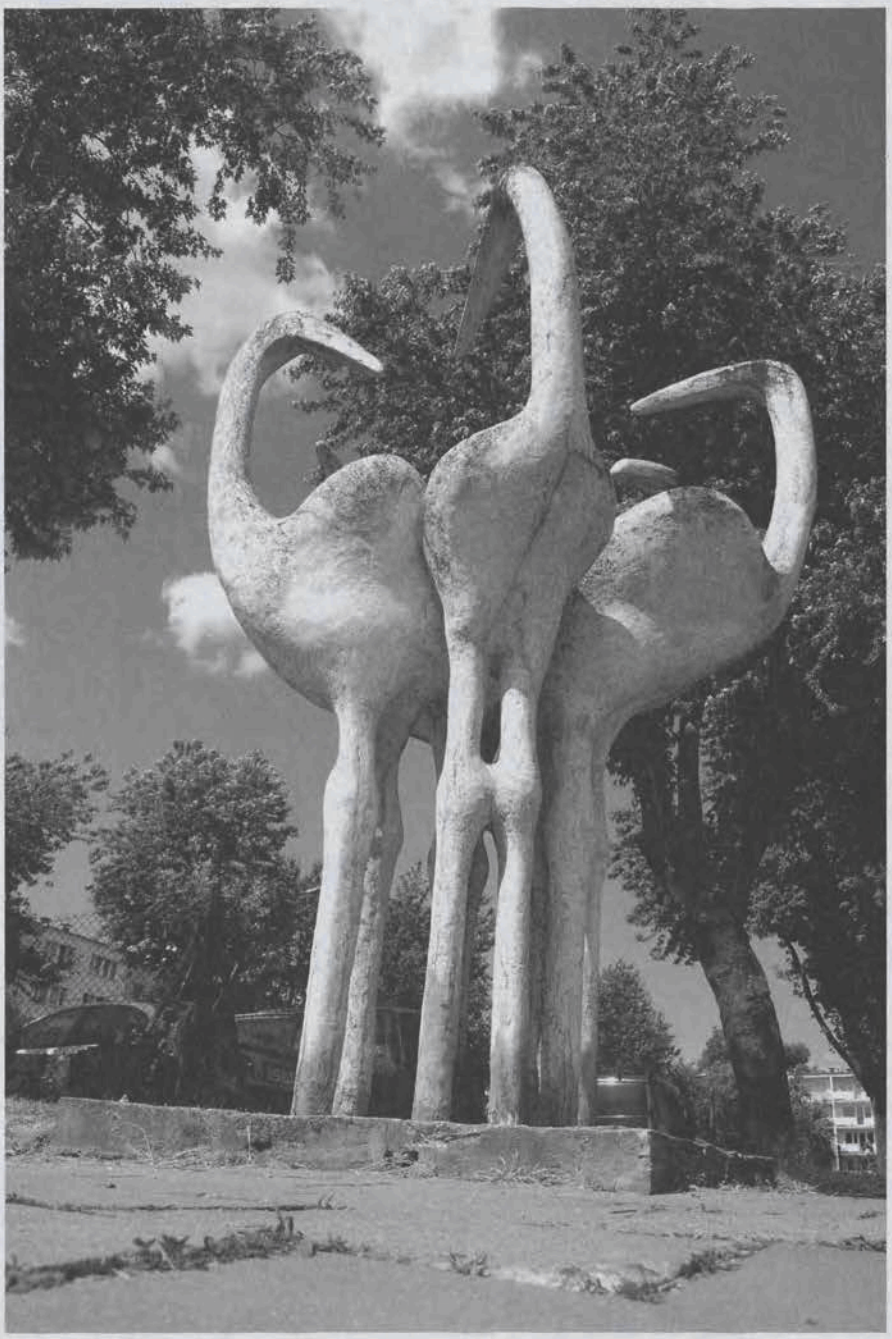

Bociany
Fot. Barbara Gortat

U wylotu ulicy kardynała Wyszyńskiego, głównej arterii komunikacyjnej Retkini, przybywających witają „Bociany", a symbolem więzi rodzinnej jest pomnik „Kobiety matki". Autorem rzeźb jest łódzki artysta Michał Gałkiewicz.

Ostatnio przybył tu pomnik kardynała Wyszyńskiego, zlokalizowany przy ulicy jego imienia. Wjazd od „miasta do miasta" został zaakcentowany wyraziście, a tematyczne akcenty – rzeźby, związane są ze społeczną treścią osiedla.

Patrząc na Retkinię po latach mam mieszane uczucia. Można było lepiej zaprojektować, a jeszcze lepiej i staranniej realizować. Ale istnieją mieszkania, istnieją usługi dla potrzeb mieszkańców, a dzielnicę otaczają wspaniałe zespoły zieleni. Jest dobre powietrze, jeszcze nieskażone.

Może jest to więc wieś, ale zaopatrzona w struktury wielkomiejskie. Współpraca moich kolegów architektów i projektantów pozostałych specjalności okazała się tu niezbędna i pożyteczna. Jestem nadal wdzięczna wszystkim kolegom współpracującym ze mną przy powstawaniu Retkini.

Krystyna Krygier
– architekt

recenzje

Na obrzeżach Łodzi
Niekrótka historia Rudy Pabianickiej
Dariusz Kędzierski
str. 243

Na obrzeżach Łodzi

Niekrótka historia Rudy Pabianickiej

Nakładem Domu Wydawniczego „Księży Młyn" ukazała się książka napisana przez Anetę Stawiszyńską pod tytułem *Ruda Pabianicka. Echa przeszłości.* Autorka w swojej publikacji zajęła się południowym fragmentem Łodzi, znanym pod nazwą Ruda Pabianicka. Publikacja stawia sobie za cel przybliżenie czytelnikowi rejonu miasta, którego historia nie jest wcale taka oczywista.

Przed omówieniem tej wartościowej pozycji wydawniczej warto poświęcić kilka słów jej wydawcy. Dom Wydawniczy „Księży Młyn" – notabene właśnie tam, na terenie dawnego poszajblerowskiego osiedla robotniczego, mieści się siedziba redakcji – działa od 2007 roku, chociaż jego korzenie sięgają jeszcze roku 1995, kiedy to na edytorskiej mapie Łodzi pojawiło się Wydawnictwo „Piątek Trzynastego". To z niego w 2007 roku narodził się „Księży Młyn". Wydawnictwo działa w ramach gospodarki rynkowej i otwarte jest na wszelkie publikacje, które w ocenie jego właściciela mogą zainteresować potencjalnych czytelników. Nie sposób jednak nie zauważyć, iż pomimo niezbyt długiego stażu, wydawnictwu udało się ulokować na księgarskim rynku sporo pozycji poświęconych naszemu miastu oraz łódzkiemu regionowi. Głównie są to książki odnoszące się do historii Łodzi; historii zarówno tej bardziej, jak i tej mniej odległej. Wydawnictwo pozyskało do współpracy cenionych znawców i miłośników historii Łodzi. Promuje również debiutantów, rozpoczynających literacką przygodę. Wysiłki popularyzatorskie „Księżego Młyna" często wspiera Urząd Miasta, co bez wątpienia wpływa na ilość i jakość publikacji.

Wróćmy jednak do omawianej książki. Aby łatwiej było czytelnikowi poruszać się po zakamarkach miasta, autorka zadbała o umieszczenie przedwojennego planu miejscowości. Oprócz dawnej mapy, w książce znajdują się przedstawione w formie tabelarycznej dawne i obecne nazwy ulic. Zamieszczono również nazwy działających na tym terenie związków sportowych i religijnych, organizacji społecznych i politycznych, a także różnych stowarzyszeń. Obszerna bibliografia oraz lista osób, którym autorka dziękuje za pomoc przy tworzeniu książki, świadczą o bogactwie źródeł, z których korzystała.

Książka jest wydana w stylu albumowym. Estetycznie wykonana sztywna oprawa sprawia, że okładka jest atrakcyjna dla oka, a dobry papier powoduje, że z przyjemnością bierze się ją do ręki. Z racji *quasi* albumowego charakteru zawiera

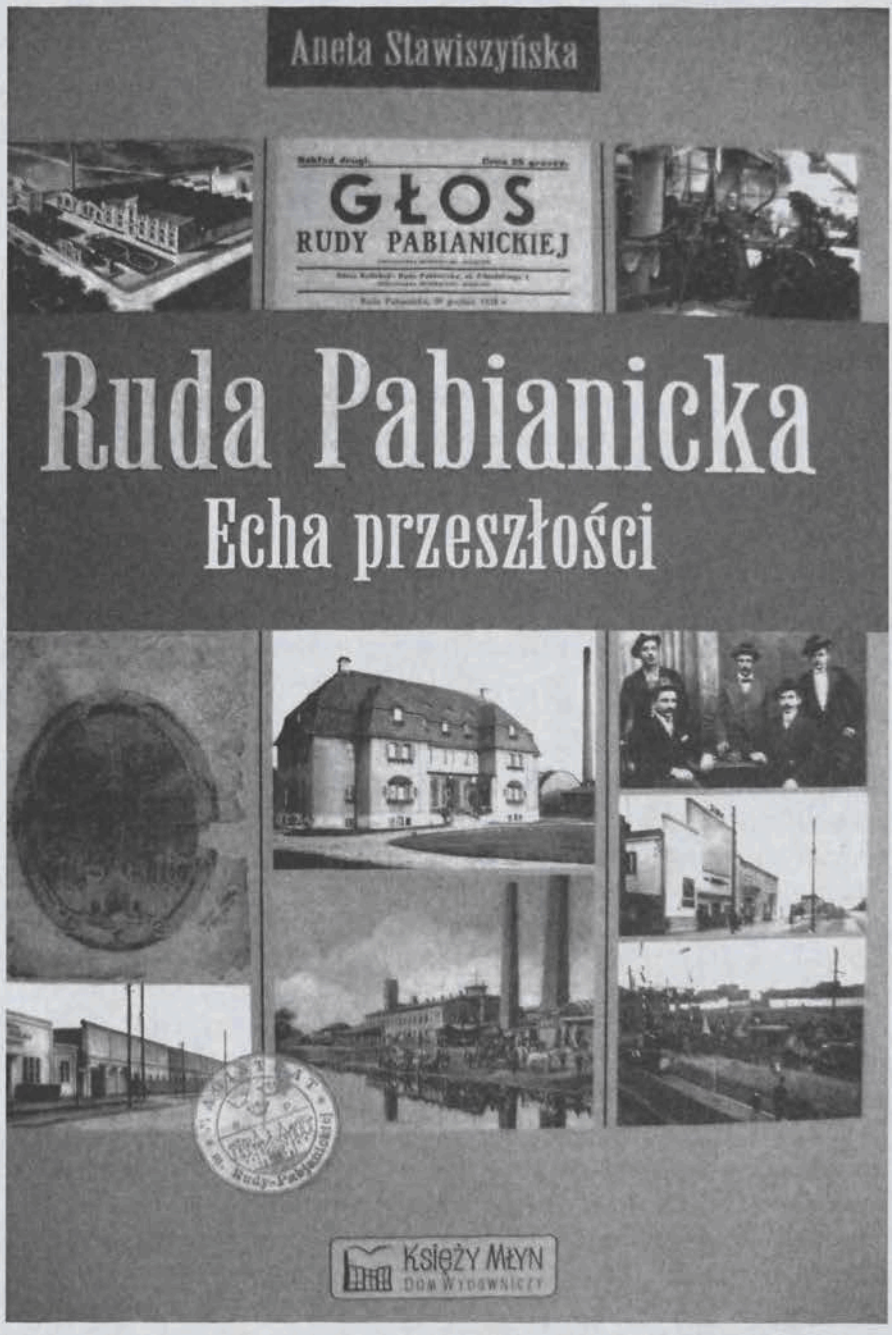
Aneta Stawiszyńska
GŁOS
RUDY PABIANICKIEJ
Ruda Pabianicka
Echa przeszłości
Księży Młyn
Dom Wydawniczy

dużo zdjęć archiwalnych i współczesnych. Duży format edycji sprawia, że ilustracje są czytelne i jednocześnie stanowią znakomite uzupełnienie treści zawartych w tekście. Mecenasem książki jest firma „Protekt", która mieści się w największej niegdyś działającej w Rudzie fabryce, czyli w dawnych zakładach Adolfa Horaka. Korzystanie z usług sponsora nie spowodowało jakiegoś szczególnego potraktowania go w treści publikacji, nie został on wyróżniony w jakiś znaczący sposób i czytelnik nie odnosi wrażenia, że książka natrętnie przypomina komu zawdzięcza swoje powstanie. Umieszczone zostało wyłącznie duże zdjęcie zakładów z logo firmy, bez żadnych peanów na cześć sponsora. Ogólnie rzecz biorąc książka prezentuje się bardzo estetycznie i po przerzuceniu kilku kartek zachęca do dalszej lektury. Lektury niezmiernie ciekawej, bo jest to pierwsza tak obszerna publikacja poświęcona Rudzie Pabianickiej.

Rodzi się pytanie, dla kogo jest ta książka ? Na pewno dla osób, które historia Rudy żywo interesuje. Zapewne też dla tych, którzy mieszkają tu od lat i będą mogli porównać, to co pamiętają, z tym co przeczytali. Daje ona szansę przypomnienia sobie wielu miejsc i faktów. Jest to także książka dla takich łodzian jak ja, którzy często w Rudzie bywali, nie zgłębiając szczególnie jej historii. Ruda Pabianicka jest mi na tyle bliska, jak bliska jest odległość mojego miejsca zamieszkania od nasypu torów Kolei Obwodowej, przy którym spędzałem dzieciństwo, a który przez wiele lat stanowił granicę miedzy Rudą Pabianicką a Łodzią. Tak więc dla tych, którzy o Rudzie niewiele wiedzą, książka będzie stanowiła pokaźne źródło informacji, a myślę, że wielu znajdzie tam sporo zaskakujących ciekawostek. Znawcy Rudy i ludzie w niej rozkochani, dysponujący na jej temat obszerną wiedzą, mogą poczuć pewien niedosyt: ramy faktograficzne tej publikacji nie są zbyt szerokie. Jednak dla przeciętnego czytelnika książka będzie stanowiła doskonały materiał poznawczy poświęcony tej części Łodzi.

Może więc nie tylko dla rudzian, ale również dla wielu mieszkańców Łodzi, odkryciem będzie fakt, iż korzenie Rudy Pabianickiej sięgają zamierzchłych czasów, a pierwsza wzmianka o niej pochodzi z XIV wieku. Drugą zaskakującą informacją będzie to, iż Ruda przez wiele lat stanowiła odrębny od Łodzi organizm miejski. Najpierw nieformalnie, a od 1923 całkiem oficjalnie, gdyż na mocy rozporządzenia Rady Ministrów Ruda Pabianicka w tym właśnie roku uzyskała prawa miejskie – dokładnie 500 lat po wpisaniu Łodzi w poczet miast polskich. Autorka wyjaśnia wnikliwie etymologię nazwy miejscowości. Przywołuje tez postacie z Rudą związane. Zaskoczenie budzi osoba Ludwika Geyera. Większość łodzian kojarzy tego znanego łódzkiego fabrykanta, kładącego podwaliny pod rozwój przemysłu w naszym mieście, wyłącznie z produkcją włókienniczą. Był on pierwszym wielkim łódzkim fabrykantem, prekursorem mechanizacji – to on jako pierwszy wprowadził do produkcji maszynę parową. W tym kontekście dla wielu dużym zaskoczeniem będzie informacja, iż był on właścicielem znacznej części Rudy, inwestującym w przetwórstwo buraków i produkcję cukru i spirytusu. Co wyszło z tych zamierzeń i jak dalej potoczyły się losy Geyera, dowie-

my się z lektury książki. Tego typu różnych odkrywczych zdarzeń z życia Rudy Pabianickiej znajduje się w książce znacznie więcej.

Sporo miejsca autorka poświęca rodzinie Horaków – założycielom największej w Rudzie fabryki włókienniczej. Zamieszczone zostały zdjęcia prezentujące zarówno historię fabryki, jak również ród rudzkich przemysłowców.

Autorka przybliża także niektóre fabrykanckie rodziny, które w znaczący sposób przyczyniły się do rozwoju przemysłu na terenie Rudy. Pokrótce opisuje losy Meisterów, Baierów, Horaków, Hausmanów, Biedermannów. Dowiadujemy się, że nie tylko samym pomnażaniem stanu posiadania zajmowali się łódzcy przemysłowcy. Wielu należało do różnego rodzaju stowarzyszeń, wspomagali również finansowo organizowane w mieście akcje charytatywne. Równie ciekawe jest zachowanie się klasy przemysłowej w czasie okupacji i jej stosunek do ludności polskiej.

Z dokładnie opracowanej struktury narodowościowej Rudy sprzed drugiej wojny wynika, że w przeciwieństwie do Łodzi, ludność żydowska stanowiła tam zaledwie kilka procent populacji.

Z książki, oprócz wiadomości o historii Rudy, pozyskamy wiadomości o szczegółach życia jej mieszkańców: gdzie i do jakich szkół uczęszczali, jakiego byli wyznania, gdzie spędzali wolny czas, gdzie pracowali i jaka była skala lokalnej migracji.

Niewątpliwie zabrakło rozwinięcia faktu uzyskania przez Rudę praw miejskich. Dla każdego miasta zmiana statusu z wiejskiego na miejski jest jakimś rodzajem nobilitacji i zapewne jest to szczególne wydarzenie dla jego mieszkańców. Zwykle potem bardzo uroczyście obchodzone są kolejne rocznice związane z tym faktem. W publikacji brakuje też przedstawienia emocjonalnego podtekstu jaki musiał towarzyszyć temu wydarzeniu. Jaki był powód starań mieszkańców Rudy o zmianę kwalifikacji formalnej miejscowości? Czy chcieli zaakcentować swoją odrębność, czy też ze względów czysto pragmatycznych? Przecież włodarze miasta jasno zdawali sobie sprawę z faktu – o czym autorka pisze – że szybko rozwijająca się Łódź bez wątpienia wchłonie Rudę. Czy nie lepiej było od razu dążyć do tego, aby stać się częścią Łodzi?

Jak podaje autorka Ruda stanowiła dla Łodzi pewien rodzaj zaplecza rekreacyjnego. Tu znajdował się tor wyścigów konnych, bywali na nim członkowie najbardziej znanych łódzkich rodzin: Barcińskich, Biedermannów, Grohmanów, Kindermannów, Poznańskich. Tu również znajdowały się Stawy Stefańskiego – dlaczego Stefańskiego? O tym w książce. Nad tymi popularnymi zbiornikami wielu łodzian chętnie spędzało wolny czas, tym bardziej, że w Łodzi była to szczególna atrakcja z racji braku większej ilości odpowiednich kąpielisk. Natomiast zamożni łodzianie chętnie budowali w lasach rudzkich swoje letniskowe, ale bardzo okazałe wille.

Pomimo korzystania przez autorkę z tak wielu źródeł, nie udało się uniknąć nieścisłości. Po ukazaniu się publikacji na forum internetowym, rozgorzała dyskusja zwolenników i przeciwników książki. Jedni uważali, że pozycja z powodu

znajdujących się w niej pomyłek nie spełnia swojego popularyzatorskiego zadania. Inni sądzili, że nie jest to aż tak istotne. Jeszcze inni dostrzegali niedoskonałości publikacji, ale bardziej skłaniali się ku stwierdzeniu, że bezsprzecznie jest ona bardzo potrzebna. Rudzianie, czemu się trudno dziwić, podchodzą do wszystkiego co z Rudą związane bardzo emocjonalnie i wszelkie, nawet drobne odstępstwa, są natychmiast zauważane. Ot choćby takie przykłady: czy ulica Łączna to Niedziałkowskiego, a może Daszyńskiego? Którego dnia września 1939 roku – 13 czy 19 – i czy w ogóle, Hitler odwiedził Rudę, a konkretnie zakłady Horaka? Czy burmistrz nazywał się Dółko, Dółka a może Dułka? No cóż, jeżeli któryś z czytelników stwierdzi, iż rozwiązanie tych wątpliwości jest dla niego szalenie istotne, to będzie musiał poczekać na wydanie leksykonu o Rudzie. Może nawet napisanego przez członków Klubu Sympatyków Rudy Pabianickiej, którzy dysponują ogromną wiedzą na jej temat .

Książka Anety Stawiszyńskiej *Ruda Pabianicka. Echa przeszłości* pomimo, że zawiera ogromną ilość informacji, leksykonem na pewno nie jest, oferuje natomiast odpowiednią porcję wiadomości dla kogoś, kto nigdy po bardziej szczegółową publikację nie sięgnie, ale odpowiednio zachęcony, zechce zaspokoić swoją ciekawość na temat tej części Łodzi.

Niektórzy rudzianie czują niedosyt po przeczytaniu tej książki. Podawane są propozycje tego, co jeszcze należałoby w niej zamieścić. Zdaniem wielu książka zawiera zbyt mało zdjęć. W opinii innych brakuje dokładnych informacji o mieszkańcach Rudy, żyjących tutaj od pokoleń. Ta gorąca polemika wskazuje na to, jak bardzo ta książka była potrzebna, oraz że spełniła zadanie w sposób znakomity. Wywołała dyskusję, co w przyszłości może zaowocować bardziej obszerną pracą na temat Rudy. Palma pierwszeństwa należy się jednak Natalii Stawiszyńskiej. Pierwsza wzmianka o Rudzie Pabianickiej pochodzi z XIV wieku, a pierwsza książka o niej ukazała się dopiero po ponad sześciuset latach. Jest jednak szansa, że następna publikacja pojawi się znacznie szybciej.

Dariusz Kędzierski
– filmowiec, publicysta

Aneta Stawiszyńska, *Ruda Pabianicka. Echa przeszłości*, Dom Wydawniczy „Księży Młyn", 2009.

Sprostowanie

W Nr 1/49/2010 „KMŁ" pod artykułem Mateusza Sidora *Fabryka nad Łódką* wskutek błędu podczas składania tekstu, na ostatniej stronie zabrakło spisu bibliografii wykorzystanej przez autora. Naprawiając błąd, zamieszczamy poniżej ten spis, przepraszając jednocześnie Autora artykułu oraz Autorów wyszczególnionych w pominiętej bibliografii. Jednocześnie dziękujemy naszej Czytelniczce p. Wandzie Kuźko, autorce monografii *Biedermannowie: dzieje rodziny i fortuny 1730-1945* za zwrócenie uwagi na to uchybienie.

1. *Biedermann Peter. Czuję po polsku*, Dziennik Łódzki 1997 nr 99.
2. Bonisławski R., *Łódzcy „królowie bawełny" w Czeladzi*, Kalejdoskop 2005, nr 11, s. 45.
3. Budziarek M., *Łodzianie*, Łódź 2000.
4. Kozerawska M., Podolska J., *Pielęgnacja grobu: według życzenia*, „Duży Format" 2008, 15 stycznia.
5. Kusiński J., Bonisławski R. i Janik M., *Księga Fabryk Łodzi*, Łódź 2010.
6. Kuźko W., *Biedermannowie: dzieje rodziny i fortuny 1730-1945*. Łódź 2000.
7. *Skarby Łodzi*, przewodnik, wyd. UMŁ 2009.
8. Skrzydło L., *Rody fabrykanckie*, Łódź 1999.
9. Strzałkowski J., *Biedermannowie*, Łódź 1999.
10. Urbaniak A., *Pałac Roberta Biedermanna*, „Dziennik Łódzki" 1992 nr 39.
11. Wojciechowski A., *Ewangelicy w Łodzi*, „Kronika Miasta Łodzi" 1996 z. 2.
12. Żeberkiewicz A., *Alfred Biedermann, zdolny syn biznesmena*, „Magazyn Łódzki Klub Biznesu", 2004, nr 1.

Redakcja

Z łódzkiego raptularza

KWIECIEŃ 2010

1 kwietnia

→ Do grona stuletnich mieszkanek Łodzi dołączyła Janina Izydorczyk. Jubilatkę odwiedzili przedstawiciele władz miasta z listami gratulacyjnymi i upominkami.

→ Pełniący obowiązki Prezydenta Miasta Łodzi Tomasz Sadzyński wprowadził znaczne zmiany w Urzędzie Miasta. Zwolnił 26 osób i zmienił strukturę organizacyjną magistratu. Zlikwidował między innymi Biuro Analiz Medialnych i Wydawnictw, Gabinet Prezydenta Miasta, Biuro Informatyki, Biuro ds. Elektronicznego Urzędu oraz Wydział Organizacji i Kadr. Zadania tych jednostek przejęły Biuro Informacji i Komunikacji Społecznej, Wydział Organizacyjny, Wydział Wdrożeń i Projektów Informatycznych oraz Wydział ds. Utrzymania Infrastruktury Informatycznej. Z początkiem kwietnia powstało też Biuro Doradców Prezydenta. Dyrektorem została Edyta Sancewicz. W ramach Biura będą również pracować doradcy społeczni. Nowością jest wyodrębniony Wydział Zamówień Publicznych oraz Biuro Architekta Miasta. Wydział Strategii i Analiz połączono ze zreorganizowanym Biurem Rozwoju Przedsiębiorczości i Obsługi Inwestora.

→ Wydział Zdrowia Publicznego Urzędu Miasta Łodzi, w ramach profilaktyki onkologicznej w zakresie wykrywania raka jelita grubego oraz raka piersi, zaprosił łodzian na bezpłatne badania profilaktyczne w wybranych placówkach medycznych.

13 kwietnia

→ Kilka tysięcy osób uczestniczyło w Łodzi w Marszu Pamięci ku czci Polaków zamordowanych w 1940 roku w Katyniu i ofiar tragicznie zmarłych w katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem 10 kwietnia 2010 roku. Uczestnicy przeszli pod Pomnik Ofiar Katyńskich przed kościołem Matki Boskiej Zwycięskiej i wzięli udział w mszy świętej. Homilię wygłosił abp Władysław Ziółek.

16 kwietnia

→ Radni Sejmiku Wojewódzkiego podczas sesji uczcili pamięć ofiar katastrofy lotniczej pod Smoleńskiem. Obecni byli łódzcy posłowie, p.o. prezydenta Tomasz

Sadzyński i wojewoda Jolanta Chełmińska. Sesji przewodniczył marszałek Włodzimierz Fisiak. Odczytano biogramy ofiar i podzielono się wspomnieniami. Do Urzędu Miasta napłynęło wiele kondolencji, także od miast partnerskich: Iwanowa, Lwowa, Szegedu, Barreiro i Tel-Awiwu oraz z miasta Austin w Teksasie i Vanadzor w Armenii.

14 kwietnia

→ Honorową wartę przy trumnach pary prezydenckiej w Pałacu Prezydenckim w Warszawie pełnili: wojewoda Jolanta Chełmińska, marszałek Włodzimierz Fisiak, ministrowie Cezary Garbarczyk i Krzysztof Kwiatkowski, były prezydent Łodzi Jerzy Kropiwnicki, wiceprezydenci Łodzi Dariusz Joński i Marcin Bugajski oraz Waldemar Krenc – przewodniczący NSZZ „Solidarność" Ziemia Łódzka oraz delegacje przedstawicieli samorządu i uczelni.

→ W Urzędzie Miasta Łodzi zapalono znicze i oddano cześć ofiarom tragedii.

→ W 30. rocznicę śmierci wybitnego reżysera Aleksandra Forda, syn reżysera Aleksander Ford jr. zapalił znicz przy gwieździe reżysera w Alei Gwiazd na ulicy Piotrkowskiej.

17 kwietnia

→ W Warszawie na Placu Piłsudskiego tysiące Polaków żegnało parę prezydencką i wszystkie 94 ofiary katastrofy lotniczej pod Smoleńskiem. W Łodzi można było śledzić żałobne uroczystości na telebimach w pasażach Schillera oraz Rubinsteina.

→ Łódź zdobyła I miejsce i nagrodę w wysokości 146 tysięcy złotych w konkursie „Moje wirtualne miasto". W głosowaniu wzięli udział internauci.

20 kwietnia

→ Rozpoczęła się 10. edycja Festiwalu Nauki, Techniki i Sztuki. W programie tegorocznych spotkań znalazł się wykład prof. Grzegorza Chojnackiego, rektora Akademii Sztuk Pięknych im. Władysława Strzemińskiego, zatytułowany *Łódź – w oczekiwaniu na przełom*. Na terenie Manufaktury odbył się tradycyjny piknik naukowy. Nowym akcentem było spotkanie w ŁTN siedmiu byłych prezydentów Łodzi, którzy przedstawili swoje wizje miasta, osiągnięcia i porażki.

→ Paweł Kwiatkowski, student IV roku ASP w Łodzi, został tegorocznym laureatem Konkursu im. Władysława Strzemińskiego. Za cykl 13 grafik wykonanych w Pracowni Sitodruku i Technik Łączonych, otrzymał nagrodę pieniężną ufundowaną

przez ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Nagrody: rektora ASP otrzymał Bartłomiej Strzewiczek, Marszałka Województwa Łódzkiego – Monika Błażusiak, a Prezydenta m. Łodzi – Ita Haręza.

→ W Teatrze Wielkim po wielu kłopotach i przeszkodach (między innymi choroby solistów, trudności w dotarciu na czas do Łodzi z powodu zamkniętych lotnisk), odbyła się premiera *Damy pikowej* Piotra Czajkowskiego w reżyserii Mariusza Trelińskiego. Krytycy nie szczędzą pochwał.

24 kwietnia

→ W Galerii Bałuckiej na Starym Rynku w Łodzi Katarzyna Matoszko – absolwentka łódzkiej ASP – wystawiła prace pod hasłem Instynkt-Emocje-Automatyzm. Świat artystki jest pełen dziwacznych stworów i tajemniczych postaci, które nazywa „cyborgami".

→ Film dokumentalny Michała Jóźwiaka *Henio idziemy na Widzew* o niewidomym masażyście i kibicu klubu Widzewa Marcinie Kaczorowskim, otrzymał Nagrodę Publiczności na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Dokumentalnych o Prawach Człowieka w Kijowie.

→ W Teatrze im. S. Jaracza odbyła się premiera *Kotki na rozpalonym, blaszanym dachu* Tennessee Williamsa w reżyserii Małgorzaty Bogajewskiej z udziałem aktorów Iwony Karlickiej, Kamila Maćkowiaka i Ewy Wichrowskiej.

25 kwietnia

→ Teatr Logos wystawił *Miłość* na podstawie utworów Ireneusza Iredyńskiego w reżyserii Marka Kasprzyka. W obsadzie stali aktorzy Logosu, między innymi Jolanta Kowalska, Marek Targowski i Luiza Łuszcz-Kujawiak.

26 kwietnia

→ W ramach cyklu „Poezja w kamienicy" w klasztorze o.o. dominikanów wystąpiła Elżbieta Adamiak z koncertem zatytułowanym *Po trójkącie: wiara, nadzieja, miłość*. Piosenkarce towarzyszył zespół muzyczny w składzie: Piotr Jabłoński, Piotr Goliat, Sebastian Ruciński i Piotr Górka.

→ P.o. prezydenta Tomasz Sadzyński powołał swoich społecznych doradców. Są to: prof. Tadeusz Markowski (UŁ), europoseł Jacek Saryusz-Wolski, prof. Paweł Górski (UM), Jerzy Czubak – prezes zarządu Amcor Rentsch, Piotr Biliński – architekt, Leon Kelcz – socjolog.

→ W Atlasie Sztuki otwarto wystawę *Muzy Łodzi Kaliskiej.*

→ Prof. Tomasz Bocheński, kierownik Katedry Literatury XX i XXI wieku w Uniwersytecie Łódzkim, promował w księgarni „Mała Litera" w Łodzi książkę *Witkacy i reszta świata.*

→ Kapituła konkursu „Łódź sukcesu" za wydarzenie roku 2009 uznała oddanie do użytku hali Atlas Arena.

27 kwietnia

→ W Poleskim Ośrodku Sztuki gościł Jan Polkowski, poeta prezentował najnowszy tom wierszy *Cantus.*

→ W Galerii 87 otwarto wystawę fotografii Jacka Kusińskiego *Łódź z lotu ptaka.* Kusiński, wspólnie z Ryszardem Bonisławskim i Maciejem Janikiem, jest autorem *Księgi fabryk Łodzi,* do której dokumentację zbierał przez pięć lat.

→ Piotr Pustelnik – łódzki alpinista – zdobył Annapurnę. Wejście na szczyt Himalajów udało się dopiero za piątym podejściem. Pustelnik jest trzecim Polakiem, który wszedł na ten ośmiotysięcznik (8091 metrów n.p.m) i 21. zdobywcą góry na świecie.

→ P.o. prezydenta Tomasz Sadzyński wystosował do Marka Żydowicza list, w którym wyraził przekonanie, aby festiwal Camerimage organizowany od 10 lat pozostał w mieście. Zobowiązał dyrektora festiwalu do wywiązania się z zawartej z miastem umowy, zgodnie z którą festiwal powinien odbywać się w Łodzi do końca 2024 roku.

→ Prezes ZASP-u Joanna Szczepkowska przyjechała do Łodzi na rozmowę z wiceprezydent miasta Wiesławą Zewald w sprawie konfliktu trwającego między dyrektorem teatru lalek Arlekin a grupą aktorów.

29 kwietnia

→ Delegacja uczniów z sześciu łódzkich liceów pojechała autokarami na pielgrzymkę do Katynia. Zabrali ze sobą wieńce i znicze, które złożyli na grobach zamordowanych oficerów polskich oraz w miejscu tragicznego wypadku lotniczego.

→ 24 szkoły z województwa łódzkiego wzięły udział w akcji „Pola nadziei". Uczniowie obsadzili skwery żółtymi żonkilami (największe przy archikatedrze i Manu-

fakturze). Żonkil jest międzynarodowym symbolem ruchu hospicyjnego. Sadzeniu kwiatów towarzyszyły zbiórki pieniędzy na potrzeby hospicjów.

→ Po kontroli magistratu w „Mieście Dialogu" – instytucji zajmującej się organizacją Festiwalu Dialogu Czterech Kultur – stwierdzono naruszenie dyscypliny finansowej. Teraz sprawę zbada rzecznik dyscypliny finansów publicznych. Nie oznacza to rezygnacji z organizacji kolejnego festiwalu. Z werdyktem kontroli nie zgodziły się żona i córka zmarłego Witolda Knychalskiego – pomysłodawcy festiwalu – które kierują „Miastem Dialogu" i Fundacją.

→ W Galerii Blok ASP w Łodzi otwarto wystawę malarstwa Ryszarda Bilkana. Artysta dzieli swoje miejsce zamieszkania między Izraelem, Francją i Polską. Wielokulturowość jest cechą artysty i wyraża się w jego sztuce.

PERSONALIA:

1 kwietnia

→ Dr Katarzyna Wyrzykowska-Rabe została nowym szefem Narodowego Funduszu Zdrowia w Łodzi. Zastąpiła Pawła Paczkowskiego, który zwolnił się ze stanowiska na własne żądanie.

2 kwietnia

→ Rada Nadzorcza Spółki Miejskiej Areny Kultury i Sportu, która zarządza halą Atlas Arena, powołała na stanowisko prezesa spółki Krzysztofa Maciaszczyka w miejsce odwołanego Dariusza Gałązki. Odwołała także ze stanowiska wiceprezesa Areny Sylwię Lewandowską.

→ Jan Kamiński, od 10 lat dyrektor I LO w Łodzi, wygrał konkurs na stanowisko kuratora wojewódzkiego oświaty.

ODESZLI:

17 kwietnia

→ W Spale pochowano gen. Tadeusza Buka – dowódcę Wojsk Lądowych, który zginął tragicznie w katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem. W 2005 roku generał pełnił obowiązki zastępcy dyrektora Centrum Szkolenia Sił Połączonych NATO. W 2007 roku był zastępcą dowódcy wojsk koalicyjnych w Afganistanie, dowodził także Polskim Kontyngentem Wojskowym w Iraku (2007-08). Od września 2009

roku był dowódcą Wojsk Lądowych w Polsce. Pośmiertnie został mianowany na stopień generała broni. W pożegnaniu generała wzięło udział kilka tysięcy osób – w tym władze Łodzi i województwa.

18 kwietnia

→ Ks. bp Mieczysław Cieślar. Zginął tragicznie w wypadku samochodowym, wracając z Warszawy z uroczystości pogrzebowych ku czci ofiar katastrofy pod Smoleńskiem. Od 1996 roku był zastępca biskupa Kościoła ewangelicko-augsburskiego w Polsce. Odszedł biskup diecezji warszawskiej, proboszcz parafii ewangelicko-augsburskiej św. Mateusza w Łodzi, wykładowca w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie, powszechnie szanowany duszpasterz. Został pochowany na Starym Cmentarzu w części ewangelickiej w Łodzi. W ostatniej drodze towarzyszyli mu luteranie z całej Polski oraz duchowni innych wyznań. Obecne były władze Łodzi i województwa (wspomnienie w nr. 1/49/2010 „KMŁ").

19 kwietnia

→ Łodzianie oraz adwokaci z całej Polski pożegnali mecenas Joannę Agacką-Indecką – prezesa Naczelnej Rady Adwokackiej, cenioną prawniczkę o dużych zasługach w działalności społecznej. Po mszy świętej w archikatedrze, celebrowanej przez abp. Władysława Ziółka, kondukt żałobny przeszedł ulicą Piotrkowska na Stary Cmentarz przy ulicy Ogrodowej (wspomnienie w nr. 1/49/2010 „KMŁ").

20 kwietnia

→ Piotr Dejmek – syn Danuty Mniewskiej i Kazimierza Dejmka, absolwent łódzkiej filmówki, aktor, producent filmowy. W swoim zawodowym życiu pełnił funkcje wicedyrektora TVP1 i Teatru Żydowskiego w Warszawie. Był laureatem „Kryształowej gwiazdy" – nagrody Francuskiej Akademii Filmowej.

MAJ 2010

2 maja

→ W święto polskiej flagi na Rynku w Manufakturze można było wraz z flagą wznieść się w powietrze balonem. Na taki pomysł wpadli członkowie ZHP i łódzkiego aeroklubu.

3 maja

→ W rocznicę uchwalenia Konstytucji, po mszy świętej w bazylice archikatedralnej i złożeniu kwiatów przy Grobie Nieznanego Żołnierza i pod pomnikiem Jana Pawła II, odbyła się defilada wojska, policji i straży miejskiej. Uroczystości przeniosły się też na Plac Wolności. Przemawiali tam Waldemar Krenc – przewodniczący

NSZZ „Solidarność" Ziemi Łódzkiej i Jerzy Kropiwnicki – honorowy przewodniczący Społecznego Komitetu Obchodów Świąt Narodowych im. G. Palki.

→ Związek Harcerstwa Rzeczpospolitej – X ŁDH z okazji święta 3 Maja zaprosiła młodzież do gry miejskiej o pierwszym prezydencie niepodległej Łodzi – Aleksym Rżewskim.

4 maja

→ 30 lat temu ks. Władysław Ziółek przyjął święcenia biskupie. Sakrę przekazał mu ordynariusz łódzki ks. bp. Józef Rozwadowski.

→ W Muzeum Miasta Łodzi wystawiono ponad dwieście obrazów Józefa Panfila, absolwenta PWSSP z 1984 roku. Większość z nich stanowią tradycyjne pejzaże.

6 maja

→ Pod patronatem łódzkiej „Gazety Wyborczej" w Łódź Art Center otwarto IX Fotofestiwal. Na powierzchni 10 tysięcy metrów skupiono 50 ekspozycji. Najważniejsze z nich to: „Wszystko o miłości", „GrandPrixFotoFestiwal" i „Fabryka fotografii", na których prezentują zdjęcia artyści z Europy i Ameryki Północnej. Festiwalowi towarzyszyły warsztaty dla fotografików.

→ Prof. Leszek Balcerowicz przyjechał do Łodzi na zaproszenie Politechniki i Uniwersytetu z okazji obchodów 65-lecia Łodzi Akademickiej. Na Politechnice profesor wygłosił wykład pod tytułem *Jak dogonić Niemcy w 20 lat?*, a na Uniwersytecie *Kryzys – przyczyny, skutki, rozwiązania.* Wykładów słuchali pracownicy uczelni i studenci.

→ Rozpoczęły się XX Łódzkie Spotkania Baletowe. Wystąpiły takie gwiazdy tańca jak: Mikhail Baryshnikov i Ana Laguna (specjalnie na zaproszenie ŁSB – jedyny występ w Polsce!). Wayne McGregor Random Dance pokazał najnowszy, nieprezentowany dotąd w Polsce spektakl. Przybyli także Pietragalla Compagnie, francuska gwiazda tańca (także w Polsce po raz pierwszy), Nederlands Dans Theater II, Kibbutz Contemporary Dance Company, Compania Antonio Gades i Narodni Divadlo z Pragi. Krajową sztukę baletu prezentowały Polski Teatr Tańca z Poznania i balet Teatru Wielkiego w Łodzi.

7 maja

→ Teatr Nowy wystąpił z premierą *Złodzieja* – komedią angielskiego autora Erica Chappella w reżyserii Marka Pasiecznego. W rolach głównych wystąpili: Jolanta Jackowska, Dariusz Kowalski, Andrzej Mastalerz, Bartosz Turzyński.

8 maja

→ Jury XVIII Konkursu dla projektantów przyznało dwie główne nagrody. W kategorii „Pret-á-Porter" Złotą Nitkę, ufundowaną przez Międzynarodowe Targi Łódzkie i Nagrodę Prezydenta m. Łodzi, zdobyła Karolina Gleguła za kolekcję „Liquid". W kategorii „Premiére Vision" nagrodą uhonorowano Kamilę Gawrońską-Kasperską za pokaz „Metropolis". W ramach Tygodnia Mody do Łodzi przyjechali słynni projektanci: Takada Kenzo, Patrizia Gucci, Agatha Ruiz de la Prada, Nuno Gama, którzy przedstawili swoje kolekcje.

→ Po kontroli finansowej w Fundacji Dialogu Czterech Kultur wiceprezydent Wiesława Zewald wypowiedziała Barbarze Knychalskiej, prezesce fundacji, umowę na współorganizację Festiwalu. Zwolniła także z funkcji dyrektorki Miasta Dialogu Katarzynę Knychalską.

→ Teatr S. Jaracza wystąpił z premierą *Dybuka* Szymona Anskiego w reżyserii Mariusza Grzegorzka. Główną rolę zagrał Marek Nędza – tegoroczny absolwent łódzkiej Filmówki.

→ Teatr Lalki i Aktora „Pinokio" przygotował spektakl dla dorosłych *Bruno Schulz – historia występnej wyobraźni*. Reżyserem przedstawienia jest Konrad Dworakowski, scenografię opracował Andrzej Dworakowski, muzykę Piotr Klimek. Wystąpili między innymi Żaneta Małkowska i Piotr Szejna. Oprawę muzyczną zapewnił zespół „Bubliczki".

→ 150 twórców z 50 krajów świata zaprezentowało swoje prace na Międzynarodowe Triennale Tkaniny. W Centralnym Muzeum Włókiennictwa renesans przeżywają tradycyjne techniki rękodzielnicze: hafty, robótki na drutach, szydełkiem, prace tkane na krosnach. Zdaniem jury wszystkie prace reprezentują wyrównany poziom, żadna nie wprowadziła „rewolucji". Główną nagrodą uhonorowano Anne-Gry Loland z Norwegii.

9 maja

→ Łodzianie odpowiedzieli na apel duchownych, artystów i intelektualistów, zapalając znicze na grobach żołnierzy radzieckich w geście pojednania i przebaczenia z Rosjanami ciemiężonymi i krzywdzonymi przez stalinowski totalitaryzm.

→ Z okazji 40-lecia Zespołu Pieśni i Tańca „Anilana" w Teatrze Wielkim odbył się jubileuszowy koncert pod patronatem marszałka Województwa Łódzkiego – Włodzimierza Fisiaka i p.o. prezydenta m. Łodzi – Tomasza Sadzyńskiego. W barwnym, roztańczonym i rozśpiewanym widowisku widzowie podziwiali kilka poko-

leń tancerzy i śpiewaków Zespołu. Choreografię opracował i widowisko wyreżyserował założyciel i kierownik zespołu Leszek Woszczyński przy współpracy Adama Czechlewskiego. Nad oprawą muzyczną i wokalną czuwali Janusz Kaźmierczak i Dariusz Proszak, kostiumy zaprojektowała Krystyna Wojtyniak. Współpraca literacka Aleksandry Woszczyńskiej. Z okazji jubileuszu kierownictwo, współpracownicy i zasłużeni artyści otrzymali liczne nagrody i odznaczenia oraz zaproszenie na występy do Australii.

→ W Muzeum Kinematografii studenci Filmówki otworzyli wystawę fotografii wykonywanych opracowaną przed 150 laty techniką kolodionową. Wystawę zatytułowali „Fala" w nawiązaniu do mokrej metody obróbki zdjęć. Ponadto grupa Slow Photo zaprezentowała dziewięć „portretów" światowych tyranów i zbrodniarzy. Członkowie grupy wystąpili tu w podwójnej roli: autorów i modeli.

10 maja

→ Piotrowi Pustelnikowi, zdobywcy Korony Himalajów, zgotowano w Łodzi powitanie na jednym z najwyższych budynków w mieście – wieżowcu Textillimpexu. Na himalaistę czekał p.o. prezydenta Tomasz Sadzyński, dziennikarze oraz tort w kształcie Annapurny.

12 maja

→ W Ośrodku Propagandy Sztuki otwarto wystawę *Obecność*. Zaprezentowano na niej gobeliny Andrzeja Rajcha (1948-2009) i „szklane" tkaniny Lidii Choczaj, uczennicy i następczyni Rajcha na stanowisku kierownika Katedry Tkaniny w ASP w Łodzi.

→ W Filharmonii Łódzkiej wystąpił norweski zespół „BIT20" specjalizujący się w muzyce współczesnej. Norwegowie zaprezentowali dzieła swoich rodaków oraz Mikołaja Góreckiego i Witolda Lutosławskiego. Występ zapoczątkował współpracę między Łodzią i Bergen. Zespół dał trzy koncerty.

→ P.o. prezydenta Tomasz Sadzyński podpisał akt notarialny o odkupieniu zabytkowej EC-1 Wschód od Fundacji Sztuki Świata. Budynek będzie poddany rewitalizacji. Fundusze na ten cel przyznała między innymi Unia Europejska.

→ 25 lat temu powstało Muzeum Politechniki Łódzkiej. Muzeum gromadzi dokumenty, fotografie i pamiątki związane z uczelnią. Publikuje materiały biograficzne, posiada również cenny zbiór filmów. Jubileusz uczczono okolicznościową wystawą i sesją naukową. Odsłonięto również tablicę poświeconą zmarłemu w 2007 roku doc. inż. Marianowi Mieszkowskiemu – inicjatorowi powstania Muzeum.

13 maja

→ W konkursie literackim na polską komedię, organizowanym przez Teatr Powszechny, zwyciężyła sztuka Przemysława Jurka *Kochanowo i okolice*. Prapremiera odbyła się 16 maja.

→ O godzinie 12.00 Kazimierz Karabasz w strugach ulewnego deszczu odsłonił w Alei Gwiazd przy ulicy Piotrkowskiej swoją gwiazdę. Karabasz jest jednym z najwybitniejszych polskich dokumentalistów, wykładowcą w Filmówce, autorem zdjęć między innymi do filmów *Muzykanci* i *Rok Franka*.

14 maja

→ W siedzibie Rady Miejskiej odbyła się uroczystość wręczenia Nagród Miasta Łodzi. Otrzymali je: Bogusław Hubert – promotor sportu, działacz społeczny, Jadwiga Sącińska – animator kultury, Zdzisław Szostak – muzyk, kompozytor, dyrygent, Bronisław Wrocławski – aktor, dziekan Wydziału Aktorskiego PWSFTviT. Mariusz Kania, Irena Biernacka, Paweł Drobnik z Fundacji „Banku Żywności" otrzymali nagrodę zespołową.

→ Odznakę „Za zasługi dla Miasta Łodzi" otrzymali: Barbara Ewa Cygan – nauczycielka historii, wicedyrektor Szkoły Podstawowej nr 34 w Łodzi, działacz społeczny, Aleksander Jagodziński – emerytowany notariusz, przez wiele lat prezes Izby Notarialnej w Łodzi, prof. dr hab. n. med. Iwona Małgorzata Kłoszewska – lekarz psychiatra, z której inicjatywy powstało Łódzkie Towarzystwo Alzheimerowskie, Jan Marian Kozłowski – prezes Ochotniczej Straży Pożarnej Łódź-Mikołajew, wiceprezes Zarządu Miejskiego Związku Ochotniczych Straży Pożarnych RP w Łodzi, dr Bolesław Władysław Liwowski – ekonomista z Wydziału Zarządzania UŁ, doradca w Regionalnym Centrum Rozwoju Gospodarczego, Marek Ireneusz Płuciennik – inżynier inżynierii środowiska, działacz społeczny i samorządowy, Bogdan Kazimierz Płusa – działacz społeczny na rzecz sportu, były kolarz RKS Ruda i KS Włókniarz Łódź, prof. dr hab. Maciej Antoni Przanowski – nauczyciel akademicki, Anna Maria Rytwińska – nauczycielka, zastępca przewodniczącego Rady Osiedla Bałuty-Centrum, działaczka społeczna, Ziemowit Skibiński (pośmiertnie) – był nauczycielem akademickim i pisarzem, a także krytykiem literackim, eseistą, historykiem literatury i edytorem, Lucyna Skompska-Zapałowicz – polonistka, poetka, publicystka, pisarka, Konrad Witold Tatarowski – nauczyciel akademicki, polonista, pracownik naukowy, dziennikarz, działacz opozycji demokratycznej, Ewa Czesława Tomaszewska – nauczycielka, działaczka społeczna, pedagog, magister inżynier włókiennik, Jarosław Andrzej Twardowski – notariusz, Michał Urbaniak – artysta muzyk, Józef Henryk Wiśniewski – pisarz, dziennikarz oraz Centrum Służby

Rodzinie w Łodzi – organizacja powołana w 1998 roku przez Arcybiskupa Łódzkiego.

→ Święto Łodzi zorganizowano w tym roku pod hasłem „72 ha kultury". Zainaugurowały je juwenalia. W pasażu Schillera p.o. prezydenta Tomasz Sadzyński przekazał studentom symboliczne klucze do miasta. Imprezy studenckie odbywały się przez dwa kolejne weekendy. Piotrkowska rozbrzmiewała muzyką Chopina, a w pasażu Schillera wystąpili Joanna Różewska, Gracjan Szymczak i Mariusz Drzewicki. W 40 pubach i restauracjach słuchano muzyki Chopina w jazzowych aranżacjach, można było skosztować nadziewanej pulardy – ulubionej potrawy kompozytora. Występował między innymi uliczny teatr Transe Express oraz Polski Teatr Tańca. Odbyły się imprezy muzealne w ramach „Nocy muzeów" oraz happeningi pod znakiem starań miasta o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury. Pomnik Tadeusza Kościuszki i kameralne posągi przy ulicy Piotrkowskiej ubrano w koszulki z logo ESK.

→ XXVIII Festiwal Sztuk Teatralnych zakończył się sukcesem absolwentów łódzkiej szkoły. Trzy równorzędne pierwsze nagrody za role męskie jury przyznało: Michałowi Jarosowi, Andrzejowi Niemytowi i Pawłowi Paczesnemu (wszyscy z PWSFTviT). Wśród nagrodzonych za najlepsze role kobiece znalazły się: I – Weronika Nockowska (AT Warszawa), II – Katarzyna Zawiślak-Dolny (PWST Kraków), III – Iwona Karlicka (PWSFTviT Łódź). Na uwagę zasługuje nagroda Teatru Nowego: etaty dla Anny Szymańczyk z Warszawy i Marcina Włodarskiego z Łodzi.

→ Łódź odwiedziła 37-osobowa delegacja Towarzystwa Przyjaciół Frankfurt-Kraków. Przewodniczył jej Konsul Honorowy RP we Frankfurcie nad Menem Klaus Strumfels. Niemieccy goście interesowali się gospodarką Łodzi i problemami społecznymi. Zwiedzili memoriał na stacji Radegast i cmentarz żydowski.

17 maja

→ W ramach cyklu „Gdy muzyka była młodsza" w klasztorze dominikanów wystąpił zespół wokalny „Bornus Consort" kierowany przez Marcina Bornusa-Szczycińskiego.

24 maja

→ 65 lat temu powstała Politechnika Łódzka. Uczelnia zatrudnia obecnie trzy tysiące pracowników i kształci 20 tysięcy studentów. W rankingach zajmuje czwarte miejsce w Polsce pośród uczelni technicznych. W trakcie uroczystości jubileuszowych autorzy najlepszych prac dyplomowych otrzymali nagrody (od pięciuset do tysiąca euro), a pracownicy – odznaki „Zasłużeni dla PŁ".

→ W Muzeum Miasta Łodzi otwarto wystawę fotografii Bronisława Wilkoszewskiego (1847-1901) fotografa zwanego „Łódzkim Canaletto". Wilkoszewski posiadał atelier fotograficzne w pasażu Meyera 5. Fotografował krajobrazy, życie codzienne Łodzi i wydarzania sportowe.

25 maja

→ Sześciuset studentów Uniwersytetu Łódzkiego wysłuchało wykładu Władysława Bartoszewskiego pod tytułem *Polska w Europie XXI wieku.*

26 maja

→ W Fabryce Sztuki teatr Chorea spektaklem *IF* w reżyserii Pawła Passiniego zapowiedział festiwal Retro/per/spektywy, który odbędzie się w Łodzi w połowie wakacji.

→ Kolekcjoner sztuki Krzysztof Musiał przekazał w depozyt Muzeum Miasta Łodzi 120 obrazów ze swojej kolekcji. Wśród nich znajdują się między innymi obrazy Olgi Boznańskiej, Władysława Podkowińskiego, Meli Muter, Józefa Pankiewicza, Eugeniusza Zaka, Wojciecha Weissa i innych.

→ Minister nauki Barbara Kudrycka spotkała się z pracownikami i studentami łódzkich uczelni. Na Wydziale Prawa i Administracji UŁ oraz w Centrum Kształcenia Międzynarodowego PŁ minister przedstawiła założenia reform w szkolnictwie akademickim. Minister wzięła także udział w otwarciu juwenaliowego meczu piłkarskiego studentów.

27 maja

→ W 20. rocznicę pierwszych demokratycznych wyborów do samorządu, radni pięciu kadencji i byli prezydenci spotkali się podczas uroczystej sesji Rady Miejskiej. Samorządowcy wspominali pierwsze sesje łódzkiego samorządu, sukcesy i porażki. Obejrzeli również film *Dwa dwudziestolecia* autorstwa Tomasza Lasoty, Huberta Bekrychta i Zbigniewa Natkańskiego o samorządzie Łodzi.

→ Uczniowie i absolwenci VIII LO przygotowali wspólnie z Filharmonia Łódzką multimedialny koncert muzyki Chopina. Wystąpił także znakomicie przygotowany chór szkolny oraz pianistka Katarzyna Kraszewska.

29 maja

→ Wojciech Król – jeden z najlepszych polskich operatorów telewizyjnych, uważany za pioniera nowych technik realizacyjnych, odsłonił swoją gwiazdę w Alei Gwiazd przy ulicy Piotrkowskiej.

31 maja

→ W kinie „Cytryna" odbyła się premiera teledysku promującego Uniwersytet Łódzki. Wystąpili w nim studenci uczelni. Teledysk będzie dostępny w internecie.

→ Podczas Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni łodzianom przypadły nagrody Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. W kategorii „portal internetowy" nagrody otrzymali: Stowarzyszenie Filmowców Polskich i PWSFTviT. W kategorii „Edukacja młodego widza" nagrodzono publikację *Kino bez tajemnic* pod redakcją prof. E. Nurczyńskiej-Fidelskiej, K. Klejsy, T. Kłysa i P. Sitarskiego. W kategorii „promocja za granicą" statuetkę otrzymało Muzeum Kinematografii za wystawy: *100 lat polskiego kina* oraz *Roman Polański – aktor, reżyser*. Reżyserka Anna Kazejak – autorka *Skrzydlatych świń* – otrzymała Kryształowa Gwiazdę, nagrodę „Elle" przyznawaną za osobowość, talent i pasję.

PERSONALIA:

2 maja

→ Rada Nadzorcza Łódzkiego Przedsiębiorstwa Ogrodniczego odwołała z funkcji prezesa Karola Chądzyńskiego i powołała na jego miejsce Grzegorza Worona, byłego prezesa Zarządu Przedsiębiorstwa Wiertniczego Łódź.

ODESZLI:

24 maja

→ Aleksander Benczak – aktor scen łódzkich, profesor PWSFTViT.

27 maja

→ Wiesława Pychyńska-Kindykiewicz – dr nauk humanistycznych, adiunkt Akademii Muzycznej w Łodzi.

CZERWIEC 2010

2 czerwca

→ W Galerii 87 otwarto wystawę fotografii Czesława Czaplińskiego *Jerzy Kosiński 1933- 1999*. W Galerii można także kupić książkę Cz. Czaplińskiego i P. Sali *Przejścia nie ma* opowiadającą o ostatnim dniu życia pisarza.

4 czerwca

→ Ministrowie sprawiedliwości Rosji – Aleksander Konowałow i Polski – Krzysztof Kwiatkowski podpisali w Łodzi memorandum o współpracy między resortami.

→ Marszałek Sejmu oraz kandydat na urząd prezydenta RP Bronisław Komorowski uczestniczył w Łodzi w festynie z okazji 21. rocznicy wolnych wyborów do parlamentu. Dla upamiętnienia jednej z najważniejszych dat w nowożytnej historii Polski placykowi przed Telewizją Łódzka nadano nazwę 4 Czerwca 1989 roku. Uczestnicy festynu przemaszerowali ulicą Piotrkowską na Plac Wolności, gdzie przedstawiciele honorowego i społecznego komitetu poparcia marszałka na urząd prezydenta odczytali deklaracje. Komorowski obchodzi urodziny również 4 czerwca.

→ Prof. Jerzy Buzek, przewodniczący Parlamentu Europejskiego, otrzymał tytuł doktora honoris causa Politechniki Łódzkiej. Rektor uczelni prof. Stanisław Bielecki zaznaczył, iż Politechnika pragnie uhonorować zarówno dorobek naukowy prof. Buzka w dziedzinie inżynierii procesowej, jak i jego działalność społeczną i polityczną.

→ W galerii „Willa" otwarto wystawę obrazów Pawła Duraja pod tytułem *Entelechie*. Artysta jest łodzianinem, zajmuje się malarstwem, grafiką warsztatową, wydawniczą, reklamową i ilustrowaniem książek.

7 czerwca

→ Rozpoczęły się IX Spotkania Teatralne „Terapia i Teatr", poświęcone twórczości osób niepełnosprawnych. Zespoły amatorskie i zawodowe, złożone zarówno z dzieci jak i z osób dorosłych, przedstawiły 20 spektakli.

→ Big Band Akademii Muzycznej w Łodzi kierowany przez Jacka Delonga zdobył III nagrodę na XV Big Band Festiwalu w Nowym Tomyślu.

→ *Alicja w krainie czarów* – to tytuł wystawy fotograficznej krakowskiej artystki Katarzyny Widmańskiej otwartej w Galerii Opus.

8 czerwca

→ Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej UŁ, Polskie Towarzystwo Ludoznawcze oraz Łódzki Dom Kultury zorganizowali konferencję naukową pod hasłem: „Antropolog w mieście i o mieście". Konferencję uczniowie i współpracownicy dedykowali prof. dr hab. Bronisławie Kopczyńskiej-Jaworskiej – pierwszej studentce etnografii na UŁ w 1945 roku Prof. Kopczyńska-Jaworska jako jedna

z pierwszych polskich etnografów podjęła badania nad społecznościami miejskimi i kulturą wielkiego miasta.

9 czerwca

→ W sali widowiskowej Politechniki Łódzkiej odbyła się premiera *Lip duba* – teledysku nakręconego przez studentów Politechniki Łódzkiej na Wydziale Biotechnologii i Nauk o Żywności, w którym zagrało dwustu studentów. Filmik prezentuje Akademicki Związek Sportowy Politechniki Łódzkiej i zachęca do uprawiania sportów.

→ Wydawnictwo „Literatura" zaprezentowało w galerii „Willa" nowe wydanie *Kwiatów polskich* Juliana Tuwima. Promocji książki towarzyszył pokaz bukietów kwiatów przygotowanych przez Klub Florystów „SITO". Bukiety nawiązywały do kompozycji Wojciecha Salwy, o których pisał Tuwim.

12 czerwca

→ W Alliance Française gościł Marc Levy – autor między innymi powieści *Siedem dni do wieczności*, *Gdzie jesteś*, *Jak w niebie*.

→ W Stacji Nowa Gdynia Grzegorz Kasdepke autor książek dla dzieci między innymi *Kuba i Buba*, *Bon czy ton*, *Kacperiada*, *Z piaskownicy w świat* czytał dzieciom swoje utwory.

→ Katedra Dramatu i Teatru wspólnie z Katedrą Filologii Hiszpańskiej UŁ zorganizowały międzynarodową konferencję „Tak blisko i tak daleko – hiszpańskojęzyczny teatr i dramat ostatnich stu lat". Gośćmi konferencji byli: między innymi Juan Mayorga z Madrytu, dramatopisarz, którego utwory należą do najczęściej tłumaczonych na obce języki i Héctor Levy-Daniel – dramatopisarz i reżyser z Buenos Aires.

13 czerwca

→ Kilka tysięcy łodzian wzięło udział w procesji z okazji Święta Eucharystii. Święto obchodzone jest w Łodzi od 1988 roku dla uczczenia wizyty Jana Pawła II w Łodzi w 1987 roku. Tegorocznym uroczystościom przewodniczył bp Marcjan Trofimiak z Łucka, który podzielił się z wiernymi historią prześladowań i odrodzeniem Kościoła katolickiego na Ukrainie.

→ Piknik na Księżym Młynie miał przekonać łodzian, że warto uczynić z tego miejsca Dzielnicę Kreatywną – pełną galerii artystycznych, pracowni, kawiarni i sklepów. Podczas pikniku przygotowano atrakcje dla dzieci i dorosłych.

→ Dmitry Strakovsky, amerykański artysta, który przez dwa tygodnie mieszkał w Łodzi, zostawił po sobie w Galerii Wschodniej trzy konstrukcje: *Jak gdyby las, Wszystko to co pozostaje* i *Kamienny krąg*.

14 czerwca

→ W klasztorze dominikanów w koncercie z cyklu „Gdy muzyka była młodsza" wystąpił cymbalista Daniel Skala z Ostrawy. Artysta grał utwory J. S. Bacha, S.L. Weissa, L. Janaczka, J. Dadaka.

18 czerwca

→ Stowarzyszenie Jazzowe „Melomani" przyznało rokroczne Oscary Jazzowe. Otrzymali je: Zbigniew Namysłowski za całokształt działalności nagrodę Prezydenta Miasta dla najlepszego łódzkiego jazzmana otrzymał Paweł Serafiński. Paweł Kaczmarczyk otrzymał dwie nagrody: jako artysta roku i autor płyty roku *Complexity in Simplicity*. Nagrodę w kategorii krytyk, dziennikarz roku – otrzymał Andrzej Krupa. Nadzieją melomanów została Oktawia Kawęcka. Uroczystość odbyła się podczas koncertu w Teatrze Wielkim.

19 czerwca

→ 70 lat po opisanej przez Andrzeja Bobkowskiego w *Szkicach piórkiem Ucieczce z Paryża* wyruszyła z Łodzi eskapada rowerowa. Trasa wyprawy biegnie do Paryża, a następnie na południe do Nicei i Monte Carlo. Uczestnicy wyprawy: studenci i wykładowcy Uniwersytetu Łódzkiego stworzą dzienniki, które złożą się na publikację. Wyprawę organizowała Joanna Podolska, dziennikarka „Gazety Wyborczej".

→ W Pałacu Herbsta otwarto wystawę obrazów Piotra Michałowskiego i grafik Francisca Goi. Michałowski swymi pracami czci Napoleona, Goya w swoich grafikach ukazuje potworności wojny.

→ W Muzeum Kinematografii Kazimierz Kutz wystąpił nie w roli reżysera, ale debiutującego powieściopisarza. Kutz promował swoją książkę: *Piąta strona świata*, której akcja toczy się na Śląsku.

20 czerwca

→ W Teatrze Wielkim łódzcy recenzenci rozdali tradycyjne nagrody. „Złotą Maskę" za najlepszy spektakl sezonu otrzymał Teatr S. Jaracza za *Dybuka* w reż. Mariusza Grzegorzka. Złotą Maskę za najlepszą scenografię i reżyserię otrzymał spektakl *Według Agafii* w reż. Agaty Dudy-Gracz także w Teatrze S. Jaracza. Wszystkie indywidualne „Złote Maski" za najlepsze role przypadły również aktorom Teatru S. Jaracza. Otrzymali je: Milena Lisiecka, Bronisław Wrocławski, Andrzej Wichrowski i Agnieszka Więdłocha.

Za wysoki poziom artystyczny w sezonie 2009/10 i doskonałe przygotowanie absolwentów „Złotą Maskę" otrzymał Teatr Studyjny. Teatr Lalki i Aktora „Pinokio" otrzymał „Złotą Maskę" za spektakl *Bruno Schulz* w reż. Konrada Dworakowskiego.
„Czarna Maska" przypadła Teatrowi Nowemu im. K. Dejmka za brak dbałości o poziom artystyczny w sezonie 2009/10.
Uroczystości rozdania „Masek" towarzyszył koncert w wykonaniu trzech tenorów: Pawła Skałuby, Dariusza Stachury i Adam Zdunikowskiego.

21 czerwca

→ Dyrektor naczelny Teatru Wielkiego przyznał nagrody za wzorową pracę i osiągnięcia artystyczne w minionym sezonie śpiewaczce i solistce Patrycji Krzeszkowskiej i muzykowi, dyrygentowi Michałowi Kocimskiemu.

22–23 czerwca

→ Odbył się II Szkolny Rajd „Szlakiem walk barykadowych w Łodzi w czerwcu 1905 roku". W przedsięwzięciu uczestniczyli nauczyciele i uczniowie XXVIII i XXXV LO oraz gimnazjum nr 10 i 18. Rajd odbył się pod patronatem Młodzieżowej Rady Miejskiej w Łodzi.

23 czerwca

→ Marek Żydowicz przeniesie z Łodzi do Bydgoszczy Festiwal Camerimage, na który otrzyma większą kwotę pieniędzy. Magistrat zapowiada oddanie sprawy do sądu o odszkodowanie, gdyż Żydowicz zawarł wcześniej umowę na organizowanie imprezy w Łodzi do 2024 roku.

→ Łódzcy radni podjęli długo oczekiwaną uchwałę w sprawie budowy spalarni odpadów ma Widzewie. Spalarnia stanie przy ulicy Andrzejewskiej 5.
Radni podjęli także uchwałę w sprawie ubiegania się o unijne dofinansowanie inwestycji. Przeciwko budowie spalarni protestują mieszkańcy Widzewa, którzy obawiają się zatrucia środowiska. Prof. Grzegorz Wielgosiński z Politechniki Łódzkiej podczas zorganizowanych przez magistrat konsultacji społecznych obalał te zarzuty.

→ Między wejściem do „m2" w Manufakturze stanął labirynt z drutu zaprojektowany przez amerykańskiego rzeźbiarza Roberta Morisa. Artysta zaprasza do muzeum na wystawę: *Robert Moris. Uwagi o rzeźbie. Obiekty, instalacje, filmy.*

→ Teatr Mały – prywatny teatr kierowany przez Mariusza Pilawskiego z siedzibą na terenie Manufaktury, obchodził pierwsze urodziny. Teatr pokazał osiem premier,

odwiedziło go 7,5 tysiąca widzów. Teatr nie jest dotowany przez magistrat. Otrzymał jedynie grant z Ministerstwa Kultury. Nastawiony jest na lekki repertuar i jako jedyny teatr w mieście pracuje podczas wakacji. W planach ma anglojęzyczne wersje przedstawień ze względu na zagranicznych turystów.

25 czerwca

→ W Atlasie Sztuki otwarto wystawę obrazów Romana Lipskiego, artysty mieszkającego od 21 lat w Berlinie. Pokaz w Atlasie jest pierwszą indywidualną wystawą malarza w Polsce.

→ Na zakończenie sezonu muzycznego w Teatrze Wielkim wystąpiła światowej sławy solistka Kiri Te Kanawa. Nowozelandka wykonała program złożony z klasyki operowej i utworów XX-wiecznych w tym: pieśni Mozarta, Straussa, Rachmaninowa i Gershwina. Orkiestrę prowadził angielski dyrygent Julian Reynolds.

28 czerwca

→ Festiwal Dobrego Smaku, w którym przez trzy dni ubiegało się o palmę zwycięstwa 13 restauracji, zakończył się zwycięstwem restauracji „Lili". II miejsce zajęła restauracja Tradycja, a III – Piotrkowska Klub Zieliński i Syn. Wszystkie restauracje przygotowały na konkurs dania z drobiu w cenie dziewięciu złotych.

→ Nowy właściciel – Polska Grupa Farmaceutyczna wyburzył dawne koszary wojskowe na rogu ulicy Legionów i Pogonowskiego. Członkowie Stowarzyszenia Historycznego „Strzelcy Kaniowscy", ubrani w przedwojenne mundury Wojska Polskiego, wraz z grupą łodzian żegnali historyczne koszary, które do 1914 roku zajmowała armia carska. Budynek nie był wpisany do rejestru zabytków.

→ Redakcja „Gazety Wyborczej" w Łodzi organizuje podczas wakacji letnią redakcję w Hort Cafe przy ulicy Piotrkowskiej. Redakcja „zawraca Łodzią na Piotrkowską". Słynna ulica potrzebuje wsparcia i pomysłów mieszkańców.

→ Prof. Andrzej Górak z Politechniki Łódzkiej, specjalista w dziedzinie inżynierii chemicznej, pomysłodawca i twórca Polsko-Niemieckiej Sieci Naukowej ds. ochrony Środowiska, Bezpieczeństwa Procesowego i Technologii Energetycznej INCREASE otrzymał wysokie odznaczenie – odpowiednik polskiego Krzyża Kawalerskiego za zasługi we współpracy polsko-niemieckiej.

→ W Instytucie Architektury i Urbanistyki Politechniki Łódzkiej powstała Galeria B16, w której wystawili swoje prace: fotografie, rzeźby i obrazy wykładowcy In-

stytutu. Galeria mieści się w starym, pofabrycznym budynku przy ulicy Wólczańskiej 216/223 i jest otwarta dla publiczności.

→ W Muzeum Miasta Łodzi zainaugurowano imprezę artystyczną pod nazwą „Bankiet Fluxusu". Fluxus to ruch artystyczny, który dąży do zintegrowania sztuki z życiem codziennym. Impreza w Łodzi nawiązuje do balu Szalonego Kapelusznika znanego z *Alicji w krainie Czarów*.

29 czerwca

→ Spłonęła hala produkcyjna i dwa magazyny o powierzchni siedmiu tysięcy metrów kwadratowych na terenie byłej fabryki WIFAMA przy ulicy Piłsudskiego 143. W akcji ratowniczej, w trudnych warunkach – brakowało wody – brało udział 120 strażaków, 44 wozy ogniowe i 49 policjantów. Przyczyny pożaru nie są znane.

→ W konkursie na projekt lampy „Oświeć swoją przyszłość" ogłoszonym przez światowej sławy projektanta Janusza Kaniewskiego i firmę Virako zwyciężyli: Jacek Chrzanowski – student grafiki ASP (projekt lampy) i Gosia Płoskońska – studentka wzornictwa przemysłowego ASP. W konkursie wzięło udział 25 osób.

30 czerwca

→ Rozpoczął się remont zabytkowego budynku elektrociepłowni EC-1. Projekt zapowiada na remontowanym terenie powołanie Centrum Sztuki Filmowej oraz przebudowę centrum miasta. W uroczystym wbiciu łopat wzięli udział ministrowie: Bogdan Zdrojewski i Cezary Grabarczyk oraz posłanka Iwona Śledzińska-Katarasińska, a także władze miasta i województwa.

PERSONALIA:

1 czerwca

→ Marek Składowski został prezesem publicznego Radia Łódź SA. Do zarządu rada nadzorcza powołała również Michała Molke – menadżera, informatyka i Andrzeja Beruta – byłego szefa radia, ostatnio dyrektora Biura Analiz Medialnych w Urzędzie Miasta. 4 czerwca Sąd Rejonowy orzekł, że rada nadzorcza została powołana bezprawnie, wykreślił skład rady z KRS i przywrócił do pracy dotychczasowego prezesa Dariusza Szewczyka.

→ Marcin Podgórski – dotychczasowy dyrektor Departamentu Polityki Regionalnej w Urzędzie Marszałkowskim, obejmie stanowisko p.o. dyrektora Regionalnego Biura Województwa Łódzkiego w Brukseli. Dotychczasowy dyrektor Mariusz Miel-

carek zrezygnował z kierowania biurem po przejściu do pracy w Komisji Europejskiej.

12 czerwca

→ Adwokat Zbigniew Wodo jest nowym dziekanem Okręgowej Rady Adwokackiej w Łodzi. Wybrało go 279 osób z 380 głosujących. Mec. Wodo zastąpił mec. Andrzeja Pelca, który sprawował funkcję dziekana przez dwie kadencje.

29 czerwca

→ Grażyna Posmykiewicz wygrała konkurs na dyrektora naczelnego Teatru Muzycznego. Dyrektorka od 1998 roku pracowała w Teatrze Muzycznym jako zastępca dyrektora, a od czterech lat jest p.o. dyrektora. Absolwentka Wydziału Prawa UŁ, podyplomowych studiów menedżerskich oraz wiedzy o teatrze.

ODESZLI:

4 czerwca

→ Jerzy Jochimek – w Tampie na Florydzie w wieku 90 lat. Pisarz urodzony w Łodzi, kurier wojenny, więzień sowieckich łagrów. W 1967 roku uciekł na zachód. Autor powieści: *Pamiętnik z kory brzozowej, Psy kołymskie, Chrystus i białe niedźwiedzie*, wydanych przez „Tygiel Kultury". Pisarz odwiedził Łódź i redakcję „KMŁ" w 2009 roku.

12 czerwca

→ Wirigiliusz Duda – prof. dr hab. Uniwersytetu Łódzkiego, biolog, długoletni kierownik Katedry Biofizyki Skażeń Środowiska UŁ, współzałożyciel Instytutu Biofizyki, prodziekan Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi, przewodniczący Łódzkiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Przyrodników im. Kopernika. Ceniony nauczyciel akademicki i wychowawca studentów.

→ Zofia Zarzycka – prof. dr hab. em. prof. zw. Uniwersytetu Łódzkiego, specjalistka z zakresu demografii i statystyki ekonomicznej i społecznej. W latach 1986-92 kierownik Zakładu Demografii i Statystyki, w latach 1992-96 kierownik Katedry Statystyki Ekonomicznej i Społecznej. Ceniony nauczyciel akademicki i wychowawca młodzieży.

15 czerwca

→ Janusz Rosół – operator dźwięku filmowego, realizator 120 filmów i seriali, członek Stowarzyszenia Filmowców Polskich, od 45 lat związany z Wytwórnią Filmów Fabularnych w Łodzi.

21 czerwca

→ Michalina Rossowska – dr nauk matematycznych, wieloletni adiunkt w Instytucie Matematyki Uniwersytetu Łódzkiego, członek Związku Sybiraków.

27 czerwca

→ Romualda Rydlewicz – dr inż. długoletni nauczyciel akademicki w Instytucie Maszyn Elektrycznych i Transformatorów Politechniki Łódzkiej.

→ Zygmunt Król – jeden z pionierów nauczania organizacji produkcji filmowej i szkolnictwa filmowego w Polsce, były dziekan Wydziału Organizacji Produkcji Filmowej w PWSFTvi T w Łodzi, autor programów kształcenia, nauczyciel akademicki i wychowawca wielu producentów filmowych.

28 czerwca

→ Brunon Kapala – jeden z przywódców studenckiego protestu podczas wydarzeń w Marcu'68 w Łodzi, członek opozycji antykomunistycznej, więzień polityczny, odważny i uczciwy człowiek.

WiMBP
im.
J. P.
w Łodzi

10671-A

PR

SIGILLVM OPPIDI LOMZIA